

Lew krwawej zemsty

Karol May



calibre 0.9.27

LEW KRWAWEJ ZEMSTY

Karol May

Bracia Snuffle

Większość moich czytelników zna Winnetou, wodza Apaczów, najszlachetniejszego spośród Indian, najlepszego i najwierniejszego mego przyjaciela. Wiadomo im zapewne, jaką zginął śmiercią. W głębokim kraterze góry Hancock, podczas walki z Siuksami z plemienia Ogellallajów, kula przeszła mu pierś. Wyzionął ducha na moich rękach. Zanieśliśmy jego zwłoki w góry Gros Ventre i pogrzebaliśmy je w dolinie rzeki Metsur. Przypadł mi smutny obowiązek wyprawy na południe celem zawiadomienia Apaczów, że najwyższy ich i najslawniejszy wojownik nie żyje.

Jazdę tę dziś jeszcze ze smutkiem wspominam. Śmierć Winnetou poruszyła mnie do głębi. Stałem się innym człowiekiem. Znikła gdzieś beztroska i wiara we własne siły. Nie mogłem się zdobyć na najłżejszy uśmiech. Opuściła mnie radość życia. Szukałem samotności, unikałem ludzi. A gdy podczas samotnej, dalekiej wyprawy trzeba było zamienić kilka słów w jakimś forcie lub osadzie, starałem się, aby rozmowa trwała jak najkrócej. Ludzie, z którymi się od czasu do czasu stykałem, nie traktowali mnie jak równego sobie. Nie zwracali na mnie uwagi, nie dostrzegali mnie prawie, a gdy się z nimi rozstawałem nie zawsze mówili: do widzenia. Przyczyną był mój wygląd zewnętrzny.

Ruszyłem z Winnetou w góry Hancock, aby oswobodzić kilku znanych nam osobiście osadników, których Siuksowie wzięli do niewoli. Cel wyprawy został osiągnięty, ale przypląciliśmy ją śmiercią Winnetou. Po pogrzebaniu zwłok, część białych postanowiła zostać w dolinie rzeki Metsur i utworzyć tam kolonię. Pomagałem im w tym i dlatego nie od razu ruszyłem do Apaczów.

Mój strój myśliwski był do tego stopnia zniszczony, że musiałem postarać się o inny. Na Dzikim Zachodzie nie ma sklepów z ubraniami, trzeba więc było zadowolić się propozycją pewnego osadnika, który ofiarował mi strój własnego wyrobu. Był to ubiór z niebieskiego płótna: człowiek ów wykonał go na warsztacie tkackim, przykroił i przyfastrygował. Oczywiście, o linii kroju nie mogło być mowy. Spodnie przypominały podwójną rurę, Kamizelka — worek bez rękawów, marynarka — wór z rękawami. Ubranie było uszyte na człowieka o zupełnie innej figurze, niż moja. Nietrudno więc sobie wyobrazić, jak w nim wyglądałem; nie byłem ani odrobinę podobny do westmana. Na dobitek milczałem jak zaklęty i z niechęcią patrzyłem na ludzi. W tej sytuacji pojawienie się Old Shatterhanda nie wywołało zwykłego efektu.

Droga prowadziła przez szeroką, płaską prerię, na której rosły kępy drzew i krzewów. Trzeba było zaostrzyć czujność, gdyż te drzewa i krzewy zasłaniały widok. W każdej chwili należało się spodziewać spotkania z nieprzyjacielem, chodziły bowiem pogłoski, że wśród Komanczów, których terytorium sięgało aż do prerii, wybuchły poważne niepokoje.

Około południa dotarłem do strumienia, którego świeża, czysta woda musiała zwabić każdego wędrowca. Wybrawszy miejsce, z którego rozciągał się daleki widok, zsiadłem z konia, napiłem się krynicznej wody i wyciągnąłem się pod cienistym drzewem.

Po jakimś kwadransie ujrzałem dwóch jeźdźców. Stwierdziwszy, że to biali, nie ruszyłem się z miejsca. Zbliżali się po tej samej linii, po której przybyłem; jechali po moich śladach. Widziałem, że im się bacznie przypatrują. Siedzieli na mułach i byli jednakowo ubrani. Gdy się zbliżali, zauważyłem, że podobieństwo rozciąga się również na postacie i rysy twarzy. Nie ulegało wątpliwości, że to bracia, jeśli nie wręcz bliźnięta.

Byli bardzo wysokiego wzrostu, a przy tym straszliwie wychudzeni. Mimo woli nasuwało się przypuszczenie, iż od dłuższego czasu głodują. Za to cerę mieli zdrową. Siedzieli mocno na swoich mułach. Z bliska zauważyłem, że jeden różni się od drugiego nieznacznie blizną, przecinającą lewy

policzek. Nie można powiedzieć, by byli pięknościami, gdyż najbardziej wystającą część twarzy mieli niezwykle rozwiniętą. Byli to posiadacze nieprawdopodobnych nosów! Można się śmiało założyć, że takich nosów nie ma w całych Stanach. Aby opisać wielkość, kształt i kolor, trzeba je widzieć. Mimo tych trąb jerychońskich nie byli brzydalami. Przeciwnie, wyraziste, wygolone twarze wzbudzały sympatię. Kąty ust uśmiechały się radosnym, beztroskim uśmiechem; jasne oczy patrzyły w świat przenikliwie. Ubrani byli w wygodne ciemnoszare, wełniane bluzy i spodnie. Nogi tkwiły w mocnych sznurowanych kamaszach, na głowach mieli kapelusze o szerokich kresach, z ramion zwisały szerokie koce, podobne do nieprzemakalnych płaszczy. Za skózanymi pasami tkwiły noże i rewolwery. Ponadto, obaj jeźdźcy, uzbrojeni byli w długie, dalekonośne strzelby.

Dotąd nie spotkałem tej pary, ale słyszałem o nich nieraz. Wiedziałem, kogo mam przed sobą. Pomyłka była wykluczona. Nikt nie widział tych nieodłącznych towarzyszy oddzielnie, i nikt nie znał ich nazwisk. Ze względu na potężne nosy, nazywano ich po prostu bracia Snuffle. Ten z blizną zwał się Jim Snuffle, a drugi — Tim Snuffle. Jak widać nawet imiona mieli podobne. Ale nie koniec na tym. Muły ich również wabiły się prawie identycznie: Jim nazywał swojego Polly, Tim na swojego wołał Molly. Mimo, że w ostatnich czasach unikałem towarzystwa, spotkanie tej pary nie sprawiło mi przykrości. Byli to ludzie z gruntu uczciwi i tak sympatyczni, że perspektywa odbycia w ich towarzystwie szmatu drogi przedstawiała się wcale przyjemnie.

Nie zauważyli mego konia, ukrytego za krzakami, ani mnie, gdyż leżałem w gęstej, wysokiej trawie. Zbliżali się coraz bardziej, wpatrzeni w moje ślady. Odległość, dzieląca nas, nie przekraczała dwudziestu kroków. Wreszcie zauważyli, że ślady, za którymi jada, urywają się nagle. Zdumieni, zatrzymali swe mufy. Ten z blizną zawołał:

— Do licha! Ślady się skończyły! Widzisz, stary Jimie?

— *Yes!* — skinął drugi. — Ale gdzie jest ta kanalia?

— Ulotnił się jak kamfora!

— Ktoś musiał go sprzątnąć, mój stary Jimie. Nie widzę śladów.

— To fałsz, oto ślady kopyt, prowadzą w kierunku krzaków. Łotr z pewnością się tam schował.

— Nie. Zwróć swój błogosławiony wzrok w tym kierunku, a zobaczysz, że zsiadł z konia i poszedł ku wodzie, gdzie...

Urwał. Wodząc wzrokiem za śladami, wreszcie mnie ujrzał.

— Do stu tysięcy diabłów! — zawołał po chwili. — Leży w trawie i nie rusza się. Czyż sądzi, że na Dzikim Zachodzie nie znają prochu i noża? Wypoczywa sobie, jak u siebie w domu na kanapie; zapomniał, że na tym brzegu Missisipi Komancze podkradają się po łup, jak wilki. Chodź, obudzimy go.

Skierowali mufy w moją stronę. Patrzyłem na nich szeroko otwartymi oczami, nie mogli więc mieć żadnych wątpliwości, że nie śpię. Ten z blizną rzekł:

— *Good day!* Ale z pana nieostrożny człowiek. Ślady widać na trzy mile! Rozkłada się pan na trawie czerwonoskórym na cel. Z pewnością nie jesteś westmanem!

Miał wybitnie nosowy głos, któremu też zawdzięczał przydomek Snuffle. Obrzucił mnie badawczym, ale życzliwym spojrzeniem, które wytrzymałem z całym spokojem, i ciągnął dalej:

— No i cóż, nie odpowie pan?

— Owszem, nie chciałem jednak przeczyć, — odparłem.

— Przeczyć? Ciekaw jestem, do czego miałyby się to odnosić? — Sądzicie naprawdę, że czerwoni nakryliby mnie tak łatwo?

— Oczywiście!

— Oho! Gdybym pierwszego z nich zobaczył, wpakowałbym mu kulę w łeb, zanimby się zdążył

zorientować, w jakim miejscu leżą. Przecież sami ujrzelście mnie dopiero wtedy, gdy dzieliło nas zaledwie parę kroków. Mogłem więc was sprzątnąć o wiele łatwiej, niż się wam to obecnie zdaje.

Spojrzał zdziwiony na swego brata i rzekł doń:

— Ten człowiek ma rację, prawda, Tim? Mówi, jak z książki, choć nie wygląda na szpaka. Mógł nas istotnie sprzątnąć, oczywiście gdybyśmy byli wrogami i gdyby... gdyby był westmanem.

— *Yes*, ale nie jest westmanem — odrzekł Tim stanowczo, patrząc na mnie z przyjaznym politowaniem. — Musi to być zabłąkany osadnik.

— Tak, to widać. Trzeba się nim zająć i skierować na odpowiednią drogę. Zabłąkał się na Dzikim Zachodzie. Perspektywa niewoli u Komanczów nie należy do przyjemności. Spoczniemy na chwilę.

Zeskoczył z muła, usiadł obok mnie i gdy brat poszedł za jego przykładem zapytał protekcjonalnym tonem:

— Sądzę, że nie będziemy panu przeszkadzać, he?

— Preria stoi dla każdego otworem, sir.

— Oho, to brzmi tak, jakby nasza rada i pomoc była obojętna.

— Bardzo jestem wdzięczny, ale nie potrzeba mi ani rady, ani pomocy.

— Nie? — zapytał, ściągając brwi i obrzucając mnie badawczym spojrzeniem. — A więc nie zboczył pan z drogi?

— Nie.

— Hm! Dziwne! Stawiam mego muła przeciw młodej kozie, że nie jesteś pan westmanem. Skąd pochodzisz?

— Z Niemiec.

— Hm, to bardzo prawdopodobne. Dowodzi tego strój i ubiór. Sądzę, że wolno zapytać, co tu pan robi i jak się nazywa?

— Dlaczegożby nie? Skoro jednak przybyłem tu pierwszy, to i do pytań powinienem mieć pierwszeństwo.

— Do licha! Jaki formalista z tego człowieka! Nie będziemy więc ukrywać, że jesteśmy westmanami, i to najprawdziwszymi westmanami, a nie żadnymi poszukiwaczami padliny, których gromady niepokoją starą prerię. Jak się zwiemy? Sądzę, że prawdziwe nazwiska nie będą pana interesować; wystarczy, jeżeli powiem, że ze względu na nosy cały świat nazywa nas Snuffle. Przydomek to nieco irytujący, ale przyzwyczailiśmy się do niego. Teraz, skoro pan wie, kim jesteśmy i jak się nazywamy, zechciej odpowiedzieć na moje pytanie.

— Bardzo chętnie — odparłem, posługując się jego słowami. — Nie będę również ukrywać, że jestem westmanem i to westmanem najprawdziwszym, a nie poszukiwaczem padliny, których gromady niepokoją starą prerię. Jak się zowie? Sądzę, że prawdziwe nazwisko nie będzie was interesować; wystarczy, jeżeli powiem, że cały świat zwie mnie Old Shatterhandem.

Jim Snuffle skoczył na równe nogi i zawołał:

— Old Shatterhand? Do licha! Mamy więc zaszczyt z najslawniejszym ...

Nie skończył, gdyż brat Tim przerwał:

— Brednie! Nie pozwól z siebie kpić, stary Jimie! Przypatrz się tylko dobrze temu człowiekowi. Jakże można go porównać z Old Shatterhandem!

Jim usłuchał wezwania brata. Przyjrzawszy mi się dokładnie rzekł tonem pełnym rozczarowania:

— Well, masz rację, stary Timie! Człowiek ten nie jest Old Shatterhandem; zdawało mi się tylko. Tak mu daleko do Old Shatterhanda, jak zwykłej niedźwiedziowi do niedźwiedzia grizzly.

Po tych słowach usiadł.

— Możecie mým słowóm wierzyć, lub nie wierzyć. Prawdy nie zmienicie.

— Pshaw! — roześmiał się ironicznie. — Nie podawaj się za Old Shatterhanda. Wiem lepiej, kim pan jesteś.

— No?

— Jesteś pan żartownisiem. Chciałeś nas wodzić za nasze długie nosy. Ale to się nie uda! Gdy przed chwilą wypowiedział pan imię Old Shatterhanda, tak byłem zaskoczony, że zapomniałem, iż znam tego sławnego strzelca osobiście.

— Ach! Znasz go?

— Tak. Widzieliśmy go kiedyś w Fort Clark nad Missouri;

— W Fort Clark? Nie wiadomo mi, bym tam był kiedykolwiek.

— Wierzę, gdyż jestem przekonany, że zna pan Old Shatterhanda tylko z nazwiska. Otóż muszę panu powiedzieć, że jest to ogromny, barczysty mężczyzna i na kruczą brodę, sięgającą aż do pasa. Winnetou, nim został jego przyjacielem, zadał mu toporem cios w czoło, od którego ślad pozostał dotychczas.

— Cios toporem w czoło? Wielki, barczysty mężczyzna o czarnej brodzie? Hm. W taki razie ktoś naprawdę wywiódł was w pole. Old Shatterhand nie był nigdy w Fort Clark. Człowiek, któregoście przed chwilą opisali, pochodzi z Iowy, nazywa się Stoke i jest zastawiaczem sideł. Niejednokrotnie podawał się za Old Shatterhanda, aż wreszcie został zdemaskowany.

— Przez kogóż to?

— Przez prawdziwego Old Shatterhanda.

— Ach! Więc przez pana? Jakże się to stało? Jestem Bardzo ciekaw.

— Bardzo prosto i jasno. Było to w Fort Randall, również nad Missouri. Przybyłem tam dla zakupu amunicji i zastałem w knajpie gromadę ludzi, którzy z ogromnym zainteresowaniem słuchali jego przechwałek. Zapytałem, czy jest istotnie Old Shatterhandem. Gdy odpowiedział, że tak, oświadczyłem, że jestem jedynym człowiekiem, który ma do tego imienia prawo. Ponieważ nazwał mnie kłamcą, przeprowadziłem dowód prawdy.

— Dowód? Jaki?

— Walnąłem go pięścią w łeb tak mocno, że się zwałił jak długi.

— Well! Czy byłbyś pan łaskaw pokazać nam tę pięść?

— Oto jest.

Pokazałem mu swoją rękę. Ujął ją w dłoń, obmacał dokładnie i rzekł z uśmiechem:

— Jest pan istotnie niezwykłym wesołkiem. Przecież to kobieca ręka. Takie miękkie ręce miała nasza nieboszczka ciotka. Wiem o tym doskonale, bo częstowała mnie często policzkami, ale ani jeden nie powalił mnie na ziemię. Tymi palcami potrafi pan powalić człowieka?

— Nawet tak, że nie wstanie.

— Well! Bądź pan łaskaw zaaplikować mi takie uderzenie. Chciałbym poznać stan nieprzytomności. Musi to być wspaniałe uczucie — roześmiał się znowu.

— Tego nie może pan wymagać, mister Snuffle. Dla pana potrzebowalibyśmy dwóch uderzeń. — Jak to?

— Jednego w głowę, drugiego zaś w nos.

— Ach, tak! Niezłe pan się wykręcił, ale to nie pomoże. Gdybyś był naprawdę Old Shatterhandem, uderzyłbyś mnie teraz, gdyż Old Shatterhand nie pozwoliłby, by go bezkarnie nazywano wesołkiem.

— Zwłaszcza, gdy to miano oznacza kłamcę, — dodałem spokojnie.

— Ponieważ był pan łaskaw użyć mniej drastycznego terminu, nie mogę spełnić pańskiego

życzenia.

— Znowu świetna wymówka! Czy nie wie pan, jakie strzelby posiada Old Shatterhand?

— Niedźwiedziówkę i sztucer Henry'ego. Muszę dodać, że z powodu deszczu, który padał nocy ubiegłej, okryłem sztucer pokrowcem.

Jim Snuffle wskazał na leżącą obok mnie strzelbę i zapytał:

— Nie zechce pan chyba twierdzić, że stara, zdemontowana armata, to niedźwiedziówka Old Shatterhanda?

— Owszem, twierdzę.

— W takim razie można by nazwać armatę z czasów Waszyngtona zwykłym rewolwerem kieszonkowym! A ta dubeltówka w pokrowcu — to zdaniem pana sztucer Henry'ego?

— Tak.

— Pokaż no pan! Jestem bardzo ciekaw.

— Czy tamten Old Shatterhand z Fortu Clark pokazywał wam swoją broń?

— Nie. Jakże byśmy śmieli niepokoić takiego człowieka!

— Ale mnie niepokoiacie bez skrępowań! Czy miał przy sobie niedźwiedziówkę i sztucer?

— Nie wiem i wcale o tym nie pomyślałem. Zapewniam pana, że to prawdziwy Old Shatterhand. Szeroki kapelusz, surdut myśliwski ze skóry elków, koszula myśliwska ze skóry jeleniej, skórzane spodnie i wysokie buty. Spójrz pan teraz na siebie! Jedynie kapelusz mógłby zdobić strzelca lub westmana; reszta garderoby zalatuje oborą lub królikami. A poza tym najważniejsze; Old Shatterhanda nie ma w tych okolicach.

— Dlaczego?

— Ponieważ znajduje się w górach Gros Ventre. — Jesteście tego pewni?

— Tak. Z pewnością pan nie wie, co w górach zaszło. Słyszał pan kiedyś o Winnetou?

— O wodzu Apaczów? Cóż wam o nim wiadomo?

— Wiemy, że zginął. Siuksowie plemienia Ogellallajów zabili go w górach Hancock; Old Shatterhand ściga ich, by pomścić śmierć sławnego przyjaciela. Oświadczam wam, że żaden z nich nie ujdzie z życiem. Old Shatterhand nigdy nie przelewa krwi bez potrzeby, lecz w tym wypadku nie spocznie, dopóki nie zmiecie z powierzchni ziemi ostatniego spośród tych łotrów. Czy pan twierdzi nadal, że jesteście Old Shatterhandem?

— Tak.

— W takim razie może pan nam opowiedzieć, co się stało w górach Hancock?

— Przeżyłem to wszystko. Szkoda słów.

— *Well!* Znowu niezła wymówka, albo ma pan lekkiego bzika i puszcza wodze imaginacji. Jeśli tak jest istotnie, musimy się panem zająć, aby ci się nie przywidziało, że jesteś sułtanem tureckim lub cesarzem chińskim. A może pan żartuje po prostu? W takim razie jesteś porządnym towarzyszem. Jeśli udajesz się w tą samą drogę, co my, zabierzemy pana chętnie ze sobą.

— Naprawdę? Chcecie mi okazać ten zaszczyt?

— Mniejsza o zaszczyt. Po prostu lubimy się pośmiać. Skąd pan przybywa?

— Z gór Gros Ventre.

— *Well!* Dobra odpowiedź. Dokąd pan podąża? — Do Apaczów.

— Do licha! Czegóż pan od nich chce? — Zawiadomię ich o śmierci Winnetou.

— Człowieku, świetnie grasz swoją rolę! Jeżeli jednak naprawdę żywisz ten zamiar, szkoda narażać się na niebezpieczeństwa podróży, gdyż nie ulega wątpliwości, że Apacze wiedzą o śmierci Winnetou.

— Racja. Nie mogłem wyruszyć od razu; pewne okoliczności zatrzymały mnie, więc wieść o

śmierci przyjaciela podążyła przede mną. Mimo to muszę przedsięwziąć tę wyprawę, ponieważ chcę, aby Apacze dowiedzieli się o wszystkim od naocznego świadka.

— Od naocznego świadka! Pyszna z pana figura! Będziemy się cieszyć, jeśli zechcesz nam towarzyszyć. Przeprowadzimy się przez Canadian, potem zaś mamy zamiar ruszyć do Santa Fe. Drogi nasze częściowo się zbiegają. Czy będzie pan nam towarzyszyć?

— Owszem, podobacie mi się.

— *Well!* A więc sprawa załatwiona. Musimy jednak wiedzieć, jak pana mamy nazywać?

— Old Shatterhand.

— Człowieku, tego nie możesz od nas wymagać! Nie chcemy wycierać sobie gęby tym nazwiskiem. Wyszukaj sobie inne przydomko!

— Obstawiam przy tym.

— Więc my panu wyszukamy. Ponieważ jesteś Niemcem, będziemy pana nazywać mister German do chwili, aż nam raczysz wyjawić swe prawdziwe nazwisko. Zgoda?

— Nie mam nic przeciwko temu.

— Zgadzasz się również, stary Timie?

— Dobrze, nazwij go, jak chcesz.

— A więc, mister German, pojedziesz pan z nami? Czy wiesz, co to znaczy?

— Nie przypuszczam, aby to było coś niezwykłego.

— Oho! Musimy się przedostać przez terytorium Komanczów, którzy znowu podnieśli broń przeciw białym. Twierdzą, że zostali oszukani przy jakichś dostawach. Może mają rację. Jeśli nas pochwyć, będziemy zgubieni.

— Jeśli nas pochwyć, będziemy głupcami.

— *Well*, wcale nieźle! Miejmy nadzieję, że pan będzie rozsądny nie tylko w słowach i nie pozwoli się schwytać. No, odpoczęliśmy i możemy ruszyć w drogę. Sprowadź pan swego konia, sir!

— Zjawi się sam.

Gwizdnąłem. Zza krzaków wyszedł mój wierzchowiec. Na widok wspaniałego karego rumaka, oniemieli na chwilę. Wreszcie Jim zawołał:

— Do licha, skąd taki wierzchowiec do pana?

— To dar Winnetou.

— Daj pan spokój! Winnetou darowałby panu takiego rumaka? Wyznam szczerze, że to wydaje mi się podejrzanym. Taki człowiek właścicielem tak wspaniałego wierzchowca! Miejmy nadzieję, że nie spotkamy właściciela i że nie powieszają nas jako koniokradów.

— Nie martw się, mister Snuffle! Nie jestem koniokradem. Z tego, że mnie słucha, możecie wnioskować, że jest moją własnością.

— To mnie nieco zbija z tropu. Człowiek, który posiada takiego konia, nie jest z pewnością zwykłym włóczęgą. Ale prawdziwy westman nie obwiesza swego ciała płóciennymi płachtami, które z niego spadają. Jesteś pan dla mnie zagadką.

— Może. Nie łamcie sobie głowy; rozwiązanie przyjdzie samo przez się.

— Jeśli łaska, niech się to stanie, jak najszybciej, mister German. Uważam was za greenhorna, ale pojawienie się wierzchowca wywołało we mnie wątpliwości. Na szczęście, ma pan szczerzy wyraz twarzy, więc spróbujmy! A więc na koń i jazda!

Od samego początku spotkanie z braćmi nie było mi niemiłe; teraz zaczynało mnie bawić. Obydwaj poczciwcy nie chcieli żadną miarą uwierzyć, że jestem Old Shatterhandem. Moje zachowanie zdezorientowało ich zupełnie, ponadto do wątpliwości przyczynił się również mój strój. Byli przekonani, że jestem fantastą, lub człowiekiem niezupełnie normalnym, jeśli nie koniokradem!

Gdy ruszyliśmy w drogę, zachowywałem się jak człowiek niezbyt dobrze obeznany z siodłem. To potwierdzało jeszcze bardziej ich wątpliwości i zaczęli po cichu wymieniać zdania pod moim adresem, obserwując mnie przy tym bacznie.

Gdybym im pokazał sztucer Henry'ego, nastroje zmieniły by się od razu. Bawiło mnie jednak, że się z mego powodu niepokoją i zaczynają żałować propozycji wspólnej jazdy.

Przed wieczorem zatrzymaliśmy się na nocleg na skraju lasu. Niebezpieczeństwo, grożące ze strony Komanczów, wymagało wystawienia warty. Zwróciłem ich uwagę, by ustalili porządek czuwania. Odpowiedzieli, że mogą spać spokojnie przez całą noc, gdyż rozdzielią warty między siebie. Wskazywało to, że nieufność ich względem mnie wzrosła! W innych okolicznościach byłbym im dał dowód, że jestem istotnie tym, kim się mienię; jednak podczas ostatnich kilku nocy, ze względu na konieczność baczenia na wroga, nie spałem prawie zupełnie, więc postanowiłem skorzystać z nęcącej propozycji. Spałem do rana jak kamień, trzymając w rękach obydwie strzelby.

Gdyśmy rano wyruszyli, od Beaver Creek dzieliły nas cztery godziny jazdy. Przez cały czas byłem równie milczący jak wczoraj. Obydwaj bracia nie starali się o podtrzymywanie rozmowy. Najchętniej byłiby się mnie pozbyli.

Po jakichś dwóch godzinach, gdy znaleźliśmy się na małej, otwartej sawannie, ukazał się na horyzoncie jakiś jeździec, zdążający w naszym kierunku. Gdy nas ujrzał, skierował konia na prawo, aby zniknąć nam z oczu. Obudziło to podejrzenie Jima:

— Nie chce się z nami spotkać. Nie ulega wątpliwości, że to biały. Z pewnością widzi również, że nie jesteśmy Indianami. Dlaczego gardzi nami, mój stary Timie?

— Ponieważ w tych stronach nie można ufać nikomu, nawet białym — odparł Tim.

— Pokażemy mu, że nam ufać można. Może dowiemy się od niego, skąd przybywa i czy natrafił na ślady Komanczów. Zboczmy w jego stronę!

Jeździec zobaczył, że ruszyliśmy ku niemu. Gdyby zboczył jeszcze bardziej, obudziłby w nas tylko większe podejrzenie. Poszedł więc po rozum do głowy i ruszył w naszą stronę.

Po niedługiej chwili ujrzałem, że dosiada świetnego konia. Stwierdziłem również ze zdumieniem, że koń ma typ uprzęży, zupełnie nieznaną w Ameryce. Siodło i wędzidło przypominały kosztowne uprzęże perskie, zwane reszma. Imitacja była bardzo skromna i nie ulegało wątpliwości, że robił ją człowiek nie znający oryginału. Mimo to uderzył mnie sam fakt napotkania w Ameryce perskiej reszmy.

Jeździec, ubrany w strój strzelców Zachodu, był stuprocentowym Amerykaninem. Przez ramię zwisała strzelba, za pasem tkwił rewolwer, nóż, i ... Nie chciałem uwierzyć własnym oczom, gdy ujrzałem długi, perski handzar, którego trzon był wykładany srebrem. Skąd się ta broń wzięła u westmana?

Pozdrowił nas z ponurą miną i zatrzymał konia. Odpowiedziawszy na ukłon, Jim Snuffle rzekł:

— Czy pan weźmie nam za złe, jeśli zatrzymamy go na chwilę? Komancze wyleźli ze swych nor, trzeba się więc mieć na baczności i zważać, czy w okolicy nie ma nieprzjaciół. Przybywa pan z nad Beaver Creek?

— Istotnie — odparł zapytany, wyprostowując swój długi tułów i potrząsając szerokimi ramionami. — Jeżeli chcecie się czegoś dowiedzieć, śpieszcie się, gdyż nie mam czasu.

— Będę się streszczać. Jaką drogą pan jechał po tamtej stronie Creek?

— Ruszyłem od Antelope Buttes.

— Natrafił pan na ślady Komanczów? — Nie.

— Czy po tamtej stronie doszło już do starcia?

Nic o tym nie słyszałem. Czy to już wszystko? Spieszno mi, panowie!

— Tak. Pana rzeczowe odpowiedzi wyczerpują sprawę. Dziękuję, sir i życzę szczęśliwej podróży!

Obaj bracia byli zadowoleni z relacji nieznanego. Nie mogłem tego powiedzieć o sobie. Poza obcą uprzężą i handzarem zaniepokoił mnie wielki pośpiech przybysza. Wydawało mi się rzeczą nieprawdopodobną, by sam przybył z Antelope Buttes. Gdy więc chciał ruszyć w dalszą drogę, podjechałem doń i rzekłem:

— Jeszcze chwilę, sir! Cóż za dziwna uprzęż zdobi tego konia? Nigdy na Zachodzie takiej nie widziałem.

— To nie pana sprawa — burknął brutalnie, usiłując mnie wyminąć. Nie ustępowałem jednak z drogi. Ciągnąłem dalej:

— Racja, nic mi do tego. Ale jestem człowiekiem ciekawym i chciałbym wiedzieć.

— Ustąp pan z drogi! — fuknął. — To uprzęż meksykańska! No, a teraz jedź do wszystkich diabłów!

Spiął konia, aby zatoczyć dookoła mnie łuk. Dałem koniowi ostrogi i znów znalazłem się obok niego.

— Mylisz się, sir. Nie jest to uprzęż meksykańska, lecz perska. Czy wolno spytać skąd pochodzi egzotyczny sztylet, który tkwi za pasem pana?

— Nie, o to pytać nie wolno. Jakim prawem... Nie dokończył, gdyż Jim wtrącił z niechęcią:

— Co też panu strzeliło do głowy? Zostaw tego gentelmana w spokoju. Nie dopuszczę do bójki bez powodu.

Nie zwracając na te słowa uwagi, rzekłem do nieznanego:

— Ten sztylet to po prostu perski handzar. Żądam wyjaśnienia, skąd pochodzi. Wierzchowiec, którego pan dosiada, jest obcą własnością.

— Jak śmiesz mnie posądzać o kradzież? — ryknął. — Chcesz, żebym ci wpakował kulkę w łeb?

— Do tego nie dojdzie — odparłem z całym spokojem. — Zechciej się pan przyjrzeć swoim butom i ostrogom. Czy harmonizują z orientalnymi strzemionami? Koń nie jest pana własnością. Komuś go ukradł?

— Odpowiem ci na to kulą, kanalio!

Wyrwał rewolwer zza pasa. Zanim zdążył wziąć mnie na cel, wymierzyłem w jego skroń cios tak potężny, że wypuścił lejce i zwalił się z konia. Zeskoczyłem ze swego wierzchowca, aby zrewidować jego kieszenie. Widząc to, Jim Snuffle również zsiadł z konia, podbiegł chwytając mnie za ramię, zawołał:

— Na Boga, człowieku, zachowujesz się jak zwyczajny zbój! Jeśli nie zostawisz tego podróżnego w spokoju, walnę pana kolbą w łeb.

Nie wiem, czy był gotów wykonać swój zamiar. Dość, że odsunąłem go od siebie gwałtownym ruchem i oświadczyłem kategorycznie:

— Pięść moja działa sprawniej, niż pana kolba, mister Snuffle. Old Shatterand nie jest zbojem, ale nie jest również tak lekkomyślnym młokosem, jak pan. Jeśli będziecie mi przeszkadzali, powalę was na ziemię tak samo, jak tego kłamcę.

— Ależ... — powiedział zbity z tropu — przecież on nie wyrządził panu żadnej krzywdy!

— Dowiodę wam, że wyrządził krzywdę innym.

Pochyliłem się powtórnie i opróżniłem kieszenie nieznanego, który nie odzyskał jeszcze przytomności. Nie znalazłem w nich nic podejrzanego. Pocziwy Jim zwrócił się więc do mnie z wyrzutem:

— Pomyliłeś się sir, nic w nich nie znajdziesz. Nie godzi się rzucać na człowieka, jak dzikie

zwierzę, jeżeli...

— Proszę, nie unosź się, sir! — przerwałem. — Zawartość kieszeni dowodzi jedynie, że jest westmanem, natomiast nie wynika stąd, że koń do niego należy. Zobaczymy, co się mieści w kulbace!

Wyciągnąłem z niej coś, co trudno *znaleźć* u westmana, a mianowicie tomik, oprawiony w marokańską skórę. Kartki pokryte były perskim pismem.

Był to tomik poezji "Diwan", napisany przez największego liryka perskiego Haflsa; Nie mógł on być własnością pospolitego wędrowca prerii. Ludzie tego typu nie uczą się po persku i nie mają czasu na zajmowanie się Hafisem podczas przeprawy przez terytoria wrogich Komanczów.

Wróciłem do rewizji kulbaki. Oprócz fajki perskiej, zwanej hukah, znalazłem jeszcze kilka innych przedmiotów, które mnie upewniły, że prawowity właściciel konia pochodził ze Wschodu, lub co najmniej przyswoił sobie orientalne obyczaje. Tutaj, w zachodniej Ameryce? Może to bogaty Jankes, który przybył na prerię z Persji, czy w ogóle ze Wschodu? Obrabowano go, może zamordowano. Bezwzględnie należało to zbadać!

Tim również zsiadł z konia i podobnie jak jego brat, oczekiwał w napięciu, co się dalej stanie. Gdy wskazał na hukah, Jim zapytał z ciekawości.

— Cóż to jest? Jakby wąż o szklanej głowie! Coś w rodzaju aptekarskiego przyrządu.

— Skądże znowu! To po prostu perska fajka, w której dym przechodzi przez warstwę wody.

— Dym przechodzi przez wodę? Musi to być szczyt rozkoszy! A więc człowiek, który tu leży, pali w ten sposób? — Nie ten, ktoś inny, kogo odszukamy.

— Cóż to za książka?

— Perskie wiersze. Prawie cała zawartość kubaki jest perskiego pochodzenia.

— Skąd pan wie, że to perska książka?

— Przeczytałem kilka wyjątków.

— Pan rozumie po persku? — Tak.

— Ta Persja leży w kraju, który się zwie Wschodem?

— Tak.

— Pośród pusty i Sahary, w której pełno ludzi na wielbłądach? — Mniej więcej tak.

— Do licha! Słyszałeś, stary Timie?

— *Yes* — odparł milczący brat.

— Popatrz na mnie!

— *Yes!*

Zlustrowali się wzajemnie. Nie mogę twierdzić, aby twarze ich miały przy tym zbyt mądry wyraz.

— Tim, słyszałeś, co niedawno opowiadano w Fernandino o Old Shatterhandzie?

— Oczywiście. Słyszałem na własne uszy, a słuch mam niezgorszy. — Ile razy był w Stanach Zjednoczonych?

— Wspomniano o czternastu.

— A poza tym?

— Podobno tłukł się po Turkach, Chińczykach i Murzynach. Opowiadano, że był na Saharze, gdzie ludzie siedzą na wielbłądach, a słońce tak przyświeca, że skóra złazi z ciała.

— *Well*. Pomyśl w dodatku, że pod wpływem uderzenia tego mister Germana nasz nieznajomy stracił przytomność.

— *Yes!*

— Czyta po persku, a więc zna narzecza z okolic Sahary.

— *Yes!*

— Old Shatterhand zna narzecza wszystkich Chińczyków i muzułmanów?

— Tak opowiadano. Mówią, że z muzułmanami porozumiewa się za pomocą tysiąca dialektów indiańskich.

— *Well!* Pozwól się więc zapytać mister. German, czyś bywał w tamtych krajach i czyś się z tamtymi gentlemanami porozumiewał w ich języku? — Nie przeczę temu — odparłem.

— W takim razie bracia Snuffle okazali się parą osłów. Więc to, cośmy wczoraj słyszeli o zastawiaczu sideł Stoke, jest prawdą?

— Od a do zet.

— W takim razie ta stara armata jest zapewne niedźwiedziówką. Może pan zechce łaskawie pokazać tamten sztucer.

— Wiecie, jak wygląda sztucer Henry'ego?

— Yes. Opisano mi go dokładnie. Poznałbym go z miejsca.

— Proszę, przyjrzyjcie się; Nie mam nic przeciwko temu.

Wyjąłem z pokrowca sztucer i podałem go braciom. Pod wpływem zakłopotania wyglądali przekomicznie. Uświadomiwszy sobie, jak się w stosunku do mnie pomylili, nie mieli odwagi spojrzeć mi w oczy.

— Cóż powiesz, Timie, o tej strzelbie? — zapytał Jim. — To sztucer Henry'ego.

— Bez wątpienia. Oto srebrna okładzina z napisem. Potrafisz odczytać?

— Yes. "Old Shatterhand" — sylabilizował.

— Racja! A myśmy nie uwierzyli! Zbłądziliśmy tak dalece, żeśmy sławnego gentlemana posądzili... o koniokradytwa! Pierwszy raz w życiu tak się skompromitowałem.

— Ja również.

— Trzeba błąd naprawić. Ale jak? Hm, hm!...

Niełatwo mu było przyznać się do fatalnej pomyłki. Stał jeszcze przez chwilę odwrócony, potem wykręcił się nagłym ruchem, podszedł do mnie i rzekł:

— Postąpiliśmy obydwaj jak patentowani idioci. Mam jednak nadzieję, że pan nie będzie miał do nas urazy. Proszę nas wyśmiać dowoli, lecz potem proszę puścić w niepamięć tą fatalną pomyłkę.

— Wierzycie więc, że jestem Old Shatterhandem?

— Yes — skinął Tim.

Brat zaś bardziej wymowny, ciągnął dalej:

— Oczywiście, że wierzymy, nawet gotowiśmy na to przysiąc. Jeśli ktoś ośmieli się wątpić i przeczyć, podziurawimy do kulami na rzeszoto. Zgadza się pan wspólnie z nami podróżować?

— Oczywiście do chwili, w której drogi nasze się nie rozejdą. A teraz zajmijmy się nieznanym! Widzę, że się rusza. Musimy uważać, aby się nie ulotnił.

Mieliśmy pod ręką kilka rzemieni, więc związaliśmy go. Obydwaj bracia starali się gorliwością okupić swoją pomyłkę.

Powoli odzyskiwał przytomność. Chciał się podnieść. Gdy poczuł, że jest związany, przytomność wróciła mu całkowicie. Przez długą chwilę wodził po nas błędnym wzrokiem. Przypomnił sobie co zaszło i próbował nadludzkimi wysiłkami oswobodzić się z więzów. Gdy trud okazał się daremny, przemówił:

— Zwariowaliście! Naprzód walcie w łeb, a potem związujecie mi ręce i nogi. Cóż złego wam uczyniłem? Muszę jechać dalej i żądam uwolnienia mnie z więzów!

— Wierzę, że spieszno panu, — odparłem. — Pościg powinien wkrótce nadciągnąć.

— Chwała Bogu, że wam to wiadomo! — odparł wbrew oczekiwaniu. — A więc uwolnijcie mnie i uciekajcie wraz ze mną!

— Dlaczegoż? Gdzież przyczyna?

— Przyczyna jest prosta i jasna. Komancze.

— *Pshaw!* Niedawno pan opowiadał, żeś o nich nie słyszał nawet.

— Bo się wami nie interesowałem. Ale teraz sprawa wygląda inaczej. Jeśli mnie nie puścicie, zginiecie wraz ze mną. Pięćdziesięciu Komanczów tu ciągnie!

— Doskonale! Zawrzemy z nimi znajomość. Ale przedtem chciałbym się od pana czegoś dowiedzieć.

— Odwiążcie mnie, inaczej pary z ust nie puszczę.

— Ależ wprost przeciwnie: nie uwolnimy pana, dopóki nie odpowiesz na nasze pytania.

— Zwłokę przypłacimy życiem.

— Jestem innego zdania. Radzę odpowiadać na moje pytania i odpowiadać prawdą.

Zaczął mnie obsypywać obelgami. Przekonawszy się, że nic tą drogą nie wskóra, zwrócił się do Jima i Tima. Gdy i ci okazali się nieprzejednani, syknął ponuro:

— O cóż chodzi? Przysięgam, że drogo zapłacicie za ten gwałt! — No, zobaczymy. Do kogo należy koń i sztylet?

— Głupie pytanie. Oczywiście, że do mnie!

— A ta książka?

— Także do mnie.

— Cóż zawiera?

— Własne notatki.

— Ale nie w języku angielskim?

— Nie. Stenografowałem.

— Bezcelowe wybiegi, sir! To perskie pismo i perski tekst. A konia po prostu ukradłeś. Uprzedzam: jeżeli wyznasz prawdę, możesz liczyć na naszą wyrozumiałość. Jeżeli jednak nie zmienisz taktyki, właściciel konia ukarze cię według prawa prerii. Wiesz zapewne, że koniokradów karze się śmiercią?

— Koń by się uśmieł! Bo jakże to możliwe ukraść własnego konia? Nie grajcie komedii! Przejrzałem was: sami jesteście koniokradami; chcecie mi odebrać mojego konia pod pozorem, że go ukradł.

To zuchwalstwo nie wyprowadziło mnie z równowagi. Ale Jim Snuffle oburzył się do tego stopnia, że podszedł doń z zaciśniętymi pięściami i rzekł groźnie:

— Kanalio, łotrze! Śmiesz twierdzić, że jesteśmy złodziejami? Powtórz to jeszcze raz, a wygarbuję ci skórę jak ostatniemu psu. Czy wiesz z kim rozmawiasz?

— W każdym razie nie z uczciwymi ludźmi. Uczciwi puściliby mnie wolno.

— Właśnie dlatego, żeśmy ludzie uczciwi, nie odzyskasz wolności. Dowiesz się, że zowią nas Snuffle.

— Ach, więc to wy? W takim razie dziwię się jeszcze bardziej, że mnie tak traktujecie. Oskarżacie mnie bez cienia powodów. Nie zapytaliście nawet, jak się nazywam.

— I tak nie powiesz prawdy.

— Jestem gentlemanem, nie mam powodu ukrywać swego nazwiska. Odwiążcie mnie. Ze stenogramów, zawartych w tym notesie, będziecie się mogli przekonać, że jestem prawowitym właścicielem konia i tych wszystkich rzeczy.

— Gdybyśmy byli sami, może udało by ci się wymigać. Uwierzylibyśmy ci na słowo, że książka z perskimi wierszami jest notatnikiem, zawierającym stenogramy. Na szczęście jednak ten gentleman rozumie i czyta po persku.

— Kłamstwo! To indywiduum ubrane w niebieskie płótno nie może znać perskiego języka!

— Indywiduum ubrane w niebieskie płótno? Łotrze, bądź grzeczniejszy! Gdy ci wymienię jego nazwisko, zdechniesz z przerażenia.

— No, jestem ciekaw. Sam zapewne nie śmie go wymówić.

— Co? Old Shatterhand wstydziłby się swego nazwiska? — To indywiduum Old Shatterhandem? Ha, ha, ha!

Zaśmiał się na całe gardło. Oburzyło to Jima tak dalece, że podniósł nogę, by go kopnąć. Odsunąłem go jednak i rzekłem:

— Szkoda psuć sobie krwi dla tego człowieka! Wkrótce dowie się, kim jestem. Od tej chwili nie zaszczyimy go już ani jednym słowem. Gdyby zeznał prawdę, obeszlibyśmy się z nim łagodnie. Obecnie zeznanie jest już niepotrzebne.

— Święta racja, sir! Nie wierzyć, że jesteś Old Shatterhandem! Już to, żeś go uderzeniem pięści zwałił z konia, powinno mu posłużyć za dowód wystarczający. Spójrz, łotrze, to niedźwiedziówka, a to sztucer Henry'ego.

Kto wobec takich argumentów ma jeszcze wątpliwości, ten jest niespełna rozumu!

Nieznajomy rzucił okiem na obydwie strzelby, potem spojrział na mnie. Zaczęło mu świtać w głowie, że nierozsądnie przeczył i kłamał. Ja zaś obojętnie rzekłem do braci:

— Przywiążemy go do konia i wrócimy po jego śladach. Wkrótce okaże się, w jaki sposób zdobył przedmioty. Mam również nadzieję, że niedługo będzie świadkiem mej rozmowy z właścicielem konia. Oczywiście, prowadzić ją będziemy w języku perskim.

Jeńcowi krew uderzyła do głowy. Było to dowodem, że istotnie sprawa dotyczy Persa, lub osoby, której nieobca jest Persja.

Włożyliśmy znalezione przedmioty do kulbaki i podniósłszy jeńca, przywiązaliśmy go mocno do konia. Broń odebraną trzymali Snuffle, z wyjątkiem handzara, który schowałem za pas. Dosiedliśmy koni i ruszyliśmy ku Beaver Creek. Jechałem na przodzie, za mną Jim i Tim, między nimi nieznajomy.

Miałem plan dosyć ryzykowny i niebezpieczny. Słowa nieznajomego o Komanczach nie były chyba wysane z palca. Mogły zawierać odrobinę prawdy. Dlatego, skoro tylko wjechaliśmy w las, wyprzedziłem towarzyszy podróży, aby ich ewentualnie ostrzec przed niebezpieczeństwem. Musiałem zdwoić uwagę. Trzeba było natężyć wzrok, aby nie stracić z oczu śladów. Ponadto musiałem się strzec, aby nieprzyjaciel nie zjawił się niespodzianie. Z tych względów nie mogliśmy jechać zbyt szybko, jakkolwiek należało się śpieszyć, gdyż każda zwłoka mogła zaszkodzić okradzionemu właścicielowi konia, o ile oczywiście, znajdował się w niebezpieczeństwie.

Na szczęście, nie przytrafiło się nic złego. Dotarliśmy nad Beaver Creek przed upływem dwóch godzin.

Rzeka nie była tu głęboka. Dojrzeliliśmy ślady na przeciwległym brzegu, ale gdzie były ślady, prowadzące ku rzece z tej strony?

— Do wszystkich diabłów! Cóż teraz pocniemy? — spytał Jim. — Ta bestia musi nam powiedzieć, w jaki sposób przeprawił się przez rzekę.

Zmusimy go do tego!

Spojrząwszy na jeńca przelotnie, wyczytałem w jego oczach błysk zadowolenia. Myśl, że bezpowrotnie straciliśmy ślady, dodała mu otuchy. Przedwcześnie się jednak radował. Odnalezienie ich nie przedstawiało żadnej trudności. Chodziło o ustalenie w którym punkcie przeprawił się przez rzekę. Zsiadłem z konia i wszedłem do wody wolno, ostrożnie, by jej nie mącić. Była czysta, sięgała najwyżej metra, mogłem więc dojrzeć dno. Gdym wyteżył wzrok w kierunku przeciwległego brzegu, zobaczyłem na dnie wyraźne ślady kopyt. Wynikało stąd, że dla zmylenia tropu spory szmat drogi przebył wodą. Skinąłem na braci, aby mi podali konia.

Twarz jeńca zasepiła się. Znowu stracił nadzieję. Spoważniał i spochmurniał i można było poznać, że rozgrywa się w nim jakaś walka.

Ślady prowadziły wzdłuż rzeki, potem skręciły nagle pod kątem prostym na prawo i wbiegły w gęsty las. Poprzez drzewa doszły do strumienia i tu, nad jego brzegiem, nagle się urywały. Po drugiej stronie strumienia trawa była mocno wdeptana w ziemię. Zsiadłem z konia i zacząłem badać dno. Po chwili ujrzałem ślady kopyt.

— Mam wrażenie, że na tamtym brzegu popasali jacyś jeźdźcy — rzekł Jim do brata.

— *Yes!* — brzmiała odpowiedź.

— Któż to mógł być? Sądzi pan, że będzie można to ustalić mister Shatterhand?

— Mam nadzieję. Ustalenie, kto tu był przed dwiema godzinami, jest dla nas rzeczą bardzo ważną — odparłem.

— Przed dwiema godzinami? Nie gniewaj się sir, ale sądzę, że więcej czasu upłynęło! Niech pan spojrzy na trawę. Jest bardzo zgnieciona. Przypuszczam, że obozowali tu przez całą noc.

— Jestem tego samego zdania.

— Doskonale! W takich razach jednak trawa nieprędko się podnosi. Dlatego sądzę, że miejsce to opuszczone zostało wcześniej, niż przed dwiema godzinami.

— Racja. Mam jednak wrażenie, że pan nie wszystko wziął pod uwagę. Po ludziach, którzy tu obozowali od wczorajszego wieczora, przybyli inni, i ci właśnie ruszyli stąd przed dwiema godzinami.

— Inni? Więc pan przypuszcza, że obozowały tutaj dwie oddzielne grupy?

— Bez wątpienia.

— W takim razie może pan będzie łaskaw pomóc nieco mym słabym oczom?

— Chętnie. Ale teraz muszę przejść na przeciwległy brzeg strumienia wy zostanieie tutaj, gdyż nie chciałbym, byście zatarli ślady.

Przeskoczyłem przez wąski strumień. Zbadawszy opuszczony obóz, poleciłem braciom, aby przybyli do mnie wraz z jeńcem i moim wierzchowcem.

— Czy mogę wraz ze stary Timem zbadać również te ślady? — zapytał Jim. — Jestem bardzo ciekaw czy potrafiemy tak czytać ze śladów, jak pan. Byłaby to rozkosz prawdziwa!

— Nie mam nic przeciwko temu — odparłem. — Sprawa nie nastreczy trudności dwom tak wybitnym jednostkom, jak bracia Snuffle.

Zsiedli z koni i zaczęli przyglądać się śladom. Z prowadzonej półgłosem rozmowy wyniosłem wrażenie, że doszli do zgodnej konkluzji. Po chwili Jim rzekł:

— Stoimy przed zagadką, którą niełatwo rozwiązać. Jeśli Old Shatterhand twierdzi, że obozowały tu dwie różne grupy, nie myli się z pewnością. Cóż to za druga grupa?

— Ruszyła za pierwszą.

— Ale gdzie są jej ślady? Nie widać ich.

— Przecież ciągną się przed waszym nosem. Skąd przybyli ci ludzie, którzy tu obozowali i dokąd ruszyli?

— Przybyli z południa; ruszyli na zachód. Ślady są wyraźne, innych niema.

— To właśnie pomyłka.

— Pomyłka?

— Przyjrzyjcie się kątowni, jaki tworzą. To przecież nieprawdopodobne, aby westmani tak nakładali drogi. Ruszyli stąd na zachód, należy więc przypuszczać, że przybyli od wschodu.

— *Well* Czyż nie dostrzega pan swym bystrym spojrzeniem, że przybywają od południa?

— Przecież to nie ich ślady!

— Ach! A więc to ślady tamtych?

— Tak. Spójrzcie na wschód. Nic nie widzicie? Skierowawszy wzrok we wskazanym przeze mnie kierunku, odparł: — Mam, mam! Na trawie ciągnie się ledwie widoczna smuga. To z pewnością wczorajszy ślad tych, co tu nocowali. Od chwili ich przybycia upłynęło tyle czasu, że trawa zdążyła się wyprostować.

— Tak, teraz jesteśmy na dobrej drodze, mister Jim.

— A więc nie ulega wątpliwości, że ludzie, o których nam chodzi, przybyli od wschodu i ruszyli dziś na zachód. A ślady, idące od południa?

— Wycisnął silny oddział jeźdźców, który przybył z południa i miał zamiar kontynuować podróż na północ. Odkrywszy jednak ten obóz, zboczył na lewo, za pierwszym oddziałem.

— Tak, ma pan zupełną rację, sir. Prawda, stary Timie?

— *Yes!*

— Z kogóż więc składał się pierwszy oddział, a z kogo drugi? — rzuciłem dla wypróbowania jego sprytu i orientacji.

— Pierwszy składał się z białych, drugi z Indian.

— Na jakiej podstawie to twierdzicie?

— Mam ku temu dwie przyczyny. Przede wszystkim, drugi oddział składał się najmniej z sześćdziesięciu jeźdźców. Trudno przypuścić, aby w tych okolicach stowarzyszyło się tylu białych, wypada więc przyjąć, że byli to Indianie. Po drugie zaś, konie nie były podkute, co można zauważyć przy bliższym badaniu śladów. Jedynie Indianie mogą mieć tak wielką ilość niepodkutych koni.

— Racja, ale dlaczego pierwszy oddział ma się składać z białych?

— Ponieważ ślady wskazują wyraźnie na podkowy końskie. Do oddziału tego należał zresztą i nasz jeniec, który przecież jest biały.

— Racja mister Jim. Ale on temu zaprzeczy.

— W takim razie musielibyśmy przyjąć, że należy do czerwonoskórych, którzy żywią wobec tych białych wrogie zamiary. Jeżeli tak jest, trzeba się z nim porozumieć za pomocą noża. Jim Snuffle nie jest greenhornem, ale odczuwa prawdziwą rozkosz, gdy go wypytuje Old Shatterhand.

Byłem przekonany, że nasz jeniec należy do białych i że z jakiegoś określonego powodu, w jakimś zbrodniczym celu, rozstał się z nimi. Było mi jednak na r miekę, że Jim posądził go o porozumienie z Indianami.

Słowa, wypowiedziane przez Jima, poskutkowały od razu. Nieznajomy odparł:

— Mylisz się, mister Jim. Chciałem ujść przed czerwonoskórymi.

— Może kto inny w to uwierzy, nas nie okłamiesz.

— Ależ nie okłamuję! Po prostu, rozmyśliłem się i doszedłem do przekonania, że lepiej będzie wyznać całą prawdę.

— Postąpiłbyś pan rozsądnie — rzekłem. — I tak wkrótce dogonimy czerwonoskórych i pomówimy z białymi, wśród których jest również ten, któregoś okradł. Skonfrontuję pana z nim.

— Bynajmniej nie miałem na celu kradzieży.

— Oho! Czy ten koń nie jest jego własnością?

— Owszem, należy do niego.

— A rzeczy w kulbace?

— Również.

— Zechce pan twierdzić, żeś to wszystko otrzymał w darze?

— Nie. Możliwe są też inne ewentualności.

— Ciekaw jestem, jakie. Pożyczył pań konia?

— Tak jest. Pożyczyłem.

— Wykręt!

— Nie, to prawda. Będę zupełnie szczerzy. Wiem, że chcecie ścigać czerwonych. Słuchajcie więc!

— Tylko bez blagi. Nazwisko?

— Nazywam się Perkins. Pewien biały wynajął mnie wraz z dwoma westmanami, byśmy go przeprowadzili przez góry. On właśnie jest właścicielem konia.

— Któż to taki? Czym się trudni?

— Tego dokładnie nie wiem. Jest małomówny. Kazał się nazywać mister Dżafar.

— Dżafar? Ach! Mówi po angielsku?

— Od biedy można go zrozumieć.

— Podróżuje sam?

— Nie, z dwoma lokajami, których zaangażował w Londynie. — Nie wie pan, skąd pochodzi?

— Nie. Mówiłem już, że jest małomówny. Trudno więc było pytać o cokolwiek.

— Z pewnością bogaty?

— Tak przypuszczam. Ma dwa juczne konie; płacił dobrze. Zdaje się, że nie jest chrześcijaninem.

— Z czego to pan wnosi?

— Z tego, że pięć, sześć razy dziennie modlił się w dziwny sposób . w niezrozumiałym języku.

— Czy posługuje się podczas modlitwy dywanem?

— Ma koc, na którym staje, kłeka i kłania się krzyżuje przy tym ręce na piersiach, lub składa je razem. — Jak jest ubrany?

— Tak samo, jak my. Tylko nosi czapkę ze skóry jagnięcia. Włosy ma ciemne i bardzo gęstą, długą brodę.

— Ile mniej więcej ma lat?

— Około trzydziestu.

— Pochodzi ze Wschodu, jest prawdopodobnie Persem. Nic więc dziwnego, że trudno wytłumaczyć sobie, w jaki sposób taki człowiek mógł się dostać do Ameryki i to na Dziki Zachód! Dokąd podąża?

— Do San Francisco. Mamy go odprowadzić do Santa Fe. Tam zamierza wziąć innych przewodników. Wierzy mi pan teraz, mister Shatterhand?

— Mam wrażenie, że obecne pana informacje nie mijają się z prawdą. Powiedz pan szczerze, dlaczegoś od niego zbiegł?

Trudno mu było wyznać prawdę. Widząc jednak, że kłamstwem daleko nie zajedzie, odparł:

— Może mi pan wierzyć, że nie była to ucieczka planowa. Zdecydowałem się na nią pod wpływem nagłego ukazania się czerwonoskórych. Podeszli tak blisko, że straciłem głowę. Myśl o ukryciu się w bezpiecznym miejscu opanowała mnie niepodzielnie.

— Przecież opuściliście już obóz!

— Tak, ale miałem wrócić. Zupełnie słusznie pan przypuszczał, żeśmy na to miejsce przybyli wczoraj od wschodu. Przenocowawszy tu, ruszyliśmy rano w dalszą drogę. Po jakiejś godzinie Dżafar zauważył brak sztyletu, zwanego handżarem, któryście mi zabrali. Nie ulegało kwestii, że zostawił go tutaj. Chciał sam wrócić po ulubioną broń. Nie zna jednak Zachodu i mógłby zabłądzić, zaproponowaliśmy więc, że jeden z nas pojedzie po handżar. Zgodził się i wysłał mnie.

— Na swoim koniu?

— Tak, ponieważ wierzchowiec jego był najbardziej rączy. Pożyczył mi go, bym jak najprędzej powrócił.

— Gdybyśmy się nie spotkali, czekałby na ten powrót wieki całe. Dalej! Przybył pan tutaj? Znalazł pan sztylet?

— Tak. Leżał pod krzakiem, otoczony gęstymi gałęziami. Zsiadłem z konia, schyliłem się by go podnieść. Gdym się wyprostowałem, ujrzałem ku memu przerażeniu oddział sześćdziesięciu do siedemdziesięciu Komanczów, ciągnący od południa. Na twarzach mieli barwy wojenne, więc pojąłem, że skoro mnie odkryją, nie uniknę śmierci. Krzaki stanowiły moją jedyną osłonę. Nie mogłem ich opuścić. Po jakimś czasie przeciągnąłem konia z przeciwnego brzegu, zdając sobie sprawę, że Komańcze niełatwo odszukają ślady na dnie rzeki.

— A potem, zamiast ruszyć na zachód i ostrzec towarzyszy, puścił się pan na północ?

— Tak. Przyznaję się do tego błędu. Ale usprawiedliwić mnie może paniczny strach przed czerwonymi.

— Nie uważam tego za dostateczny powód. Westman, którego przeraża widok pary Indian, przestaje być westmanem.

— Paru? Powiedziałem przecież, że było ich sześćdziesięciu do siedemdziesięciu!

— To znaczy paru! Był pan przewodnikiem nieznanego, odpowiedzialnym za jego życie, więc obowiązkiem pana było ostrzec go niezwłocznie.

— Nie mogłem. Dostrzegliby mnie Komancze.

— Nonsens! Las był przecież dostateczną osłoną. Mogłeś po pewnym czasie zawrócić ku śladom swoim i swych towarzyszy.

— Tak, racja, — potwierdził Jim Snuffle. — Może w międzyczasie napadnięto na tych biedaków i sprzątnięto ich z powierzchni ziemi. Nie sądzisz, stary Timie?

— *Yes* — skinął brat.

Perkins patrzył przed siebie z zakłopotaną miną. Czując, że mamy rację, próbował się usprawiedliwić:

— Tak źle nie jest. Mam nadzieję, że moi towarzysze na czas zobaczyli czerwonych i ukryli się przed nimi.

— Zupełnie bezpodstawne przypuszczenie — odrzekłem. — Nawet w tym wypadku Komancze na widok ich śladów bez trudności odnaleźliby miejsce, w który się ukryli. Zwłaszcza, że wszystko działo się podczas białego dnia. Postąpił pan niegodnie. Czyż nie wiesz, że przewodnik życie stawia na kartę w obronie tych, którzy powierzyli się jego pieczy? Chciałeś się usprawiedliwić, a osiągnąłeś skutek wręcz przeciwny. Koniokrad jest złodziejem, ale zasługuje na pewnego rodzaju podziw dla swej odwagi. Natomiast przewodnik, tak tchórzliwy jak pan, godzien jest pogardy. Ruszemy w ślad za czerwonymi. Będziecie mi towarzyszyć, mister Jim?

— Pan jeszcze pyta? Bracia Snuffle są zawsze gotowi do wyratowania bliźnich z opresji. Nie sądzisz, stary Timie?

— *Yes* — skinął drugi. — Musimy się podkraść do nich jak najprędzej, inaczej zginą.

— Oczywiście. Pięciu białych, z których trzech nie jest westmanami, przeciw siedemdziesięciu czerwonoskórom, którzy ruszyli na zbrojną wyprawę! Proszę mi jednak powiedzieć, mister Shatterhand, czy zdaniem pana Perkins, tym razem mówił prawdę?

— Sądzę, że tak. Nie przypuszczam, aby zbijał jedno kłamstwo drugim, przypłaciłby to życiem. Według jego słów, grupa białych składała się z pewnego nieznanego, z jego służących i dwóch westmanów. Ciekaw jestem bardzo, co to za westmani?

— Dzielni, bardzo dzielni ludzie, — zapewnił Perkins.

— Jeśli tacy dzielni, jak pan, niech Bóg ulituje się nad nieznanym. A więc naprzód! Straciliśmy dziś wiele czasu!

Dosiedliśmy koni i ruszyli na zachód, wzdłuż śladów ciągnących się w kierunku górnego biegu rzeki. Miałem wrażenie, że ostatnie zeznania Perkinsa były prawdziwe. Upewnić się o tym było trudno, gdyż ślady białych zostały na miejscu popasu zatarte przez Indian. Spodziewałem się, że pod drodze natrafimy na bardziej wyraźne odciski. Nadzieja ziściła się, gdyśmy dotarli do miejsca, w którym czerwoni się zatrzymali. Jim Snuffle osadził wierzchowca i rzekł:

— Tutaj się naradzali. Ale nad czym?

— Wiem ulit rzekłem. — Zastanawiali się nad liczbą białych, których ścigają.

— Tak? Czemu pan tak przypuszcza?

— Do tego miejsca jechali tropem białych. Tu opuścili go, dwaj spośród nich zsiadli z koni, aby zbadać ślady. Widocznie po drodze powstała różnica zdań, chcieli więc przekonać się, kto ma rację. Ponieważ starali się nie zatrzeć śladów bladych twarzy, my również będziemy mogli przyjrzeć się im dokładnie, i przekonać się, czy Perkins powiedział prawdę.

— Ależ proszę, sir! — rzekł pojmany. — Przekonacie się, że nie kłamałem.

Zacząłem badać ślady. Zadanie było trudne, gdyż przestrzeń nie stratowana przez czerwonych była niewielka, a zależało mi na odkryciu śladów, zwróconych w przeciwnym kierunku podków. Po długim jednak mierzeniu i porównywaniu osiągnąłem pożądaną rezultat. Odnalazłem owe ślady. Był to dowód jego prawdomówności, co prawda bardzo niewyraźny; odkryłem go tylko dlatego, że miałem go na względzie podczas poszukiwania. Indianie badali ślady w pomyślniej— szych okolicznościach, więc liczyłem się z tym, że dostrzegli również odciski odwróconych podków. W taki razie powinni byli pchnąć wywiadowców w trop za jeźdźcem. Ponieważ nie spotkaliśmy ich ani nie natrafiliśmy na ich ślady, nie troszczyłem się tymczasem oto.

ERSKI MIRZA

Ruszyliśmy w drogę. Po jakimś czasie wyczytaliśmy ze śladów, że dwaj Indianie odłączyli się od oddziału. Jeden ruszył na prawo, a drugi na lewo.

— Czyżby ruszyli na zwiady? — zapytał Jim Snuffle.

— Oczywiście. Dowódca oddziału zorientował się po śladach, że jest niedaleko białych, więc pchnął dwóch wywiadowców. Wkrótce dotrzemy do miejsca, w którym przyłączyli się do swoich towarzyszy.

Po jakimś kwadransie ślady obu wywiadowców zbiegły się z głównym tropem. Spodziewałem się, że wkrótce dotrzemy do miejsca, w którym dokonano napadu. Ponieważ Indianie mogli się tam jeszcze znajdować, zachowaliśmy jak największą ostrożność, by się przypadkiem na nich nie natknąć. Jechałem przodem, w każdej chwili gotów do ataku.

Na szczęście, jakkolwiek teren wydawał mi się niebezpieczny, obawa okazała się płonna. Dookoła rosły gęste krzaki, za każdym mógł się ukryć nieprzyjaciel. Nagle zarośla się urwały i w odległości jakichś pięciuset kroków ujrzałem obóz Indian.

Konie, puszczane wolno, harcowały po polu. Stało również kilkanaście koni jucznych, obładowanych żywnością. Nie było w tym nic dziwnego. Czerwoni przecież wykopali topór wojenny i nie mieli czasu na urządzenie polowań. Ponadto strzelanina zdradziłaby położenie ich obozu.

Wojownicy utworzyli wielkie koło. Wewnątrz niego toczyła się widocznie jakaś ważna narada. Stali tak blisko siebie, że nie mogłem poprzez ich ciżbę przebić się spojrzeniem. Cofnąłem się nieco, zsiadłem z konia, przywiązałem go do drzewa i to samo zaleciłem obydwu braciom.

— Trzeba zsiadać? Nie można jechać dalej?

— Nie. Jesteśmy w pobliżu indiańskiego obozu.

— Do licha! Nareszcie ich dogoniliśmy! Schwytali białych? — Tak.

— Przyjrzyjmy się im.

Ruszyliśmy naprzód, bacząc, by nas nie zauważono. W pewnym punkcie zatrzymaliśmy się.

— Tak, to Komancze — rzekł Jim. — Nie sądzisz, stary Timie?

— *Yes* — odparł tamten lakonicznie.

— Utworzyli zwarte koło. Białych nie widać. Prawdopodobnie znajdują się wewnątrz koła. Jak sobie czerwoni będą z nimi poczynać?

— To się wkrótce okaże. Wielką rolę gra tu kwestia, czy przy napadzie krew się połała. Jeżeli choć jeden z czerwonoskórych został ranny, lub zabity, białych czeka rychła śmierć.

— Tak, ma pan rację. Zabiją ich na miejscu. — Nie sądzę.

— Sądzi pan, że ich zabiorą ze sobą?

— Tak. Ale niezbyt daleko. Indianie lubią nadawać wyrokom i egzekucjom uroczysty charakter. Obecny ich obóz nie jest odpowiednim terenem dla kaźni. Nie ma wody, poza tym jest to miejsce pozbawione ochrony naturalnej, zbyt otwarte i widoczne. Sądzę więc, że poszukają wkrótce innego obozowiska.

— Gdyby dało się ustalić, jakie miejsce wybiorą, można by się tam podkraść już teraz — rzekł Jim.

— W każdym razie zwrócą się ku rzece. Ale wyprzedzić ich byłoby niezmiernie ryzykownym eksperymentem. — Dlaczego?

— Trzeba znać nie tylko okolice, ale i miejsce, w którym popasają. Zresztą, w dzień zauważyliby

nasze ślady.

— *Well*. Nie wyprzedzajmy ich więc, lecz idźmy za nimi. Ale czy uda się oswobodzić jeńców?

— Na razie trudno określić.

— Bądź co bądź, wykonanie naszego planu jest diabło niebezpieczne. Jest nas trzech przeciw siedemdziesięciu!

— W takich wypadkach nie można operować liczbami. Miałoby to sens, gdybyśmy planowali otwarty atak. Ponieważ jednak możemy dopiąć celu tylko podstępem, liczby nie grają istotnej roli. Decydować będzie przewaga moralna.

— Sądzi pan, że Tim i Jim Snuffle dają tę przewagę?

— Mam nadzieję. Tylko tą drogą uda się nam przechytrzyć czerwonych.

— Przechytrzyć? Hm, jeżeli o to chodzi, to sądzę, że nie będziemy głupcami. Nie przypuszczasz, stary Timie?

— *Yes*.

— Czy wolno o coś poprosić? — zapytał jeniec. — O cóż chodzi?

— Moja to wina, że towarzysze znaleźli się w tym położeniu. Obowiązkiem więc moim jest postarać się o uwolnienie ich. Odwiążcie mnie, dajcie mi wolność, a uczynię wszystko, czego tylko zażądacie.

— Gdybyśmy panu mogli ufać... — odparł Jim.

— Możecie, zapewniam was...

— Milcz! — przerwałem. — Kto tak nikczemie i tchórzliwie opuszcza w niebezpieczeństwie swych towarzyszy, temu nie wolno ufać.

— Opuściłem ich przecież ze strachu, sir!

— Gdyby nawet tak było, należy się spodziewać, że się znów przestraszysz.

— Nigdy. Wiem, kogo mam przeciw sobie; niebezpieczeństwo nie może mnie już zaskoczyć.

— A pana tchórzostwo? Stawiamy na kartę własne życie! Błagał i zaklinał. Kazałem mu zamilknąć i znowu skierowałem uwagę na Indian, którzy skończyli swą naradę. Zwarte dotychczas koło otworzyło się. W środku leżało kilku ludzi. Nie mogli się podnieść, byli widocznie związani. Podniesiono ich i przytroczono do wierzchowców. Czerwoni ruszyli gęsiego na północ. Przypuszczenie moje okazało się słuszne. Na czele jechał stary wódz z głową ozdobioną piórami. Dzielila nas zbyt wielka odległość, abym mógł rozpoznać rysy jego twarzy. Siwe włosy świadczyły o podeszłym wieku.

Po jakimś czasie Indianie zniknęli w lesie. Przeczekawszy sporą chwilę, udaliśmy się na miejsce odbytej narady.

Ziemia była wprost poryta kopytami. A więc tu napadli na białych! Ślady krwi wskazywały, że walka była zacięta. Okoliczność ta, pogarszająca położenie jeńców, była nam bardzo nie na rękę. Należało bowiem działać szybko i zdecydowanie.

Przede wszystkim trzeba było rozpocząć pościg za Indianami. Zatoczyliśmy dookoła lasu wielki łuk. Zbliżywszy się do zagajnika, odnaleźliśmy miejsce, w którym wkroczyli do lasu. Wzgląd na niebezpieczeństwo nie przeszkadzał nam trzymać się ślepo ich śladów. Zsiadłem jednak z konia i wyprzedzając towarzyszy o jakieś pięćdziesiąt kroków, ruszyłem po wydeptanym tropie. Szedłem zwolna, cichaczem, natężywszy wzrok i słuch.

Mijały godziny. Po południu wstąpiła we mnie pewna otucha. Skoro czerwonoskórzy rozbijają obóz o tak późnej porze, nie znajdą czasu na uroczyste przygotowania do egzekucji. Będą więc zmuszeni odłożyć ją do jutra. Może w ciągu wieczora lub nocy nadarzy się okazja do przeszkodzenia morderstwu. Największą wagę przykładałem do okoliczności, że Komancze nie przeczuwają naszej

interwencji. Znajdowali się na własnych terenach i byli przekonani, że nikt nie ośmieli się w ich głąb zapuścić. Mogłem więc liczyć na to, że nie zastosują środków ostrożności.

Już dawno dotarlibyśmy do rzeki, gdyby nie zataczała szerokiego łuku. Dopiero przed wieczorem ukazały się pierwsze oznaki, że woda już niedaleko. Posuwaliśmy się jeszcze wolniej, niż dotychczas. Okazało się, że było to celowe, gdyż po niedługim czasie usłyszałem wołanie, na które ktoś odpowiedział.

Komancze byli w pobliżu. Podpełzłem do towarzyszy wyprawy i poleciłem im, aby się zatrzymali i poszukali kryjówek.

Wkrótce znaleźli odpowiednie miejsce. Uwiązaliśmy konie. Jeniec był nam ogromną zawadą i ciężarem; ofiarował wprawdzie swą pomoc, może nawet w szczerych zamiarach, trudno jednak było mu zaufać. Przywiązawszy go do drzewa, Jim zapytał:

— Cóż teraz pocniemy, sir? W lesie jeszcze dośćwidno, aby śledzić nieprzyjaciela, nie narażając własnej skóry. Czy pan jest pewien, że czerwoni rzeczywiście są w pobliżu?

— Tak. Dwaj spośród nich porozumiewali się okrzykami. Jest to dla mnie niezawodnym i bardzo pożądanym dowodem, że nawet nie przeczuwają naszej obecności. To bardzo ułatwi wykonanie planu.

— *Well*, zabierzemy się więc do roboty! Podpełzniemy do nich?

— Oczywiście. Najważniejszą sprawą jest w tej chwili ustalenie miejsca ich postoju.

— Doskonale. Kiedy ruszymy?

— Ruszymy? Kogo pan ma na myśli?

— Oczywiście, pana i siebie. Stary Tim musi pozostać przy jeńcu.

— Hm. Wolałbym pójść sam.

— Sam? Beze mnie? Nie ma pan do mnie zaufania?

— E, głupstwa pan plecie. Nie lubię jednak innych obarczać tym, co sam mogę zrobić. Stało się to moją drugą naturą.

— Obarczać? Co też pan mówi! Proszę wierzyć, że się przydam! Spaść jak sęp na czerwonoskórego, który nic nie przeczuwa, to rozkosz prawdziwa! Wpadłbym w rozpacz, gdyby mnie pan nie chciał zabrać. Pójdę z panem; brat zostanie tutaj.

— *No* — rzekł niespodziewanie Tim.

— Nie? Co ci wpadło do głowy? Przecież ktoś musi pilnować jeńca.

— *Yes*.

— A więc ty.

— *No*.

— A któż taki?

— Ty.

— Ja? Oszalałeś? Jim Snuffle będzie tu siedzieć, gdy inni splatają figla czerwonym łotrom.

— I Tim Snuffle nie chce zostać na uboczu!

— Musisz! Mam do tego prawo, ponieważ jestem starszy.

— Tylko o pięć minut, a to niewiele stanowi. Nie pozwolę się steroryzować, podkradnę się razem z tobą do Indian. Raz chcę być starszy!

Jim zamilkł na chwilę. Zdumienie z powodu nagłego oporu brata odebrało mu mowę. Po chwili rzekł tym dobitniej:

— Mam wrażenie, że się buntujesz przeciw pierworodnemu bratu! Taki młokos śmie wyrażać swoje zdanie! Odejdę, a ty zostaniesz!

— *No*.

— *Yes*, mówię! Nie słucham wcale twego *no*.

Rozmowa bliźniaków stawała się coraz głośniejsza. Upomniawszy ich, zaproponowałem jako jedyne wyjście z sytuacji, że pójdę sam. Ale Jim nie chciał się zgodzić. Gnała go chęć przekonania mnie o swej zręczności. W końcu ustąpiłem. Tim milczał. Milczenie to wydało mi się podejrzane, więc zapytałem:

— Chyba nie żywi pan jakichś ukrytych zamiarów, mister Snuffle?

— *No* — odparł ponuro.

— Pan się zgadza, aby brat poszedł ze mną?

— *Yes*.

— Teraz jestem spokojny. Byłyby to igraszki z ogniem, gdyby jeden z nas przedsięwziął coś bez wiedzy dwóch pozostałych. W ten sposób nie tylko runąłby nasz cały plan, ale narazilibyśmy na szwank wolność i życie.

— Niech sobie pan takimi myślami nie zaprzęta głowy! — uspokoił mnie Jim — Są najzupełniej bezpodstawne. To młokos! O całe pięć minut młodszy ode mnie! Będzie tu spokojnie czekał, aż powrócimy. *No*, nie traćmy czasu, bo zmrok zapada.

— Dobrze! Proszę pana Tim, pilnuj jeńca i nie opuszczaj tego miejsca aż do chwili naszego powrotu. Powierzam panu obydwie moje strzelby. Na zwiadach byłyby mi tylko zawadą.

Nie mówiąc słowa, Tim wziął niedźwiedziówkę i sztucer. Oddaliłem się wraz z Jimem.

Podczas ostrej wymiany zdań między braćmi, zaczęło się powoli ściemniać. Nie trzeba więc już było czołgać się po ziemi i pełzać na brzuchu. Przebiegaliśmy od drzewa do drzewa w tym kierunku, skąd dochodziły głosy. Dotarliśmy bez żadnej przeszkody do urwistego brzegu rzeki, nie zauważywszy śladu Indian. Powiedziałem: "dotarliśmy do urwistego brzegu", gdyż dopiero po chwili ujrzeliśmy na dole niemal do dna wyschnięte łóżysko rzeki.

Zapadł mrok. Mimo to dostrzegłem, że w miejscu, na którym stoimy, brzeg tworzy stromy, urwisty cypel, który pod ciężarem człowieka w każdej chwili spaść może na dno rzeki. Szliśmy więc ostrożnie dalej w pobliżu krawędzi, aż dotarliśmy do miejsca, pokrytego krzewami.

— Musiał się pan pomylić, sir — szepnął do mnie Jim. Czerwonych tu nie ma.

— Przeciwnie. Słyszałem wyraźne głosy. — Teraz nic nie widać i nic nie słyhać. — Racja, ale czuję Indian.

— Czuje ich pan? Do licha! Dziwne powonienie! Nos taki jest prawdziwą rozkoszą.

— Mam nos wprawdzie najpospolitszy w świecie, lecz bardzo czuły na koński zapach. Czuję zapach koni Komanczów.

— Gdzie?

— Stoją na dole, nad wodą.

— Nos pana działa na taką odległość?

— *Pshaw!* Nie wyobraża pan sobie nawet, że zapach koński... Ale, ale, widzi pan, miałem rację! Proszę spojrzeć w dół.

Na dole, nad rzeką, zamigotał płomyk i szybko się rozszerzał. To Indianie rozpalali ognisko. Było rzeczą zupełnie zrozumiałą, dlaczego nie zostali na wysokim brzegu.

Przecież na dole mieli wodę dla koni. Płonęło już pięć świateł.

— Świetnie — rzekł Jim. — Gdy się do nich podkradniemy, zobaczymy wszystko jak na dłoni.

— Jeżeli nie będziemy ostrożni, mogą nas również spostrzec. Zadowolony jestem z tych ogni jedynie dlatego, że świadczą, iż Komancze czują się bezpiecznie i nie przypuszczają, że ich ktoś obserwuje.

— Zejdziemy na dół, mister Shatterhand?

— Zejdziemy lewą stroną, podkradniemy się pod obóz, a prawą stroną wrócimy znów na górę.

— Dobrze, sir. A więc na dół!

Schodzenie po nieznanym, stromym brzegu nie było rzeczą łatwą. Nie mogliśmy się chwycić za gałęzie krzaków w obawie, aby nas nie zdradził ich szelest. Każdy spadający z góry kamień mógł wniwecz obrócić nasze plany. Schodziliśmy więc bardzo wolno. Po upływie pół godziny znaleźliśmy się na dole. Jim Snuffle spisywał się dobrze. Zsunął się cicho jak duch. Mimo że trzymał się ciągle w pobliżu mnie, ledwo-ledwo słyszałem odgłos jego kroków. Znalazłszy się ponad obozem Indian, zwróciliśmy się ku brzegowi rzeki. Rzeka prawie do dna wyschła. Odstęp między łożyskiem a rosnącymi na brzegu krzakami nie był osłonięty przed okiem czerwonoskórych, więc należało tej strefy unikać.

Padliśmy na ziemię i zaczęliśmy wśród krzaków pełzać ku obozowi. Po pewnym czasie dotarliśmy na taką od niego odległość, że można było co nieco dojrzeć. Komancze wybrali miejsce bardzo odpowiednie, położone niżej od pozostałej części terenu, wskutek czego woda docierała aż do samej ściany doliny. Był to rodzaj placu bez drzew i krzaków, na którym swobodnie mógł się ulokować znaczniejszy oddział ludzi. Nie trzeba podkreślać, że byliśmy tym zachwyceni.

Indianie zajęci posiłkiem, rozmawiali z zupełną swobodą, dowodzącą że nie spodziewali się żadnego niebezpieczeństwa. Przy pięciu ogniskach siedziało pięć grup, mniej więcej równych ilościowo. Można więc było bez trudu ustalić ogólną liczbę. Obozowało tu siedemdziesięciu jeden wojowników. Z całej gromady wyróżniał się wódz siwą, jak gołąb, głową. Siedział przy drugim ognisku w odległości jakichś trzydziestu kroków od nas. Zwrócony był ku nam twarzą. Ku najwyższemu zdumieniu poznałem w nim To-kej-chuna, jednego z tych wodzów, którzy byli postrachem wrogów. Wiedziałem, że jeśli dostanę się w jego ręce, nawet nie na ścieżce wojny, czeka mnie śmierć. Przypomniałem sobie dzień, w którym wraz z Winnetou i kilkoma innymi wojownikami zostałem jego jeńcem. Obecnie jednak trzeba było myśleć o pięciu jeńcach, a nie o To-kej-chunie. Leżeli obok siebie przy ognisku, przy którym siedział wódz. Byli tak związani, że nie mogli się ruszyć. Jeden z nich, leżący najbliżej mnie, miał gęstą, długą czarną brodę. Nie ulegało więc wątpliwości, że to ten, który kazał nazywać się Dżafarem.

Między ogniskiem a mną ciągnęło się pasmo krzaków. Czerwoni nie wystawiali wart; siedzieli spokojnie przy swych ogniskach — nie obawialiśmy się, że nas zauważą. Wódz porozumiewał się ze swym najbliższym otoczeniem; byłem bardzo ciekaw, o czy mówią. Przestrzegając zaleceń ostrożności, posunęliśmy się nieco naprzód. Wreszcie dotarliśmy do ostatniego krzaka i skryliśmy się w cieniu jego gałęzi. Cel czołgania się został osiągnięty: można było już rozróżnić poszczególne słowa. Rozmowa toczyła się na temat wyprawy. Wymieniono kilka osad, na które miały być urządzone napady, przy czym postanowiono wymordować wszystkich białych. Przed tą rabunkową wyprawą postanowiono jednak udać się na Makik Natum, Żółtą Górę, i wykonać tam wojenne tańce celem zasięgnięcia zdania wyroczeni, czy wyprawa się uda. Uroczystość chcieli Indianie uświetnić przywiązaniem do pała męczarni pięciu białych twarzy.

Poznawszy ich zamiary, mogłem się wycofać z niebezpiecznego posterunku. Jeżeli się nie uda uwolnić dziś naszych jeńców, będziemy musieli ruszyć za Indianami na Makik Natum, aby na górze, albo po drodze, znaleźć okazję do ich oswobodzenia.

Już chcieliśmy opuścić krzak, którego gałęzie dały nam schronienie, gdy nagle usłyszałem jakiś szelest.

— Pst! — szepnąłem do Jima. — Nic pan nie słyszał?

— Nie — odparł. — A pan?

— Z góry osunęło się trochę piasku. Czyżby to był...

— Kto? Co?

— Pana brat! Byłby to szczyt bezmyślności!

— Brat? Niechby się tylko zjawił! Już ja bym mu...

Nie kończąc zdania, omal nie skoczył z przerażenia. Na szczęście schwyciłem go i przytrzymałem. — "Niechby się tylko zjawił" — powiedział. — I oto zjawia się Tim we własnej osobie! Naprzód rozległ się odgłos ziemi, osypującej się na gałęzie, po czym głośny okrzyk Thunderstorm! i Tim zwałił się z góry prosto na Indian, którzy z początku rozbiegli się z hałasem po chwili jednak otoczyli go kołem, wydając głośne okrzyki Tim Snuffle zrealizował istotnie swój plan. Na nieszczęście, dotarł do miejsca na urwistym cyplu, o którym przedtem wspominałem. Niebaczny, posunął się za daleko, ziemia obsunęła się i zjechał na dół jak na sankach. Obsiadła go cała gromada. Tim ryczał jak lew, przekrzykując ich wycie. Był to dowód, że spadając, nie wyrządził sobie żadnej krzywdy. Ale nie koniec na tym. Zapominając, że należy zachować najgłębsze milczenie, Jim zaczął się również drzeć w niebogłosy.

— Timie, bracie mój, Timie! — ryczał, wrywając się z moich objęć.

— Milczeć, milczeć! — szepnąłem w pasji. — Zgubisz siebie i mnie!... — Zamordują go, zamordują!

Ponieważ leżałem na ziemi, a Jim podniósł się, nie mogłem, wyteńczyć wszystkich sił. Tymczasem Jim pod wpływem strachu o brata szamotał się jak obłąkany. Wreszcie wyrwał się i skoczył prosto między Indian. Po chwili znikł mi z oczu. Oczywiście, powalili go na ziemię jak Tima.

Co miałem począć? Biec za nim? Leżałem dalej, jakkolwiek należało się spodziewać, że Indianie zaczną przetrząsać okolicę. Nieszczęśliwi bracia Snuffle! Zamiast uwolnić pięciu jeńców, powiększyli ich liczbę. A dalsze skutki?

Niedługo na nie czekałem. Po chwili rozległ się rozkazujący głos wodza:

— Zadeptać ogniska, żywo! Może jeszcze jakieś blade twarze są w pobliżu.

Rozkaz wykonano niezwłocznie. W tumultie, który trwał przez chwilę, zaświtała mi w głowie pewna myśl. Zrealizowałem ją z tą samą szybkością, z jaką się narodziła. Ogniska pogasły. Leżałem na ziemi, więc przy blasku dogasających plam mogłem jeszcze dojrzeć, że czerwoni krzątają się dokoła braci Snuffle, nie zwracając uwagi na pierwszą partię jeńców. Udało mi się szczęśliwie dotrzeć do obozu i zbliżyć do jeńców. Nie namyślając się długo, wziąłem za kark tego, który mi się zdawał być Dżafarem, i pociągnąłem go w tył, tam, gdzie przed chwilą leżałem.

Indianie byli tak pochłonięci nowymi jeńcami, że nie zauważyli mego manewru. Był to cud prawdziwy! Znowu dzieliły nas krzaki, mogłem więc wstać i wyprostować się. Należało przede wszystkim pomyśleć o ucieczce, nie mogłem tu zostać ani chwili dłużej! Wsadziwszy na plecy związanego jeńca, który milczał jak zaklęty, zacząłem biec. Zatrzymałem się dopiero wtedy, gdy się poczułem bezpieczny, Ułożywszy nieznajomego na ziemi, wyciągnąłem nóż, przeciąłem rzemienie, którymi był związany i rzekłem:

— Jesteś pan wolny. Wstań i spróbuj chodzić.

— Wolny? — spytał łamaną angielszczyzną. — Więc pan nie jesteś Indianinem?

— Nie. Miałem zamiar oswobodzić pana, ale nie spodziewałem się, że nastąpi to właśnie w ten sposób i w tak opłakanych warunkach.

Dopiero teraz nieznajomy podniósł się powoli, ujął mnie za ręce i rzekł:

— Allah, Allah! Jestem wolny, wolny, wyzwolony ze szponów tych diabłów! Powiedz mi, sir, kim jesteś! Muszę wiedzieć, komu zawdzięczam wyzwolenie.

— O tym później. Teraz musimy uciekać. Słyszysz krzyki czerwonoskórych? Zauważyli żeś zniknął, sir, za chwilę rozpoczną poszukiwania i pościg. Nie możemy tracić ani jednej chwili. A

spróbuj, czy będziesz mógł iść o własnych siłach.

Uszedłszy kilka kroków, zachwiał się i oświadczył:

— Nie mogę, sir. Byłem za mocno związany; nie czuję nóg. Za chwilę upadnę.

— W takim razie będę pana niósł.

— Jakże, sir, uniesiesz taki ciężar?

— *Pshaw*. To drobnostka. Muszę mieć tylko wolne ręce, gdyż trzeba będzie wdrapać się na ten stromy szczyt. Wezmę pana na plecy; trzymaj się mocno. Załóż mi ręce na szyję. No, jazda!

Włożyłem pocięte rzemienie do kieszeni aby nie zostawiać Indianom śladów ucieczki.

Nieznajomy ociągał się z przyjęciem mej propozycji. Ponieważ każda zmarnowana chwila mogła spowodować katastrofę, wziąłem go na plecy i zacząłem jak najszybciej wdrapywać się na szczyt. Dotarłszy na górę zdjąłem go z pleców, oświadczył bowiem, że krew cyrkuluje już normalnie i jest przekonany, że będzie mógł iść o własnych siłach.

Zatrzymałem się tu na chwilę, by posłuchać, co się dzieje w dolinie. Na dole panowała zupełna cisza; czerwoni musieli się liczyć przecież z możliwością, że w pobliżu znajduje się większa ilość białych. Musieli ich szukać po ciemku, więc o odnalezieniu mych śladów nie mogło być chwilowo mowy. Jutro ślady będą zupełnie niewidoczne. Zniknięcie jeńca będzie więc dla nich zagadką nie do rozwiązania, chyba że się bracia Snuffle wygadają.

Nie trzeba chyba podkreślać, że postanowiłem nie oszczędzać wysiłku, byle oswobodzić ich wraz z resztą jeńców. Plan miałem już przemyślany, ale z jego realizacji w dniu dzisiejszym musiałem zrezygnować.

Okazało się, że nieznajomy może bardzo wolno posuwać się naprzód. Na szczęście, nie ścigano nas wcale. Gdy znów zaczął prosić abym wymienił swe nazwisko, odrzekłem:

— Tu, na Zachodzie, zwą mnie Old Shatterhandem i nazywaj mnie tak samo, sir. A pana nazwisko? Mister Dżafar?

— Tak, skądże pan o tym wie?

— Dowiedziałem się od pana przewodnika, Perkinsa.

— Pan go widział? Nic mu się złego nie stało? Sądziłem, że zginął.

— Powiedz mi, sir, jakiego jesteś o nim zdania? Co to za człowiek? — Dotychczas nie miałem powodu skarżyć się na niego.

— W takim razie nie jest tak zły, jak przypuszczałem. No, musimy iść dalej. Po drodze opowiem, w jaki sposób go poznałem.

Weszliśmy w las. Ująłem go pod rękę. Przesuwając się ostrożnie pośród drzew, opowiedziałem mu przebieg wypadków. Gdy skończył, rzekł:

— Nie, sir, nie trzeba chyba powtarzać, że człowiek ten nie jest bohaterem. Zdradził nas pod wpływem nieludzkiego strachu. Poniósł dostateczną karę. To tchórz, nie łotr.

— A więc uważasz, sir, że mogę go uwolnić z więzów?

— Tak. Możesz mu zaufać. Oczywiście, spotka cię zawód, sir, jeżeli będziesz od niego żądał czynów bohaterskich. Jakże mi żal reszty towarzyszy! Nie ma dla nich ratunku.

— Później o tym pomówimy. Wkrótce dotrzemy do celu.

— Sir! W ciemnym lesie orientujesz się wśród nocy jak w biały dzień!

— To wyłącznie rzecz wprawy.

Nie mieliśmy powodu mówić cicho, więc Perkins usłyszał ostatnie słowa. Poznawszy nas po głosach zawołał z daleka:

— Czy to pan mister Shatterhand? Chwała Bogu, a więc wszystko się udało! Słyszę, że pan rozmawia z mister Dżafarem. Jakże się cieszę, że odzyskał wolność. Mam nadzieję, że i mnie

oswobodzicie!

— Zgoda. Spełnię pana prośbę ze względu na wstawiennictwo mister Dżafara. Mam nadzieję, że się pan będzie lepiej spisywał, niż dotychczas.

— Z pewnością, sir, przyrzekam to święcie.

Uwolnwszy go z więzów zwróciłem mu całą zawartość kieszeni i udzieliłem następującej przestrogi:

— Niech się panu nie zdaje, że cieszysz się moim zaufaniem. Nie spuściłbym pana z oka, gdybym nie był pewien, że mam w tym wypadku sprzymierzeńca w Komanczach.

— W Komanczach? Komancze będą mnie pilnować? Jak pan to rozumie?

— To zupełnie proste i jasne; jeżeli nie będziesz pan posłuszny moim rozkazom, zginiesz. Jeżeli znów stchórzysz, dostaniesz się w ich ręce. Skoro dzień nastanie, rozpoczną się poszukiwania. Tylko ja mogę ich wyprowadzić w pole. Jesteś w zupełności zdany na mnie, stąd pewność, że mogę na pana liczyć.

Opowiedziałem w kilku słowach, co zaszło. Trzeba się bowiem było gotować do dalszej drogi. Dla zmylenia czujności Indian musiałem, niestety, pozostawić na miejscu muły obu westmanów. Chciałem wpoić w nich przekonanie, że obaj Snuffle byli zupełnie sami. Dlatego trzeba było zostawić muły w widocznym miejscu; liczyłem przy tym na rozsądek obydwóch braci. Byłem pewien, że zdają sobie dokładnie sprawę, iż jedynie moja pomoc może ich uratować. Gdy czerwoni znajdą mufy oraz broń braci Snuffle, będą przekonani, że nikt im nie towarzyszył. Przecież towarzysze nie pozostawiliby mułów i strzelb na pastwę wrogów! Nocna rosa zatrze tymczasem nasze ślady.

Przytroczywszy do siodeł obydwóch mułów strzelby bliźniaków, ruszyliśmy wraz z Perkinsem. Dżafarowi zaleciłem czekać, aż wrócimy. Szedłem naprzód, Perkins kroczył za mną. Zostawiwszy zwierzęta niedaleko miejsca, z którego spadł Tim, wróciliśmy do Dżafara, który nie posiadał się z radości z powodu odzyskania wierzchowca.

— Szkoda, że to nie mój koń — rzekł Perkins. — Będę musiał iść piechotą.

— Dobry z pana piechur? — zapytałem. — Niestety, nie.

— Więc dam panu swego konia, a sam pójdę pieszo.

— Naprawdę mu?

— Tak. No, szkoda czasu, ruszamy!

Wyprowadziliśmy konie z lasu. Na polanie Dżafar i Perkins dosiedli wierzchowców i ruszyli za mną. Było tu jaśniej, niż w lesie. Gwiazdy świeciły; szedłem pewnym krokiem.

Długie milczenie przerwał Perkins:

— Czy wie pan dokładnie, dokąd podążamy? Czy nie zechce pan nas poinformować?

— Owszem. Najbliższym naszym celem jest wzgórze Makik Natun. Indianie chcą tam nad grobami wodzów pozabijać jeńców. Dziś nie można było nic zdziałać, ale mam nadzieję, że jutro uda się nam porwać nieszczęsne ofiary.

— W jaki sposób?

— W połowie drogi na Makik Natun ciągnie się kotlina. Na wiosnę spływa do niej kilka rzek, w pozostałych zaś porach roku tyle tam wilgoci, że wyrósł w niej wielki las. Jestem pewien, że Indianie zatrzymają się w tym lesie, aby napoić konie i dać im wypoczynek. Może znajdzie się więc okazja do uwolnienia jeńców.

— A jeżeli nie?

— W takim razie będziemy musieli podążyć za nimi aż na Makik— Natun. Tani już sposobność do uwolnienia jeńców musi się znaleźć.

— Odważny z pana człowiek, mister Shatterhand! Czy pan zna kotlinę, o której mowa?

— Leży na północ od Beaver Creek. Zboczyliśmy na zachód ze względu na Komanczów, którzy bez wątpienia obiorą drogę najkrótszą. Więc my przybędziemy od zachodu.

— Wskutek nałożenia drogi może się zdarzyć, że ominiemy kotlinę. — I to mówi przewodnik?

Pod wpływem tej uwagi stracił ochotę do dalszych pytań. Teraz Dżafar zaczął opowiadać po angielsku, ze swoim specyficznym akcentem wschodnim, jak dostał się w ręce czerwonych.

Bronił się, dwóch Indian padło od jego kuł. Stąd krew, którą widziałem. Związano go mocniej, niż pozostałych i oświadczone, że czeka go najstraszliwszy rodzaj śmierci. Traktowano go jak psa.

Rozmowa trwała czas dłuższy. Ciekaw byłem pewnych szczegółów jego życia, nie chciałem jednak dopuszczać się niedyskrecji. Nie ulegało w żadnym razie wątpliwości, że to człowiek wykształcony na wzorach europejskich. Z pewnością przebywał czas dłuższy na Zachodzie.

Po chwili, kiedy wyprzedziłem ich nieco, wydało mi się, że o mnie rozmawiają, gdyż stłumili głos i zwolnili kroku.

Perkins zapytywał kilkakrotnie, czy nie chcę dosiąść konia. Nie skorzystałem z propozycji. Minęła noc, nadszedł ranek. Gdy się nieco rozjaśniło, Perkins rzekł:

— Komancze rozpoczęli poszukiwania. Wkrótce znajdą muły, sir.

— Oczywiście. W lesie wilgotno więc śladów naszych widać nie będzie. Czerwoni będą przekonani, że bracia Snuffle nie mieli towarzyszy i zrezygnują z dalszych poszukiwań.

— W każdym razie będą szukali mister Dżafara.

— Także niezbyt długo. Nie wyślą pościgu na chybił trafił...

— Zniknięcie mister Dżafara jest dla nich zupełnie niepojęte, należy więc liczyć się z tym, że zechcą wyjaśnić przyczynę.

— W normalnych warunkach przeszukaliby zapewne całą okolicę. Wiemy jednak, jakie mają plany, wiemy również że nie mogą zwlekać. Ci, na których gotują napaść, mogliby przeczuć pismo nosem. Dlatego raczej zrezygnują z poszukiwania jeńca, który znikł w tajemniczy sposób, niżby mieli czas tracić na długich i być może bezowocnych poszukiwaniach. Znam zwyczaje czerwonoskórych, więc sądzę, że poświęcą na to co najwyżej dwie, trzy godziny, po czym podejmą pochód na Makik Natun.

— Kiedy, zdaniem pana, przybędą do lasu w kotlinie?

— Będą jechali znacznie prędzej niż my w nocy, przypuszczam więc, że staną tam około południa.

— A my?

— Sądzę, że za jakąś godzinę.

— Będziemy więc czekać na nich około pięciu godzin. Może będzie można coś upolować! Nie mamy nic do jedzenia.

— Niestety, zdradziłby nas odgłos wystrzałów. Ale, ale, oto i wybawienie z kłopotów!

Ledwie Perkins zdążył wypowiedzieć zdanie o polowaniu, wyskoczyły naprzeciw nas dwa zające. Ujawszy sztucer Henry'ego, położyłem je w okamgnieniu.

— Allah! — zawołał Dżafar. — Niepospolity z pana strzelec! Widzę, że Perkins miał rację, opowiadając mi cuda o Old Shatterhandzie.

Uśmiechnąłem się pod wpływem tej dziecinnej, entuzjastycznej uwagi. Podniósłszy zające z ziemi, przytroczyłem je do siodła i ruszyliśmy dalej.

Dżafar w niezwykłym skupieniu przyglądał się moim strzelbom. Po chwili zapytał:

— Sir, czy ta ciężka strzelba ma jakąś specjalną nazwę? — Nazywa się niedźwiedziówką.

— Na Allaha, to dziwne! Słyszałem już kiedyś tę nazwę w języku arabskim. A ta druga? Nie widziałem dotychczas takiej.

— Istnieją strzelby tego wyrobu, ale nie tak stare i ciężkie jak moja.

— Ile strzałów można dać z tej strzelby?

— Dwadzieścia pięć.

— Na Allaha! Ależ i to się zgadza z tym co słyszałem. Jak się ta strzelba nazywa?

— Sztucer Henry'ego.

— Nazwę tę słyszałem również w języku arabskim! Dziwny zbieg okoliczności; opowiadano mi o obydwóch strzelbach.

— Gdzieś o nich słyszał, sir?

— Nad Tygrysem. Pan zna tę rzekę?

— Każde dziecko zna ją przecież z nauki geografii. Przebywał pan nad nią, mister Dżafar?

— Przed dwoma laty. Jestem Persem. W ojczyźnie zowią mnie mirzą Dżafarem. Zapewne nie wiadomo panu, co to oznacza?

— Przeciwnie. Słowo mirza, postawione przed nazwiskiem, oznacza uczonego; gdy się jednak przestawi porządek i wymieni je po nazwisku, służy na określenie księcia czystej krwi.

— Ależ tak, ma pan rację! A więc zowią mnie mirza Dżafar. W drodze z Bagdadu do Konstantynopola, nad brzegiem Tygrysu bliżej Mosulu, spędziłem kilka dni u plemienia Haddedihnów. Tam właśnie opowiadano mi o tych strzelbach.

— Czyżby ci Arabowie posiadali niedźwiedziówkę i sztucer Henry— 'ego?

— Nie. Broń należała do pewnego cudzoziemca. Nazywał się emir Kara Ben Nemzi effendi.

— Przecież to imię arabskie, więc człowiek ten nie był cudzoziemcem.

— Kto zna arabski, wie, że słowo Nemzi oznacza Niemca. Szejk Haddedihnów opowiadał mi o tym człowieku i o jego strzelbach. Bliższych i dokładniejszych szczegółów udzielił mi ponadto jeden z wojowników plemienia.

— Jak mu było na imię?

— Był to niepokąźny, ale mądry i dzielny człowiek. Nazywał się Hadzi Halef Omar Ben Hadzi Abul Abbas Ibn Hadzi Dawud al Gossarah.

— A to ci imię! Długie jak wąż morski!

— Zwyczaj wschodni nakazuje do własnego imienia dodawać imiona przodków. W ten sposób składa się hołd całemu rodowi. Ponadto Hadzi Halef Omar miał szczególne prawo do długiego nazwiska, był to bowiem człowiek bardzo sławny ze względu na szereg bohaterskich czynów. Polował na lwy i czarne pantery, walczył z licznymi wrogami. Nie powinienem chyba podkreślać, jak bardzo się ucieszyłem, że mogę dowiedzieć się czegoś o moim małym Hadzi Halefie. Dziwiło mnie, że Dżafar nie wie, iż emir Kara Ben Nemzi effendi, o którym opowiadał przed chwilą, to ja właśnie. Nie zdradzając się, zapytałem:

— Ten emir cudzoziemiec był świadkiem jego bohaterskich czynów?

— Tak. Brał w nich nawet udział. Uchronił Haddedihnów od klęski, która mogła ich zgubić. Ja również wspaniam go z wdzięcznością, gdyż wiele mu, acz pośrednio, winienem.

Gdym go obrzucił pytającym spojrzeniem, dodał:

— Uratował życie jednemu z moich krewnych, udzielając mu pomocy w walce. Odwiózł go później do Bagdadu i osłaniał przed wrogiem. Niestety, mimo jego pomocy, krewny mój został po jakimś czasie napadnięty i zamordowany.

Fakt oswobodzenia z indiańskiej niewoli perskiego mirzy na Dzikim Zachodzie jest już bezsprzecznie niezwykły. Ale gdy się człowiek w dodatku dowiaduje, że kiedyś, nad Tygrysem, uratował życie jednemu z krewnych tego mirzy, słowo "niezwykły" wydaje się zbyt blade. Temu też przypisać należy, że mimowoli wyrwało mi się następujące pytanie:

— Mówił pan o Hassanie Ardszir mirzy?

Teraz zdumiał się Dżafar. Zatrzymał konia, rozpostarł ramiona i zawołał:

— Hassan Ardszir mirza, zbiegły książę! Pan zna to imię! Allah czyni dziś wielkie cuda! Gdzieś o nim słyszał, sir?

— Gdzie słyszałem? Widziałem go, klęczałem nad jego zwłokami, gdy dzuma trzymała mnie już w swych szponach.

— Zwłoki! Dzuma!

— Obok niego leżała żona, chluba jego serca, którą razem z nim zamordowano.

Była to oryginalna scena. Staliśmy naprzeciw siebie i krzyczeliśmy tak głośno, że Perkinsowi mogło się wydawać, iż ma przed sobą wariatów. Dżafar wybałuszył oczy; usta miał otwarte, nie mógł jednak wykrztusić ani słowa. Wreszcie odetchnął głęboko i ryknął jak lew:

— Dżanah, jego dusza, jego perła najdroższa! Przez nią byłem z nim skoligacony. Mister Shatterhand, sam nie wiem, czy śnię, czy marzę, czy też bredzę w gorączce. Pan bawił u Haddedihnów?

— Tak.

— Sławny ich szejk Mohammed Emir, zmarł w pana obecności?

— Byłem na jego pogrzebie. *Zginął*, gdyśmy w walce przeciw Kurdom stanęli po stronie Hassana Ardszira mirzy.

— Tak, tak! W takim razie pan jest... Przetarł ręką czoło i ciągnął dalej:

— ... pan jest emir Kara Ben Nemzi effendi!

— Tak. Imię Karol przerobiono na Kara; Ben Nemzi określa moją narodowość, tytuły zaś emir i effendi dano mi bez specjalnych moich zasług.

Zarzucił mnie pytaniami, na które musiałem odpowiadać. Po jakimś czasie przerwałem ich potok:

— To fantastyczne spotkanie. Ale nie traćmy czasu! W obliczu przeszłości nie wolno nam zapominać o najbliższych zadaniach i obowiązkach. Żywo, śpieszmy ku kotlinie!

— Jak pan chce, sir! Niespodziane wzruszenie zelektryzowało mnie. A więc Old Shatterhand i Kara Ben Nemzi effendi to jedna istota! Ma pan mi wiele do opowiedzenia!

— Pan mnie również. Będzie pan musiał opowiedzieć dokładnie, w jakich warunkach i gdzie spotkałeś mego małego, wiernego Hadzi Helefa. Ale teraz naprzód!

Kontynuowaliśmy przerwana niespodzianie jazdę. Nie łatwo nam było milczeć, zdawaliśmy sobie jednak sprawę, że trzeba całą uwagę skierować ku potrzebom chwili obecnej. Co się tyczy Perkinsa, to widocznie udzieliło mu się nasze zdumienie, bo miał taką minę, jak gdyby asystował przy spotkaniu sułtana Stambułu z cesarzem chińskim.

Przepowiednie moje sprawdziły się; odnaleźliśmy kotlinę. Po jakiejś godzinie na wschodzie zarysowała się ciemna linia lasu. Tworzył w kotlinie długi prostokąt o niezbyt wielkiej szerokości. Nie ulegało wątpliwości, że siedemdziesięciu Indian przeszuka go najdokładniej w przeciągu godziny. Ponadto trzeba było uwzględnić i tę okoliczność, że nie można było ustalić miejsca, w którym Komancze rozłożą się obozem. Mogli przecież wybrać to samo miejsce, co i my. Nawet w przeciwnym wypadku należało liczyć się z możliwością, że nas odnajdą. Przecież mógł nas zdradzić pierwszy lepszy drobiazg, na przykład parsknięcie konia Dżafara. Koń ten bowiem dotychczas nie nosił na grzbiecie westmana, więc jak każde niewyszkolone zwierzę z pewnością parsknął ilekroć czuł bliskość innych koni. Dlatego też na zapytanie Perkinsa, gdzie się ukryjemy, odrzekłem:

— Nie będziemy się wcale ukrywać. W każdym razie wy dwaj zostanieie na wolnej, otwartej przestrzeni.

— Ależ w takim razie zobaczą nas!

— Nie. Otwarta przestrzeń jest w obecnej sytuacji najlepszą kryjówką.

Chciał replikować, ale upomniał go Dżafar:

— Odkąd wiem, że to Kara Ben Nemzi, jestem przekonany, że w każdej sprawie ma rację.

— Jeżeli nie w każdej, to przynajmniej w wielu — sprostowałem pochwałę. — Zatrzymamy się tutaj; to miejsce jest najbardziej odpowiednie.

— Dlaczego właśnie to ma być najbardziej odpowiednie? — zapytał jednak Perkins. — Jakże można będzie oswobodzić jeńców, gdy my pozostaniemy tutaj, a Indianie rozbijają obóz w lesie?

— Niech pana o to głowa nie boli! Zaręczyłem przecież, że was nie narażę na niebezpieczeństwo. Co do mister Dżafara, to zbyt mało jest obeznany z Dzikim Zachodem i jego mieszkańcami, a więc nie chciał bym w ogóle go trudzić. Pójdę do lasu sam, czekajcie tu mego powrotu.

— A jeżeli tymczasem ukażą się czerwoni?

— W takim razie oddalcie się na zachód. Skoro się ulotnią, wracajcie tutaj. Musicie starać się o to, abyście ich pierwsi ujrzeli.

— A jeżeli zajdzie konieczność ucieczki? Jeżeli nie będziemy mogli wrócić?

— O mnie się nie lękajcie. W każdym razie odnajdę i was i swego konia. No, teraz ściągniemy skórę z zajaca. Drwa na ognisko mamy pod dostatkiem.

Las przechodził na równinie w szereg krzaków. Niektóre z braku wilgoci powiędły zupełnie. Perkins uzbierał nieco gałęzi; rozpaliliśmy ognisko i upiekliśmy zajaca.

Podczas posiłku odpowiedziałem Dżafarowi na szereg pytań, odnoszących się do niedalekiej przeszłości. O śmiałym planie, który dziś umyśliłem, nie było między nami mowy. Po jakimś czasie wstałem i przewiesiwszy przez ramię strzelby, zacząłem gotować się do drogi. Perkins zapytał:

— Odchodzisz sir?

— Tak.

— Ze strzelbami? Jeżeli czerwoni pana pochwyca, drogocenna broń przepadnie bezpowrotnie.

— *Pshaw!* Nieraz dostawałem się do niewoli, nieraz zabierano mi broń, a jednak zawsze udawało mi się zbiec razem ze strzelbami. Nie martwcie się, panowie! Nic złego mi się nie stanie.

Po tych słowach odszedłem.

To-kej-chun

Musiałem zacierać za sobą ślady. Aż do lasu nie miałem z tym wielkiego kłopotu, gdyż droga prowadziła przez kamienny teren, spalony od słońca. Zresztą, nie ulegało wątpliwości, że Indianie z tej strony nie przybędą.

W lesie natomiast sytuacja się pogorszyła. Teren był tu miękki, trzeba więc było posuwać się naprzód na czworakach i to na palcach i na piętach. Tylko ten, kto kiedyś przedzierał się w tej pozycji przez moczary, może zrozumieć, co to za męka. Nie znam fizycznego wysiłku, który wymagałby więcej wytrwałości, niż ta marszruta na czworakach. W dodatku, ze względu na konieczność natychmiastowego zacierania śladów, trzeba się było iść tyłem. Nic dziwnego, że posuwałem się w żółwym tempie.

Nie miałem wątpliwości, dokąd się zwrócić. Wiedziałem, skąd Komancze przybędą, wiedziałem również, w którym miejscu dotrą do lasu. Byłem pewien, że ruszą prosto do kotliny po wodę. Tam właśnie postanowiłem się ukryć.

Gdybym mógł iść normalnie, byłbym dotarł do tego miejsca w przeciągu pięciu minut; w obecnych jednak okolicznościach droga zajęła mi przeszło godzinę. Zacząłem się rozglądać. Trzeba się ukryć, ale gdzie? Nie szukałem długo. Obok leżało zwalone drzewo, obrośnięte mchem. Było do rdzenia przegniłe. Przygnięcione nim krzaki obumierały również. Gałęzie ich utworzyły gęstą, zieloną powłokę, pod którą znalazłem świetne schronienie.

Należało, oczywiście przypuszczać, że nie ja pierwszy znalazłem tu schronienie. Zacząłem kłuć dokoła niedźwiedziówką. Wypłoszyło to nieco zwierzyny; ujrzałem dwa jadowite węże, które rzuciły się do ucieczki. Miałbym się z pyszna, gdyby te gady chciały zaatakować tego, kto zakłócił im spokój. Prawdopodobnie posiliły się niedawno, a syte węże są na ogół mało niebezpieczne.

Zaszyłem się możliwie najgłębiej w omszałe listowie, bacząc pilnie, aby nie złamać jakiejś gałęzi, co mogłoby zwrócić na mnie uwagę czerwonych. Należało się liczyć z tym, że zabawię tu sporo czasu; ulokowałem się więc jak najwygodniej i trwałem w wyczekiwaniu. Czas płynie w takich okolicznościach niezwykle wolno, minuty wydają się godzinami. Należało się również liczyć z ewentualnością, że Indianie zбочą z prostej linii i dotrą do lasu w innym miejscu. Utrudniałoby to, oczywiście, zrealizowanie mego planu.

Nic więc dziwnego, że odgłos zbliżających się kroków ucieszył mnie bardzo. To oni! Ujrzałem dwóch czerwonych. Ruszyli naprzód, by poszukać dogodnego miejsca. Rozejrzawszy się, jeden z nich rzekł:

— To odpowiednie miejsce. Brat mój może zsiąść z konia, a ja sprowadzę resztę.

Ruszył z powrotem. Tymczasem jego towarzysz zsiadł z konia, i zaprowadził go nad wodę, aby napić.

Po niedługim czasie zjawił się cały oddział; tylko wodza brakowało. Ujrzałem obydwóch służących i obydwóch przewodników naszego Persa; ku mojej wielkiej radości bracia Snuffle znajdowali się również w tej kompanii. Nie byli ranni, jechali na swych mułach. Więc podstęp się udał; Indianie znaleźli obydwu muły. Zachodziła tylko obawa, czy bracia Snuffle byli na tyle przeczni, aby się nie zdradzić, że mieli towarzysza.

Związanych jeńców zdjęto z koni i mułów, i ułożono na ziemi. Czerwoni rozsiedli się dokoła, puściwszy konie samopas. To mnie upewniło, że nie natrafią na moje ślady

Chwilowa nieobecność wodza była dla mnie okolicznością pomyślną. To-kej-chun, świadomy

swej godności, uważał, że wódz nie może jechać razem ze zwyczajnymi wojownikami i został nieco w tyle. Jeżeli zastosuje tę samą taktykę i tutaj, należy się liczyć z tym, że ruszy stąd nieco później, niż jego wojownicy. Będę więc miał sposobność obezwładnić go, o ile nie stanie się to jeszcze przedtem, przy innej okazji.

Nareszcie, po jakimś kwadransie, zjawił się wódz. Zsiadłszy z konia, ulokował się niedaleko powalonego drzewa, pod którym leżałem. Napełnił tytoniem fajkę pokoju i zaczął z niej wolno pykać, nie odzywając się ani słowem. Wojownicy milczeli również. Wypaliwszy całą zawartość fajki, zawiesił ją na szyi i rzekł do dwóch czerwonych, którzy przybyli tu pierwsi:

— Niechaj nasi młodzi wojownicy przyprowadzą do mnie blade twarze, zwane braćmi Snuffle.

Przywleczono Jima i Tima i rzucono ich przed To-kej-chunem na ziemię, jak dziurawe worki. Wódz patrzył im przez chwilę prosto w oczy, po czym rzekł:

— Niechaj bracia Snuffle posłuchają, co im powiem i niechaj dadzą mi wreszcie odpowiedź prawdziwą. Postanowiłem, że na górze Makik Natun umrą przy palu. Jeżeli jednak nie będą się prawdy wypierać, odzyskają wolność. Czy znali białego człowieka, który był naszym jeńcem i wczoraj wieczorem znikł w tajemniczy, niepojęty sposób?

Jim odparł:

— Pytasz oto po raz trzeci, po raz trzeci odpowiadam dosłownie to samo: nie znaleźmy go.

— Czy wiecie, dokąd się udał?

— Nie.

— Był tak mocno związany, że nie mógł się sam uwolnić.

— Mylisz się. Z pewnością sam się uwolnił.

— Tuż przed uciezką badałem jego więzy. Był mocno związany. — A więc jest zapewne czarodziejem. I wśród bladych twarzy trafiają się sztukmistrze. Tacy potrafią rozluźnić najmocniejsze więzy.

— Nieprawda! Ktoś musiał popuścić mu rzemieni.

— Nie może to być. Leżał pośrodku was; wszyscyście mieli go na oku.

— Podczas chwytania ciebie i twego brata, nie zwracaliśmy nań uwagi. Tę właśnie chwilę wykorzystał i ulotnił się.

— Mimo, że miał związane ręce i nogi?

— Tak. Ktoś był w pobliżu i wykorzystał moment, by go porwać.

— Porwał jeńca spośród siedemdziesięciu Indian? W takim razie musiał to być nie lada zuchwalec! Nie pokusiłby się o to żaden rozsądny, zrównoważony człowiek.

— Znam tylko jednego, który tego dokáže.

— Któż to?

— Old Shatterhand. Znam tego białego, parszywego psa. Był kiedyś moim jeńcem, ale zmusił nas do zwrócenia mu wolności. To, co się wczoraj stało, wygląda na jego sprawkę. Gdybym nie wiedział, że bawi obecnie daleko stąd, na północy, aby pomścić śmierć Winnetou, swego równie parszywego brata, przypuszczałbym, że jest tutaj. Gdyś się podkradł wraz z bratem pod nasz obóz, jeńiec nasz zginął; musisz więc znać tego, który go oswobodził!

— Nie wiemy o niczym.

— To kłamstwo przypłacicie życiem. Jeżeli wyznacie prawdę, darujemy wara wolność.

— To także kłamstwo! Wiem, że fałszywie przyrzekasz.

— To-kej-chun dotrzymuje swych obietnic.

— *Pshaw!* Jeżeli przypieczętujesz tę obietnicę wypaleniem z nami kalumetu, uwierzmy.

— To-kej-chun nie zapali z żadnym ze swych jeńców fajki pokoju. — Widzisz: chciałeś nas

wyprowadzić w pole! Wykopaliscie topór wojny, a więc każdy biały, który się dostanie w wasze ręce, jest zgubiony. Gdyby nawet przypuszczenia twoje byty prawdziwe i gdybyśmy przed tobą złożyli zeznanie, nie dotrzymasz słowa i każesz nas stracić.

Wódz przemawiał dotychczas spokojnym tonem, w przekonaniu, że Jim się wygada. Widząc, że się łudził, ciągnął dalej gniewnie:

— Cóż na to powie drugi Snuffle? Również nic?

— *No!* — odparł lakonicznie Tim.

— Powiem wam więc, że mieliście rację. Tak, czy inaczej zginęlibyście, ale wpakowalibyśmy wam kulkę w łeb, abyście się dłużej nie męczyli. Ponieważ jednak pyski wasze zapomniały mowy, otworzą je skargi i jęki. Doznacie wszelkich męczarni, jakie sobie tylko wyobrazić można.

— *Pshaw*, nie lękamy się.

— Milcz! Skończyłem z tobą. Jeniec zbiegł, nie możemy pojąć jak to się stało; basta! Ale zamiast niego, schwytaliśmy was, więc wyszliśmy na swoje. Dziś wieczorem dotrzemy do Makik Natun; jutro rano zginiecie przy palu męczarni!

Wstał, aby się dumnie oddalić; przed odejściem jednak rozkazał donośnym głosem:

— Moi czerwoni bracia mogą ruszyć w dalszą drogę: konie już napojone. Wkrótce za nimi podążę.

Słyszając ostatnie słowa wodza, musiałem natężyć wolę, aby nie zdradzić się jakimś nieostrożnym ruchem. A więc zostanie tutaj! Mogłem mieć uzasadnioną nadzieję, że przedsięwzięcie się uda.

Znowu przywiązano jeńców do koni; Komancze dosiedli swych wierzchowców i pocwałowali. Wódz znikł mi z oczu. Koń jego stał za moją kryjówką i objadał gałęzie. Nie ulegało wątpliwości, że zbliżając się do swego wierzchowca, To-kej-chun będzie musiał przejść obok mnie.

Z ogromnym napięciem czekałem około kwadransa. Wreszcie się zjawił. Trzymał strzelbę w prawej ręce, z lewego ramienia zwisał koc. Przepuściłem go obok siebie. Podszedł do konia, ale wierzchowiec nie chciał się oderwać od pochłaniania soczystych gałęzi, odmawiał posłuszeństwa. Odgłos kopyt, uderzających o ziemię, przygłuszył szmer, wywołany moim wydostaniem się spod powłoki mchu. Stałem tuż za nim. Właśnie chwycił konia za cugle i podniósł lewą nogę, aby ją wetknąć w strzemię. Położywszy rękę na jego lewym ramieniu, skierowałem ku niemu rewolwer i rzekłem:

— Niechaj To-kej-chun zaczeka chwilę. Chcę z nim pomówić. Wódz zdębiał. W pierwszej chwili nie poznał mnie, a to z powodu mego nader skromnego ubioru. Po chwili jednak na twarzy jego zjawił się wyraz przerażenia. Zawołał:

— Old Shatterhand! Old...!

— Tak, Old Shatterhand, — potwierdziłem skinieniem głowy — ten sam parszywy pies, który zdaniem twoim, przebywa na północy. Nie ruszaj się, bo wystrzelę!

Wódz należał do ludzi tchórzem podszytych. Twarz jego wróciła po chwili do spokojnego, zrównoważonego wyrazu.

— Uff! Więc to naprawdę Old Shatterhand! Podśluchiwałeś nas. O czym chcesz ze mną pomówić? Wó?

Nie miał odwagi porwać się na mnie: przede wszystkim górowałem nad nim siłą, po drugie zaś skierowana ku niemu lufa mówiła za siebie zbyt wyraźnie. Patrzyłem mu prosto w twarz, przekonany, że oczami zdradzi swe myśli. Ugiął się pod mym wzrokiem, uchylił nieco głowę i spojrzął w tył. Acha, chce skoczyć w krzaki i uciec. Czy pozwolić sobie na zabawę w kota i myszkę? Zgoda! W każdym razie nie wymknie mi się, tegom był pewien. Dlatego nie wykonałem ani jednego ruchu, by go zatrzymać, tylko odrzekłem:

— Chcę pomówić z tobą o jeńcach, którym musisz zwrócić wolność. — Zwrócić wolność? Wykopaliśmy przeciw bladym twarzom topór wojenny. Każdy biały, którego schwytamy...

Na tym przerwał, odwrócił się błyskawicznym ruchem i skoczył w krzaki. Ruszyłem za nim niezbyt szybkim krokiem. Łamiąc dokoła gałęzie dla wywołania hałasu, zacząłem wołać, jak gdyby mi było bardzo śpieszno:

— Czekaj, czekaj! Zatrzymaj się, bo będę strzelać!

Odgłos łamanych gałęzi miał wywołać wrażenie, że biegnę za nim. Tymczasem wróciłem najspokojniej do jego wierzchowca i wyciągnąłem z kieszeni rzemień, który schowałem po oswobodzeniu Dżafara. Rzemieniem tym przywiązałem tylną nogę konia do sąsiedniego pnia, po czym skierowałem się szybko do swej kryjówki. Koń stał spokojnie, ogałając nadal gałęzie. Przypuszczałem, że wódz wróci po jakimś czasie, gdyż wierzchowiec był mu niezbędny, a w dodatku nosił na szyi jego leki, dla których każdy Indianin bez wahania narazi życie. Gdyby nawet przypuszczenie okazało się błędne i gdyby zrezygnował z konia, będzie musiał iść pieszo za swymi wojownikami, a ja dogonię go bez trudności na jego własnym wierzchowcu.

Wlaziłem więc znowu pod osłonę mchu i przez szpary wśród liści mogłem patrzeć na wszystkie strony. Oczywiście, nie patrzyłem w tym kierunku, w którym uciekł, gdyż byłem pewien, że zbliży się z innej strony. Wyteżyłem wzrok i czekałem.

Po pięciu minutach poruszył się leciutko jeden z krzaków; gałęzie rozchyliły się, ukazując jego postać. Spojrzał w kierunku wierzchowca; nie widząc mnie, pomyślał zapewne, że go jeszcze szukam i podbiegł do konia, aby jak najszybciej na nim uciec. Nie zauważył rzemienia. Skoczył na siodło. Skóro zmiarkował, że koń nie może ruszyć nogą, zaniepokojony, zeskoczył na powrót.

Pochylił się, ja zaś stanąłem za nim i rzekłem:

— Wiedziałem, że To-kej-chun poszedł tylko na spacer. Nie przeszkadzałem mu więc i spokojnie czekałem, aż powróci.

Zerwał się, spojrzał na mnie błędnym wzrokiem. Patrząc z uśmiechem na zdumioną twarz wodza, ciągnąłem dalej:

— Sprzykrzyły mi się jednak te przechadzki wodza, więc położę im kres.

Przed chwilą wypuścił z rąk strzelbę; opamiętawszy się, błyskawicznie sięgnął za pas, gdzie lśniła klinga noża. W tejże chwili zdzieliłem go pięścią w głowę. Padł jak kłoda. Drugi cios pozbawił go przytomności.

Przede wszystkim odwiązałem konia i dosiadłem go, aby się przekonać, czy mi będzie posłuszny. Zadanie miałem niełatwe ze względu na trzy strzelby, trzymane w ręku, i Indianina, leżącego w moich objęciach. Koń opierał się przez krótką chwilę, wreszcie ustąpił widząc, że opór bezcelowy. Zeskoczyłem z siodła; przerzuciwszy wszystkie trzy strzelby przez ramię, podniosłem Indianina w górę, wskoczyłem znów na siodło i trzymając jeńca w ramionach, puściłem się w drogę powrotną do Dżafara i Perkinsa.

Z początku jechałem wolno, gdyż trzeba było przedzierać się przez krzaki. Dopiero wydostawszy się z lasu, ruszyłem w pełnym galopie. Obydwaj towarzysze ujrzeni mnie z daleka.

— Chwała Bogu, że pan wraca, — zawołał głośno Perkins. — Ach, pan trzyma jakiegoś czerwonoskórego! Któż to taki. — Przypatrzcie mu się — rzekłem, zatrzymując się przed nimi.

— Allah, Allah! — zawołał Dżafar. — Przecież to siwowłósy wódz, który nas chciał zamordować!

— Oczywiście! Inny jeńiec nie na wiele by się przydał. Ściągnijcie wodza. Trzeba go związać.

Ściągnęli go z konia i położyli na ziemi. We dwóch zabrali się do wiązania Komancza, ja zaś powiedziałem, w jaki sposób udało mi się go schwycić. Widząc, że To-kej-chunowi wraca

przytomność, wezwałem ich, aby zamilkli. Wódz otworzył oczy, spojrział na nas, po chwili zamknął powieki. Niebawem rozchylił je znowu, przeszył mnie spojrzeniem pełnym bezgranicznej nienawiści i zgrzytając zębami, mruknął:

— Powiodło się temu psu. Ale nasi wojownicy oswobodzą mnie, a jego zatłuką na śmierć.

Na tę obrazę odparłem z całym spokojem:

— Stary wódz Komanczów postąpiłby znacznie mądrzej, gdyby chciał mówić nieco uprzejmiej.

Życie jego leży w naszych rękach.

— Nie wydrzesz mi życia. Moi ludzie przybędą tutaj i zmuszą cię, abys mnie puścił wolno!

— Tych paru Komanczów? *Pshaw!*

— Jest ich dziesięć razy po siedem. Zmiażdżą was.

— *Pshaw!* Czymże jest siedemdziesięciu Komanczów wobec Old Shatterhanda! — odparłem dumnie i wyniośle.

— Siedemdziesięciu mocnych bawołów przeciw jednemu choremu psu!

— Chcesz mnie zmusić, bym się śmiał z człowieka, którego włos przyprószyła siwizna? Wściekłość bezsilna przemawia przez ciebie. Leżałem pośród tych siedemdziesięciu Komanczów i nawet serce mi mocniej nie zabiło. Czymże wobec tego jest twoje wykrzykiwanie o siedemdziesięciu bawołach i chorym psie? Bawoły sobie poszły, za to pies uniósł w zębach najsilniejszego z nich. Jakże świetny widok kryje się pod powłoką twych siwych włosów. Zamiast rozumu mieszka pod nią młodzieńcza nierozwaga i głupota.

Zawstydzony nie odpowiedział, patrząc ponuro przed siebie. Skorzystałem z tego milczenia, aby zrewidować torby, wiszące po obydwóch stronach siodła. Jedna zawierała suszone mięso, prowianty oraz parę przedmiotów, uważanych przez Indian za niezbędne w czasie wypraw wojennych. W drugiej natomiast leżały ważniejsze rzeczy. Przede wszystkim więc wyciągnąłem portfel.

— To moja własność! — zawołał Dżafar. — Zawiera ważne notatki, pieniądze i przekazy.

— Niech pan zobaczy, czy nic nie zginęło?

Dżafar stwierdził po chwili, że nic z portfela nie ubyło. Z kolei podałem mu sakiewkę i zegarek. Wreszcie wyciągnąłem cały szereg przedmiotów, zabranych służbie, przewodnikom i braciom Snuffle. Wódz zatrzymał te łupy dla siebie. Wściekłe spojrzenia, rzucone w naszą stronę były dowodem, że w sercu jego wre i kipi. Wrzasnął:

— Bierzcie, bierzcie wszystko! Niech tylko wojownicy przybędą, wnet porachuję się z wami!

— Mylisz się, nie przybędą tutaj. Ja ruszę do nich. I nic mi nie zrobią, tak samo, jak wtedy, gdym był twoim jeńcem i gdy setki waszych wojowników nie odważyły się tknąć mnie.

— Wtedy darowałeś życie memu synowi i za jego wstawiennictwem uszedłeś cało.

— To kłamstwo. Nie przeczę, że syn twój poczuwał się wobec mnie do wdzięczności, ale uratowałem życie sobie i towarzyszom jedynie przez to, że cię pochwyciłem w niewolę. Dziś sytuacja jest podobna. Tyś mój jeńiec i musisz słuchać mych rozkazów.

— Ja, To-kej-chun, wódz Komanczów, nie poddam się pod rozkazy żadnej bladej twarzy.

— W takim razie jesteś zgubiony.

— Nie będziesz miał odwagi pozbawić mnie życia. Czy nie szcycisz się tym, żeś bez ostatecznej konieczności ani jednego człowieka nie zgładził?

— Cieszę się, że ludzie są tego zdania.

— W takim razie mogę być pewnym, że nie zechcesz narazić się na zarzut, iż zamordowałeś wodza Komanczów, To-kej-chuna.

— Mylisz się. Tu nie może być mowy o morderstwie, a jedynie o ukaraniu.

— Kara? Za co?

— Za to, że chwytasz blade twarze i chcesz je mordować.

— Według praw prerii możesz mnie zabić tylko wtedy, jeżeli przelałem krew. Czy uczyniłem to?

— Nie mogę twierdzić, żeś zabił któregoś z białych, ale wielu z nich wzięłeś do niewoli.

— Za to nie zasługuję na śmierć.

— Hola! Jakżeż karać się zwykło kradzież lub porwanie konia?

— Śmiercią.

— A porwanie człowieka? Czyż kara powinna być mniejsza?

— To-kej-chun brał blade twarze do niewoli, ale nie rabował ich. — *Pshaw!* Jeżeli złupię i uprowadzę konia, który do mnie nie należy, jest to zwykły gwałt. Tyś brał do niewoli i włókł ze sobą białe twarze, co również jest gwałtem. A gwałt karany bywa śmiercią. Jeżeli więc poczęstuję cię kulą, nikt nie będzie mi mógł nic zarzucić.

— A jednak nie zabijesz mnie! — upierał się nadal.

— Nie łudź się! Cierpliwość moja skończyła się. Uratować cię może jedynie zgoda na pewną naszą propozycję.

— Znam ją. Chcesz, żebym ci oddał wzięte do niewoli blade twarze. Za to zwrócisz mi wolność.

— Racja. Cóż ty na to?

— Co ja na to? Zatrzymasz mnie, a my ich zatrzymamy.

— To twoje ostatnie słowo? — Tak.

— W takim razie jesteś zgubiony.

— *Pshaw!* Przecież Old Shatterhand nie przelewa krwi nadaremnie. Dlatego jeńcy zostaną w naszej mocy.

Przypuszczał, że ma nade mną przewagę, ale mylił się; byłem zupełnie pewny swojej sprawy. Perkinsa natomiast oburzył jego zuchwały opór. Zawołał więc gniewnie:

— Streszczaj się, sir! Pana rozmowność w stosunku do tego ananasa dodaje mu tylko tupetu. Wpakujemy mu kulę w łeb, a potem puścimy się w pogoń za jego ludźmi, aby oswobodzić białych. Nie ulega wątpliwości, że nic im się nie stanie; życiu ich nie grozi żadne niebezpieczeństwo. Wystarczy, jeżeli zawiadomimy czerwonych o schwytaniu ich wodza. To zmusi ich do liczenia się z jeńcami ze względu na jego los. Oczywiście, nie będą wiedzieli, żeśmy wpakowali mu kulę w łeb. Szkoda czasu, skończmy już raz z tym łotrem.

Skinąłem potakująco głową i zwróciłem się do wodza:

— Słyszałeś, co powiedział ten biały. Ma rację. Uczynię czego żąda. A więc pytam po raz ostatni: zgadzasz się na wymianę jeńców?

— Nie — odparł szyderczo. — Możecie mnie zabić, jak psa!

— I zabijemy, choć w to nie wierzysz. Widzę, że znasz Old Shatterhanda bardzo powierzchownie. Wierzysz, że cię nie zastrzelę i masz rację. Apelujesz do mego uczucia ludzkości; mam wrażenie jednak, że nie znasz przebiegłości Old Shatterhanda. Oszczędzę twoje ciało, lecz zamorduję duszę.

— Duszę? — zapytał zdziwiony. — Jakże można kulą zabić ludzką duszę?

— Nie rozumiesz tego? A więc pokażę ci! Duszę czerwonego diabła można tak ustrzelić, że nie wzniesie się nigdy ku Wiecznym Ostępom. Mister Perkins, chciałbym się pobawić odgłosem strzałów. Zechciej stanąć tutaj i wyciągnąć ramię, abym pana nie trafił.

— *Pshaw!* Nie obawiam się, że Old Shatterhand chybi.

Ustawiłem go jakieś trzydzieści kroków od wodza. Podniósł rękę. Podszedłem do konia Komancza, wziąłem torbę z lekami i wręczyłem ją Perkinsowi.

— Słuchaj, mister Perkins. W tych lekach tkwi dusza To-kej-chuna, wodza Komanczów.

Podziurawię torbę kulami, a potem spalę ją, aby się upewnić, że wódz nie wstąpi nigdy do Wiecznych Ostępów. Potem puścimy go wolno. W ten sposób ciało jego nic się nie stanie; i nie będzie mógł powiedzieć, że Old Shatterhand go zamordował. Ale też nie będzie mógł powrócić do swoich: imię jego zgaśnie w potokach hańby i nie odzyska go nigdy. Leków swych nie straci w walce: zabierzemy mu je podstępem i zbeszczęścimy.

Z zadowoleniem skonstatowałem, że wyrachowanie moje było słuszne. W oczach Te-kej-chuna zjawił się wyraz przerażenia. Chciał coś powiedzieć, ale nie mógł wydobyć z gardła ani słowa; wreszcie zaczął wrzeszczeć zachrypłym głosem. Próbował zerwać więzy. Gdym skierował rewolwer na torbę, krzyknął:

— Wstrzymaj się! Odłóż broń! Nie strzelaj, nie strzelaj!

Nie wypuszczając rewolweru z ręki, zwróciłem się ku wodzowi i zapytałem:

— A więc przyznasz, że dusza twa i honor byłby na wieki stracone, gdybym teraz strzelił?

— Tak.

— Czy prosisz, abym tego zaniechał?

— Tak, odłóż broń!

Po tych słowach opuściłem rękę, w której trzymałem rewolwer i oświadczyłem:

— Przyznajesz teraz, żeś niezupełnie dobrze znał Old Shatterhanda? Ale na dobroci mojej nie zawiodłeś się. Jestem gotów okazać ci litość, jeżeli spełnisz moje żądanie.

— Wydam blade twarze za zwrócenie mi wolności. — *Pshaw!* Tego żądałem przedtem. Obecnie wymagania moje wzrosły.

— O cóż chodzi? — zapytał, znowu przerażony.

— Sądziłeś, żeś mądrzejszy ode mnie i odrzuciłeś z pogardą moją słuszną propozycję; przyjąłem to ze spokojem, wiedząc z góry, że przegrasz. Old Shatterhand nie należy do ludzi, których można zaskoczyć. Decyduj się szybko, albo zacznę strzelać.

Znowu skierowałem rewolwer ku torbie z lekami, którą trzymał Perkins i rzekłem:

— Czy zgadzasz się, aby pojmane blade twarze odzyskały natychmiast wolność? Czy zwrócićcie całe ich mienie?

— Tak.

— Więc wystawisz mi totem. Po okazaniu go, będę mógł bez narażenia się na niebezpieczeństwo żądać wydania jeńców.

— Spełnię twe życzenie.

— Nigdy nie podejmiesz przeciw tym ludziom i przeciw mnie wrogich kroków?

— Uff! Zbyt wiele wymagasz!

— Powiedz: dobrze. Nie czekam. Raz, dwa, trz...!

— Wstrzymaj się, nie strzelaj! Przyrzekam i to.

— Sama obietnica nie wystarczy. Musisz ją poręczyć dymem z fajki pokoju.

— Wielki Duch odwrócił ode mnie swą rękę i oddał mnie w twą władzę. Muszę spełnić twe żądanie. Kiedy mnie oswobodzisz?

— Kiedy cię oswobodzę? O tym w tej chwili nie może być mowy. Zaproponowałem ci wymianę. W zaślepieniu nie chciałeś się na to zgodzić, odpowiedziałeś szyderstwem i pogardą. Dlatego oświadczyłem ci, że zmieniłem swe żądanie. Wydasz mi jeńców za to, że nie zniszczę twej torby z lekami. Zostaniesz jednak nadal mym jeńcem. Co z tobą dalej pocznę, czy ci daruję wolność, zależy będzie wyłącznie od mej łaski.

— Uff, Uff! — zawołał przerażony. — Na to się nie mogę zgodzić. Puszczam ich wolno w zamian za oswobodzenie siebie. Jest ich sześcioro przeciw mnie jednemu, więc i tak daję znacznie więcej niż

ty. — I to mówi człowiek, który się uważa za największego wodza pośród wodzów Komanczów? Co do mnie, nie zawahałbym się wykupić swej wolności wolnością setek czerwonych wojowników. Uważasz, żeś mniej wart od tych sześciu? Ze zdumieniem dowiaduję się, jak nisko wódz Komanczów siebie samego ceni!

Zawstydziły go te słowa. Chcąc naprawić popełniony błąd, rzekł: — Wiesz równie dobrze, jak ja, że jeńcy moi to niezwykle, przeciętne blade twarze; są wśród nich wybitni wojownicy.

— Powinieneś być dumny z tego, że zależy mi więcej na tobie, niż wam na nich. Za żadną cenę nie odstąpię od mego ostatniego żądania!

— A moje żądanie brzmi: wolność za wolność!

— Może zgodził bym się na to przedtem; zachowanie twoje jednak wpłynęło na zmianę moich żądań. Old Shatterhand nie pozwoli, by z niego bezkarnie sztydono. A więc, zgadzasz się, czy nie?

— Nie.

— Uważaj więc, co się stanie! Mister Perkins, trzymaj torbę wysoko!

Skoro ją podniósł, nacisnąłem cyngiel. Kula przebiła torbę. Równocześnie niemal wódz wydał okrzyk przerażenia.

— Wstrzymaj się, nie strzelaj!

— Więc wystawisz totem?

— Tak. Ale nie mam na czy malować.

— Zwykliście nacinać wasze znaczki na skórze i nacierać je czerwoną farbą. Niestety, nie mam tutaj skóry. Dam ci więc papier i ołówek.

— Nie umiem pisać sposobem białych; nie potrafię stworzyć mówiącego papieru.

— Pismo twe nie jest przeznaczone dla naszych wojowników, lecz dla twoich. Darń ci kilka kartek z mego notatnika. Łatwiej ci będzie namalować coś ołówkiem, niż naciąć skórę.

Spojrzał na mnie badawczo. Na twarzy pojawił się odcień zadowolenia, którego znaczenie, Niestety, dopiero później zrozumiałem. Po chwili rzekł:

— Jak chcesz. Spróbuję. Przedtem musisz mnie uwolnić z więzów.

— Na kilka minut zdejmujemy ci więzy z rąk, abyś mógł pisać. Tak się stało. Stałem z boku, aby uniemożliwić próbę ucieczki.

Pisał długo, po czym w milczeniu wręczył mi papier i dał się spokojnie związać.

Przystąpiłem do dokładnego badania totemu, gdyż jedna podstępna kreska mogła wywołać niebezpieczeństwo. Nie znalazłem nic, co mogłoby wywołać podejrzenie; totem był zredagowany uczciwie. Nakreślone na nim drobne figurki łączyły się w grupy, sprawiające wrażenie dziecinnego rysunku. W pierwszej grupie widać było człowieka leżącego na ziemi. Pióro w bujnej czyprynie wskazywało, że to wódz Indian; był związany; obok widniał znak To-kej-chuna. Opodal stała postać, trzymająca w każdej ręce strzelbę; ręce miała nieproporcjonalnie; nad jej głową zaś unosiła się jakaś trzecia ręka. Postać ta miała mnie oznaczać. U mego boku widniały dwie figury: jedna w wysokiej okrągłej czapce na głowie wyobrażała Dżafara, druga miała na sobie wysokie buty, co wskazywało, że należy do białych. Miało to oznaczać, że Old Shatterhand, Dżafar i jakaś blada twarz wzięli To-kej-chuna do niewoli.

Podobnie skonstruowane były pozostałe grupy, w których wódz wyrażał to, cośmy ustalili. Rysunki były wykonane z dziecinną naiwnością, odcyfrowanie ich wymagało wiele sprytu. Jak już mówiłem, nie widziałem nic, co wskazywałoby na zamiar oszukania nas. To-kej-hun czekał w pozycji siedzącej na ocenę swego arcydzieła.

— Jestem z totemu zadowolony — rzekłem. — Zawiera wszystko, czego sobie życzę. Przywiążemy wodza Komanczów do jego wierzchowca i ruszymy za wojownikami w kierunku Makik

Natun. Może przybędziemy tam przed nimi.

— Jada z wielką szybkością.

— Sądzę, że z początku będą rozmyślnie mitrężyli, przypuszczając, że ich dogonisz.

— Nie będą się z tym liczyć, gdyż wiedzą, że chętnie pozostają w tyle i sam odbywam podróż.

Będiesz mógł pomówić z nimi dopiero na Makik Natun.

Szczerść, z jaką wypowiedział te słowa, była w prawdzie niezwykła, nie miałem jednak podstawy do przypuszczenia, że kłamie. Odparłem więc:

— Musimy się tedy śpieszyć. Chciałbym jeszcze dziś oswobodzić blade twarze; nieodzownym tego warunkiem jest możność pomówienia z wojownikami Komanczów przed zapadnięciem zmroku.

Perkins dosiadł wierzchowca To-kej-chuna, do którego też przytroczyliśmy wodza. Zaczęliśmy szukać śladów jego ludzi. Znalazłszy je po jakimś czasie, przekonałem się, że Indianie jechali bardzo szybko. Więc wódz mówił prawdę.

Perkins jechał ze związany wodzem na przodzie, ja z Dzafarem za nim, aby go mieć ciągle na oku.

Pers wszczął rozmowę o przeżyciach dnia dzisiejszego i o nadziei uwolnienia jeńców. Na wstępie rzekł:

— Wódz rozumie po angielsku. Może więc porozumiewać się będziemy w innym języku?

— Dobrze, ale w jakim?

— Emirowi Kara Ben Nemzi effendi mowa arabska nie sprawi trudności.

— Dlaczego nie mamy mówić po persku?

— I ten język pan zna?

— W każdym razie porozumieć się potrafię.

Ucieszony, że będzie mógł posługiwać się rodzinnym językiem, ołem ywił się niezwykle i opowiadał o swojej ojczyźnie, o stosunkach w niej panujących. Przypuszczam, że napomknął o własnych przeżyciach. Wyczuł to, gdyż rzekł w trakcie rozmowy:

— Czekasz zapewne, sir, aż powiem coś o sobie. Cóż mogę powiedzieć o swym losie w kraju, w którym się czuję obcym i jestem niczym?

Milczałem.

— Chcę ci jednak powiedzieć, że nasz władca darzy mnie łaską. Jest przyjacielem zachodniej kultury i od czasu do czasu wysyła któregoś ze swych młodych poddanych na Zachód, aby pogłębili swą wiedzę.

— Wybiera zapewne jedynie ludzi zdolnych?

— Nie wiedziałem, że Old Shatterhand umie prawić komplementy. Istotnie, łaska władcy padła na mnie; wysłał mnie do Stambułu, Paryża i Londynu. W Anglii przebywałem przez czas dłuższy. Zapewne słyszałeś o tym, sir, że szach perski bawił niedawno w Londynie?

— Czytałem w gazetach.

— Przy okazji wizyty w stolicy Anglii przypomniał sobie moją osobę. Otrzymałem rozkaz stawienia się przed jego oblicze. Podczas audiencji polecił mi udać się do Stanów Zjednoczonych. Nie przeczuwałem nawet, że będę tam miał szczęście poznać dzielnego Kara Ben Nemzi, o którym mi tyle opowiadał Hadzi Halef Omar. W najśmiejszej fantazji nie przyszło mi na myśl, że będę ci zawdzięczał, wolność i życie. Widzę, że podróżowanie po tym kraju, wbrew moim przypuszczeniom, jest bardzo niebezpieczne. Czy niebezpieczeństwo minie, gdy opuścimy kraj prerii?

— Przeciwnie. W górach wzmoże się jeszcze.

Musiałem mu udzielić szeregu informacji o obyczajach Zachodu. O sobie Dzafar nie wspomniał już ani słowem.

Czemu przypisać to milczenie? Czy ma do spełnienia jakąś tajemną misję? Było to wcale prawdopodobne. A może podjął ekspedycję naukową? Może chce uzupełnić swą wiedzę, by objąć później w kraju jakieś ważne stanowisko naukowe? Ale w takim razie po co ta tajemniczość? Czyżby w ten sposób chciał podkreślić znaczenie swej osoby? To jednak w stosunku do mnie nie miałyby sensu. Człowiek Wschodu, spotykający w odległości dwu tysięcy pięciuset mil kogoś, z kim może się porozumieć w ojczystym języku, nie będzie się chyba zapinał na wszystkie guziki etykiety! Tak czy inaczej, postanowiłem unikać rozmowy z Dżafarem na temat jego osoby.

Wymiana

Jechaliśmy Musem. Ślady Komanczów były wyraźne. Indianie jechali z pewnością również szybko; okoliczność, że nie czekali na wodza, zdawała się wskazywać, że byli o niego spokojni. Na jakieś dwie godziny przed zmrokiem oświadczyłem obydwu towarzyszom, że znajdujemy się w pobliżu Żółtej Góry. Perkins zapytał:

— Czy pojedziemy tam wprost? — Nie.

— Dlaczego?

— Przecież wódz znajduje się wśród nas. Czerwoni nie powinni go ujrzyć, zanim nie oswobodzę jeńców; a i wtedy mogę go nie wydać, gdyż nie przyrzekłem mu wolności.

— Muszą się przecież dowiedzieć, że jest naszym jeńcem. Któż im to powie?

— Pan, mister Perkins, — odparłem poważnym tonem, choć właściwie był to tylko żart.

— Ja? — zawołał przerażony — Może mam wręczyć im totem? A mister Dżafar nie może spełnić tej misji?

— Nie. Nie zna Zachodu i Indian, natomiast pan utrzymujesz, że masz w tym względzie wielkie doświadczenie.

— Jeżeli o to chodzi, znam kogoś, kto ma znacznie więcej doświadczenia ode mnie. Mister Shatterhand, tylko pan może pójść do Komanczów!

— Muszę pozostać przy wodzu. Nie mogę powierzyć go nikomu.

— Jestem wprost przeciwnego zdania. Strzeżenie jeńca jest stokroć łatwiejsze od pertrakowania z wojownikami. Obawiam się, że mógłbym przy tej okazji popełnić szereg głupstw, które sprowadziłyby na naszą głowę niebezpieczeństwo.

— Lubię taką szczerą bez osłonek. Jakże jednak mogę panu powierzyć wodza, skoroś taki naiwny?

— A jednak pan powinien — odparł z ulgą. — Oddamy panu wodza w nienaruszonym stanie.

— Tak — potwierdził Dżafar. — Nie jestem ani tchórzem, ani idiotą. Wiedziałem, że można mu ufać o wiele bardziej, niż Perkinsowi.

Wypadało mi zostawić wodza pod ich opieką.

Miejsce grobów wodzów było mi znane. Na południowym stoku góry Makik Natun widnieje wgłębienie o stromych ścianach. Cztery groby mieszczą się obok siebie na zachodniej stronie wgłębienia; nie ma tam drzew, rosną jedynie krzewy. Z kąta wgłębienia wytryska z żółtego kamienia źródło. Według wszelkiego prawdopodobieństwa przy nim to Indianie rozbili namioty. Plac w pobliżu grobów był pusty; rosnące tu niegdyś rośliny znikły pod wpływem częstych uroczystości pogrzebowych. Za to krzewy otaczały wgłębienie z prawej i lewej strony, tworząc rodzaj żywopłotu na wschód i zachód, co było dla mnie okolicznością korzystną. A więc tu, we wgłębieniu Makik Natun, rozstrzygnąć się ma los jeńców! Oczywiście, moje życie również będzie wisiało na włosku. Indianin bowiem, gdzie indziej nawet skłonny do pokojowego załatwiania zatargu, w obliczu grobów wojowników, którzy padli w walce, staje się uosobieniem nienawiści, upostaciowioną żądzą zemsty.

Jak widać, dla przeprowadzenia swych planów niezbyt bezpieczne wybrałem miejsce. Musiałem się na nie zdecydować, gdyż ze względu na możliwość egzekucji w dniu jutrzejszym, nie można było sprawy odkładać.

Dotarliśmy tymczasem śladami Komanczów do miejsca, odległego o jakieś pół godziny od Żółtej Góry. Skręciliśmy teraz na zachód. Jakiś czas jechaliśmy pod górę; wreszcie zatrzymaliśmy się, nie

docierając do szczytu.

— Czy zsiądziemy z koni? — zapytał Perkins.

— Tak — odrzekłem. — Gdybyśmy dotarli aż na szczyt, porośnięty drzewami i krzewami, mógłby ktoś napaść na was podczas mej nieobecności. Jeden, jedyny czerwonoskóry mógłby zastrzelić was z zasadzki i oswobodzić wodza.

— Hm, to prawda!

— Tutaj okolica jest wolna i z daleka widać każdego, kto się zbliży. Gdyby zjawiała się gromada czerwonoskórych, czego się zresztą nie należy spodziewać, możecie ich zaszachować lufami strzelb. A w najgorszym wypadku, gdybyście się nie mogli bronić z powodu przeważającej liczby przeciwników, wystarczy groźba, że zabijecie wodza. Pod jej wpływem nie odważą się was tknąć. No, teraz pójdę na poszukiwanie czerwonych. Oczywiście, nie mogę przewidzieć, jak długo potrwa moja nieobecność.

— *Well!* — Przyznaję panu rację, sir. Zostaniemy tutaj! Zsiadajmy z koni.

Zeskoczywszy z wierzchowców, ściągnęliśmy na ziemię przymocowanego do siodła To-kej-chuna. Spętałem go sam dla pewności, że nie umknie. Gdy Dzafar i Perkins przywiązali konie do wbitych w ziemię palików i usiedli obok jeńca, zwróciłem się do nich z następującą przestrogą:

— Nie zważajcie na żadne jego prośby ani obietnice. Nie pozwólcie się nikomu zbliżyć.

— Dobrze, dobrze, wiemy wszystko. Bądź przekonany sir, że będziemy go pilnować, jak oka w głowie.

Pomimo tych zapewnień oddaliłem się na wierzchowcu z pewnym niepokojem w sercu.

Była godzina przedwieczorna. Chciałem za wszelką cenę oswobodzić jeńców przed zapadnięciem zmroku. Wiedząc, że Indianie bywają przy podobnych targach i pertraktacjach niezwykle powolni, musiałem się śpieszyć. Ruszyłem więc kłusem ku grobom wodzów, badając stan swoich strzelb i rewolweru.

Wspomniałem przed chwilą, że krzaki ciągnęły się na zachód od wzgórza. Pragnąłem jak najdłużej pozostać w ukryciu. Trzymałem się linii krzaków, które dawały doskonałą osłonę. Dotarłem wśród nich do wgłębienia i skręciłem w kierunku polany. Rzuciwszy przelotne spojrzenie na pusty plac, zobaczyłem, że Indianie, zgodnie z moim przypuszczeniem, obozują w tyle, nad źródłem. Kilku z nich pracowało przy czterech grobach wodzów; ze względu na jutrzejszą uroczystość wbijali w mogiłę lance i wieszali na nich swe leki. Konie pasły się na przednim planie.

Ujrzałem mnie, gdy skręciłem w kierunku polany.

Tu, w tym świętym miejscu, jakiś biały! I to w chwili, gdy wykopali topór wojny! Zjawisko tak niesłychane, że Indianie zamilkli; dopiero po chwili cała gromada zaczęła przeraźliwie krzyczeć. Chwycili za broń i skoczyli ku mnie.

— Milczeć, cicho! — przekrzyczałem ich wrzaski. — Słuchajcie, co wam powiem!

Po tych słowach wywinąłem ciężką niedzwiedziówką kilka młynców aby odsunąć od siebie paru młokosów, którzy napierali zbyt zaciekle. Dzięki tym manewrom, ten i ów poczuł ciężar kolby. Rycząc jeszcze głośniejszym głosem, usiłowali podejść do mnie. Jakiś starzec przekrzyczał jednak wszystkich:

— Uff, uff! Milczcie, wojownicy Komanczów! Dobry Manitou zesłał nam wielki połów. Człowiek ten należy do najślawniejszych białych twarzy. Jutro zginie przy palu męczarni wraz z tymi oto!...

Rzuciłem okiem we wskazanym przez starca kierunku i ujrzałem na ziemi sześciu białych jeńców.

Gdy czerwoni zamilkli, starzec podjął z triumfującą miną: — Nie od razu poznałem tego białego człowieka, ponieważ nie] nosi stroju strzelca. Słuchajcie, wojownicy Komanczów! To Old Shatterhand.

— Old Shatterhand! — rozległy się zdumione, groźne okrzyki. Równocześnie stojący obok mnie cofnęli się odruchowo.

— Tak jestem Old Shatterhand, przyjaciel i brat wszystkich czerwonych mężów, którzy kochają dobro, a nienawidzą zła — rzekłem. — Nie umrę tu u was przy palu męczarni, ponieważ wysłał mnie wasz wódz, To-kej-chun. Przybyłem jako jego wysłannik. Tego, kto się poważy mnie dotknąć, nie będę karać śmiercią, ukarze go bowiem To-kej-chun!

Wypowiedziałem te słowa z wielką pewnością siebie, nic więc dziwnego, że wywarły zamierzony skutek. Indianie cofnęli się jeszcze bardziej i zaczęli coś szeptać między sobą. Patrzyli na mnie nieprzyjaźnie, ale poznać było, że uważają mnie za wroga nietykalnego. Tylko starzec podszedł nieco bliżej i zawołał:

— To-kej-chun cię wysłał? To kłamstwo!

— Kto śmie twierdzić, że Old Shatterhand kłamał kiedykolwiek? — Ja! — odparł.

— Kiedy i gdzie?

— Gdyś zbiegł, nie bacząc na to, iż byłeś naszym jeńcem.

— Powiedz, jakie kłamstwo wypowiedziałem?

— Skłamałeś nie słowami, lecz czynem. Udawałeś naszego przyjaciela, a postępowałeś jak wróg.

— To twoje usta przepelnione są kłamstwem. Czyż nie miałem w swej mocy syna To-kej-chuna? Czy nie darowałem mu życia i nie przyprowadziłem go do was? Jak mnie za to wynagrodzono? Potraktowaliście mnie jak jeńca. Czyż to postępek był godny nagany? Mój, czy wasz?

— Wolno ci było odejść, ale oswobodziłeś również jeńców! — odparł z mniejszą już pewnością siebie.

— Byli moimi towarzyszami. Rada waszych mędrców zwróciła im wolność.

— Zmusiłeś ją do tego pięścią i strzelbami. Nie jesteś ani naszym bratem, ani przyjacielem. To-kej-chun nie wysłał cię do nas.

— Jest tak, jak powiedziałem: wysłał mnie tutaj!

— Możesz to udowodnić?

— Mogę.

— Uff! Jakże wąż może udowodnić, że ukąszenie jego nie jest trujące? Otwórz usta, a przekonasz się, czy ci uwierzymy!

— Uwierzycie mi, gdy wręcę wam totem.

— Totem? To-kej-chuna! Wódz pozostał w tyle. Dlaczegoś śle wysłańca? Dlaczego sam nie przybywa?

— Nie może. Kto go tu zastępuje? — Ja.

— A umiesz przeczytać totem?

— Potrafi to wielu spośród nas. — Oto on!

Wyciągnąłem z kieszeni zapisane kartki i podałem starcowi. Wziął je do ręki i polecił swym ludziom:

— Otoczcie kołem tę bladą twarz i nie puszczajcie jej z miejsca! Chce nas oszukać. Totem powinien być nacięty na skórze, a nie wypisany na substancji, którą biali zowią papierem. Taki papier nie może mieć nigdy znaczenia totemu.

Ach! Nie może mieć nigdy znaczenia totemu! Więc stąd te błysk zadowolenia w oczach wodza, gdy mu polecił pisać na papierze. To, co narysował, nie było równoznaczne z totemem i nie chroniło mnie! Nie zbiło mnie to jednak z tropu: miałem ochronę w czymś innym. Wskutek wezwania starca Indianie znów się stłoczyli dookoła mnie. Podniosłem więc strzelbę i zawołałem:

— Odstąpcie precz! Słyszeliście o tej broni zaczarowanej, z której można strzelać bez przerwy? Kto wyciągnie po nią rękę, temu strzelę w łeb. Rozstąpcie się! Nie chcę odejść, chcę się tylko swobodnie poruszać.

Położyłem palec na spuście strzelby, ująłem w prawą rękę rewolwer i dałem młasnieniem znak wierzchowcowi. Koń wykonał kilka susów i oczyścił mi drogę. Skręciłem w kierunku jeńców.

Wiedziałem, że mogę sobie na to pozwolić. Nie było chyba Komancza, który nie słyszał o mojej "czarodziejskiej" strzelbie. Jako ludzie przesądni, byli święcie przekonani, że nic nie zdoła się oprzeć tej broni. Widząc ją w moim ręku, i to w dodatku gotową do strzału, zaczęli się cofać. Tylko starzec znowu zbliżył się nieco i zawołał:

— Dokąd pędzisz? Do pojmanych bladych twarzy?

— Tak.

— Tego ci nie wolno! — *Pshaw!*

Spiąłem konia ostrogą. Starzec zbliżył się jeszcze bardziej, wyciągnął rękę ku lejcom i wrzasnął:

— Ani kroku dalej, bo wezmę cię do niewoli!

— Spróbuj tylko! Ciekaw jestem, kto się odważy zabronić czegokolwiek Old Shatterhandowi!

Zatrzymałem konia i skierowałem lufę w starca.

— Uff,uff! — zawołał przerażony i znikł w tłumie czerwonoskórych. Nie ulegało wątpliwości, że gdyby ktoś inny był na moim miejscu,

Komancze poczynaliby sobie z nim zupełnie inaczej; bez wątpienia ściągnęliby go z konia i związali. Ale mnie nie tknęli. Dlaczego? Powodów było kilka. Przede wszystkim wiedzieli dobrze, że jestem wysłańcem wodza. Po drugie, bali się jak ognia mej broni. Po trzecie zaś, cieszyłem się opinią śmiałka i mogłem sobie na wiele pozwolić. Dla kogoś innego było by to zuchwałstwo; dla mnie zwykle wyrachowanie, wykorzystanie okoliczności. Po czwarte wreszcie, wystąpienie moje oszołomiło ich poprostu. To, co uczyniłem, było dla nich postępkim człowieka, wyposażonego w "wyższej miary leki". Znowu cofnąłem konia. Powitało mnie głośne wołanie: — Old Shatterhand! Dzięki Bogu! Widok pana napęlnia mnie prawdziwą rozkoszą.

Nie chcąc jeszcze bardziej podniecać czerwonoskórych, nie odpowiedziałem na te słowa Jima Snuffle. W pobliżu białych, tuż pod skałą, zatrzymałem się, zsiadłem z konia i oparłszy się o ścianę skalną, usiadłem na ziemi.

Indianie otoczyli mnie półkolem, ale trzymali się w przyzwoitej odległości, gdyż tajemniczą strzelbę miałem gotową do strzału. Przynajmniej chwilowo czułem się bezpiecznie.

Stary, który ochłonał ze strachu, pokazał się znowu; skinąłem nań i rzekłem:

— Niech mój czerwony brat przeczyta totem. Zrozumie, że przybyłem tu, aby uchronić od śmierci wodza Komanczów, To-kej-chuna.

— Od śmierci? — zapytał z przerażeniem. — Znajduje się w niebezpieczeństwie?

— Nawet w bardzo wielkim. Jeżeli w przeciagu okresu, który biali zowią pół godziny, nie wrócę do niego, umrze.

— Uff, uff, uff! — rozległo się w półkolu.

Starzec usiadł na przeciw mnie i pochylił się nad kartkami, by odcyfrować totem. Przyjrzałem się teraz bacznie jego twarzy. Wydał mi się człowiekiem sprytnym. Po chwili podniósł głowę i spojrział na mnie przenikliwie. Odgadł znaczenie pierwszej grupy figur, przekonał się z niej, że wódz jest moim jeńcem. Potrząsnął głową i znowu pochylił się nad totemem.

Odcyfrowywał go w dalszym ciągu z kamienną twarzą. Po odłożeniu ostatniej kartki, patrzył długo w ziemię. Widocznie namyślał się. Uważałem, że nie należy mu przeszkadzać. Po jakimś czasie spojrział na mnie groźnie.

Skinął na jednego z Indian, odznaczającego się siłą i zgrabną budową, i kazał mu usiąść obok siebie. Szeptali, nie patrząc na mnie. Trwało to dosyć długo. Wreszcie wezwany przez starca Indianin wstał i wrócił do towarzyszy stojących w półkoło. Dziwne zachowanie pod wpływem totemu nie podobało mi się. Spodziewałem się wielkiego poruszenia, liczyłem na niebezpieczeństwo, a tymczasem ten spokój! Ogarnęło mnie niesamowite uczucie. Stary patrzył przed siebie w głębokim milczeniu; czerwoni obrzucili go pytającymi spojrzeniami. Nie odpowiadał. Przerwałem ciszę następującym zapytaniem:

— Czy mój czerwony brat zrozumiał totem wodza?

— Zrozumiałem — odparł.

Po tych słowach podniósł się wolno i skierował do wojowników następujące, dziwne dla mnie wezwanie:

— Stało się coś, w co uwierzyć trudno. Bracia moi zaraz się dowiedzą. Wzywam ich jednak, aby nic nie mówili i zachowali zupełny spokój; jest to rozkaz, wydany dla dobra naszego wodza.

Zwrócił się teraz do mnie i zapytał:

— Old Shatterhand wziął To-kej-chuna do niewoli? — Tak.

— Wódz został ranny? — Nie.

— Czy stało się to w obecności dwóch białych, z których jeden znikł nam wczoraj w tajemniczy sposób?

— Tak.

— Cóż stanie się z To-kej-chunem?

— Umrze, jeżeli w ciągu kwadransa doń nie powrócę. Zastosuj się więc do poleceń, zawartych w totemie.

— Wódz mówi mi w totemie, że masz zamiar uwolnić go. Za cóż to?

— Za tych sześciu jeńców. W zamian za odzyskanie leków. To-kejchun chce zwrócić wolność tym sześciu białym. Kiedy sam odzyska wolność, nie wiadomo. Zależy to od mojej dobrej woli.

— Tak. Taka jest treść totemu. Nie musimy jednak być totemowi posłuszni, gdyż nie został sporządzony na skórze. Dobrze o tym wodzowi wiadomo.

— W takim razie wódz zginie.

— Nie. Old Shatterhand jest na ogół rozsądną bladą twarzą, ale tym razem przeliczył się.

— Możesz być pewny, że mam rację.

Wyrzekłem te słowa, aby sprowokować jakieś nieostrożne oświadczenie. Nie ulegało dla mnie wątpliwości, że coś ukrywa. Osiągnąłem swój cel, odparł bowiem:

— Wkrótce przekonasz się, żeś się mylił. Zaczekaj, aż się naradzę ze starszyzną naszych wojowników.

— Śpieszcie się, gdyż jeżeli podany przeze mnie termin upłynie, nic nie zdoła uratować wodza.

Pomimo tego wezwania, nie śpiesząc się wcale, zebrał kilku spośród Indian i obradował z nimi szeptem. Wojownicy, stosownie do rozkazu, zachowywali bezwzględny spokój; tylko błyszczące spojrzenia, ku mnie skierowane, świadczyły o ich podnieceniu.

— "Wkrótce przekonasz się, żeś się mylił" — brzmiała odpowiedź, do której przywiązywałem wielką wagę. Skrywał jakieś zamiary. Może już w czyn je wprowadza. Cóż ma na myśli? Chodzi z pewnością o oswobodzenie wodza. Gdyby się to udało, Dżafar i Perkins dostali by się do niewoli, a mnie tu obezwładnią.

Jeżeli istotnie, powziął taki zamiar, nie trudno mu będzie go zrealizować. Z totemu wiadomo mi, że wódz pilnuje tylko dwóch ludzi. Termin, który mu nazaczyłem, określa w przybliżeniu odległość od miejsca, w którym znajduje się To-kej-chun. Miejsce to łatwo znaleźć; wystarczy pójść w tył za

śladami. Jeżeli przypuszczenie moje okaże się słuszne, wszystko zależne będzie od tego, czy Dżafar i Perkins zachowają się tak jak im rozkazałem.

Szeptał coś z uczestnikami narady, którzy raz po raz obrzucali mnie szyderczym spojrzeniem. Ponadto chytry wyraz jego twarzy umocnił mnie w przekonaniu, że się nie mylę. Starzec bawił się poszczególnymi kartkami, potem zaczął składać je razem. Przyzwyczajony do zwracania na wszystkie uwagi, zauważyłem że jednej kartki brak.

Czyżby ją dał czerwonemu, z którym się niedawno naradzał? Być może, zem tego przedtem nie zauważył. Pod wpływem tej kartki obydwaj towarzysze gotowi popełnić jakąś nieostrożność. Wystarczy, aby któryś z Indian zbliżył się do nich, pokazał im kartkę i powiedział, że to kartka ode mnie. Ogarnął mnie niepokój. Muszę za wszelką cenę rozproszyć wątpliwości. Trzeba ustalić liczbę Indian. W tym celu wstałem z ziemi. Aby upozorować zmianę pozycji, sięgnąłem do kulbaki i wyciągnąłem z niej mięso zajęcze, któreśmy przedtem upiekli. Jadłem, stojąc. Oko moje ogarniało wszystkich Indian, mogłem ich więc policzyć.

W pierwszej chwili zmiana pozycji zwróciła uwagę czerwonych; uspokoił ich widok mięsa. Biali, spokojnie zajadający pieczeń we wrogim obozie indiańskim, z pewnością nie żywi groźnych zamiarów. Zacząłem więc liczyć: brak pięciu ludzi, wśród nich tego, z którym starzec mówił na początku. Odeszli, czy też odjechali konno? Druga ewentualność była bardziej prawdopodobna ze względu na to, że nie zechcą tracić czasu. Nie widziałem, kiedy podeszli do koni, ponieważ byłem zewsząd otoczony. Czy mam czekać spokojnie na to, co się stanie dalej? Nie! Jeżeli wódz odzyska wolność i zdąży dotrzeć do obozu, gra jest przegrana. Skoro go jednak spotkam po drodze, błąd może da się jeszcze naprawić.

Niedźwiedziówkę miałem przewieszoną przez plecy, drugą strzelbę trzymałem w ręku. A więc stary wysłał tylko pięciu wojowników! Uspokoilo mnie to nieco, jakkolwiek zdawałem sobie sprawę, że tym większa ilość zagrażać mi będzie bezpośrednio.

Stary skinął na kilku Indian, aby usiedli obok niego. Odwróciło to uwagę od mojej osoby. Wykorzystując pomyślny moment, wskoczyłem na siodło, spiąłem konia ostrogami i pomknąłem przez szeregi Indian. Umyślnie skierowałem wierzchowca ku miejscu, w którym najliczniej byli zebrani, wiedziałem bowiem, że im większe wywołam zamieszanie, tym później się opamiętają i tym później zaczną mnie ścigać.

Powaliwszy kilkunastu czerwonych, skierowałem konia ku zakrętowi, spoza którego przybyłem. W pierwszej chwili Indianie oniemieli; ochłonawszy, zaczęli ryczeć jak dzikie bestie. Zapewne skoczyli później na koń. Zniknąłem im z oczu za zakrętem i zacząłem pędzić po własnych śladach. Jeden rzut oka, a przekonałem się, że jechało już tędy pięciu Komanczów.

Każda chwila była teraz niezwykle droga. Wydobyłem z wierzchowca największą szybkość; lecieliśmy jak wichur przez rzadkie zarośla. Po jakimś czasie wydobyłem się z nich, by rzucić okiem na równinę. Ach, w kierunku góry i krzaków pędzi galopem oddział jeźdźców! A więc wyprawa udała się pięciu Komanczom! Oswobodzili wodza, schwytali Dżafara i Perkinsa.

Miałem teraz przed sobą pięciu Indian, za sobą zaś przeszło sześćdziesięciu.

Zdawałem sobie sprawę, że muszę znowu pochwycić wodza i uwolnić dwóch towarzyszy. Poszłoby mi to łatwo, gdybym zastrzelił tych pięciu czerwonych. Jednakże chciałem tego uniknąć nawet w tak niebezpiecznej sytuacji. Musiałem się natomiast zdecydować na zabicie ich koni.

Jeśli już pomnę przeciwników, następujących mi na pięty, miałem przed sobą wrogów, których nie mogłem lekceważyć. Ludzie, których się wysyła celem schwytania wrogów, są zwykle dobrze uzbrojeni. Na dobitek wódz odzyskał swój nóż i strzelbę.

Rozważając to wszystko, galopowałem przez zarośla. Dotarłszy do miejsca, w którym ślady

zbaczały ku otwartej równinie, zatrzymałem konia i pogłaskałem go po szyi, aby stał spokojnie. Nie zsiadłem z siodła. Liczyłem się z tym, że będę zmuszony powalić kilku Indian przy pomocy wierzchowca.

Wziąłem strzelbę do ręki i wychyliłem się nieco spoza krzaków. Czy przybędą do miejsca, na którym teraz stoję? Ależ tak, pędzą tu kłusem! Można już było rozpoznać twarze.

Na przodzie jechał wódz ze strzelbą opuszczoną lufą ku ziemi. Za nim gęsiego trzej Indianie, za nimi zaś jeszcze dwaj, prowadząc konia, na którym siedzieli Dżafar i Perkins. Kiedy się zbliżyli na odległość czterdziestu kroków, przyłożyłem strzelbę do ramienia. Koń mój stał jak wryty. Pierwszy strzał trafił wierzchowca wodza; koń zwał się po paru krokach. Nie mogłem śledzić, co się stało z To-kej-chunem, musiałem bowiem skierować całą uwagę na wierzchowców jego ludzi; pięć strzałów powaliło je na ziemię. Teraz dopiero obejrzałem się za wodzem. Leżał pod koniem i robił rozpaczliwe wysiłki, aby wyrwać nogę ze strzemienia; strzelba wypadła mu z ręki i potoczyła się gdzieś daleko. Dwaj Indianie leżeli jeszcze na ziemi; pozostali trzej podnieśli się i patrzyli z przerażeniem na miejsce, z którego rozpoczęła się strzelanina. Wydałem bojowy okrzyk Indian i popędziłem ku nim w pełnym galopie. Ujrzawszy mnie, zrezygnowali z oporu i rzucili się do ucieczki. Dwaj towarzysze podążyli wnet za nimi, wydając nieludzkie wrzaski. Posłałem im na drogę dwa strzały i w ten sposób pozbyłem się całej piątki.

A teraz do wodza! Właśnie się podnosił. Dopadłem go na swym wierzchowcu i zdzieliłem kolbą po łbie z taką siłą, że się zwał nieprzytomny. Należało teraz pomyśleć o towarzyszach. Nie mogli kierować koniem, gdyż ręce mieli przywiązane do pleców, a nogi przytwierdzone do strzemion. Zeskoczywszy z konia, poprzecinałem im rzemienie i rzekłem:

— Później pomówimy. Teraz jazda! Ściga mnie przeszło sześćdziesięciu czerwonych. Wsadźcie mi wodza na konia. Prędko, prędko!

Dosiadłem wierzchowca, oni zaś zeskoczyli z konia i podnieśli To-kej-chuna. Umieściłem go na siodle w tej samej prostopadłej pozycji, co poprzednio, po czym w pełnym galopie ruszyliśmy przez równinę. Po upływie jakichś trzydziestu sekund usłyszeliśmy za sobą przeciągły ryk, wydobywający się z wielu piersi. Obejrzawszy się, zobaczyłem, że ścigający Indianie przybyli na miejsce, w którym położyłem trupem piątkę koni i zauważyli towarzyszy, którzy ochłonawszy z pierwszego przerażenia, z daleka przyglądali się moim poczynaniom. Zgraja Indian ujrzała oprócz towarzyszy i naszą grupkę, unoszącą wodza. Wydając jeszcze straszliwsze okrzyki, podwoiła szybkość.

— Do diabła, dogonią nas! — jęknął Perkins, dzwoniąc ze strachu zębami.

— Nie dopuszczę do tego — uspokoiłem go. — Nie ma powodu do obawy. Wygraliśmy partię.

— Oby tak było! Jakim jednakże sposobem?

— Nie śpieszmy się; chciałbym dopuścić Indian na bliższy dystans. Wkrótce zbliżyli się na taką odległość, że mogłem ich dosięgnąć niedźwiedziówką. Wódz miotał się na koniu. Musieliśmy więc zatrzymać się, aby go zwięzać. Trzeba było zsiąść z koni. Przywiązaliśmy To-kej-chunowi ręce do pleców; oprzytomniał teraz zupełnie. Widząc, że wojownicy nadciągają, zaczął się opierać. Wtedy zabraliśmy się don ostro.

— Wsadź go pan na wierzchowca, mister Dżafar — rzekłem — i przywiąż mocno.

— Dlaczego właśnie na wierzchowca? — zapytał Perkins.

— Niech wojownicy ujrzą, jak piękny i wyraźny cel mam przed sobą. To-kej-chun zrozumiał, że nie żartuję, i przestał się opierać. Mimo to straciliśmy nieco czasu — Komancze zbliżyli się znacznie.

— Za chwilę tu będą — jęknął przewodnik.

— Przeciwnie, w tej chwili zatrzymają się — odparłem. — Poproszę ich oto.

Przyłożyłem do ramienia niedźwiedziówkę i dwukrotnie dałem ognia. Zwały się dwa wierzchowce, ciągnąc za sobą *jeźdźców*. Nie bacząc na moje strzały, Indianie pędzili za nami w dalszym ciągu. Skierowałem więc ku nim sztucer. Sześć kolejnych strzałów położyło sześć koni. Teraz zatrzymali się, wydając wściekle okrzyki. Skorzystałem z tego; nabiłem broń i rzekłem groźnie do To-kej-chuna:

— Słońce stoi już bardzo nisko. Skoro zniknie za horyzontem, zastrzelę cię, o ile do tej chwili blade twarze nie zostaną mi wydane. Old Shatterhand nie przysięga nigdy, ale te słowa są równoznaczne z przysięgą. Nie licz więc na moją pobłażliwość. Przebrała się miarka!

Uśmiechnął się wyniośle i rzekł:

— Rozsądek nie pozwoli ci na to. Jestem w twych rękach zakładnikiem, którego nie wolno ci zabić. Ratunek bladych twarzy zależy od tego, czy będziesz mnie miał w swej mocy. Dlatego śmieję się z twoich pogroźek.

W odpowiedzi, roześmiałem mu się w nos i odparłem:

— To-kej-chun uważa się za mądrego i jest przekonany, że przebiegłością wyprowadzi w pole Old Shatterhanda; otóż wiedz, że to, c uważałeś za przebiegłość jest po prostu krótkowzrocznością. Prawda, traktuję cię jako zakładnika, którego zamierzam wymienić na blade twarze; dlatego też wezwałem cię, abyś obecnie umożliwił tę zamianę. Ociąganie się twoje wywoła najgorsze skutki. Wyznaję zasadę: wolność za wolność, życie za życie. Jeżeli mi wydasz jeńców, puszcę cię wolno. Jeżeli nie, będzie to dla mnie dowodem, że pragniesz śmierci. Nie targuj się i nie trać na próżno czasu! Słońce niedługo już zajdzie i z tą samą chwilą zgaśnie również światło twego życia.

Z ponurą miną, nie mówiąc ani słowa, wódz czekał do chwili, której słońce niemal już tknęło horyzontu. Wtedy Dżafar zdjął strzelbę z ramienia i rzekł:

— Już czas, mister Shatterhand. Kto ma strzelać? Pan, czy ja?

— Obydwaj — odrzekłem.

— Nie, wszyscy trzej — wtrącił Perkins. — Chcę, żeby i mnie przypadła w udziale zasługa uwolnienia ludzkości od tego łotra. Daj tylko znak, sir!

Po tych słowach, wypowiedzianych pod moim adresem, wycelował w kierunku wodza. Podniosłem strzelbę, i spojrzawszy na zachodzące słońce, odparłem:

— Dobrze, zgadzam się. Mierz pan prosto w głowę. Niechaj śmierć zniszczy słaby mózg. Potem oskalpujemy go, zabierzemy mu leki i rzucimy je na pożarcie wilkom prerii by dusza jego nie mogła ulecieć ku Wiecznym Ostępom.

Widząc trzy lufy, skierowane ku czołu To-kej-chun zrezygnował z oporu i zawołał:

— Nie strzelajcie! Jestem gotów zgodzić się na wszystko, czego żądacie.

— Każ swoim wojownikom uwolnić jeńców i odesłać ich do nas — zażądałem. — Muszą im zwrócić wszystko, co zabrali. Jeżeli zabraknie choćby drobiazgu, nie minie cię kula.

— Wszystko odzyskają. A czy wtedy zwrócisz mi wolność?

— Tak. Okażę ci tę łaskę, ale dopiero wtedy, gdy blade twarze zjawią się tutaj wraz z całym swoim mieniem. Poręczymy to fajką pokoju.

— A więc przywołam jednego z wojowników; dam mu odnośnie rozkazy.

— Odpowiada mi to bardziej, niż dawanie rozkazów na odległość. To-kej-chun wymienił głośno jakieś imię, polecając, aby człowiek,

który je nosi, przybył doń natychmiast; zapewnił go również, że mu się nic złego nie stanie. Wymieniony wojownik usłuchał rozkazu. Rzecz zrozumiała, że zbliżył się niepewnym krokiem. Nie odstępowały go podejrzania. To-kej-chun wydał mu zlecenia. Wojownik zdumiał się, słowa wodza rozczarowały go z pewnością. Nie rzekł jednak ani słowa i odszedł. Z wielkim napięciem

patrzyliśmy w ślad za nim, zaciekawieni do głębi, jakie wrażenie wywrze nakaz wodza.

Otoczyli wysłańca kołem. Z głębokiego ich milczenia wywnioskowaliśmy, że zrozumieli, iż muszą ustąpić wobec konieczności. Po chwili koło otworzyło się; ujrzeliśmy jeńców na koniach. Zwrócono im broń. Jechali szybko w naszą stronę, prowadząc za sobą konia Perkinsa. Nie towarzyszył im nikt z Indian.

Na przodzie jechali na swych mułach bracia Snuffle. Jim zawołał:

— Chwała Bogu, żeśmy znowu razem, mister Shatterhand! Powiadam panu, że to prawdziwa rozkosz. Niechaj nas pożre pierwszy spotkany niedźwiedź, gdybyśmy kiedyś zapomnieli panu tę przysługę. Racja, stary Timie?

— *Yes*. Tym razem śmierć pełzała koło nas bliźutko. Ale też byliśmy głupcami...

— Nie martwcie się o to, — rzekłem z uśmiechem — i nie dziękujcie. I mnie zdarzało się już kilka razy spaść z pieca na łeb. Ale, ale, odzyskaliście swoje rzeczy?

— Tak.

— Wszystkie? Może czegoś brak?

Okazało się, że czerwoni zatrzymali parę drobiazgów bez wartości. Ponieważ zaczęło się ściemniać, zrezygnowałem z dosłownego wypełnienia swego żądania. Kazałem wodzowi zdjąć więzy, aby mógł zsiąść z konia. Oswobodzeni przed chwilą jeńcy wdali się w ożywioną rozmowę z Dżafarem i Perkinsem. Poleciwszy im odłożyć ją na później, wezwałem wodza, aby usiadł na ziemi. Ulokowałem się obok niego i napełniłem tytoniem swą fajkę pokoju. Powtórzyłem raz jeszcze warunki, na których go zwalniam, podkreślając, że zobowiązał się powstrzymać od zaczepnych kroków przeciw komukolwiek z nas.

Potem, stosownie do przyjętych zwyczajów, pociągnąłem z fajki sześć razy i puściwszy dym w czterech kierunkach wiatru, do nieba i ku ziemi, wezwałem wodza, aby uczynił to samo. Spełniwszy me żądanie, wstał i zapytał:

— Czy jestem już wolny?

— Tak — odparłem. — Możesz wrócić do swoich wojowników. Oddaliwszy się na kilka kroków, zatrzymał się, odwrócił i rzekł:

— Old Shatterhand jest najchytrzejszy pośród wszystkich bladych twarzy. Zna zwyczaje czerwonoskórych prawie tak dobrze, jak ich samych. Ale jednego nie zna.

— Czego?

— Niechaj o tym sam pomyśli i niechaj nie wymaga ode mnie, bym go pouczał!

Po tych słowach oddalił się.

— Słyszałeś, sir? — zapytał Jim. — Brzmiało to, jak groźba. Poślij mu kulkę, ale zaraz!

— Ani mi się śni! Darowałem mu życie i wolność. Dotrzymam słowa.

— Ale czy To-kej-chun dotrzyma?

— To jego sprawa. Mnie to obecnie już nie interesuje. Przede wszystkim musimy się stąd jak najprędzej oddalić. Siadajcie na koń!

— Dokąd pojedziemy?

— Musimy czerwonym zejść z oczu.

Indianie powitali wodza takim samym milczeniem, z jakim przedtem, przyjęli jego rozkaz. Gdy zobaczyli, że się oddalamy, żaden z nich nie pomyślał nawet o pościgu. Wkrótce znikliśmy im z oczu.

Licząc się z powierzchnią gruntu, obrałem kierunek zachodni. Gdy zapadła ciemność zupełna i nie mogło już być mowy o tym, aby nas dojrzał któryś z Komanczów, nawet w pościgu, zatrzymałem się i rzekłem:

— Teraz musimy ustalić, w którą się zwrócimy stronę. Mister Dżafar, chciałeś się udać do

Nowego Meksyku? Czy nakreśliłeś sobie plan podróży?

— Tak — odrzekł zamiast Dżafara Perkins. — Obraliśmy sobie drogę między Beaver Creek a Hazelstraits. Czy pan zna to miejsce?

— Byłem tam niegdyś.

— Uważa pan, że wybraliśmy dobrą drogę?

— Tak.

— *Well* Ale zamiast nad Beaver Creek, znajdujemy się u stóp Makik Natun. Teraz, wśród nocy, będzie się trudno zorientować.

— Nie obawiajcie się. Doprowadzę was do miejsca, w którym już sami dacie sobie radę.

— Tylko do tego miejsca? A więc pan nie będzie nam przez cały czas towarzyszyć?

— Nie. Muszę śpieszyć na południe. Skoro poznacie drogę, nie będę wam potrzebny. Dżafar wtrącił:

— Może zrezygnowalibyśmy z pana znajomości topografii, ale nie możemy zrezygnować z pana towarzystwa. Pomyśl tylko, sir, z jakich opresji wyszliśmy dopiero niedawno i jakie nas jeszcze czekają.

— Wiedzieliście przecież o nich i byliście przygotowani na wszelkie przeciwności. Pan ma trzech przewodników i dwóch służących. Jeżeli dodasz do tego, sir, braci Snuffle, będziesz miał orszak z ośmiu ludzi, którzy nie noszą duszy na ramieniu. Ja przybyłem tu sam z gór Gros Ventre, droga moja prowadziła prawie ciągle przez teren wrogich mi Indian, a jednak nie czułem lęku.

— Pan, cóż w tym dziwnego! Czy nie mógłby pan pozostać z nami, przynajmniej dopóki nie przestanie nam grozić niebezpieczeństwo Komanczów?

— Hm. Właściwie nie mam czasu.

— Mimo to proszę jeszcze raz, pozwól się, sir, przebłagać. Jestem dla pana obcym człowiekiem, nie zechcesz zapewne ponieść dla mnie takiej ofiary. Uczyni to więc przez wzgląd na swego Hadzi Halefa Omara, którego byłem gościem!

— *Yes*, zgódź się, sir, — wtrącił mało rozmowny Tim Snuffle. — Mogę dowieść, że jesteś nam bardzo potrzebny.

— Tak? Proszę bardzo, stary Timie!

— Nic w tym trudnego. Oto pięciu gentlemanów, to jest ten cudzoziemiec, jego dwóch służących i trzech przewodników. Czy nie wpadli w ręce czerwonych?

— No tak.

— A więc pan przyznaje, że potrzebują opieki? — Przecież wy będziecie im towarzyszyć.

— *My? Pshaw!* Bracia Snuffle. Dotychczas wierzyłem naprawdę, że jesteśmy Bóg wie jakimi zuchami, ale obecnie... Wpakowaliśmy się w łapy czerwonych jak greenhorny. Nie jesteśmy odpowiednią ochroną dla tych pięciu gentlemanów. Gdyby nie pan, wszystkich nas przybito by jutro do pala. Czyż to nie wystarczający dowód, że i nadal pan jesteś nam potrzebny? Mam rację?

— Cóż ci się stało, stary Timie? — zawołał zdumiony Jim. — Nie poznaję cię! Nigdy w życiu nie wygłosiłeś takiej tyrady.

— *Well*. Również obecnie nie przyszło mi to łatwo. Wolę spać całą noc z niedźwiedziem grizzly, niż mówić. Sądziłem jednak, że tym razem jest to moim obowiązkiem. Nie jesteś tego samego zdania, mister Shatterhand?

Dżafar powtórzył swoją prośbę, pozostali przyłączyć się do niej również. Po chwili odrzekłem:

— Zgoda, niechaj się stanie zadość waszej woli. Odprowadzę was do granicy Nowego Meksyku, ale pod jednym warunkiem.

— Słucham — rzekł Jim.

— Musicie się stosować do mojej woli; nie wolno wam niczego przedsięwziąć bez uprzedzenia mnie.

Jim wahał się z odpowiedzią. Brat odparł jednak w jego imieniu:

— Ależ, oczywiście, to się samo przez się rozumie. Gdy Old Shatterhand jest z nami, musimy podporządkować nasze chęci jego woli.

Dżafar zgodził się chętnie. Służących nie pytano o zdanie. Perkins nie protestował; pozostali dwaj przewodnicy byli ludźmi ograniczonymi i zadowoleni, że ktoś chce wziąć na swe barki całą odpowiedzialność, zgodzili się z ochotą. Wobec takiej sytuacji Jim musiał również złożyć następujące oświadczenie:

— Nie mam nic przeciw temu, spodziewam się jednak, że w sprawach wielkiej wagi zostaniemy również wysłuchani.

— Żądanie to jest zbyt wysokie. Nie mam wcale zamiaru postępować z wami jak tyran. Jesteśmy sobie równi; nikt nie powinien wywyższać się nad drugim. Sądzę jednak, że w chwilach niebezpieczeństwa nie może działać każdy na własną rękę, że musi być ktoś, do którego wskazówek i poleceń wszyscy stosować się będą. Zaproponowałem siebie, przyznaję jednak, że każdy ma prawo swoją osobę zaproponować. Czy pan chce być przywódcą, Jim?

— Nie, dziękuję sir! Nie chcę za nic odpowiadać. Myślałem tylko o tym, że jako człowiek obdarzony mową, powinienem mieć prawo do wspólnych decyzji. A więc jesteś pan przekonany, że mimo ciemności znajdziesz drogę?

— Tak.

— Jak długo będziemy jechali? Bez przerwy do świtu?

— Nie. Tego od was żądać nie mogę. Byliście przecież skrupowani i z pewnością mało spaliście.

— Racja. Przynajmniej ja nie zmrużyłem oka. Muszę się zdrzemnąć choćby na godzinę.

— Będziecie mogli spać dłużej. Gdy oddalimy się na taką odległość, że Komancze nie będą mogli napaść na nas z nastaniem ranka, rozbijemy obóz.

— Ach! Więc nie dowierza pan Indianom? Mimo fajki?

— Tak, nawet mimo niej. Ostatnie słowa wodza brzmiały przecież jak wyraźna groźba.

— Spodziewam się tego! Oświadczył, że przeoczył pan pewien szczegół podczas ceremonii. Gdyby można odgadnąć, co miał na myśli!

— Wypaliliśmy kalumet, ale jego fajki nie tknęliśmy.

— Czy to stanowi jakąś różnicę?

— Właściwie nie. Między uczciwymi ludźmi nie ma różnicy, czy jedna, czy druga strona dostarczyła kalumetu. Jeżeli jednak Indianie skrywają wrogie zamysły, nie dają do tej ceremonii własnej fajki pokoju, lecz palą fajkę przeciwnika. Stąd na przyszłość pretekst do wymówki, że umowa jest ważna tylko wtedy, gdy została przypieczętowana własnym kalumetem.

— Czy nie pomyślał pan o tym, wypalając fajkę? — Owszem.

— I mimo to wziąłeś, sir, własną fajkę. Dlaczegoż to?

— Bo nie dałby swojej i szukałby wykrętów. Tymczasem termin byłby minął i wódz osiągnąłby swój cel.

— Jaki cel?

— Doczekałby się nastania zmroku. Wtedy nie byłibyśmy w stanie obserwować jego ludzi, zbliżyliby się więc i zaatakowali nas. Chciał zyskać na czasie. Aby temu zapobiec, wolałem nie żądać od niego fajki.

— No tak, ale za to nie dotrzyma słowa i będzie nas ścigać.

— To bardzo prawdopodobne. Nie odnajdziemy jednak, ponieważ odjedziemy tak daleko, że czerwoni nie będą mogli jutro rano rozpoznać naszych śladów. Wprowadzimy ich w błąd przez wciągnięcie w fałszywy kierunek. Hazelstraits, najbliższy cel naszej podróży, leży na zachód; tymczasem ruszymy na południe, a na zachód zboczymy dopiero wtedy, gdy znajdziemy twardego teren.

— *Well!* To bardzo sprytnie pomyślane, sir! Komancze będą nas ścigać w kierunku południowym. Skoro ślady nasze się skończą, będą przekonani, że ruszyliśmy dalej w tym samym kierunku i nie zboczą z niego. W ten sposób pozbędziemy się ich. Chyba zesłała nam pana Opatrzność, mister Shatterhand. Prowadź nas więc według swej woli. Nie powinniśmy pozostawać tu dłużej.

— Tak, musimy uciekać. Indianie widzieli, że ruszyliśmy na zachód, nie jest więc wykluczone, że będą ścigać nas w tym kierunku.

Objąłem rolę przywódcy. Do północy jechaliśmy w kierunku południowym, potem zboczyliśmy na zachód. Byłem przekonany, że czerwoni, przybywszy na to miejsce jutro około jedenastej rano, nie znajdą już naszych śladów i nie będą mogli stwierdzić, żeśmy im umknęli. Po jakiejś godzinie jeźdźcy byli już tak wyczerpani, że rozbiliśmy obóz. Ze względu na ogromne przemęczenie towarzyszy wyznaczyłem porządek czuwania jedynie dla formy i objąłem wartę na pierwsze dwie godziny. Skoro ten czas upłynął, nie obudziłem swego następcy. Pozostałem na posterunku aż do nadejścia dnia.

Dżafar zaopatrzył się obficie w prowiant. Obładował nim swego muła, który wpadł również czasowo w łapy Komanczów. Spalaszowali sporą część żywności, ale co nieco jeszcze pozostało. Więc nie traciliśmy czasu na polowanie i po skromnym śniadaniu, spożytym w pośpiechu, ruszyliśmy natychmiast w dalszą drogę.

Ubiegłego wieczora jechałem przodem, nie biorąc udziału w rozmowach towarzyszy. Nie wiedziałem o czym mówili, gdyż z powodu ciemności całą moją uwagę pochłonęło badanie terenu i przyglądanie się gwiazdom, które oświetlały nam drogę. Zresztą, nie warto było słuchać ich opowiadań, ponieważ sam widziałem i słyszałem to wszystko, co było z pewnością i przedmiotem ich rozmów. Natomiast dziś rano zapytałem jadącego obok mnie Perkinsa:

— Pewnie zapomnieliście wczoraj o tym, o co was tak usilnie prosiłem. Powtarzałem przecież, abyście dobrze pilnowali wodza i nie dali się przez żaden podstęp wyprowadzić w pole.

— Spodziewałem się tych wyrzutów, mister Shatterhand.

— Może pan nie zasłużył na nie?

— Hm! Łatwo panu o tym mówić. Teraz, gdy widzisz, sir, jak kij popłynął, wiesz również, jak go rzucono w wodę. Ale myśmy o tym wiedzieć nie mogli.

— *Pshaw!* Byliście przecież w szczerym polu i mogliście się bronić kulami; jeniec zaś był mocno związany. Możecie sobie wyobrazić moją minę, gdy w drodze powrotnej ujrzałem, co się stało. Wódz był wolny, a was wzięto do niewoli! I kto tego dopiął? Kilku nędznych Komanczów, których można było, bez trudu odstraszyć strzałami. Zresztą, nawet i to było zbyt łatwe. Gdybyście im pokazali lufy, nie odważyliby się podejść bliżej.

— Pokazaliśmy je przecież. — I mimo to napadnięto na was? — Wszystkiemu winien głupi papier. — Ach, tak!

— Gdyśmy krzyknęli, by się zatrzymali, bo w przeciwnym razie pošlemy im parę kulek, zsiadli z koni, a jeden z nich pokazał z odległości strzału listek papieru i podniósł go w górę. Oświadczył donośnym głosem, że "mówiący papier" pochodzi od pana i że ma go nam wręczyć.

— Uwierzyliście mu?

— Dlaczegożby nie? Powiedział, że nastąpiło porozumienie, że pan został przy jeńcach, którzy

odzyskają wolność, gdy tylko przyprowadzimy wodza, że to wszystko napisał pan na tym papierze. Ażeby odczytać pismo, pozwoliliśmy zbliżyć się tym łotrom.

— Co za nieostrożność! Wystarczyłoby przecież, gdyby przyniósł papier jeden człowiek.

— Zupełnie słusznie. Nie pomyśleliśmy jednak o tym w chwili, gdy te świny pokazały nam dowód czarno na białym. Wzięłem papier, by go odczytać; równocześnie niemal rzucili się na nas. Wszystko trwało tak krótko, że nie mieliśmy czasu do obrony. Związano nas, zanim zdążyliśmy się obejrzeć. Nie wątpisz chyba, sir, że w mig uwolnili wodza.

— Tak, o tym nie wątpię! W przyszłości będę ostrożniej szafował swym zaufaniem.

Mruknął jeszcze coś i oddalił się. Reszta miała również rzadkie miny; wszyscy popełnili szereg błędów i w obawie przed monitami stronili ode mnie. Jechałem więc sam na czele oddziału. Tylko Dżafar zjawił się parę razy u mego boku, by zacytować kilka specjalnie pięknych ustępów ze swego Hafisa. Ciągle wgłębiał się w swą książkę i zostawał w tyle; od czasu do czasu rzucałem mu z tego powodu karcące spojrzenia.

W południe pozwoliliśmy koniom wypocząć dwie godziny, wieczorem rozbiliśmy namiot nad jedynym w tej okolicy stawem. Sami z niego pić nie mogliśmy, za to napoiiliśmy konie.

Wyzaczyłem dziś warty w ten sposób, aby wcale nie pełnić służby, czułem bowiem wielką potrzebę snu. Wczoraj byłem tak samo zmęczony i wyczerpany, jak reszta, mogłem więc żądać teraz pewnych względów, tym bardziej, że przez cały dzień troska o kierownictwo wyprawy spoczywała tylko na moich barkach.

Właściwie, powinniśmy już byli dziś wieczorem przybyć do Hazelstraits. Ponieważ jednak pierwsze pięć godzin jechaliśmy w kierunku południowym, należało przypuszczać, że przybędziemy tam nie prędzej, niż dnia następnego w południe.

Rozbiliśmy obóz o zmroku, nie mogłem więc zbadać okolicy. Nawet śladów nie byłem w stanie rozpoznać. Obszedłem tylko krzaki, stojące nad wodą i przekonałem się, że jesteśmy w tych stronach sami. Następnego ranka zjedliśmy śniadanie. Konie pasły się całą noc wśród krzewów, otaczających staw. Mój wierzchowiec zajęty był jeszcze obskubywaniem młodych gałązek. Podeszedłem ku niemu, bypodciągnąć popręg. Przy tej sposobności wzrok mój padł na krzak, którego liśćmi posilał się rumak. Od razu zauważyłem, że niedawno popasali tu ludzie i konie. Po zbadaniu jeszcze kilku krzaków, okazało się, że przypuszczenie moje było słuszne. Zacząłem więc szukać śladów na ziemi. Gdy to zauważyli towarzysze, Jim Snuffle zapytał:

— Zgubiliście coś, sir? Pomożemy panu szukać.

— Niczego nie zgubiłem — odparłem, — ale mimo to czegoś szukam. — Czegóż to?

— Śladów po jeźdźcach, którzy tu przybyli przed nami.

— Jeźdźcy? Tutaj? Skądże panu to przyszło do głowy?!

— Spójrz pan tylko na pogryzione gałęzie krzaków!

— Ach, ma pan rację mister Shatterhand! Nie wszystkie, widać, gałęzie złamano równocześnie.

Ale to się da łatwo wytłumaczyć.

— Czym?

— Nasze konie odłamywały je przecież i wczoraj wieczorem i dzisiaj rano. Wniosek więc, że byli tu przed nami jacyś ludzie, jest niesłuszny.

— Przeciwnie, jest najzupełniej słuszny; widzę teraz to dokładnie. Przypatrz się pan temu krzakowi! Biegły obserwator przysięgnie, że gałąź ta nie została obgryziona wczoraj wieczorem, a już dawniej. Miejsce, w którym gałąź odłamano, poczerniało.

— W takim razie powinniśmy dojrzeć ślady stóp i kopyt.

— Zatarły je ślady naszych koni. Zresztą, moglibyśmy je dojrzeć jedynie na wilgotnym brzegu.

Przeszukajmy brzeg!

Po chwili rozległy się okrzyki zdumienia. Na brzegu wyciśnięte były ślady mokasynów i niepodkutych kopyt.

— Byli to z pewnością Indianie! — zawołał Jim Snuffle. — Czy jesteś tego samego zdania, stary Timie?

— *Yes* — przytaknął zapytany i pochylił się, aby dokładnie zbadać ślady.

— Mam wrażenie, że było tu moc Indian. A pan, jak sady, mister Shatterhand?

— Tak, było ich niemało — odrzekłem. — Szkoda, żeśmy tu przybyli wieczorem i nie mogliśmy wskutek ciemności ani zauważyć ani policzyć śladów.

— Czy nie można tego naprawić teraz?

— Nie łatwa to sprawa. Przypuszczam, że było tu przeszło trzydziestu. Dokładniej nie zdołamy określić.

— Któż to mógł być?

— Oczywiście Komancze, inne bowiem plemiona nie grasują w tych stronach.

— Ale chyba nie nasi? Mam na myśli To-kej-chuna i jego ludzi.

— Hm. Nie jest to wykluczone, jeżeli To-kej-chun, zamiast ścigać nas, ruszył od razu, nie bacząc na nocną porę, ku Hazelstraits.

— Czegóżby tam szukał?

— Nasuwa mi się to samo pytanie. Przecież zamierzał odtańczyć wojenny taniec przy grobach wodzów i zapytać wyrocznie o zdanie; o Hazelstraits nie było mowy.

— A więc byli to inni Indianie?

— Zapewne. Ale, ale, oto co mi przyszło do głowy; może To-kejchun dowiedział się, dokąd zmierzamy. — Musiałby go któryś z nas poinformować.

— Oczywiście.

— Chyba takiego głupca nie ma między nami.

— No, jeżeli chodzi o głupstwa, to popełniono ich nie mało. Czy jeńcy w obecności czerwonych wartowników nie mówili o Hazelstraits?

— Ani słowa — zapewnił jeden z pojmanych przewodników; drugi przewodnik i obydwaj służący przytaknęli.

— A wy, Jimie i Timie?

— Również ani słowa — rzekł Jim. — Nie mogliśmy o tym mówić, gdyż o jeździe do Hazelstraits dowiedzieliśmy się dopiero po odzyskaniu wolności.

— W takim razie, pozostawałaby jedynie możliwość, że mister Dżafar rozmawiał na ten temat z mister Perkinsem po moim udaniu się do czerwonych.

Perkins zaprotestował energicznie.

— Co też pan o mnie myśli, sir! Byłbym wariatem, gdybym temu czerwonemu diabłu opowiadał, jaką ruszymy drogą!

— A więc i wy nie! W takim razie może ciągnął tędy inny oddział Komanczów. Niestety, nie można stwierdzić, skąd ci czerwoni przybyli, ślady bowiem są zupełnie nieczytelne. Należy zbadać, dokąd ruszyli, choć i to będzie prawie niemożliwe.

Bez rezultatu obszedłem cały szeroki plac. Na ziemi nie wykryłem żadnych śladów. Indianie przybyli tu z niewiadomej strony i oddalili się w niewiadomym kierunku. Podstawy do przypuszczenia, że udali się ku Hazelstraits nie było. W każdym razie, pod wpływem tego, co zaszło, postanowiliśmy zwracać baczną uwagę na każdy szczegół, spotkany w drodze.

Opuściliśmy obozowisko, przybyliśmy na szeroką równinę, wznoszącą się nieco ku zachodowi.

Prowadziła do Hazelstraits. Miejscowość ta otrzymała swą nazwę od krzaków orzecha, które rosły w takiej liczbie i tak wysoko, że można w niej było ukryć pokaźny oddział jeźdźców.

Po drodze znowu musiałem popędzać Dżafara. Perski. esteta w dalszym ciągu poświęcał więcej uwagi swojemu poecie, niż okolicy, którą mijaliśmy.

Nowe przeszkody

Jechaliśmy aż do południa, nie natrafiwszy na nic, co by wskazywało, że dziś lub wczoraj przeszła tędy ludzka stopa. Uspokoilo to wszystkich z wyjątkiem mnie; podczas jazdy bowiem skryzalizowało się we mnie pewne podejrzenie. Na pytanie, czy przypadkiem nie było mowy o Hazelstraits, Perkins odpowiedział zbyt pośpiesznie, Dżafar zaś pominął je milczeniem. To mnie uderzyło. Jeżeli istotnie rozmawiali o najbliższym celu podróży, To-kej-chun mógł ruszyć naprzód i spaść na nas z nienacka. Przeczuwając, które miejsce do ewentualnego napadu obierze, postanowiłem podkraść się naprzód i zbadać je dokładnie.

Na horyzoncie zarysowały się sylwetki drzew orzechowych. Oczom naszym ukazały się zwarte grupy orzechów, rosnących bujnie na obydwóch stromych brzegach kotliny. Na dnie kotliny płynął strumień. Pozostało tu kilka ścieżek z dawnej, sławnej epoki bawolej; po ścieżkach tych jeźdźcy mogli dotrzeć aż do brzegów kotliny. Jeżeli To-kejchun puścił się za nami w pogoń, nie ulega wątpliwości, że tu właśnie czatuje. Jakże łatwo wpaść w ręce ukrytych w krzakach Indian, jakże łatwo mogą nas w przeciągu kilku minut obezwładnić, a nawet pozabijać!

Byłem przekonany, że niebezpieczeństwo będzie na nas czyhać dopiero z chwilą zbliżenia się do kotliny. Mimo to zdwoilem czujność znacznie wcześniej, gdyśmy tylko dotarli do pierwszych krzaków. Z tego powodu nie mogłem oglądać się za siebie. Zwróciłem uwagę towarzyszy na grożące niebezpieczeństwo, pozostawiając ich własnej przemyślności.

Jechaliśmy naprzód w głębokiej ciszy. Wskutek rozmiękłego terenu nie słychać było uderzeń kopyt. Chwilami tylko rozlegał się trzask gałęzi, muśniętej przez konia lub jeźdźca. Natężyłem wzrok i słuch; dzięki temu usłyszałem coś, co w normalnych warunkach z pewnością byłoby uszło mej uwagi. Miałem wrażenie, że słyszę głos ludzki, przytłumiony gęstwina krzaków.

— Pst, cicho, słyszałem coś — rzekłem, wstrzymując konia. Znowu dobiegło mnie, tym razem wyraźniej:

— *Faryahad, faryahad!*

Słowo to oznacza po persku "na pomoc!". Jak wiadomo, ludzie na obczyźnie, władający nawet biegle obcym językiem, w chwili przerażenia lub niebezpieczeństwa wydają zwykle okrzyki w ojczystym języku.

— Wielkie nieba! Gdzie mister Dżafar? — zapytałem.

— Nie ma go, znowu został w tyle — odpowiedzieli towarzysze, a Perkins, jadący ostatni w szeregu, dodał:

— Mam wrażenie, że jedzie tuż za mną.

— Co za nieostrożny człowiek! Grozi mu niebezpieczeństwo, wzywa pomocy. Muszę wrócić, aby mu pomóc!

Zawróciłem konia, by ruszyć w tył.

— A my? — zapytał Jim Snuffle. — Cóż mamy począć? Zostać tu i czekać?

— Nie. Nie wiadomo, gdzie tkwią czerwoni; mogą być zupełnie blisko.

Ruszajcie więc za mną! Mimo ostrego kłusa, przybyliśmy za późno. Gdyśmy dotarli do słabo zadrzewionego miejsca, zauważyłem, że ziemia obok naszych śladów śladów poryta jest kopytami końskimi.

— Mister Dżafar dojechał do tego miejsca i tu napadnięto nań — rzekłem. — Napadu dokonało kilku ludzi.

— Bez wątplenia, — potwierdził Jim Snuffle — z jednym byłby sobie dał radę. Szukajmy śladów.

— Patrzcie, oto linia śladów, prowadząca ku zaroślom. To ślady koni i trzech ludzi, którzy mieli mokasyny na nogach.

— A więc ta trójka napadła nań i obezwładniła go! Stali tu wszyscy na warcie i obserwowali nasze przybycie. Widząc, że Dżafar odłączył się od nas, postanowili go schwytać.

— Chytre bestie!

— Chytre? Nie, zdemaskowali się tym postępkim. Nie ulega obecnie wątpliwości, że w grę wchodzi To-kej-chun i jego ludzie. W każdym razie otrzymali rozkaz, aby natychmiast zawiadomić wodza o naszym ukazaniu się, lecz zamiast bezzwłocznie polecenie wykonać, zatrzymali się, by schwytać nieostrożnego marudera.

— Cóż uczynimy, sir?

— Musimy go oswobodzić.

— Jak to? Przez otwarty atak na tych łotrów?

— Tak, o ile inna droga zawiedzie. Może, zresztą, wydobędziemy go drogą podstępnu. Tak, czy inaczej musimy wiedzieć, gdzie się kryją Komancze.

— Kilku z nas uda się na zwiady. Pójdę wraz z bratem. Zgoda, stary Timie?

— *Yes* — skinął zapytany.

— Nie, nie zgadzam się, — odparłem. — Sam zbadam tę sprawę. Wyście tutaj potrzebni. Przypuszczam, że To-kej-chun, dowiedziawszy się o nierozważnym kroku, popełnionym przez wywiadowców, będzie przekonany, że, nie zastawszy tu Dżafara, zawrócimy. Wie również o tym, iż znajdziemy ślady, świadczące o napadzie i że będą wystarczającą pobudką do odwrotu. Wyśle więc zapewne kilku ludzi na zwiady. Skoro się tu zjawią, pochwyćcie ich, ale bez hałasu. Broń jest mi obecnie zawadą; zostawiam ją u was wraz z wierzchowcem. Rozumiecie chyba, co wam powierzam.

Wypowiedziałem powyższe słowa w wielkim pośpiechu, gdyż każda chwila była mi droga. Może uda się dogonić trzech jeźdźców i porwanego przez nich Dżafara, zanim dotrą do ukrytego obozu Komanczów!... Nie miałem żadnych wątpliwości, że, gdyby się to udało, nie trudno mi będzie odebrać im jeńca. Wręczywszy więc towarzyszym strzelby, puściłem się na poszukiwanie śladów, idących w kierunku zarośli.

Trzej Indianie, którzy schwytali Dżafara, wiedzieli na pewno, że jedziemy przodem. Nie chcąc więc natchnąć się na nas, nie ruszyli do swoich prostą drogą, lecz zatoczyli łuk. Po lini tego łuku nie byłbym w stanie ich dogonić. Zdecydowałem się przeto łuk przeciąć.

Z początku trzymałem się śladów, aby poznać wielkość i wklęsłość łuku; zorientowawszy się, zboczyłem z linii śladów i wpadłem wprost w zarośla, szybko, z zachowaniem najgłębszej ciszy muszę przyznać, że nie przyszło mi to łatwo.

Przebywszy jakieś pięćset kroków, natrafiłem znowu na ślady, wracające z boku; wynikało z tego, że przeciąłem łuk cięciwą i według wszelkiego prawdopodobieństwa znajduję się w pobliżu Komanczów. W chwili, gdym znowu ujrzał ślady, usłyszałem jakiś szmer. Zacząłem więc nadśłuchiwać. Szmer ucichł. Czyżby trójka Indian z Dżafarem była tu przed chwilą? Posuwałem się naprzód, zachowując jak największą ciszę. Po niedługim czasie musiałem zatrzymać się, gdyż dobiegły mnie głosy.

— Uff! — zawołał ktoś. — Przybywacie z tej strony i ...

Urwał, zapewne, pod wpływem zdumienia, że przyprowadzili białego. Od razu poznałem głos To-kej-chuna.

— Tak, przybywamy z lewej strony — rzekł jeden z trójki — i prowadzimy tę białą twarz.

— Uff! Przecież to ten sam biały, który się przedtem ulotnił. Ściągnijcie go z konia i zwiążcie. Gdzieście go schwytali?

— Za Old Shatterhandem. — Za Old Shatterhandem? Jak mam to rozumieć? — Ujrzeliśmy Old Shatterhanda, który jechał wraz z resztą białych; ten zaś obcy pozostał w tyle. Wzięliśmy go więc do niewoli.

— Uff! Gdzież były wasze mózgi i rozsądek? Teraz cały piękny plan diabli wzięli! Nie schwytamy Old Shatterhanda! Po co zajmowaliście się tą bladą twarzą? Trzeba mi było zameldować, żeście ujrzeli białych. Dotarliby aż tutaj, pochwycilibyśmy wszystkich, gdyż nie przeczuwali wcale, że tu jesteśmy. Teraz odkryją zasadzkę!

— Skądże się dowiedzą? — bronił się skarcony.

— Od was! Zauważyli, że jednego białego nie ma, a skoro się przez dłuższy czas nie zjawił, zawrócili i dotarli do miejsca, w którym pochwyciliście go. Czy się bronił?

— Tak, ale tylko rękoma. Nie na wiele mu się to zdało.

— Wskutek tego powstały jednak ślady, które jego towarzysze odnajdą.

— Staraliśmy się nie pozostawiać widocznych śladów.

— *Pshaw!* Kto, jak kto, ale Old Shatterhand zauważy je z pewnością! Daliście im przestrożę, wydarlicie ich z moich rąk. Zły duch podszeptał wam najgorszą myśl. Z rozkoszą zabrał bym wam za karę leki!

Przez długą chwilę panowała głucha cisza. Wódz zastanawiał się widocznie, co począć dalej. Znajdowałem się w pobliżu kryjówki czerwonych, dzieliło mnie od niej kilka krzaków. Gdybym przybył o minutę wcześniej byłbym spotkał całą trójkę i uwolnił Dżafara.

Rozległ się znowu głos wodza:

— Widzicie, nikt nie przychodzi. Old Shatterhand otrzymał przestrożę. Prawdopodobnie ujdzie wraz ze swoimi ludźmi, gdyż jest to najchytrzejszy spośród lisów prerii. Za to tym mocniej trzymać będziemy tego białego; niechaj przynajmniej on zginie przy palu na Makik Natun, opodal grobów wodzów. Teraz musimy się przede wszystkim dowiedzieć, gdzie są blade twarze.

— Czy mam ich poszukać? — zapytał jeden z Indian. — Niechaj To-kej-chun pozwoli!

— Nie, pójdę sam. Niechaj bracia moi będą bardzo czujni i ostrożni podczas mej nieobecności. Old Shatterhand również wyśle wywiadowców, by nas szukać; kto wie, czy sam się nie uda na zwiady. Jeżeli będziemy ostrożni, sam wpadnie nam w ręce. A więc pójdę...

Dalszego ciągu nie słyszałem, gdyż nie wolno mi było ani chwili dłużej pozostawać na tym miejscu.

Wódz chce nas wysledzić; problem teraz, w jakim się uda kierunku. Przypuszcza, że udam się również na zwiady i z pewnością to samo zagadnienie go interesuje. Zdaje sobie sprawę, że nie pójdę na chybił trafił, lecz podążę tropem trzech Komanczów i Dżafara. A chcąc mnie pochwyć, będzie kierował się tymi śladami. Wypadnie mu więc droga przez to właśnie miejsce, w którym leżę. Chcę go ująć; ale nie tutaj, ze względu na bliskość czerwonych, którzy w każdej chwili pośpieszyć mogą z pomocą.

Wobec tego cofnąłem się na taką odległość, z której nie byliby w stanie usłyszeć jego wołania na wypadek, gdybyśmy się spotkali.

Leżałem cicho i czekałem. Minęło pięć minut, dziesięć, nie zjawił się. Czyżby obrał inny kierunek? E, chyba nie! Taki stary, doświadczony wojownik musi przecież postąpić tak jak wyliczyłem. A może pozostał jeszcze przy swoich ludziach, aby im udzielić szczegółowych instrukcji? Po upływie dalszych pięciu minut nie zjawił się również. Zaczęło mnie to niepokoić. Powiedział przecież wyraźnie, że odchodzi. Trudno więc przypuszczać, że się gdzieś na cały

kwadrans zatrzymał. Opuściłem przeto swoje stanowisko i pośpieszyłem do towarzyszy, do których, niestety, nie miałem zaufania. Jakże łatwo jeden z nich mógł popełnić nieostrożność!

Stało się, jak przypuszczałem. Dotarłszy do miejsca, w którym ich pozostawiłem, zauważyłem, że Jima nie ma.

— Co tu się stało, mister Snuffle? Brata nie ma. Dokądże poszedł? — zapytałem Tima.

— Nie ma go i basta! — odparł Tim lakonicznie.

— Widzę to. Ale dokąd się udał?

— Do czerwonych. Chce się do nich podczołgać.

— Co też z was za ludzie! Nikt nie miał prawa się oddalać. Powinien był tu zostać. — Wróci.

— Wódz Komanczów udał się na poszukiwanie nas. Jeżeli spotka pańskiego barata, może się stać coś, za co brat nie będzie mógł przyjąć odpowiedzialności.

— Przyjmie ją z pewnością.

— W jakiejże to formie?

— Prostu weźmie tego łotra do niewoli.

— Albo tamten jego, co jest bardziej prawdopodobne. Gdyby pozostał tutaj, moglibyśmy spokojnie czekać na przybycie wodza i wzięlibyśmy go do niewoli. Muszę pójść w ślady waszego brata. Może uda się jeszcze całą sprawę...

Przerwałem, gdyż od strony w której ujrzałem Indian, rozległ się głośny trzask gałęzi. Rozległo się sapanie, po chwili stanął przed nami Jim Snuffle. Był bardzo podniecony; z prawej jego ręki spływała krew. Ujrzawszy mnie, zawołał:

— Ach, to pan! Gdybyś był poszedł ze mną, mielibyśmy go! — Kogo?

— Wodza. Ujęcie go byłoby prawdziwą rozkoszą. — Największą rozkoszą byłoby dla mnie natarcie twoich uszu, sir! — Do licha! Cóż to za żarty! Jim Snuffle nie jest z tych, co pozwala sobie uszu natrzeć.

— Ale zasłużył na to! — Oho! Czymże to?

— Tym, że opuścił to miejsce bez mego pozwolenia. Nie potrzebujemy takich kompanów, którzy działają na własną rękę. W jaki sposób wpadłeś pan na pomysł oddalenia się stąd?

— Chciałem zobaczyć, gdzie się kryją czerwoni. Spotkałem wodza.

— Czy być może? A to niemiła sprawa!

— Przeciwnie, bardzo miła. Złościło mnie tylko to, że pana ze mną nie było. Ten czerwony łotr byłby bez wątpienia wpadł w nasze ręce.

— Gdybyś pan pozostał tutaj, schytalibyśmy go o wiele łatwiej. Gdzieś go pan spotkał?

— O jakieś trzysta kroków stąd. Pełzałem cicho wśród zarośli, on zaś pełzał w moim kierunku. W pewnej chwili omal nie zderzyliśmy się głowami. Rozpoczęła się niema walka.

— I w rezultacie żaden z was nie zmógł przeciwnika.

— *Well*. Ma pan rację. Wolę jednak, żem go nie schwycił, niż gdybym miał zostać jego jeńcem. Kanalia! Wywinał mi się z rąk, jak piskorz. Trzymał nóż; nie miałem czasu na wyciągnięcie bagnetu, musiałem bardzo uważać, aby mnie nie przebił. Gdym mu chciał wytrącić nóż z ręki, ugodził mnie ostrzem. Rana niewielka, zagoi się wkrótce.

— Jakżeście się rozeszli?

— Za obopólną zgodą. Widząc, że tego łotra pokonać nie zdołam, postanowiłem go puścić; wyswobodziliśmy się więc z żelaznych objęć, po czym bez słowa pożegnania obydwaj daliśmy nurka w krzaki. Powtarzam, gdybyś był ze mną, sir, prawdopodobnie mielibyśmy go w garści. Szkoda!

— Tak, mielibyśmy go w garści, gdybyś nie kierował się własnym rozumem.

— Muszę się nim kierować, drugiego nie mam! Nie sądzisz, stary Timie?

— *No* — odparł zapytany wbrew oczekiwaniu.

— Nie? Jak to? — zapytał Tim.

— Mister Shatterhand jest naszą głową. Mogłeś spokojnie pozostać.

— Ach! Więc i ty przeciw mnie? — *Yes*.

— Zamilknij lepiej i przypatrz się, jak krwawię! Wyciągnij nieco płótna z kulbaki i przewiąż mi ranę. Co się stało, nie odstanie i nie warto nad tym biadać. No i cóż, mister Shatterhand? Czy czerwoni będą nadal dybać na nasze życie?

— Nie sędzę.

— Odwróćmy więc ostrze i napadnijmy na nich.

— Z kilkoma ludźmi na siedemdziesięciu?

— Okazało się przecież, że się nas boją. — Wcale nie o to chodzi. — A o co?

— O to, że nie chciałbym doprowadzić do przelewu krwi.

— A więc pan znowu myśli o swych ulubionych fortelach?

— Obawiam się, że fortel zawiódłby w tym wypadku wskutek zbyt częstego używania. Ledwie człowiek uwolni jednego, drugi leci w łapy Indian, jak ćma do ognia. Muszę się znowy podkraść ku czerwonym, aby wysledziś, jak sprawy stoją. Odchodzę więc, ale przyrzekam, że jeżeli po powrocie nie dorachuję się tutaj wszystkich, pojedę swoją drogą i zdam was na łaskę Opatrzności. Pamiętajcie!

Nie obrałem tej samej drogi, co przedtem, gdyż To-kej-chun mógł wpaść na pomysł zgotowania na mnie zasadki. Wiedziałem dokładnie, gdzie się kryjówka Indian znajduje, więc mogłem podkraść się do niej z innej strony. Wybrałem drogę okrężną, dłuższą, lecz pewniejszą.

Po upływie pół godziny zbliżyłem się na taką odległość, że powinienem był dosłyszeć rozmowy. Panowała dokoła głucha cisza. Wobec tego zdwoiłem ostrożność. Czołgając się ostrożnie, dotarłem wreszcie do miejsca, w którym się Indianie ukryli. Było puste!

Czyżby to był podstęp? Po chwili doszedłem do przekonania, że Indianie istotnie stąd odjechali. Wypadało jeszcze sprawdzić, czy w istocie opuścili Hazelstraits.

Postępując śladami Indian dotarłem nad brzeg stojącej wody; nagle usłyszałem dwukrotne wołanie Jima:

— Mister Shatterhand, mister Shatterhand!

Skoro krzyczał na całe gardło, to widocznie był przekonany, iż nie dosłyszają go Indianie. Dlatego odpowiedziałem równie: — Co takiego?

— Pan szuka na próżno. Jeżeli chcesz coś zobaczyć, sir, wracaj czym prędzej!

Usłuchałem wezwania i pospieszyłem wzdłuż wody. Ujrzawszy mnie, Jim wskazał na otwartą równinę i rzekł:

— Sir, a widzisz, pędzą tam. Uciekają. A to tchórze!

Istotnie, jechali z wielką szybkością w kierunku pomocnym. Policzyłem jeźdźców; wraz z jeńcem było ich siedemdziesięciu dwóch. A więc To-kej-chun zabrał do Hazelstraits wszystkich wojowników. Ci pod którymi zastrzeliłem konie, dosiadali jucznych zwierząt. W takim razie na Makik Natun, gdzie leżą pozostawione zapasy, nie ma ani jednego czerwonego.

— Istotnie, zachowali się jak tchórze — odparłem. — Ale przypisać to należy mojemu sztucerowi. Gdybym go nie miał, bez wątpienia napadliby na nas.

— *Pshaw!* Boją się po prostu. Czerwoni niechętnie zaczepiają braci Snuffle. Ciekaw jestem, czy zabrali mister Dżafara?

— Oczywiście!

— Więc co u diabła pocniemy? Puścimy się w pościg? — Tak, natychmiast po napojeniu koni.

Prawdopodobnie do jutrzejszego wieczora będą musiały obejść się bez wody. — Nie sądzę. Czerwoni jadą przecież na północ. Jeżeli się nie mylę, dotrą do rzeki Cimarone, nad którą również przybędziemy. A w rzece wody pod dostatkiem!

— No, no, jaki z pana mądrała — rzekłem z uśmiechem. — Czerwoni wcale nie podążają na pomoc.

— Naprawdę? A dokąd?

— Z powrotem nad Makik Natun.

— Czyś pan tego pewny?

— Najzupełniej. Kiedy pan powziąwszy swój genialny pomysł, puściłeś się na poszukiwanie Indian, leżałem niedaleko i podsłuchiwałem. Wódz oświadczył, że o ile nie uda mu się schwycić nas wszystkich, trzeba będzie przynajmniej mister Dżafara przywieźć na Żółtą Górę i przywiązać go do pala.

— Musimy więc dostać się tam przed Indianami! Potem uwolnimy mister Dżafara. W każdym razie ja i brat mój uczynimy wszystko, co w naszej mocy. Nieprawdaż, stary Timie?

— *Yes* — przytaknął Tira.

Napoiwszy aż do nadmiaru konie ruszyliśmy w drogę powrotną. Pociągnęło to za sobą pewną stratę czasu. Byłem z tego powodu wściekły. Gdyby towarzysze słuchali moich wskazówek, dawno przestalibyśmy wodzić się za łby z Komanczami.

Już mrok zapadał, gdy przybyliśmy nad staw, nad którym wczoraj spędziliśmy noc. Konie tu popasały i wypoczęły. Potem puściliśmy się w dalszą drogę. Noc całą spędziwszy w siodle, nad ranem zatrzymaliśmy się na godzinę. Tym razem koniom przypadło ciężkie zadanie. Po moim wierzchowcu nie znać było przemęczenia; pozostałe natomiast opadały z sił coraz bardziej; gdy więc po ostatnich kilku godzinach ukazały się przed nami kontury Makik Natun, wierzchowce ledwo już robiły bokami.

— Przybyliśmy tu znowu! — westchnął Perkins, wskazując na górę. — Jestem zmęczony, jak pies pędzony z miejsca na miejsce. Dwa dni i dwie noce w siodle, z trzema krótkimi przerwami, to nawet dla westmana nie byle co. Czy pojedziemy wprost ku grobom, sir?

— Tak — odrzekłem.

— Obawiam się, że popełnimy błąd.

— Nie panu mówić o błędach, mister Perkins! Spójrz na lewo. Oto miejsce, na którym leżeliście wraz z wodzem i daliście się wyprowadzić w pole. To się nazywa błąd. Wiem, co czynię, jadąc wprost ku grobom. Konie są śmiertelnie spragnione. Jedyne tam można je napoić. Musimy więc bezwarunkowo ruszyć na Makik Natun. Zapewne przypuszczacie, że szczyt jest obsadzony przez kilku Komanczów. Otóż tak nie jest. W lesie orzechowym policzyłem czerwonych. Nie brakowało ani jednego. Na Żółtej Górze nie ma żywej duszy; najwyżej znajdziemy pozostawiony dobytek Komanczów.

— Zgadza się z panem w zupełności, mister Shatterhand. Ale pozostaną przecież nasze ślady, które czerwoni po przybyciu zauważą.

— Nie. Przede wszystkim nie rozwinęli takiej szybkości, jak my, gdyż są bez wątplenia przekonani, że nas wyprowadzili w pole i że ruszyliśmy na północ. Po drugie, musi pan pamiętać, że właśnie po to, aby nas zmylić, nadłożyli drogi.

— Więc pan przypuszcza, że przybędą dopiero rano?

— Nie wcześniej, niż nocą. Ponieważ nie znajdą wody ani dla siebie, ani dla koni, należy się liczyć z tym, że nie rozbiją obozu, lecz ruszą wprost na górę. Dlatego powiadam: nocą.

— *Wielki!* W jakiz sposób oswobodzimy Persa?

— Tego jeszcze nie wiem. Musimy czekać, aż się zjawią; wtedy dopiero zdecydujemy.

— A więc nie ma pan zamiaru obozować opodal grobów i tam ich przyjąć?

— Ani mi się śni. Oddalimy się po napojeniu wierzchowców. —Dokąd?

— Zastanowię się jeszcze. W każdym razie trzeba się będzie ukryć w takim miejscu, abyśmy mogli ich obserwować.

Dotarliśmy do grobów czterech wodzów i zsiadliśmy z koni. Konie zaczęły chciwie pić; jeźdźcy dreptali w koło, aby rozprostować zeszywniałe podczas długiej jazdy członki. Pilnie badałem okolice. Powziąłem zamiar podczołgania się pod obóz czerwonych i wyciągnięcia Dżafara. Nie wiedząc, czy osiągnę ten cel podstępem i zręcznością, byłem zdecydowany w razie konieczności użyć broni. Ze współpracy towarzyszy zrezygnowałem z góry, a to w obawie, że popsują mi szyki.

Nie wątpiłem ani przez chwilę, że uda mi się dotrzeć do jeńca. Przecież czerwoni nie przeczuwają nawet, że tu jestem. A jeżeli nawet wystawią warty i będą wyglądać niebezpieczeństwa, preria pochłonie ich uwagę.

Jak wspomniałem, plac z drugiej strony otaczały strome ściany skalne, do których dostęp był niemal niemożliwy, zwłaszcza w nocy. Pamiętałem o tym dobrze, że Komancze, jako ludzie prerii nie umieją chodzić po górach i będą uważali te skały za niedostępne, podczas gdy ja znajdę miejsce, z którego będę mógł podkraść się do nich z góry. O podejściu od strony prerii nie można było nawet myśleć. Wkrótce znalazłem, czego szukałem. Tam, gdzie podczas ostatniej mojej bytności leżeli jeńcy a gdzie teraz spoczywał zawinięty w koce dobytek Komanczów, skała nie była wyższa nad siedem metrów. Podłoże jednego z jej cyplów, wysuniętego nieco naprzód, nie było skaliste; na żyznej ziemi rosły drzewa i krzewy. Nawet w mrokach nocy mogłem się upewnić, że wdrapanie się na cypel stromej skały i zejście z niego nie będzie rzeczą zbyt trudną. Gałęzie drzew i krzewów, tworzyły aż nazbyt dogodne oparcie. A na cyplu można do któregośkolwiek drzewa przymocować lasso i spuścić się po nim na dół.

Po napojeniu koni ruszyliśmy wzdłuż podnóża gór. Po pewnym czasie natrafiliśmy na miejsce, doskonale nadające się na kryjówkę.

— Zostawiam was tutaj, — rzekłem — oddaję pod waszą opiekę konia i broń. Mam niepełną nadzieję, że tym razem zastosujecie się do moich poleceń.

— Pan odchodzi? — zapytał Jim zaniepokojony.

— Tak. Poszukam miejsca, z którego będę mógł obserwować zbliżających się Indian.

Nie nadmieniłem nic o swym planie. Nuż by mi znowu splatali figla! Jim odparł;

— Możemy przecież pójść razem z panem.

— *No, no!* Ledwie pana zgańłem, a już się wynosisz! Czy istotnie tak trudno panu zastosować się do mojej prośby?

Tim Snuffle rozdziawił usta, jak gdyby miał zamiar wygłosić wielką tyradę i rzekł:

— Nie obawiaj się, sir! Tym razem Jim będzie musiał pozostać.

— Obiecujesz? — *Yes.*

— Obiecujesz również zatrzymać go, gdyby miał zamiar się oddalać?

— *Yes.*

— Nikomu nie wolno się oddalać.

— *Well!* Kto zechce się oddalić, temu wpakuję nóż między zebra. Nazywam się Tim Snuffle i zwykłem dotrzymywać słowa!

Po tym wielkim wysiłku westchnął głęboko i chcąc swej groźbie nadać powagę, uderzył dłonią po rękoejści noża.

— Dziękuję, stary Timie! Wypowiedziałeś mądre słowa. Mam nadzieję, że aż do mego powrotu

nie zmienisz postanowienia.

Odszedłem w przekonaniu, że dziś towarzysze nie zgotują mi zawodu. Zabrałem ze sobą łąso i sporą ilość rzemieni.

Żółta Góra

Słońce zaszło przed chwilą. Przyśpieszyłem kroku, aby dostać się na cypel przed zapadnięciem nocy.

Zwróciłem się znowu ku grobom wodzów. W połowie drogi skręciłem w kierunku urwiska nad grobami. Wdrapałem się na cypel po ścianie skalnej. Z dołu perspektywa była o wiele groźniejsza, niż obecnie. Ku wielkiemu zadowoleniu doszedłem do wniosku, że nawet nocą będzie można wracać tędy bez obawy. Gdy dotarłem do cypla, było jeszcze tak jasno, że dojrzałem leżącą w dole kotlinę. Zacząłem badać stan drzew. Nadawały się doskonale do moich celów, gdyż korzenie tkwiły mocno w ziemi. Do jednego z najpotężniejszych pni przywiązałem koniec lassa, po czym położyłem się na ziemi. Bądź co bądź liczyłem się z możliwością, że moje przewidywania nie okażą się słuszne. Ileż przeszkód może wstrzymać Komanczów od przybycia na to miejsce i uniemożliwić wykonanie moich planów! Równocześnie jednak miałem poczucie zupełnej pewności, które mnie nigdy nie zawodzi.

Upływały godziny. Gwiazdy lśniły coraz jaśniej na firmamencie. Wyczytałem z położenia konstelacji, że zbliża się północ. Nagle jakiś szmer obił się o moje uszy. Wyteżyłem słuch. Czy to oni? Odgłosy zbliżały się powoli. Już można było rozróżnić dźwięk kopyt końskich, uderzających o miękki piasek prairii. Tak, to oni! Po chwili dotarły do mnie ich głosy. Byli teraz zupełnie blisko. Poziadali z koni, rozpalili ogniska; mogłem się im dokładnie przyjrzeć. Czuli się tu tak bezpiecznie, że nie myśleli wcale o przeszukaniu okolicy. Po napojeniu koni, zaprowadzili je na sąsiednią polankę, aby się pasły spokojnie. Potem zebrali się dokoła ogniska. Po niedługiej chwili poczułem ostry zapach pieczonego mięsa. Wywnioskowałem, że upolowali po drodze zwierzynę.

Ujrzałem również jeńca; leżał związany przy ognisku, najbardziej ode mnie odległym. Indianie byli zmęczeni dłuższą od naszej, męczącą jazdą. Więc przewidywałem, że ułożą się do spoczynku natychmiast po jedzeniu. Tak się też stało. Wódz wydał rozkazy, ustalił porządek, wart, po czym, oddaliwszy się od swych ludzi, położył się pod skałą i okrył kocem.

Uświadomiłem sobie dokładnie, że wykonanie mego planu nie będzie wcale łatwe. Wszystkie ognie pogasty. Paliło się jedynie ognisko jeńca, przy którym siedziało dwóch wartowników.

Zamierzałem potajemnie wykraść Dżafara. W dole było ciemno, spuszczenie się więc po lassie nie nastąpiło żadnych trudności. Ale co potem? Jeżeli się zbliżę do ogniska, obydwaj wartownicy zobaczą mnie z pewnością. A gdyby nawet udało mi się ich powalić, zdążą podnieść alarm. Czy potrafię więc wyzwolić Dżafara z więzów? Czy wiem, dokąd się z nim udać? Na prairie? Przecież tam stoją warty! Podciągnąć go na lassie? Gdyby nawet Dżafar umiał drapać się po górach, czerwoni pochwyć nas, zanim zdążymy dotrzeć do cypla.

Nie chcąc się narażać na zbyt wielkie niebezpieczeństwo, zrezygnowałem z tego planu.

Cóż jednak począć? Dżafara muszę uwolnić. Sprawa jest bardzo prosta. Na dole leży wódz. Próba obezwładnienia go grozi wprawdzie również gardłem, ale bądź co bądź łatwiejsze to, niż schwytanie Persa. Jeżeli mi się manewr uda, oswobodzę jeńca przez wymianę.

Po krótkim namyśle przerzuciłem koniec długiego lassa i spuściłem się po nim. Dotarłszy na dół, zacząłem nad słuchiwać. Cisza, żadnego szmeru. Wódz leżał opodal. Śpi z pewnością; gdyby czuwał, usłyszałby szelest.

Podczołgałem się ku niemu po ziemi. Leżał z głową opartą o skałę. Przybliżyłem ucho; oddychał miarowo. Podniosłem się nieco, ująłem go lewą ręką za szyję, równocześnie zaś wymierzyłem mu dwa potężne uderzenia pięścią. Zadygotał jak w febrze, potem zamarł w bezruchu. Gdy cofnąłem rękę

od szyi, leżał jak trup.

Pierwsza połowa planu udała się. Teraz trzeba wciągnąć wodza na górę. Wyprostowałem się, wziąłem go na rękę i zaniósłem na miejsce, w którym zwisało lasso. Tu położyłem go na ziemi i spojrzałem w kierunku ogniska, przy którym siedzieli wartownicy. Nic nie spostrzegli. Zauważyłem jednak, że właśnie w tej chwili jeden z czerwonych wstaje od ogniska i idzie w moim kierunku. Okoliczność ta mogła pokrzyżować cały plan.

Przede wszystkim chciałem wodza związać i zakneblować; niestety, nie miałem na to czasu, gdyż wartownik mógł się w każdej chwili do mnie zbliżyć. Zdołałem go w prawdzie unieszkodliwić, ale kto wie, czy przy tej okazji nie zakłócę ciszy. Tak, trzeba jak najprędzej uciekać. Podciągnąłem więc pod ramiona wodza końce lassa, zadzierzgnąłem mocny węzeł i począłem się wdrapywać po grubej z pięciu włókien plecionej linie. Dotarłszy na górę, zacząłem obserwować wartownika. Był już niedaleko. Jeżeli nie zboczy, przejdzie wkrótce obok wodza w odległości jakichś piętnastu kroków. W pierwszej chwili gotów byłem przeczekać, aż minie mego jeńca. Natychmiast jednak porzuciłem ten zamiar; przecież wartownik może zauważyć po drodze, że wódz opuścił legowisko pod skałą i pocznie go szukać wzrokiem dookoła. Dlatego postanowiłem jak najszybciej wciągnąć oszołomionego Tokej-chuna na górę.

Nie była to łatwa sprawa. Skała, o którą lasso się ocierało, nie była, niestety, bryłą jednolitą. W pewnej chwili obsunął się jakiś kamień i spadł na dół. Usłyszawszy rumor, wartownik szybkim krokiem pobiegł w kierunku skały. Wódz zwisał o jakiś metr pode mną; zacząłem go wciągać z pośpiechem, co również nie obeszło się bez hałasu. Czerwonoskóry dotarł aż do skały. Mimo ciemności ujrzał zapewne unoszące się na lassie ciało.

— Uff! — zawołał zdumiony i podbiegł ku miejscu, w którym leżał wódz. Widząc, że To-kej-chuna tam nie ma, wrócił pod skałę.

— Co To-kej-chun robi na górze? — zapytał w chwili, gdym wciągał wodza na cypel. — Czy wódz Komanczów umie latać?

Nie było żadnej odpowiedzi. Milczenie to musiało obudzić w wartowniku podejrzenie; gdyby postać, która przed chwilą wzleciała w górę, była istotnie postacią wodza, otrzymałby przecież odpowiedź na pytanie. Czerwonoskóry nie wiedział w pierwszej chwili, co począć. Wszczać alarm? Wódz nie dał przecież żadnej odpowiedzi, może więc wzlot swój chce zachować w tajemnicy.

Tymczasem zwolniłem z lassa To-kej-chuna, skrępowane mu nogi powrozem, a rękę zacząłem przywiązywać do piersi. W trakcie tego odzyskał przytomność. Gdyby leżał spokojnie, oprzytomniałby z pewnością znacznie później; ponieważ jednak musiałem go wciągać na górę i ocierać o kamienie, stan oszołomienia minął prędzej. Poruszył się, zanim skończyłem wiązać mu rękę. Czując, że nie ma swobody ruchów, otworzył oczy. Pochyliłem się nad nim, twarze nasze niemal się dotknęły. Poznał mnie mimo ciemności. W tej samej chwili wartownik zapytał z dołu:

— Dlaczego To-kej-chun nie odpowiada? W jaki sposób dostał się na górę? Czy nikt nie powinien wiedzieć o tym, że się oddalił?

Wódz krzyknął donośnym głosem:

— Old Shatterhand jest tutaj! Uprowadził mnie. Na pomoc, na pomoc! Biegnijcie prędzej za róg...

Ścisnąłem mu usta lewą ręką, w prawą zaś ująłem nóż i mierzając ostrzem prosto w pierś, rzekłem groźnie:

— Milcz!

Wiedział, że go nie przekłuję, gdyż w takim razie nie mógłbym odzyskać Dżafara. Zależało mu więc na tym, by dać zlecenie swoim ludziom, jak się mają zachować. Szamocząc się, odsunął na

chwilem mają rękę od ust; zamknąłem je znowu i znowu zaczęliśmy się szamotać. W krótkich momentach wyzwolenia spod ucisku mojej dłoni mógł wydobywać ze siebie urywane okrzyki:

— Biegnijcie za róg... aż do miejsca... w którym można się... wdrapać na górę... leżę tu... na skale i...

Nie mogłem mu wpakować knebla w usta, ponieważ zagryzł wargi, musiałem go więc obezwładnić znowu potężnym uderzeniem pięści.

Tymczasem Komancze zerwali się na równe nogi. Byłoby mi bardzo na rękę, gdyby podnieśli krzyk. Niestety, zachowali spokój. Dzięki temu mogli zrozumieć każde słowo wodza. Ponieważ przytrzymałem mu usta ręką, wołania jego brzmiały nad wyraz rozpaczliwie. Groza podnieciła Indian. Ledwie wódz zamilkł, rozległ się wściekły ryk. Wprost wierzyć się nie chciało, że wrzaski te wychodzą z ust ludzkich. Usłyszałem, że biegną w zaleconym kierunku. Nie trzeba chyba podkreślać, że zależało mi na tym, aby nie spełnili tego rozkazu. Dlatego, przekrzykując ich wrzaski, zawołałem:

— Hola! Wstrzymajcie się i słuchajcie, co wam powiem.

Zaległa cisza. Ciągnąłem dalej:

— Jestem Old Shatterhand. Znowu wziąłem To-kej-chuna do niewoli. Jeżeli pozostaniecie w obozie, nic mu się złego nie stanie. Jeżeli jednak ruszycie na górę, zakłuję go. Chcę, aby schwytana blada twarz odzyskała wolność. Gdy nastanie dzień,— dowiecie się, czego żądam od was i od waszego wodza.

Przez niedługą chwilę panowało głębokie milczenie. Komancze namyślali się. Wreszcie usłyszałem głos:

— Uff! Old Shatterhand nie zabija bezbronnych jeńców. Niechaj bracia moi czynią, co im To-kej-chun rozkazał!

—Uff, uff, uff, hiiiiiiiiiiiih! — odpowiedziała reszta, wydając wojenne okrzyki, po czym wszyscy pobiegli.

Znalazłem się w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Słusznie sądzili, nie miałem zamiaru zabijać wodza. Groźba moja nie odniosła skutku. Miałem przed sobą ciężką perspektywę dźwigania wodza i uciekania z nim wśród ciemności po nieznanym skalistym terenie.

Gdyby pobiegli wszyscy, nie trudno byłoby mi uciec. Po prostu spuściłbym się na dół wraz z jeńcem, dotarłbym przez opuszczone obozowisko na równinę i odszukałbym na niej swoich towarzyszy. Śmiały ten krok nie pociągnąłby niebezpiecznych skutków. Niestety, część Indian pozostała; pięciu czy sześciu pilnowało jeńca przy ognisku, dziesięciu zaś stało naprzeciw skały i obserwowało mnie bacznie. Nie mogłem nawet marzyć o spuszczeniu się na dół.

Trzeba się było zdecydować na niebezpieczne wspinanie się po górach. W tym celu musiałem uzyskać zupełną swobodę rąk. Z wielkim trudem przywiązałem wodza do swoich pleców. Obrąłem tą samą drogę, po której przybyłem. Ryki Indian zamilkły; słychać tylko było odgłos moich kroków, którego, niestety, nie mogłem stłumić. Co krok musiałem chwycić za skałę, lub za drzewo. Rozlegał się trzask gałęzi; od czasu do czasu słychać było, jak stacza się kamień. Czerwoni zachowywali się spokojnie, musiał więc dojść do nich każdy szmer. Wspinali się na górę w głębokiej ciszy. Odgłos mych kroków był im przewodnikiem. Jedyne moje nadzieje opierała się na tym, że znam drogę, natomiast Komancze nie znają jej i będą mieli do pokonania cały szereg trudności.

Z wodzem na plecach szedłem i szedłem, to wspinając się w górę, to znowu chwytając się gałęzi, aby nie spaść ze stromego urwiska.

Na nieszczęście, nie udało mi się dotychczas zakneblować To-kejchuna. Powoli odzyskiwał przytomność; zauważyć to można było po jego ruchach. Nie mógł oderwać ramion od piersi ani rozstawić nóg. Ale mógł zginać kolana, do czego uciekał się z pasją, kopiąc mnie potężnie w plecy.

Utrudniało to mą wyprawę, która jednak postępowała naprzód. Nagle wódz wpadł na pomysł, że lepiej będzie pracować językiem, niż kolanami i wrzasnął:

— Pójdźcie tu, wojownik Komanczów! Jestem tutaj, niesie mnie na rękach!

— Milcz! — rzuciłem groźnie. — Nie mam zamiaru żartować. Jeżeli się nie uspokoisz, zakłuję cię nożem.

— Proszę, proszę! — odpowiedział ironicznie. — Jakże będziesz mógł uwolnić jeńca, skoro mnie zamordujesz?

Wrzeszczał nadal, tylko od czasu do czasu milknąc na jedno mgnienie dla złapania oddechu. Nie ulegało wątpliwości, że przy takim stanie sprawy wpadnę w ręce Indian. Wyciągnąłem więc nóż i przykładając ostrze do gardła To-kej-chuna, rzekłem:

— Jeżeli nie przestaniesz wrzeszczeć, przebiję ci gardło.

Łotr tak ufał w moje humanitarne uczucia, że nie bacząc na ostrze noża, przyłożone do gardła, ryknął.

— Komancze, jestem tutaj!

Sytuacja stawała się nieznośna. Ryk To-kej-chuna wskazuje Indianom drogę do mnie, ponadto, jeżeli się *zbliżą*, nie dosłyszę w tym hałasie ich kroków. Czy mam ogłuszyć go raz trzeci? Uważałem to za środek ry2ykowny. Zamiar może się nie udać; kto wie zresztą, czy go tym razem nie zabiję? Ponadto trzeba by go było odwiązać od pleców, co pochłonełoby sporo czasu. Nie odwracając się więc, wbiłem mu ostrze noża w górną część piersi, bacząc pilnie, by ukłucie nie było zbyt głębokie.

— Psie! — ryknął.

— Jeszcze słowo, a wpakuję nóż aż po rękajeść!

Zamilkł! Zatrzymałem się więc na chwilę. Nadśluchiwałem. Martwa cisza. Nagle dobiegło od podstawy góry niewyraźne echo ludzkich głosów. Zrozumiałem, co zamierzają Indianie. Nie mogli się wspiąć na górę. Głos wodza wskazał im, że znoszą go na dół. Wystarczyło więc czekać na dole. Nie wiedząc, w którym miejscu zejść z góry, musieli utworzyć łańcuch. Zamkną go, skoro się tylko zjawię. Wywnioskowałem to ze wzajemnych nawoływań czerwonych.

Czy jednak sztafeta Indian dotrze do miejsca, gdzie leżą ukryci moi towarzysze? Gdyby się tak stało, sytuacja nasza nie byłaby najłatwiejsza. Nie wiadomo bowiem, czy nawet sprytnym i energicznym braciom Snuffle uda się odeprzeć atak i kryć mój odwrót. Z tego względu bałem się więcej o nich, niż o siebie.

Najcięższą część drogi miałem już za sobą; schodziłem więc na dół o wiele prędzej, niż do tej pory. W przeciągu dziesięciu minut mogłem być na dole. Nagle rozległ się odgłos strzału i ktoś zawołał:

— Masz za swoją ciekawość, czerwona świnio! Teraz będziesz wiedział, kim jesteśmy!

Był to głos Jima Snuffle. A więc Komancze odkryli naszą kryjówkę! Skutki nie dały na siebie czekać. Kilku czerwonych podniosło alarm, a po chwili zawtórowała im reszta. Po tych głosach mogłem oszacować długość łańcucha, który utworzyli.

Po chwili padł strzał, tym razem z większego oddalenia. Bezpośrednio po tym strzale usłyszałem głos Jima:

— Znam odgłos tych strzałów. Toś ty strzelał, stary Timie, nieprawdaż?

— *Yes*.

— Słusznie! Pokaż im, gdzie raki zimują! Zobaczymy, czy nas pochwyca. Byłaby to dla nich rozkosz prawdziwa!

Padło jeszcze kilka strzało dlów, na które czerwoni odpowiedzieli rykiem. Poznałem po tym ryku, że się oddalają. Otrzymali nauczkę!

Przybywszy szczęśliwie na dół, ujrzałem tylko wierzchowca i jednego z lokajów Dżafara.

— Jesteś sam? Gdzież reszta? — zapytałem.

— Nie ma ich! Kiedy czerwoni się zbliżyli, Jim Snuffle uznał, że trzeba ich przepędzić.

Usłyszałem trzask gałęzi i po chwili ujrzałem Jima we własnej osobie.

— Nie ma ich — mówił Jim, nie widząc mnie — i nieprędko wrócą. Oby tylko Old Shatterhand zjawił się jak najprędzej! Krzyk z góry dezorientował mnie zupełnie. Można było przypuszczać...

Naraz mnie ujrzał. Przerwał więc, podszedł ku mnie i zaczął mówić dalej:

— Do licha! Któż to taki? Takiego grubego ananasa nie widziałem jeszcze...

— To złudzenie, że jestem grubasem, — przerwałem. — Ma pan przed sobą dwa ananasy, mister Snuffle!

— Ach, więc to pan? — zawołał z zadowoleniem. — Dzięki Bogu, żeś...

— Cicho, cicho! Krzyczysz, sir, jak gdybyś chciał, żeby cię usłyszano w całym Meksyku. Czy nie wiesz, że czerwoni w pobliżu?

— W pobliżu? — rzekł z uśmiechem. — Ani im się śni! Byli w pobliżu, ale teraz już nie ma ich na lekarstwo.

— Czyś pan tego pewien?

— *Yes*. Widziałem na własne oczy jak uciekali. Zbliżyli się gęsiego, zapewne chcieli utworzyć łańcuch celem schwytania was. Ale udaremniliśmy ich zamiar!

— Czy aby całkowicie?

— Całkowicie! Mój stary Tim ściga ich wraz z resztą towarzyszy, ja zaś wróciłem tutaj, by na pana czekać.

— Jeżeli tak, spisaliście się dobrze i winienem wam wdzięczność, żeście przepędzili Indian. Oto moja ręka, mister Snuffle. Przekonałem się, że mogę na pana liczyć.

— Nie ma pan za co dziękować. Wczoraj wyciągnąłeś mnie, sir, ze znacznie gorszej opresji. Mimo to... proszę o rękę. Uścisk dłoni Old Shatterhanda, to dla mnie rozkosz prawdziwa! Cóż za łotra dźwiga pan na sobie?

— Zdejm go, sir! Nie poznaliście go po głosie? Przecież ryczał, jak nieboskie stworzenie.

Popuściłem jeńcowi lasso; Jim umieścił go na ziemi. Spojrzawszy w oczy Indianinowi, zawołał ze zdumieniem:

— Do licha! Znowu To-kej-chun! To zaczyna przeradzać się u pana w nałóg. W jaki sposób schwyciłeś go, sir? Przez przypadek?

— Nie.

— Czyż być może? Chyba pan nie twierdzi, żeś nas opuścił z gotowym planem wykradzenia Indianom ich ulubionego wodza?

— Tego nie twierdzą. Odszedłem stąd, aby oswobodzić Dżafara. Aliści zbyt pilnie go strzeżono. Postanowiłem więc ująć wodza, co na jedno wychodzi, gdyż, mając go w swej mocy, mamy właściwie Dżafara.

— To już chyba czwarte podejście, mister Shatterhand!

— Istotnie, sprawa nie była tym razem łatwa. Obecnie jednak musimy gdzie indziej skierować uwagę. Czerwoni będą całkowicie pochłonięci myślą o uwolnieniu wodza. W dzień nie odważą się podkraść do nas, ponieważ jak już to nieraz dowiedli, chyba się nas boją. Ale pod osłoną nocy gotowi spróbować szczęścia. Indianie zorientują się po strzałach, gdzie jesteśmy. Leżymy tu na skraju równiny, u stóp góry. Gdyby utworzyli łańcuch, ciągnący się ku równinie, z drugiej zaś sięgający góry, bylibyśmy zamknięci, a czerwoni mogliby...

Przerwałem, gdyż zjawił się Tim Snuffle.

— Słuchaj, stary Jimie — rzekł, — mam wrażenie, że czerwoni... Ach, ależ to Old Shatterhand we własnej osobie! Któż to leży tutaj?

— To-kej-chun — odrzekłem.

— Do pioruna! Schwytałeś go, sir?

— Tak. Przybywa pan z meldunkiem?

— *Yes*. Mam wrażenie, że Indianie coś knują.

— Z czego to pan wnosi?

— Pełzają w kierunku równiny.

— No i cóż, Jimie, nie miałem racji? Sprowadźcie tu natychmiast resztę towarzyszy. Niech się zbliżą, zachowując najgłębsze milczenia, i niechaj będą gotowi do ruszenia w dalszą drogę. Ja tymczasem stawię opór Indianom.

Ujawszy sztucer Henry'ego, przedarłem się przez zarośla ku otwartej prerii. Dotarwszy do niej, padłem na ziemię i zacząłem pełzać po średnicy półkola, które, według moich obliczeń, utworzyć mieli Indianie. Po jakimś czasie zatrzymałem się. Przypuszczenia moje okazały się słuszne. Z lewej strony wyrastały pochylone postacie, posuwające się wolno naprzód. Indianie szli gęsiego. Gdy idący na przodzie znalazł się w odległości jakichś czterech kroków ode mnie, dałem w jego kierunku trzy czy cztery strzały, oczywiście nie celując ani w niego, ani w tych, którzy szli za nim, i zawołałem:

— Cofnijcie się! Tu stoi Old Shatterhand. Kto się odważy iść dalej? Wydawszy kilka okrzyków przerażenia, łotry w mig się ulotniły.

Posłałem za nimi jeszcze kilka strzałów, zanim wróciłem do naszej kryjówki.

Wszyscy towarzysze byli już zebrani. Słyszeli odgłos moich strzałów. Jim Snuffle zapytał:

— Strzelałeś, sir? Do kogo?

— Oczywiście do czerwonych. Chyba nie wyobraża pan sobie, że usiłowałem zestrzelić kilka gwiazd z nieba!

— A więc Komancze istotnie pełzali ku nam?

— Tak.

— A potem?

— Dali drapaką.

— Możemy tu pozostać?

— Nie. Jestem przekonany, że ponowią próbę, ale tym razem w większej odległości. Musimy się więc ulotnić.

Wódz słyszał całą rozmowę. Nie uważałem za potrzebne ukrywać jej przed nim. Milczał jak zakłęty; nie dawał znaku życia. Przerzuciwszy broń przez ramię, wsiałem na konia. Podsadzono mi wodza, po czym ruszyliśmy w kierunku równiny. Dotarwszy do miejsca, w którym podczas ostatniej naszej bytności odbyła się wymiana pojmanego wodza na białych jeńców, zeskoczyliśmy z koni i rozsiedliśmy się na ziemi dookoła To-kej-chuna. Teraz dopiero mogłem opowiedzieć towarzyszom, w jaki sposób udało mi się znów porwać wodza. Nie skończyłem jeszcze opowiadać, gdy od strony gór rozległ się piekielny hałas.

— To czerwoni — rzekł Perkins. — Powiedz, mister Old Shatterhand, co oznacza ten piekielny śpiew?

— Odpowiedź jest bardzo prosta. Mimo że ich przepędziliśmy nie zrezygnowali z napaści na nas. Otoczyli naszą kryjówkę i na umówiony znak wpadli do niej.

— A tym czasem ptaszki z niej wyleciały!

— Wielkie to dla nas szczęście. Czerwoni są tak wściekli, że ryczą, jak nieboskie stworzenia.

Tego już było wodzowi za wiele. Syknął więc:

— Powiadasz, że ryczą z wściekłości? A ja ci mówię, że będą jeszcze ryczeć z radości!

— *Pshaw!* — odparłem. — Ryk ten jest dowodem głupoty, słowa zaś twoje są jeszcze wyraźniejszym dowodem, niż ich wrzaski.

— Milcz! To-kej-chun nigdy nie rzuca słów na wiatr.

— Znam twoje myśli na wylot. Twoi wojownicy wiedzą, że chcę wymienić cię za pojmaną bladą twarz i że wskutek tego będę musiał pomówić z nimi jutro. Są więc przekonani, że się nie oddalę od ich obozu. Głowili się nad tym, gdzie pozostanę i gdzie będę z nimi prowadzić układy. Odpowiedzieli sobie z pewnością, że Old Shatterhand będzie z nimi mówić w tym samym miejscu, w którym już raz prowadził układy. Skorzystają więc z ciemności nocy, aby raz jeszcze spróbować napadu. — Uff!

— Ale to im się nie uda — ciągnąłem dalej — choć pokładasz w napadzie całą nadzieję. Gdybyś jej nie miał, nie groziłbyś nam. Widzisz więc, że twoje słowa są czcze, jak ryk twych wojowników.

Nie odpowiedział. Ciągnąłem dalej:

— Nie jesteś wcale wart tego, aby wojownik rozmawiał z tobą, gdyż zbeszcześciłeś kalumet i nie dotrzymałeś obietnicy pokoju.

— Jedyne własny kalumet jest dla mnie świętością! Dlaczego nie wypaliłeś mego? Old Shatterhand jest znacznie głupszy od tych, których nazywa głupcami.

— Nie postąpiłem ani głupio, ani lekkomyślnie. Ja, gdybym pociągnął z twojej fajki pokoju uważałbym obietnicę za równie świętą, jak gdybym wypalił własny kalumet. Przewidziałem twój wykręt i wyjawilem go towarzyszom. Mimo to nie zmusiłem cię do posługiwania się własnym kalumetem. Albowiem nie lękam się ciebie. Jesteś wobec mnie robakiem, którego mogę w każdej chwili zdeptać.

— Cóż się tedy stanie z bladą twarzą, którą pojaliśmy?

— *Pshaw!* Potrafiłbym uwolnić tego białego, gdybyś nawet nie był w naszej mocy.

Zdawałem sobie sprawę, że Indianie wkrótce znowu nas okrażą. Poleciałem przenieść wodza na ubocze, aby nie wtajemniczać go w nasze zamysły, i naradziłem się z towarzyszami. Postanowiliśmy, że bracia Snuffle, Perkins i obydwaj przewodnicy ruszą wraz ze mną przeciw ewentualnym wywiadowcom; obydwaj zaś lokaje pozostaną przy wodzu. Po chwili zaczęliśmy pełzać naprzód. Zatrzymaliśmy się po pewnym czasie. Zleciłem towarzyszom rozwinąć tylarię w kierunku Żółtej Góry. Odległość między każdym z nas wynosiła około czterdziestu kroków. Postanowiłem zająć wysunięty nieco środek szeregu. Nie wątpiłem, że wywiadowca wpadnie między nas, jak ryba w sieć.

Nie omyliłem się. Po upływie niespełna pół godziny Jim Snuffle zawołał:

— Ktoś się tu chce przedostać. Trzymaj go mocno, stary Timie! — *Yes!*

Obydwaj bracia leżeli na prawo ode mnie; bliżej Tim, dalej Jim. Odwróciłem się i zobaczyłem, że Tim biegnie w kierunku jakiejś postaci, która przed chwilą podniosła się z ziemi i rzuciła do ucieczki. Postać biegła w wielkich susach ku wysuniętemu miejscu, w który leżałem. Był to czerwony. Pozwoliwszy mu zbliżyć się na odległość dziesięciu kroków, podniosłem się niespodzianie. Przerażony Indianin zatrzymał się w mgnieniu oka. Wystarczyło mi to w zupełności.

Doskoczyłem doń w dwóch potężnych susach, przewróciłem na ziemię i przytrzymałem tak długo, dopóki nie podeszli bracia Snuffle i nie związali go. Stało się to wszystko bez hałasu, Indianin bowiem stawiał bardzo słaby opór.

— No, tego mamy! — rzekł Jim z zadowoleniem. Ciekaw jestem, czy przyszedł tu w towarzystwie.

— Zgodnie z taktyką Indian powinien być sam. W przeciwnym razie zauważylibyśmy innych równocześnie z nim — odparłem. — Zaprowadzimy go do wodza, potem ruszymy dalej.

— Dokąd?

— Niedaleko. Udamy się do miejsca, gdzie nas nie będą szukać. Przed chwilą powzięłem pewien plan. Oświadczyłem niedawno wodzowi, że potrafię uwolnić bladą twarz i bez wymiany. Ta przechwałka naprowadza mnie na pierwotny mój zamiar. Przekradnę się ku grobom wodzów, przy których leży nasz jeniec.

— Sam się wydasz w ręce Indian, sir!

— Nie ma ich tam.

— Kto to panu powiedział?

— Wywiadowca. Uciekał przed nami. Nie ulega wątpliwości, że biegł w kierunku swoich. A przecież biegł ku mnie od prawej strony. Dowodzi to, że znajdują się na lewo; zatrzymali się tam, nie znalazłszy nas w kryjówce. Moim zdaniem więc, sytuacja przedstawia się tak: podczas mego przebywania na cyplu skalnym około dziesięciu Indian stało na dole, sześciu zaś pilnowało Dżafara. Skorom się oddalił uznali to za zbędne. Jeńca pilnuje najwyżej dwóch wartowników, z którymi łatwo dam sobie radę; reszta przyłączyła się do tych, którzy zamierzają na nas napaść. Przekradnę się więc ku grobom wodzów; zmienimy przedtem kryjówkę, by nas nie znaleźli.

To-kej-chun obrzucił nowego jeńca osłupiałym spojrzeniem nie mówiąc ani słowa.

— No i cóż? — zapytałem. — Czy wojownicy twoi oswobodzą cię wodzu? Schwytaliśmy ich wywiadowcę.

— Ale mimo to przyjdą! — mruknął.

— Może zjawią się tutaj; nie ulega jednak wątpliwości, że nie dotrą do nas. Zawiedziesz się, jak przedtem, kiedy nas chciałeś oszukać.

Uwolniliśmy z więzów nogi wodza i wywiadowcy, aby mogli iść swobodnie; po jakimś czasie zatrzymaliśmy się w miejscu, odległym o jakąś milę. Obrąłem tak wielki dystans, aby Komancze nie usłyszeli ewentualnych krzyków wodza. Objasniwszy towarzyszy, jak się powinni zachować, opuściłem ich, aby wykonać nowy plan. Na wszelki wypadek zabrałem ze sobą obydwie strzelby.

Nasze nowe legowisko znajdowało się w dosyć wielkiej odległości od grobów. Dotarłem przeto do celu po upływie dobrej godziny od chwili schwytania wywiadowcy. Mimo to byłem święcie przekonany, że czerwoni trwają jeszcze na swym przypuszczalnym stanowisku. Fakt, że wywiadowca oddalił się na godzinę, nie powinien ich wyprowadzać z równowagi. Należało więc liczyć się z tym, że na dole, przy grobach, napotkam na niewielki opór.

Przypuszczenie okazało się słuszne. Gdym w pobliżu grobów zaczął się przedzierać przez rzadkie zarośla, ujrzałem przy ognisku tylko dwóch wartowników. Siedzieli przy jeńcu, odwróceny do mnie plecami. Jeżeli nie usłyszą szmeru moich kroków, wykonanie planu uda się z pewnością.

Przypadłem do ziemi i czołgałem się w ich kierunku. Nie było to rzeczą łatwą, gdyż krzaki się urwały, a niska trawa nie dawała żadnej osłony. Musiałem się trzymać linii cienia, który obydwaj Indianie rzucali w moim kierunku. Niebezpieczną sytuację komplikowała osoba tego, którego miałem zamiar oswobodzić. Nie był obeznany z życiem Dzikiego Zachodu i nie posiadał daru panowania nad sobą w niespodziewanych sytuacjach. Jeżeli mnie ujrzy z daleka i zdradzi się z tym w jakikolwiek sposób, mogę dostać kulkę w łeb przed dotarciem na miejsce. Trzeba więc było posuwać się naprzód tak, by ciągle zasłaniał mnie przed nim jeden z Indian. Mimo trudności udało mi się tego dokonać. Oto wreszcie znalazłem się w odległości kilku kroków od Dżafara. Podniosłem się teraz z ziemi i trzymając w ręku nabity rewolwer, w dwóch susach stanąłem za plecami czerwonych. Na odgłos kroków odwrócili się obaj. Pod wpływem zdumienia nie mogli wykrztusić ani słowa, lecz pozostało

im jeszcze tyle przytomności, że chwycili za rękojeści noży i zerwaliby się z ziemi, gdybym nie rozkazał:

— Siedźcie, nie ruszajcie się, bo was zastrzelę!

— Uff, uff! — stęknął jeden. — To Old Shatterhand!

— Tak, jestem Old Shatterhandem. Jeżeli nie będziecie mi bezwzględnie posłuszni, zginiecie wraz ze swym wodzem. Odłóżcie więc noże!

Uśluhalili rozkazu.

Podszedłem do Dżafara i przeciąłem mu więzy; w lewej ręce trzymałem rewolwer, lufą skierowany ku wartownikom. Po chwili rzekłem do Dżafara:

— Weź pan te rzemienie i zwiąż nimi ręce i nogi tych czerwonych gentlemanów.

Wstał, by wykonać polecenie; jeden z czerwonych odezwał się na to:

— Nie damy się związać!

— Jeżeli nie będziecie posłuszni, zastrzelę was, a leki wasze i skalpy wrzucę w ogień.

— Uff! — zawołał przerażony.

Groźba złamała opór. Pers związał ich bez hałasu.

— Ograbiono cię, sir? — zapytałem go. — Tak — odparł.

— Kto?

— Wódz.

— Wszystko zabrał?

— Tylko drobiazgi. Rzeczy wartościowe ukryłem w siodle.

— Siodło jest w naszym posiadaniu. Drobiazgi wódz będzie musiał zwrócić.

Rzekłem do wartowników.

— Oto owoce waszego wierołomstwa. Jeniec wasz odzyskał wolność, za to To-kej-chun jest znowu w mej mocy i nie tak łatwo wydostanie się z niewoli. Teraz opuszczamy to miejsce i jeden z was odprowadzi nas, będzie świadkiem mojej rozmowy z wodzem i wróci tu jako wysłannik. To-kej-chun pozostanie z nami aż do chwili, w której czuć się będziemy bezpiecznie. Zabieram mu konia. Czy później wodza uśmiercimy, czy też podarujemy mu życie, będzie to zależało od jego zachowania.

Dżafar przyprowadził wierzchowce, swego i To-kej-chuna, później przyniósł broń i parę drobiazgów, które pozostały pod skałą po To-kej-chunie. Zdjąłem więzy z nóg jednego z wartowników i przywiązałem mu ręce do strzemienia. Towarzysza jego zakneblowałem tak, by nie mógł pisać. Potem zgasiłem ognisko i ruszyliśmy.

Gdyśmy wydostali się na równinę, Pers odezwał się:

— Sir, ileż panu zawdzięczam! Dług mój względem pana rośnie z dnia na dzień. Teraz znów mnie pan uwolnił.

— Ale po raz ostatni! — rzekłem poważnie.

— Jestem tego pewien. Nie wpadnę już w łapy tych diabłów. — Jeżeli będziesz, sir, ostrożniejszy, niż dotychczas. — Zaręczam.

— Daj Boże. Słuchaj!

Za nim rozległy się głośnie ryki.

— Dlaczego tak wrzeszczą? — zapytał Pers. — Chyba nie schwytali naszych towarzyszy?

— Nie. Towarzysze znajdują się przed nami. To ryk wściekłości Komanczów, którzy uświadomili sobie, że nie będą w stanie oswobodzić wodza. Wrócili do obozu i zauważyli żeś pan zniknął i ponadto zabrano im jednego z wojowników.

— Będą nas ścigać!

— Niech spróbują! Bądź pan zadowolony, że wyprawa moja się udała. Gdyby nie to, dzień

dzisiejszy byłby ostatnim dniem twego życia.

— Sądzi pan naprawdę, że byli by mnie zamordowali? — Bez litości.

— Okropni ludzie! U nas żyją także półdzikie ludy, przed którymi trzeba się mieć na baczności, ale nie tak krwiożercze jak Indianie.

— Na podstawie doświadczenia twierdzę coś wręcz przeciwnego. Jakże często na Wschodzie dybano na moje życie jedynie dlatego, że nie jestem muzułmaninem. Tymczasem Indianin nie zna nienawiści na tle religijnym. Białych uważa za wrogów dlatego że podkopują jego byt. Broni swych praw do życia, to wszystko.

— Cóż uczyniłem złego tym Komanczom?

— Przede wszystkim, należy pan do wrogiej Komanczom rasy białej. Sprawa pana osobistego stosunku do tego zagadnienia nie interesuje ich wcale. Ponadto, podróżuje pan po ich kraju, nie pytając wcale, czy im się to podoba.

— Cóż mogą mieć przeciw temu?

— Odpowiem pytaniem: czy mógłbym podróżować po Persji tak, jak pan tutaj?

— Oczywiście!

— Naprawdę? Wolno by mi było obozować i sypiać, gdzie mi się podoba? Mógłbym swobodnie polować? Wolno by mi było zabierać żywność prawowitym mieszkańcom kraju i nie słyszał bym ani jednego słowa protestu?

—Hm!

— Tak, hm! Czy na waszej granicy każdy szejk nie żąda okupu od podróżnego, który chce się dostać do kraju?

— Racja.

— A gdyby zażądał tego któryś z tutejszych wodzów, dostałby kulkę w łeb. Był czas, gdy milionowe rzesze czerwonych panowały nad całą częścią świata. Z tych milionów została nędzna garstka, pędzona z miejsca na miejsce. Ktoś więc jest okrutnikiem — czerwoni czy biali?

Pers milczał. Za to przywiązany do mego strzemienia Indianin szczepu Komanczów zawołał:

— Uff,uff! I to mówi Old Shatterhand mimo że jest bladą twarzą!

— Zawsze to mówiłem.

— W takim razie jesteś prawdziwym przyjacielem wszystkich czerwonych mężów!

— Tak. Moglibyście już przestać ścigać mnie i moich towarzyszy.

— Powiedziałbym to moim wojownikom, ale nie wiem, czy mi wolno do nich powrócić. Czy Old Shatterhand puści mnie wolno?

— Owszem. Będiesz obecny przy mojej rozmowie z wodzem. Po ukończeniu jej odzyskasz wolność i będziesz mógł powtórzyć wojownikom Komanczów, co powiedziałem To-kej-chunowi.

Tymczasem dotarliśmy w poblizsze miejsca, w którym zostawiłem towarzyszy. Na otwartej prerii panowała głucha noc. Gwizdnąłem; po chwili odpowiedziano mi, co wskazywało, że nie zboczyłem z drogi. Rozległ się głos Jima.

— Halloo, sir! Tyś to gwizdnął przed chwilą?

— Ja.

— Czy, czy... ach, ależ widzę trzy osoby zamiast jednej! Czy mister Dżafar...

— Jestem wolny — przerwał Pers, zeskakując z konia.— Mister Shatterhand oswobodził mnie!

— Więc znowu się udało! Kimże jest ten trzeci gentleman? Ależ to przechodzi wszelkie oczekiwania! Nie sądzisz, stary Timie?

— *Yes* — potwierdził brat i łamiąc zasadę milczenia dorzucił: — przyznaję, że rozum mój zaczyna się pod wpływem tego zdarzenia ulatniać.

— Rozum ci się ulatnia? Wypraszam to sobie stanowczo! Dziękuję za brata, pozbawionego rozumu. To by dla mnie wcale nie było rozkoszą!

Zsiadłem z konia. Gdy To-kej-chun ujrzał, że sprowadziłem jako jeńca jednego z Komanczów, rzucił tylko ponure: — Uff!

Na zapytanie towarzyszy, w jaki sposób oswobodziłem Dżafara, odparłem:

— Odłóżmy to na później. Gdy będę miał wolną chwilę, dowiecie się o wszystkim. Przede wszystkim chcę pomówić z To-kej-chunem. Muszę się zabezpieczyć przed powtórny złamaniem słowa.

Zwróciłem się do pojmanego wodza:

— Niechaj To-kej-chun posłucha, co mu powiem. Złamał słowo. Powiniennem go za to zabić. Ale daruję mu życie. Tymczasem jednak nie odzyska wolności, gdyż znowu gotów następować mi na pięty.

— Nie — rzekł.

— Nie wierzę! Kto raz okłamał Old Shatterhanda, ten nigdy nie odzyska jego zaufania. Przywiążemy cię do konia i zabierzemy ze sobą. Wojownicy twoi muszą pozostać i czekać tu na twój powrót. Jeżeli będą nas napastować, zastrzelę cię jak psa.

— Uff! Nie zechcą pozostać.

— Będą musieli, ponieważ wydasz odpowiedni rozkaz.

— Któż ich poinformuje o treści rozkazu?

— Wojownik, którego przyprowadziłem.

— Uff! Uwolnisz go?

— Tak. Ruszymy natychmiast. Zabiorę twoje leki. Jeżeli będę z ciebie zadowolony zwrócę ci je wraz z wolnością. Jeżeli nie będziesz mnie słuchał, zdepczę twój honor.

— Naprawdę dotrzymasz słowa i pozwolisz mi wrócić do swoich wraz z lekami?

— Tak.

— A reszta bladych twarzy? Tobie wierzę ale czy towarzysze twoi zastosują się do twojej woli?

— Przysięgam solennie, że wpakuję kulę w łeb każdemu, kto się poważy naruszyć moją obietnicę.

— Wierzę ci! Przypieczętuujemy to fajką pokoju.

— Właściwie jest to zbyt uczte, gdyż Old Shatterhand dotrzymuje słowa i bez kalumetu. Niech się jednak stanie zadość twojej woli.

Zapalimy twoją fajkę. Wiesz chyba, dlaczego na to nalegam.

Po wykonaniu tego uroczystego obrzędu, wydał wojownikowi podyktowane przeze mnie zlecenia.

Uwolniłem wojownika z więzów. Po chwili znikł w ciemnościach. Schwytany przedtem wywiadowca ruszył za nim. Wziąłem leki wodza; przywiązano teraz To-kej-chuna do konia i puściliśmy się w dalszą drogę. Jechaliśmy całą noc. Do rana konie tak się wyczerpały, że trzeba było im pozwolić wypocząć.

Podczas popasu Jim Snuffle doradzał, aby jeden z nas zawrócił, celem przekonania się, czy Komancze nie rozpoczęli pościgu. Odrzuciłem tę propozycję. Byłem głęboko przekonany, że tym razem usłuchają rozkazu wodza. Przecież chodziło tu nie tylko o jego życie, lecz o rzecz znacznie ważniejszą: o jego leki!

Po trzech dniach dotarliśmy do granicy Nowego Meksyku. Uważałem, że czas najwyższy rozstać się z towarzyszami i ruszyć w planowaną poprzednio drogę. Uwolniłem To-kej-chuna z więzów i oświadczyłem, że jest wolny, polecając zarazem, by zrezygnował z zamiaru napaści na osady białych,

gdyż znajdę środki i sposoby ostrzeżenia ich przed niebezpieczeństwem. Odjechał w milczeniu. Znowu darowałem mu życie. Nie ulega wątpliwości, że przy ewentualnym spotkaniu wystąpi przeciw mnie jako zdeklarowany wróg.

Pożegnanie z Perkinsem i z obydwojema przewodnikami, którzy w tej całej przygodzie odgrywali rolę raczej bierną, zabrało niewiele czasu. Jim Snuffle wyciągnął obie dłonie i rzekł:

— Sir! Podczas podróży nieraz panowała między nami rozbieżność zdań. Ale rozsądny człowiek musi kierować się rozsądkiem i dlatego przyznać teraz muszę, że miałeś zawsze rację. Przebaczasz nam?

— Chętnie kochany Jimie.

— Dziękuję. Powiedziałeś "kochany Jimie", nieprawdaż, sir? Dziękuję, stokrotnie dziękuję! Słowa "kochany Jimie" z ust Old Shatterhanda sprawiają mi prawdziwą satysfakcję! Mam rację, stary Timie?

— *Yes!*

— *Well!* A więc rozstajemy się jak przyjaciele. Będę się bardzo cieszyć, jeżeli kiedyś spotkamy się jeszcze. Pojedziemy z mister Dżafarem. Może odprowadzimy go do Santa Fe, gdzie znajdzie dobrych przewodników, którzy doprowadzą go do San Francisco. Bądź więc zdrów mister Shatterhand, a nie zapomnij o braciach Snuffle!

Uściskawszy dłonie obydwojóm braci, rzekłem:

— Z przyjemnością będę wspominać spędzone razem chwile. A może wolicie, abym o nich zapomniał, kochany Timie?

— *No!* — odparł lakonicznie wzruszonym głosem i ruszył za bratem. Pozostałem sam z Dżafarem.

— Sir, — rzekł — nie mogę teraz rozvodzić się nad długiem, który od pana zaciągnąłem. Chciałbym tylko *znaleźć* kiedyś okazję do odwdzięczenia się za wszystko. Czy mogę się spodziewać?

— Powiadają, że wszystko na świecie możliwe.

— Przybędziesz, sir, kiedyś do Arabów plemienia Szammar? — Kto wie.

— A może przybędziesz do Persji? — I to prawdopodobne.

— Czy możesz określić termin?

— Nie: Jestem jak ptak bez gniazda, który lata po świecie.

— A więc trudno ustalić, gdzie i kiedy się spotkamy. Nie wiadomo, kim wtedy będę. W każdym razie jestem przekonany, że usłyszysz o mirzy Dżafarze synu mirzy Masuka. Zapamiętaj sobie to imię. Chciałbym, abyś od czasu do czasu pomyślał o mnie; przyjmij więc tę broń na pamiątkę. Dzięki niej poznałem cię sir i zachowałem życie. Wyświadcz mi łaskę i przyjmij tę broń.

Podał mi handzar.

— Właściwie nie powinienem przyjąć tego sztyletu, gdyż jest zbyt kosztowny, ale pragnąłem...

— Zbyt kosztowny dla tego, kto mi uratował życie? — przerwał. — Ale to drobiazg, wolałbym obdarować cię czymś znacznie droższym sir! Może się kiedyś sposobność nadarzy. Przyrzekam, iż uczynię wszystko czego żądasz, oczywiście w granicach możliwości. Bądź zdrów, przyjacielu! Towarzysze są już tak daleko, że ledwo ich rozpoznają...

— Bądź zdrów, sir! Dziękuję za sztylet. Nie życzyłbym sobie jednak, aby go ktoś panu przyniósł w moim imieniu.

Podawszy sobie dłonie rozjechaliśmy się w różne strony; Dżafar ruszył na zachód a ja na południe.

Ze słów Dżafara biła jakaś dziwna pewność siebie, oparta na przekonaniu Persa, że dojdzie kiedyś do władzy i wpływów. Nie mówił nic o swych stosunkach i planach, ja zaś nie nalegałem.

Właściwie mógł sobie pozwolić wobec mnie na większą szczerłość; przecież zawdzięczał mi życie. Zresztą, nie takie to ważne; kto wie czy się jeszcze kiedyś spotkamy. — *Ma sha, Allah kan; warna lam jasha, lam jekuni.* Stanie się tak; jak Bóg zechce; a gdy nie zechce, nie stanie się!

Haddediwnowie

Nieraz już podkreślałem w swych opowiadaniach, że nie należę do bałwochwalców przypadku. Przeciwnie, wierzę niezachwianie, że ludźmi kieruje ręka Stwórcy i że bez jego woli ani jeden włos z głowy naszej spaść nie może. Ci, którzy się spod tej ręki wyrwali, którzy wędrują po własnych drogach i przeczą przeznaczeniu, nie zachwieją mym głębokim przekonaniem. Bardziej ufam własnemu doświadczeniu, niż sądom ludzi nawet bardzo świątłych, którzy dlatego jedynie nie widzą wpływu Opatrzności, ponieważ z niego zrezygnowali.

Zdarzało mi się niejednokrotnie, że jakieś odległe, nieznane, dawno zapomniane zdarzenia po latach odbywało się niespodziewanym echem. Echo wkraczało nieraz z taką siłą w sferę mych czynów, że chyba niewidomy i głuchy twierdziłby, iż dawne przeżycia, myśli i zdarzenia wyniosł na widownię przypadek.

To, co powiedziałem, odnosi się również do spotkania z Dżafarem; spotkanie to było w moim życiu jedynie przelotnym epizodem, do którego nie często powracałem myślami. Wyznaję szczerze, że z czasem handzar Persa utracił dla mnie charakter pamiątki. Biorąc go do ręki, nie myślałem wcale o jego posiadaczu, podróżując z nim od czasu do czasu, nie wyobrażałem sobie, że sztylet Dżafara będzie mi czymś więcej, niż zwykłą bronią. A jednak na pół zapomniane przeżycie zrodziło po latach doniosłe następstwa; dowodzą tego zdarzenia, o których opowiem.

Czytelnicy moich opowieści wiedzą, że w swoim czasie, kiedy wraz z wiernym Hadzi Halefem Omarem napotkaliśmy karawanę śmierci w drodze z Bagdadu do Karbela, zaraza powaliła nas z nóg. Cudem tylko uniknęliśmy śmierci, gdyż wypadki, które zaszły przed chorobą, wyczerpały nas do cna. Te dni bóleści, w których obaj, bezbronni, skazani byliśmy jedynie na własne siły, wryły się w naszą pamięć; nic w tym dziwnego, przecież całe tygodnie, tuż obok siebie leżąc, pasowaliśmy się ze śmiercią!

Przybywszy później do Bagdadu, postanowiliśmy odwiedzić te miejsca, w których tyle się przecierpiało.

Muszę podkreślić, że dzielny mój Hadzi Halef awansował tymczasem na naczelnego szejka Haddediwnów i zdobył sobie szacunek odwrotnie proporcjonalny do jego wzrostu. Jak wiadomo, maty ten człowieczek był niezwykle dumny ze swej brody, którą, wcale trafnie, określał czasami następującymi słowami:

— Broda jest ozdobą mej twarzy. Składa się z trzynastu włosów; sześć rośnie po prawej stronie, siedem po lewej.

Pomimo nikłej postaci był jednak niezwykle odważny. Kochał mnie tak gorąco, że trudno by mi było odpowiedzieć na pytanie, czy przypadkiem nie jestem miłszy jego sercu niż żona, którą zwykł być nazywać "najukochańszym kwiatem spośród wszystkich róż".

Halef odznaczał się kwiecistym stylem nie tylko w żywej mowie; w listach był jeszcze bardziej szczodry. Pisywaliśmy do siebie od czasu do czasu; listy nasze docierały zwykle do celu po długiej wędrówce. Posyłałem je do Mossulu, Halef sprowadzał je przez któregoś z Beduinów. Do Mossulu również wysyłał listy raz na miesiąc, lub raz na rok, zależnie od tego, kiedy jego plemię rozbijało namioty w pobliżu miasta. W rezultacie korespondencja nie była zbyt regularna. Każdy list Halefa odznaczał się niepowszednią formą i treścią; rekord jednak pobiła ostatnia epistoła. Przed dziewięcioma miesiącami zawiadomiłem go, że wybieram się do Persji i mam zamiar odszukać pastwiska jego plemienia. Odpowiedział na to w arabsko-tureckim dialekcie:

Hadzi Halef Omar, Szejk Haddedińów wielkiego plemienia Szammar do Emira Hadzi Kara Ben Nemzi Effendi, swego przyjaciela

List Twój, o sidi, nadszedł podczas modlitwy Asr. Dzięki! Jaka łaska, co za przychyłność! Zaświeciło mi słońce, gdyż miałeś dosyć atramentu, aby go napisać. Radość dokoła; Hamdulillah! Niech do twej duszy nie wkrada się niepokój, odpiszę natychmiast. O pióro, o atramencie! Atrament zasechł, pošlę po wodę i wleję trochę do kałamarza! Atrament rozmięknie, nabierze znowu przejrzystości. Maszallah! Pismo jest bardzo blade, ale będziesz je mógł odczytać, gdyż zjadłeś rozumy wszystkich uczonych Wschodu i Zachodu. Przysięgam na to! Hanneh, żona moja, najpiękniejszy kwiat spośród wszystkich kobiet, pachnie tak samo, jak przed dziesięcioma laty. Ty nie masz żony. Niechaj Allah ulituje się nad tobą! Syn mój Kara Ben Halef, który nosi twe imię, wkrótce rozumem prześcignie ojca. Cieszy to mą duszę, a jednak wołam: biada, biada! Trzody moje rosną, namiot powiększa się. O złoto, o bogactwo, wielbłądy, konie, owce, kozy, barany! Czy u ciebie tak samo? Czy zbierasz grube, tłuste mleko? A może owoce daktyli twoich toczą robaki? Jeżeli tak, używaj daktyli tylko na pokarm dla koni. O biedo, o trosko, o klęsko! Jakże rośnie trawa u ciebie? Czy wiatry nie poszarpały twego namiotu? Jeżeli są w nim dziury, załataj! Niepozorny otworek rozrasta się szybko. O deszcze, wiatry — oszczędzajcie namiot emira Kara Ben Nemzi effendi! U nas pełnia, a u ciebie? Uciekaj przed występkami, gdyż rozmnażają się jak mrówki po stepie. Nie dawaj wielbłodom zbyt wiele paszy, ćwicz w nich cierpliwość. Niechaj konie twe śpią pod gołym niebem; tylko klacz ukochaną zabieraj do namiotu! Nie dokuczajcie jej, o nocy, i ty, roso!

Strzeż się przeziębienia i grzechu. Przeziębienie zabija ciało, grzech duszę, a byłoby mi żal przyjaciela! Wierzaj mi, jestem twym przyjacielem i obrońcą. Myśli twoje są w Persji, moje również. Pojadę bowiem z tobą. Jakżebym miał pozwolić, abyś pojechał sam, o sidi! Chcę znowu żyć i umierać z tobą. Przybywaj! Ben Rih, najwspanialszy spośród koni, będzie cię nosił. Ojciec jego był twoją własnością. Darowałeś mi go, weź teraz jego syna. Zwrócisz mi go później. Posłuchaj, jak cię kocham i uwielbiam: rozpocząłem ten list trzeciego dnia miesiąca tisz-rihn el auwal, a kończę dziś, dziesiątego dnia miesiąca kanun el tani Pisałem go dłużej niż trzy miesiące. Oto, jak wielkie ochłapy mego serca są twoją własnością! Gdy przybędziesz, nie będę pisał, lecz powiem ci znacznie więcej. Bądź cierpliwy w obcowaniu z plemionami, ale bądź równocześnie słowny w stosunku do starych bab; jeżeli o tym nie zapomnisz, będziesz mądrze rządzić i zbierzesz żniwo chwały. Nie kochaj się w swych błędach, gdyż gotowe wyrósć na kształt lwów i rozerwać cię w strzępy. Ciągle jeszcze pijasz wino? O Mahomecie! Przecież Tyś wzbronił tego napoju! Lecz ty, sidi, jesteś chrześcijaninem. Ja muszę słuchać Koranu! Jeżeli jednak przywieziesz ze sobą nieco wina, wypijemy je razem! O rozkoszy! Czekać będziemy na ciebie już od jutra. Skoro się zjawisz, uczcimy twe przybycie zarżnięciem owcy o najtłustszym ogonie. Ofiara odda chętnie swą krew dla ciebie. Zawsze podciągaj mocno popręgi siodła; jeżeli tego zaniedbasz, siodło obsunie się, a ty połamiesz sobie ręce, nogi i żebra! Hanneh, najwspanialsza wśród kobiet, nie sprzeciwia się mojej podróży z tobą. Staje się coraz piękniejsza. O szczęście, błogosławieństwo, o stanie małżeński! Bacz, abyś nie popadł w chorobę! Zapewniam cię, jako szczerzy przyjaciel, że choroba szkodzi zdrowiu. Nie obcuuj z niewiernymi i zbrodniarzami, bierz przykład z tych, których naprowadziłeś na prawą drogę. Dziś czwarty dzień miesiąca nisahn; list stał się w ten sposób dłuższy o całe trzy miesiące. O długości czasu, o liczbo wielu dni! Myj się pięć razy dziennie przed każdą modlitwą; jeżeli nie masz wody pod ręką, używaj piasku. O czystości ciała, o przejrzystości duszy! Obozujemy w pobliżu Qalat Szerkaht; wkrótce ruszymy na zachód; dlatego też wysyłam gońca do Mossulu.

Wstawaj wcześnie, ranna bowiem modlitwa jest lepsza od snu! Przywieź swe sławne strzelby i przybywaj jak najprędzej. Pokłon, cześć, zapewnienie miłości i czci od przyjaciela i obrońcy.

Hadzi Halef Omar Ben Hadzi Abul Abbas Ibn Hadzi Dawud al Gossarah

List mój, na który Halef wysłał przytoczoną wyżej odpowiedź, przeleżał w Mossulu szereg miesięcy. Pisanie odpowiedzi trwało pełnych sześć miesięcy. Zanim więc Halef zdążył w pocie czoła dokończyć swej epistoły, byłem już nad Tygrysem. Po jakimś czasie udało mi się ustalić, że Haddedihiowie powinni się znajdować w pobliżu Dżebel Chonuka. Wyruszyłem więc w drogę. Była to wyprawa niebezpieczna, gdyż mogłem łatwo napotkać na wrogów tego plemienia. Jeżeli mnie poznają, trzeba będzie bronić się przed nimi. Byłem sam, konia miałem nieszczerólnego; nie kupiłem droższego wierzchowca, wiedząc, że uszczęśliwię Halefa przez przyjęcie jego daru.

Szczęście mi sprzyjało. Aż do chwili, w której na południu rysować się zaczęły szczyty Chomiki, nie spotkałem nikogo. Tu dopiero ujrzałem jakiegoś jeźdźca. Na mój widok zatrzymał konia i chwycił za strzelbę. Okazałem mu więcej zaufania niż on mnie; zbliżyłem się doń i pozdrowiłem przyjaznym *sallam aaleikum*. W pierwszej chwili nie odpowiedział, obrzucając mnie ponurym spojrzeniem. Dopiero po jakimś czasie nie odpowiadając na me pozdrowienia, rzekł:

— Jesteś Turkiem, wysłanym przez paszę Mossulu?

— Nie — odparłem.

— Nie zaprzeczaj! Twoja twarz ma jasny połysk mieszkańców miast. Nie zdążyłem się jeszcze w podróży opalić. Wiedząc, że Beduini nie znoszą urzędników paszy, zwłaszcza poborców, rzekłem:

— Cóż mnie pasza obchodzi? Jam wolny człowiek, a nie jego poddany.

— Jakże Turek mienić się może wolnym człowiekiem? — odparł pogardliwie. — Tylko Beduin jest wolny.

— Nie jestem Turkiem.

— Możeś Frankiem? — spytał ironicznie. — Cóż za kłamstwo! Żaden Frank nie miałby odwagi zapuścić się tu bez towarzysza.

— Sądzisz, że tylko Beduini bywają odważni? — Tak.

— I mimo to zatrzymujesz konia na mój widok? Natomiast ja podjechałem zupełnie spokojnie. Któż więc wykazał odwagę?

— Milcz! Brak obawy przed jednym człowiekiem nie jest jeszcze dowodem odwagi. Chcę wiedzieć, do jakiego narodu czy plemienia należysz!

Brzmiało to jak groźba. Równocześnie bawił się spustem swej strzelby. Nie znam tej twarzy, nie jest zatem Haddedihiem. Odparłem więc tym samym tonem:

— Ciekaw jestem, który z nas ma prawo drugiemu stawiać pytania? Kto zajmuje wyższe stanowisko, ja, czy ty?

— Ja!

— Dlaczegoż to?

— Stada mego plemienia pasą się tutaj.

— Jakiego plemienia?

— Plemienia Haddedihiów.

— Nie jesteś Haddedihiem.

— Jak śmiesz twierdzić coś podobnego? — huknął.

— Gdybyś nim był, znałbym cię.

— Znasz wszystkich ludzi, należących do tego plemienia? — zapytał zdumiony.

— Wszystkich, którzy mają tyle lat, co ty.

— Allah! Jesteś ich przyjacielem, czy wrogiem? — Przyjacielem.

— Udowodnij to!

Roześmiałem mu się w nos i rzekłem:

— To ty powinienes udowodnić, że jesteś Haddediennem! Skierował ku mnie lufę i zawołał groźnie:

— Jeżeli mnie obrazisz, wpakuję ci kulę w łeb. Jestem teraz Haddediennem. Dawniej należałem do sławnego plemienia Ateibehów.

— To zmienia postać rzeczy. A więc miałem rację. Znałeś szejka Ateibehów Maleka? — Tak. Nie żyje.

— Racja. Był dziadkiem Hanneh, żony mego przyjaciela Hadzi Halefa.

— Twego... przyjaciela...? — rzekł z powątpiewaniem.

— Tak. Jestem Kara Ben Nemzi effendi. Z pewnością słyszałeś o mnie?

Na twarzy nieznanego jeźdźca zjawił się wyraz zdziwienia. Ustąpił po chwili przed wyrazem powątpiewania, w końcu z oczu Beduina wyczytałem pogardę.

— Człowieku, nie okłamuj mnie! Jeżeli sądzisz, że ci uwierzę, nie masz mózgu w głowie! Ty masz być Kara Ben Nemzi?

— Jestem nim.

— Gdyby tak było, szpak byłby orłem.

— Znasz emira Kara Ben Nemzi?

— Nie, gdyż jestem Haddediennem dopiero od roku. Ale słyszałem o nim tak wiele, że śmiało mogę ci zarzucić kłamstwo. To jedyny Frank, który śmiałby się zapuścić bez towarzystwa w te strony. Dlatego nie możesz być Frankiem, tylko służalcem paszy.

— *Maszallah!* Dziwnie rozumujesz! Właśnie dlatego, że jestem sam, muszę być emirem Kara Ben Nemzi, oto jedyny logiczny wniosek z twego twierdzenia.

— Mam wrażenie, że chcesz, bym cię wyśmiał. Udowodnię, że się podszywasz pod fałszywe miano.

— Naprawdę?

— Słuchaj więc i spal się ze wstydu! Jadę do Mossulu z listem, który ma odejść do Bilat el Alman do emira Kara Ben Nemzi. Czyż Kara Ben Nemzi może być tutaj, jeżeli ma odebrać list w swej ojczyźnie?

— Dlaczego nie? Przed dziewięcioma miesiącami pisałem do szejka Haddediennów, Hadzi Halefa Omara, że udaję się do Persji i mam zamiar odwiedzić go przy tej okazji. Czyż miałem czekać, aż po latach nadejdzie odpowiedź? Przybyłem wcześniej, niż się spodziewał, oto wszystko! Zresztą, przesłałem mu parę kopert z moim adresem. Jeżeli masz jego list, na kopercie musi być taki napis.

Wyciągnąłem z kieszeni notes, napisałem na kartce adres w ten sam sposób, jak na kopertach przeznaczonych do listów Halefa i podałem mu kartkę. Włożył rękę za pas, wyciągnął list, zaczął porównywać obydwa adresy. Po długim, skrupulatnym badaniu zawołał:

— *Allah akbar!* Nie znam ani pisma, ani słów, lecz znaki są te same. Czyżbyś był naprawdę emirem Kara Ben Nemzi effendi? W takim razie musisz mieć dwie strzelby, jedną wielką, drugą małą, o których każdy wie, że...

Przerwał, gdyż zdjąłem strzelby z pleców. Wyglądał teraz arcykomicznie. Niestety, niedługo delektowałem się pysznym wyrazem jego twarzy. Szybkim ruchem wręczył mi list i notes, i zawołał:

— *Ia Suguhr, ia Suruhr, Hamdulillah!* O radości bezgraniczna! Sława Allahowi! Kara Ben

Nemzi przybył! Wracam, aby obwieścić tę radosną nowinę!

Zawrócił konia, połaskotał go piętami po bokach i pognał w kierunku, z którego przybył. Roześmiałem się na całe gardło. Człowiek ten w oryginalny sposób przyjmuje mnie na pastwiskach swego plemienia! Nie miałem pojęcia, jak daleko stąd obozują Haddediłnowie; mógłby mnie przynajmniej poinformować. Na szczęście, pozostawił ślady, które będą mi wystarczającym drogowskazem. Zeskoczyłem z konia i usiadłem na bujnej, wiosennej murawie, aby z odpowiednią godnością i szacunkiem odczytać epistołę Hadzi Halefa. Kapryśny styl łokietka był mi dobrze znany; nim otworzyłem kopertę, już wiedziałem, że list zawierać będzie cały szereg bezpodstawnych upomnień. Nie pomyliłem się i tym razem. Mam łątać dziury namiotu, unikać występków, nie powinienem przekarmiać wielbłądów, muszę się strzec przeziębienia i grzechu etc. etc. W ten sposób wyrażał swą troskę o mnie i o mój dobrobyt. Bawiło mnie to serdecznie. Pisał przed trzema miesiącami: *od jutra czekamy na twe przybycie!* mimo że upłynął tak długi okres czasu, przybyłem jednak znacznie wcześniej, niż się mógł spodziewać. Przewidywałem, jakie wrażenie wywoła w obozie moje przybycie. Nie ulega wątpliwości, że w namiotach pozostaną tylko niemowlęta; reszta skoczy na koń, aby mnie jak najprędzej przywitać.

Przeczytawszy list z prawdziwym rozbawieniem, wskoczyłem na siodło i ruszyłem po śladach porywczego Ateibeha. Ślady prowadziły na południe, w kierunku gór Dżebel Chonuka.

Miałem wrażenie, że obóz Haddediłnowów mieści się gdzieś niedaleko. Szeroki step podobny był do morza świeżych kwiatów wiosennych. Wierzchowiec mój nurzał się w kwieciu; nie zauważyłem jednak śladu płatków ani wonnego pyłku na wierzchowcu Ateibeha, stąd wniosek, że człowiek ten spotkał mnie po przebyciu niewielkiego odcinka drogi. Z pewnością nie posiada się z radości, że na samym początku jazdy do Mossalu spotkał tego, któremu miał doręczyć list.

Po upływie jakiegoś kwadransa przypuszczenie moje okazało się słuszne. Dwóch jeźdźców pędziło ku mnie w pełnym galopie. Jeden siedział na karym wierzchowcu, drugi na siwku. Nie ulegało wątpliwości, że starszy jeździec to Hadzi Halef Omar. Dosiada siwej wspaniałej klaczy, która należała niegdyś do Mohammeda Emina, później zaś przeszła na własność jego syna Amada el Ghandur. Na karym zaś wierzchowcu, na Assilu Ben Rih, potomku mego niezapomnianego Riha, siedzi z pewnością Kara Ben Halef. W pewnej odległości od tej pary pędził ktoś na pstrym bułanku. Był to Omar Ben Sadek na zdobytym kiedyś przeze mnie wierzchowcu Aladzi. Za tą trójką pędziła jak szalona gromada jeźdźców. Halef i jego syn mieli najlepsze konie, więc dotarli do mnie pierwsi. Zeskoczyłem z siodła, aby ich przyjąć w pozycji stojącej. Naśladowali mnie w biegu. Halef otworzył szeroko ramiona i zawołał:

— Sidi, drogi mój, kochany sidi, rozkosz moja nie znajduje granic, a zachwyty daremnie szuka słów! Pozwól, abym milczał; radość odejmuje mi mowę!

Otoczył mnie ramionami i położył głowę na mej piersi. Ucałowawszy go w czoło, policzki i usta, rzekłem:

— Zamilkł we mnie głos tęsknoty, który mnie gnał ku tobie. Został teraz wysłuchany, więc wielbię Stwórcę za to, że pozwolił na to radosne spotkanie.

Objął mnie jeszcze mocniej, potem wypuścił z objęć i zwrócił się do syna:

— Widziałeś, synu? Mój sidi ucałował mnie! Kara Ben Nemzi, którego czcimy, którego kocham, ucałował mnie czterokrotnie! To więcej, stokroć więcej, niż mogła wymarzyć moja miłość i przyjaźń! Nie zapominaj do końca życia, że wargi jego dotknęły twarzy twego ojca. Jest to również wieniec chwaty dla ciebie!

Przysunął syna i kazał mu wyciągnąć do mnie rękę. Pochyliłem się nad nim, ucałowałem go również w czoło i rzekłem:

— Jesteś synem mego przyjaciela Halefa, nazwano cię według jego i mego imienia Kara Ben Halefem, więc kocham cię miłością ojcowską. Chciałbym, abyś kiedyś, jako dorosły mężczyzna, dorównał ojcu.

Hadzi Halef wyprostował się dumnie i zawołał:

— Czy dobrze zrozumiałeś słowa największego bohatera, jakiego znam? Masz się stać podobny do ojca swego! Położyliśmy trupem niejednego lwa, poskromiliśmy niejedną czarną panterę, zawsze zwyciężaliśmy, nigdy nie uciekaliśmy przed nieprzyjacielem. W żyłach twoich płynie moja krew, pod sklepieniem twego czoła żyją zalety mego ducha. Oby Allah pozwolił, abyś czynami swymi osiągnął sławę swego ojca!

Nie zmienił się ani na jotę. W pierwszych chwilach spotkania nie umie się oprzeć przyzwyczajeniu malowania wszystkiego jaskrawymi kolorami. Stało się to jego drugą naturą. Każda scena, pełna najgłębszego wzruszenia, nabiera dzięki tej emfazie komicznego posmaku, choć wbrew jego intencjom. Zbyt dobrze znałem Halefa!

Tymczasem podjechał również Omar Ben Sadek i zsiadł ze swego Aladzi. Ściskając mi dłonie, rzekł:

— Sidi, nie jestem tak obławowany sławą i zaszczytami, jak nasz szejk Hadzi Halef Omar. Ale kocham cię tak samo, jak on i nigdy nie zapomnę, ilem ci winien wdzięczności. Bądź pozdrowiony! Wraz z tobą przybywają do nas wszystkie dobre duchy.

Z kolei zbliżyła się gęsta, wielogłowa chmara jeźdźców. Trzymając w lewej dłoni wodze, w prawej zaś strzelby, pędzili wśród radosnych okrzyków z takim impetem, jakby nas chcieli znieść z powierzchni ziemi. W odległości jakichś trzech kroków ściągnęli cugle, cofnęli się nieco i zaczęli wokoło nas zataczać taneczne kręgi; przy tej okazji ładowali ustawicznie broń i strzelali, ocierając się niemal o nas. Trzeba było dobrze znać ich obyczaje i zdolności hippiczne, aby się z przerażenia nie cofnąć i nie narazić na szwank. Za tą watahą zatrzymali się chłopcy w wieku lat około dziesięciu. Dzieciaki siedziały również na koniach i przyglądały się fantastycznemu obrzędowi, w którym ku wielkiemu żalowi, nie mogły brać udziału. Dosiedliśmy wreszcie koni. Otoczono nas kołem i w pełnym galopie ruszyliśmy w kierunku obozu, przed którym stał szereg starców, kobiet i dziewcząt, witając nas okrzykami:

— *Alan wasah'lan! Marhaba! Habakek!* Bądźcie pozdrowieni!

Zsiedliśmy z koni przed nowym, pięknym namiotem, dla mnie przeznaczonym. Okoliczność, że Haddedihowie posiadają specjalny namiot dla gości honorowych, była dowodem wyjątkowego dobrobytu tego plemienia. Gdy Halef zaprowadził mnie później z widoczną dumą do obozowiska, aby mi pokazać swe trzody, przekonałem się z radością, że przyjaciele moi żyją obecnie bardziej dostatnio, niż dawniej. Podzieliłem się z Hadżim tym spostrzeżeniem. Szejk odparł na to w ulubiony przez siebie sposób:

— Wiesz, sidi, komu plemię nasze to wszystko zawdzięcza?

— Chyba tobie?

Położył obydwie ręce na sercu, wyprężył kark, podniósł brwi i rzekł:

— Tak, mnie! Jestem szejkiem; nie wątpię, że zdajesz sobie sprawę, jakie znaczenie ma dla kraju dobry rząd. Ci poddani powierzyli się mojej pieczy wraz z ciałami i duszami, żyjącymi w tych ciałach. Jestem ojcem i matką, dziadkiem i babką, pradziadkiem, prapradziadkiem mego ludu. Żywię i odziewam mych poddanych, myję ich i czeszę, jednam i sędzę, chowam i chronię. Dałem im bogactwo i szczęście. Zgadujesz przez co? Jedno, jedyne, krótkie słowo.

— Masz słowo pokój na myśli?

— Tak, pokój! Mohammed Emin i Amad el Ghandur byli to mężowie wojowniczego ducha, ale

nie sprzyjało im szczęście. Gdybyś wtedy wraz za mną nie przybył do Haddedińców, pokonanoby ich i zgnębiono. Mohammed Emin padł w utarczce, Amad el Ghandur musiał złożyć godność szejka za swoje winy. Wybrano więc Maleka, dziadka mej żony Hanneh, najmilszej pośród pięknych kobiet wszystkich krajów i ludów. Pomimo podeszłego wieku i on kochał wojnę, gdyż był Atelbehem. Lecz również nie miał szczęścia. Po jego śmierci wybór padł na mnie. Był to najmądrzejszy czyn Haddedińców. Wiesz, że dzielny ze mnie wojak i że nigdy nie czułem lęku przed wrogiem. I ja kochałem miecz i ja nie chciałem, by rdzewiał w pochwie. Wtedy zjawiliś się ty, o sidi! Głos twój brzmiał z ust mej żony Hanneh, najpiękniejszej róży pośród wszystkich kwiatów, rosnących w namiotach kobiet. Mówiłeś tak często o miłości Boga; tyle razy podkreśliłeś, że człowiek stworzony został na kształt i podobieństwo Boga. Czyny twe przemawiały jeszcze mocniej, niż słowa. Oszczędzałeś najzacieklejszych wrogów, starałeś się przez łagodność lub podstęp osiągnąć to, co znacznie prędzej osiągnąć było można bezwzględną walką. Czyny te przemówiły mocniej do serca mej Hanneh, niż najpiękniejsze słowa. Długo po twym odejściu siedziała cicho w swym namiocie i słuchała rozmów o tobie, prowadzonych za ścianą. Stałeś się jej ideałem. Położyła swą białą dłoń na rękojeści mego miecza, iżbym nie mógł wyciągnąć go z pochwy. Pamiętasz zapewne, żeśmy wtedy obydwoj pokonali i obezwładnili na długi czas wrogów Haddedińców.

Gdy zostałem szejkiem, znów się przeciw nam zmówili. Chciałem ich pokonać mieczem. Hanneh oświadczyła, że ty na moim miejscu uciekłbyś się nie do przemocy, lecz do podstępu. Poradziła mi, abym poważnił ze sobą nieprzyjaciół i dała mi kilka wskazówek, jak do tego doprowadzić. Zrezygnowałem więc z walki, a jednak siła moja wzrosła w dwójnasób.

— Hm! — mruknąłem uśmiechając się pod nosem. — Sądziś więc, drogi Halefie, że Hanneh dobrze ci poradziła?

— Hm! — mruknął również, ale bez uśmiechu i rzekł po chwili namysłu. — Czy wolno mi zwierzyć się z czymś przed tobą?

— Mów, co ci się tylko podoba!

Zbliżył usta do mego ucha i szepnął:

— Hanneh jest nie tylko najmilszym kwiatem haremu, ale najmądrzejszym. Powiadam ci, sidi, ona ma zawsze rację!

Omal nie wybuchnąłem śmiechem. A więc mój dzielny bohater siedzi pod pantoflem! Właściwym szejkiem Haddedińców jest "najpiękniejszy z kwiatów"! Cieszyło mnie to bardzo, nie stracił wcale w mych oczach. Każdy mężczyzna, którego ponosi temperament, wygrywa los na loterii szczęścia, jeżeli u jego boku stanie rozsądna kobieta, która potrafi ustrzec go przed nierozwagą. A najszczęśliwsze są te przypadki, w których mąż, mimo porywczej natury, pozwala, aby żona była jego kierowniczką i doradczynią. Nie traci przez to ani odrobiny ze swej męskości. Znałem wiele małżeństw, które szczęście swe zawdzięczają tym właśnie przychylnym, ostrożnym kobiecym rękom.

Halef był mi zawsze nieskończenie wiernym i ofiarnym towarzyszem. Odwaga nie opuszczała go nigdy; dla uratowania mi życia był zawsze gotów postawić swoje życie na kartę. Ale w sytuacjach niebezpiecznych trudno było nań liczyć. Dawał się wtedy unosić nieustraszonej odwadze, przestawał mnie słuchać i w rezultacie wpędzał mnie nieraz w niemiłe kolizje. Ucieszyłem się więc bardzo wiadomością, że żona jego należy do najbardziej ostrożnych kobiet. Uśmiechnąwszy się, rzekłem:

— Jeżeli Hanneh ma zawsze rację, ty zawsze się mylisz, czy tak?

— O nie! Skądże ci to wpadło do głowy, sidi? Jakżeby twój Halef mógł się kiedykolwiek mylić? Zawsze się z nią zgadzam, oto wszystko! A więc zawsze mam rację!

— Mężczyzna, który słucha chętnie rad żony, Halefie, podobny jest do muzułmanina, trzymającego się zasad Koranu.

— Ciesz się mną bardzo, że takie jest twoje zdanie. Chwilami bowiem wydaje mi się, że należałoby od czasu do czasu sprzeciwić się, zaprotestować; gdy jednak spojrzę w jej najmiłszą twarz, muszę przyznać jej rację. Jakżebym mógł zasmucać taką pogodą, rozwiać taki uśmiech! Muszę ci powiedzieć, że uśmiech ten odbija się na mojej twarzy, a potem, potem udziela się... udziela się...

Przerwał. Dokończył za niego:

— Udziela się twym Haddedihiom tak, że w końcu uśmiecha się całe plemię?

— Tak, sidi, tak! Od Hanneh, która jest królową wśród wszystkich kobiet, promienieje na mnie i na wszystkich, z którymi się stykam, jakaś tkliwość. Moi Haddedihiowie nie są już tymi bezwzględными wojownikami, co dawniej. Nawet wobec mnie, swego zwierzchnika, bywają teraz uprzejmi. Chciałem cię kiedyś nawrócić na Islam. Irytowało mnie, żeś się temu opierał. Teraz zrozumiałem, że jeden promienny uśmiech mojej Hanneh zawiera więcej religii i mądrości, niż wszystkie rozdziały świętej księgi Mahometa w liczbie stu czternastu. Sidi, słuchaj uważnie chcę ci zwierzyć jeszcze jedną tajemnicę!

Znowu zbliżył usta do mego ucha i zaczął szeptać:

— Hanneh, jedyna róża wśród kwiatów kobiecego świata, nie chce również nic wiedzieć o Koranie.

— Dlaczego?

— Ponieważ, zdaniem tych, którzy go tłumaczą, kobiety nie mają duszy.

— Hanneh, nie zgadza się z tym?

— Nie. Za żadną cenę. Zdradzę ci, sidi, jeszcze jedną tajemnicę:

Hanneh twierdzi, że ma duszę i to jeszcze jaką!

— Hm. Ktoby to pomyślał!

— Pomyśl! Nie pozwala mi wcale mówić co o tym myślę! Gdym jej spokojnie i grzecznie zwrócił uwagę, że Mahomet wiedział zapewne, czego naucza, odpowiedziała:

— Dusza moja, nie mówiąc o ciele, jest dziesięć razy więcej warta, niż cały prorok z ciałem i duszą!

— Przyznajesz jej rację i w tym względzie?

— Oczywiście! Ponieważ ma zawsze rację, a gdy człowiek kieruje się w czynach zdaniem kobiety, staje się to zdanie równoznaczne ze zdaniem Koranu; sam powiedziałeś to przed chwilą. Trzymam się więc ściśle Koranu, jeżeli wierzę w to, w co wierzy Hanneh, najlepsza wśród kobiet świata.

Jaka dziwna logika! Mały dzielny Halef jest przekonany, że, odrzucając Koran, opiera się na nim równocześnie! Nie miałem ochoty obalać tego przekonania.

Po obejściu obozu powróciliśmy, by spożyć barana, który według słów Halefa, "dał się z rozkoszą pozbawić życia, gdy się dowiedział, że przeznaczono go dla emira Kara Ben Nemzi".

Bawiłem u Haddedihiów w roli gościa cały tydzień. Podczas mej bytności, rozmowy toczyły się wyłącznie na temat zdarzeń, których świadkiem byłem podczas ostatniego pobytu. — Dziś te zdarzenia wspominano z dumą i zadowoleniem. Halef spełniał funkcję generalnego mówcy; kto zliczy, w ilu przemowach sławił mnie jako największego bohatera pod słońcem, a siebie przedstawiał jako przyjaciela mego, obrońcę i zbawcę! Ilekroć wyczuwałem, że nadchodzi chwila, w której zacznie wynosić pod niebiosa moje i swoje zasługi, oddalałem się, nie chcąc aprobować milczeniem jego przesady retorycznej. Próby ukrócenia tych popisów były bezskuteczne. Raz zwróciłem mu uwagę i użyłem słowa *ojunmek*, co oznacza przechwałki, lub po prostu błagę. Skoczył jak oparzony i zawołał gniewnie:

— Co, jak? Sidi! Ja miałbym być blagierem? Jak możesz obrażać mnie w ten sposób i

wywoływać rumieniec wstydu na policzki człowieka, który darował ci serce i w każdej chwili gotów oddać ci je pięćdziesiąt razy z rzędu. Po cóż dokonywać takich bohaterskich czynów, jakich my dokonaliśmy, jeżeli nie można by o nich opowiadać?

— Mylisz się! Czyny nasze opierają się na innych, lepszych podstawach. Mam...

— Podstawy? — przerwał. — O podstawach nie mam co mówić, one bowiem są pretekstem dla słów. Gdybym nie miał mówić o tym, czego dokonałem, wołałbym, nic nie dokonywać!

— Kto ci zabrania mówić? Powinieneś jedynie wystrzegać się przesady.

— Przesady? O sidi, jak mało masz doświadczenia, jak mało znasz ludzi! Człowiek jest jedynym niewierzącym stworzeniem na ziemi, ponieważ zwierzęta, rośliny, kamienie, o czym, zdaje się, nie chcesz wiedzieć, niczemu nie przeczą. Tylko w człowieku gromadzą się całą pokładą nieufności. Powiesz "sto", ludzie pomyślą: "dwadzieścia". Masz pięcioro dzieci, a sąsiedzi są przekonani, że jest tylko dwoje. Twierdzisz, że masz trzydzieści dwa zęby; bliźni przyzna ci dziesięć lub jedenaście i doda jeszcze dwadzieścia jeden dziur. Dlatego mądry człowiek mówi więcej niż trzeba. Jednego syna powiła mi Henneh, a opowiadam, że mam dziesięciu chłopaków i dwadzieścia dziewczynek. Utrzymuję ponadto, że posiadam dziewięćdziesiąt sześć zębów; i tak ludzie zmniejszą tę liczbę o dwie trzecie. Nie kłamie, nie przesadzam, gdybym bowiem powiedział, że mam dwie nogi, ludzie byliby przekonani, iż mi brak jednej; aby więc powiedzieć prawdę, muszę słać swoje — cztery nogi. Niechaj Allah oświeci twego ducha, byś to, com teraz mówił, zrozumiał kiedyś i przestał mi przerywać, gdy opowiadam o swych bohaterskich czynach. Jeżeli zabijesz lisa, musisz go ubrać w skórę lwa, w przeciwnym bowiem razie świat będzie twierdził, że zgłodziłeś mysz. Gdy ujrzą topielca, muszę opowiadać, że utonęło dziesięciu ludzi, w przeciwnym razie bowiem rozeszłaby się pogłoska, że w ogóle nigdy w życiu nie widziałem wody. Weź sobie te słowa do serca sidi! Jeżeli chcesz, aby cię w drodze do Persji nie napadnięto, jeżeli chcesz wrócić cało, mów więcej, niż należy. *Allah jesellimak!* Niechaj cię Bóg chroni!

Po tych słowach odwrócił się i odszedł z miną człowieka, który poświęcił cały swój majątek, aby uratować nieznanego od bankructwa. Pod względem przechwałek był niepoprawny. Usprawiedliwia go pochodzenie. Jak wiadomo, ludzie Wschodu nie odznaczają się umiarem w retoryce. Gdyby postępował jak Europejczyk, przestałby być dla mnie tym kochanym, dzielnym, oryginalnym łokietkiem.

W ciągu tygodnia, który spędziłem u Haddedińców, nieraz mówiliśmy o podróży do Persji, którą podróż miałem zamiar przedsięwziąć. Ustaliłem podczas tych rozmów, że Halef zamierza przedtem udać się na inną wyprawę, ważniejszą dlań od mojej. Szczep Haddedińców należy, jak wiadomo, do plemienia Szammar. Mały mój Halef uważał za wskazane odwiedzić stolicę kraju Dżebel Szammar Hail i zawiązać zerwane od dawna stosunki z przedstawicielami tego plemienia. Hadzi był nie tylko dzielnym wojownikiem, ale również mądrym dyplomatą; w tej dziedzinie Hanneh wspierała go radami. Oboje mieli nadzieję, że wznowienie tych stosunków przyniesie duże korzyści Haddedińcom i da im przewagę nad okolicznymi szczepami, którym, mimo traktatów pokojowych, trudno ufać. Stosownie do zwyczajów Beduinów i ponadto z innych względów należało przedsięwziąć podróż do stolicy na czele wielkiego, lśniącego bogactwem hufca konnych; pozbawiło by to jednak wyprawę perspektywy niebezpieczeństwa i nie dałoby pola do sławy. Tymczasem Halef pragnął awanturniczych przeżyć, o których można by później opowiadać cuda. Zaczął się więc poważnie zastanawiać, czy nie wyruszyć bez eskorty. Tu jednak zaprotestowała Hanneh i według jego terminologii "oświadczyła w tonie surowej miłości i gniewnej pokory", że się na to nie zgodzi. Na szczęście, zapowiedziałem w tym czasie swe przybycie i sprawa przyjęła niespodziewany obrót.

Cóż to za okazja ruszyć do Dżabel Szammar z emirem Kara Ben Nemzi i przedstawić się

tamtejszym Szammarom jako przyjaciel i obrońca tego "największego bohatera kuli ziemskiej"! Eskorta jest oczywiście, zbyteczna, a przy tym można liczyć na przygody, o których przyszłe pokolenia wspominać będą z podziwem i zachwytem. Równocześnie może się przy tej okazji spełnić życzenie, które od dawna zawładnęło umysłem śmiałego Halefa i ostrożnej Hanneh: może Kara Ben Halef będzie mógł pokazać Haddedihiom, że jest godnym synem swego odważnego ojca!

Halef sądzi, że sam będzie najodpowiedniejszym opiekunem dla syna. Hanneh nie podziela tego zdania; wolała oddać dziecko pod opiekę męża i... moją. Skoro się więc dowiedziała, że przybywam, zgodziła się, aby Kara Ben Halef ruszył razem z nami. Nie przyszło jej na myśl zapytać mnie, czy mam ochotę odbyć tę podróż. Ponieważ wyprawa była wcale pociągająca, wyraziłem z miejsca zgodę. Wtedy Halef zapytał:

— Drogi mój sidi, o ile sobie przypominam, uważałeś zawsze, że liczny orszak przeszkadza w drodze. Czy obecnie jesteś tego samego zdania?

— Tak. Dlaczego o to pytasz?

— Ponieważ postanowiłem przedsięwziąć tę wyprawę wraz z setką wojowników, kierując się zasadą, że im większa ilość ludzi, tym większe wrażenie. Od chwili jednak, gdyś do nas przybył, wspominam z dumą nasze niebezpieczne wędrówki i czyny, których dokonaliśmy bez obcej pomocy. Sławie tych przygód zawdzięczam stanowisko szejka Haddedihiów. Niestety, nic do niej nie dodałem, gdyż ostatnie lata strawiłem beczynnie. Czyż odwaga moja nie rdzewieje, jak stara szabla w pochwie? Znasz przecież swego wiernego Halefa i wiesz, że łaknie niebezpieczeństwa jak ryba wody. Dusza moje dławi się w beczynności, a duch mój podobny jest do orła, którego Allah zamienił w ślimaka. Coż się stanie z moim synem Kara Ben Halefem, jeżeli nie będzie miał okazji do rozwinięcia w sobie zręczności i wykazania odwagi? Stanie się pasożytem pijącym sok daktylowy. I zginie wreszcie od kataru. Czy będzie się mógł odznaczyć, jeżeli go zabiorę pod osłonę stu jeźdźców? Nie! Dlatego z radością witam twe przybycie. Tęsknię za tym, aby znowu przeżyć coś, co na zawsze pozostanie w księgach bohaterskich. A stać się to może, pojedziemy sami, jak za dawnych czasów. Cóż ty na to?

— Zapytaj naprzód, co powiedzą wojownicy, których chciałeś zabrać?

— Nie będę się ich pytał. Jestem szejkiem; muszą mnie słuchać. Później powetuję im stratę wielką wyprawą myśliwską. A więc, drogi sidi, jak mi radzisz?

— Uważam wyprawę bez eskorty za korzystniejszą z innych jeszcze przyczyn.

— Mianowicie?

— Przede wszystkim zwróc uwagę na odległość. Droga do Dżebel Szammar trwać musi dni czternaście nawet na najszybszych wielbłądach, o koniach nie ma mowy ze względu na brak wody. Ponadto setka ludzi potrzebowała by stu jucznych wielbłądów dla transportu bukłaków z wodą; wskutek tego przybylibyśmy na miejsce dopiero po czterech, pięciu tygodniach. Skądże wziąć wodę na te nadliczbowe tygodnie? A wrogie plemiona, przez których obszary będziemy przejeżdżali? Hufiec, składający się ze stu wojowników, zauważono by bez wątpienia; natomiast trzy osoby mogą się przedostać niepostrzeżenie. Jeżeli pragniesz sławy, to pytam, czy większą sławą okrywa się stu wojowników, którzy pokonali niebezpieczeństwo, czy też trzech ludzi, borykający się z tymi samymi niebezpieczeństwami?

— Oczywiście, ci trzej! Pojedziemy więc we trójkę, ty sidi, ja i syn mój Kara Ben Halef, który podróżowanie przy twym boku uważać będzie za największy zaszczyt. Pomówię z żoną moją, Hanneh. Da nam mąkę najprzedniejszą i soczyste daktyle, abyśmy po drodze nie zaznali głodu.

Klasnął w dłonie i zawołał rozpromieniony:

— *Handulillah*, chwała, cześć i sława Allahowi! Znowu owionie nas powietrze pustyni, i

znowu będę mógł dowieść, że żyje we mnie dusza bohatera i zwycięzcy, którego nikt nie pokona, który w każdym niebezpieczeństwie był ci najwierniejszym przyjacielem i dzielnym obrońcą!

Jak można było przewidzieć, Hanneh ze względu na syna obdarzyła nas niezmierną ilością zapasów. Kara Ben Halef był niezwykle dumny, że zabieramy go na długą i niebezpieczną wyprawę. Po ceremonii pożegnania, ruszył na czele, wyprostowany w siodle jak świeca. Towarzyszyła nam grupka Haddediwnów z kozimi skórami; na utworzonej z nich łodzi mieliśmy przepłynąć przez Eufkrat. Odprowadziwszy nas do brzegu rzeki, zawrócili, my zaś ruszyliśmy na południowy— wschód w kierunku pustyni.

Syn czarownika

Halef wybrał trzy ręce i najbardziej wytrzymałe wielbłądy, które mogły przetrwać szereg dni bez wody.

Nie obciążaliśmy zbyt wielu wielbłądów. Wzięliśmy trzy małe bukłaki, które szóstego dnia okazały się już prawie puste. Trzeba było pomyśleć o ich napełnieniu.

Groziło nam pewne niebezpieczeństwo, ponieważ o tej porze roku większość nielicznych źródeł Pustyni Arabskiej obsadzały plemiona wrogie Haddedihiom. Najbardziej należało się wystrzegać Beduinów plemienia Szerarat, którzy żyli w ustawicznej z Haddedihiami niezgodzie i z pewnością nie darowali nam życia, gdy im się udało nas ująć.

Szejk ich nosił przydomek Abu Dem, co znaczy Ojciec Krwi.

Groźniejszym jeszcze od niego był czarownik plemienia Szerarat, zwany Gadub el Sahar. Przy głosach nad wyrokami śmierci żądał zwykle głowy jeńca i żądaniu temu przeważnie stawało się zadość.

W stosunku do innowiercy, czy to szyity czy Żyda, czy chrześcijanina, był nieubłagany. Nawet współplemieńcy bali się go jak ognia i strzegli się tego czarownika, którego gniew groził niebezpieczeństwem nawet bliskiej rodzinie.

Ściśle rzecz biorąc, był potężniejszy od szejka. Twierdzono, że szejk nie rozpaczałby, gdyby czarownikowi przytrafiło się coś złego.

Jak wspominałem, niebezpieczeństwo groziło właśnie od tego plemienia, ponieważ nie wiedzieliśmy, gdzie go szukać. Znajdowaliśmy się o półtora dnia drogi od miejscowości Tszohf; z daleka widoczne było źródło Bir Nufah, do którego powinniśmy byli dotrzeć w południe. Jak jednak ustalić, czy źródło jest obsadzone, czy nie? Chciałem ruszyć na zwiady; nie zgodził się na to Halef.

— Sidi, chcesz mnie obrazić! — zawołał. — Należysz do plemienia Franków, ja zaś jestem Ibn el Arab. Czyż nie moją powinnością jest przeszukiwanie okolicy? A może wątpisz o mojej zręczności?

— Skądże znowu! Nie zapominaj jednak, że w tej dziedzinie byłem twym nauczycielem.

— To nie ma znaczenia; nieraz uczeń prześciga mistrza.

— Uważasz, że tak jest w tym wypadku?

— W każdym razie chciałbym, aby syn mój, Kara Ben Halef, nauczył się podziwiać swego ojca. Dlatego też żądam, byś mi pozwolił ruszyć przodem.

Cóż miałem począć? Mały Hadzi był zbyt wielkim ryzykantem jak na wywiadowcę. Czy wolno mi go jednak zawstydzić przed synem? Pod wpływem tych refleksji ustąpiłem. Halef po chwili zginął nam z oczu na szybkim jak wichur hedzinie. Ruszyliśmy za nim miarowym kłusem. Od źródła dzieliły nas dwie godziny drogi; znałem jego położenie, ale przylegająca do niego okolica była mi obca.

Obliczając, że Halef przygalał tam za jakąś godzinę, zatrzymałem się po upływie półtorej godziny, aby czekać na jego powrót. Minęła godzina; nie zjawił się. Wypatrywałem niespokojnie. Gdy minęła dalsza godzina, syn Halefa spytał zatroskany:

— Sidi, czy ojciec nie powinien już dawno wrócić?

— Pewnie zauważył u źródła ludzi i czeka, aż się oddalą — rzekłem, by go uspokoić.

— Byłoby to nierozumne. W takim wypadku powinien wrócić i ostrzec nas.

— Nie martw się, ufaj swemu ojcu. Przecież słyszałeś niedawno, że jest dobrym wywiadowcą.

Zamilkł.

Po dalszym półgodzinnym oczekiwaniu odezwał się znowu:

— Sidi, zaczynam się niepokoić. Niechaj Allah chroni mego ojca! Śpieszmy mu z pomocą!

— Pośpiech nie jest wskazany. Pojedziemy wolno, ostrożnie, ja przodem, ty za mną.

— Dlaczego za tobą?

— Tak nakazuje ostrożność. Nie jest bezpiecznie nad źródłem. Są tam ludzie.

— Allah, Allah! Czy pochwycili mego ojca?

— Tego nie wiem, ale podejrzewam.

— Śpieszmy więc!...

— Wprost przeciwnie, musimy zwlekać. Jeżeli ojciec wpadł w ręce tych ludzi, będą pilnie obserwować okolicę i kierunek, z którego przybył, przypuszczając słusznie, że nie był sam w dalekiej pustyni. Jeżeli ruszymy ku źródłu galopem, ujrzą nas prędzej, aniżeli my ich zdołamy zauważyć. Z pewnością posiadali z wielbłądów, więc nie widać ich z daleka; tymczasem my na naszych wielbłądach będziemy bardzo widoczni. Jeżeli jednak będziesz jechać za mną, powstanie złudzenie, że zbliża się tylko jeden jeździec. Będę się nadto posługiwał lunetą i mam nadzieję, że ich prędzej zauważę, niż oni nas.

Zwolna posuwaliśmy się naprzód. Okolica była dotychczas zupełnie płaska; teraz na horyzoncie zarysowały się kontury wzgórz. Zobaczyłem przez lunetę kilka nagich pasm skalnych, ciągnących się od wschodu na zachód, a więc przecinających drogę, którą obraliśmy. Źródło leży z pewnością między skałami lub za nimi.

Byłem pewny, że Halef został schwytany. W przeciwnym razie ujrzałbym go teraz. Nieopanowany Hadzi dotarł aż do skał; zauważono go i schwytano z zasadzki.

Miałem doskonałą lunetę; przyglądałem się dokładnie każdej skale, niestety, bezskutecznie.

Gdyby przed skałami stał człowiek, musiałbym go dojrzeć. Uświadomiłem sobie, że nie możemy się zbliżyć do linii skał, gdyż zobaczonoby nas gołym okiem. Skręciłem tedy na wschód, przynaglając wielbłąda do pośpiechu.

— *Maszallah!* — zawołał Kara Ben Halef. — Chcesz ominąć źródło? Ależ w takim razie pozostawimy ojca na pastwę losu!

— Jedź za mną i ufaj mi! — odparłem. — Jeżeli sytuacja nad Bir Nufah przedstawia się tak, jak to sobie wyobrażam, wrogowie skierują uwagę na północ. Zboczymy więc, a dotarwszy do wschodniego krańca szczytów, skręcimy pod ich osłoną ku źródłu. Ludzie przy źródle nie spodziewają się, że nadjedziemy z tamtej strony. Przypuszczam więc, że uda nam się podkraść niepostrzeżenie. Trudno przewidzieć, co się stanie później.

Po kwadransie dotarliśmy do linii wzgórz, za którą, równolegle do pierwszej, ciągnęła się druga. Między jednym a drugim pasmem górskim wiała się kotlina o licznych zakrętach. Ruszyliśmy tą kotliną, bacząc, by wielbłądy nie następowały na kamienie. Wzgórza, stopniowo coraz wyższe, zaczęły się zbliżać ku sobie. Było mi to bardzo na rękę, gdyż w ten sposób zmniejszało się pole widzenia tych, którzy mogli nas wyczekiwać.

Przed każdym zakrętem kotliny zatrzymywaliśmy się, aby zbadać, czy nie kryje się tam jakaś wroga istota. Dzięki temu posuwaliśmy się bardzo wolno; droga, którą pieszo można przebyć w ciągu jednej godziny, nam pochłonęła przeszło dwie.

Wreszcie ukazały się znaki, zwiastujące źródło: ujrzelśmy kilka suchych krzaków; w niektórych punktach kotliny rosła trawa. Należało teraz zwiększyć uwagę.

Znowu stanęliśmy przed zakrętem. Dotychczas zatrzymywaliśmy się, nie zsiadając z wielbłądów; ale tym razem jednak zeskoczyłem ze swego dwugarbnego wierzchowca. Trzymając się mocno skały i wychylając część twarzy, ujrzałem w dolinie dwustu dobrze uzbrojonych jeźdźców, obozujących

obok wielbłądów.

Jeźdźcy należeli do plemienia Szerarat; nie mogę powiedzieć, aby fakt ten nappełnił mnie radością. Ujrzałem wśród nich Hadziego. Był jeńcem.

Jeden z dowódców wstał, spojrział w kierunku szczytu, wykrzyknął jakieś imię i spytał:

— Nic jeszcze nie widzisz?

Skierowawszy wzrok ku górze, ujrzałem Beduina, ukrytego za wielkim kamieniem.

— Nie ma żywej duszy — odparł.

— W takim razie pomyliliśmy się; jeńiec był sam. Zejdź na dół, nie mamy czasu na dalsze czekanie. Jeżeli zaraz nie ruszymy, nie przybędziemy wieczorem nad Bir Nadahfa.

— Co się stało? Coś tam zobaczył, sisi? — Zapytał szeptem mój młody towarzysz. — Słyszę jakieś wołania.

— Zejdź z wielbłąda, podpełnij do mnie. Zobaczysz ojca — odparłem również szeptem.

Usłuchał polecenia. Gdy wzrok młodzieńca padł na Halefa, ująłem go za ramię:

— Cicho! Spokojnie! Musimy czekać do wieczora. — Do wieczora? Czy to nie za długo?

— Nie. Siłą nie damy rady tylu ludziom. Tylko podstępem zdołamy twego ojca uratować. A noc jest jedyną odpowiednią porą dla wykonania mego planu.

— Do wieczora gotowi zabić mego ojca.

— O losie jeńca rozstrzyga *dżemma*, a tu brak starców, tworzących skład *dżemmy*. Popatrz, sami młodzi wojownicy obozują w dolinie.

— Nie jest to pielgrzymka, gdyż nie widzę ani kobiet, ani starców, ani dzieci. Czyżby to miała być wyprawa wojenna, sisi?

— Nie. Przyjrzyj się wielbłądom, rozłożonym na lewo; obładowane są sznurami i matami z palmowych włókien. Te sznury i maty służą do transportu zwierząt oraz do ładowania łupów. Nie ulega więc kwestii, że to wyprawa zbójcka.

— Przeciw komu?

— Tego nie wiem, mam jednak nadzieję, że dowiem się dziś wieczorem.

— Od kogo? . .

— Od Szeraratów. Będziemy podsłuchiwać.

— Więc pójdziemy za nimi aż pod nocny obóz? Ruszajmy jak najprędzej! Już dosiadają wielbłądów. Jeżeli tu przybędą, zobaczą nas.

— Nie przybędą. Zdążają przecież nad Bir Nadahfa, więc opuszczą kotlinę boczną szczeliną, położoną stąd po lewej stronie.

— Z czego to wnosisz, sisi?

— Ze słów wodza, skierowanych przed chwilą do wywiadowcy. Źródło leży w kierunku południowym, szczelina prowadzi również na południe. Na szczęście, znam tę drogę.

— Byłeś tu kiedy?

— Nie, ale czytałem dokładny opis miejscowości u pisarza arabskiego Hamdaniego, który zwiedził te strony. Dawne to wprawdzie czasy, ale w tym kraju okolice tego typu zamieniają się nawet po upływie stuleci tak nieznacznie, że opis dziś jeszcze zapewne odda nam nieocenione usługi. Widzisz, miałem rację! Ciągną na lewo. Ojca przywiązano do wielbłąda; rozgląda się, przeczuwając, żeśmy się ukryli i śledzimy Szeraratów. Jeżeli nie będzie to zbyt ryzykowne, ukażę mu się, aby go uspokoić,

Przywódcy Beduinów jechali z pojmanym Halefem na końcu oddziału. W pewnej chwili, tuż przed zakrętem skalnym, Halef odwrócił się. Uwaga Beduinów była zwrócona w inną stronę. Posunąłem się szybko kilka kroków naprzód i podniosłem ramiona; uchwyciwszy jego spojrzenie,

ukryłem się znowu. Teraz wie, że znam jego położenie i nie będę szczędził wysiłków, by go oswobodzić.

Wdrapałem się na południowy stok doliny, aby się przekonać, czy Szararaci istotnie odjechali. Kiedy mi znikli z oczu, zszedłem na dół. Poprowadziliśmy wielbłądy do źródła. Niestety, opróżnili je wrogowie. Straciliśmy dobre dwie godziny, nim mogliśmy napoić wielbłądy, napełnić bukłaki i wreszcie ugasić własne pragnienie; potem dopiero ruszyliśmy w ślady Szeraratów.

Na płaskiej pustyni wyglądanie wroga było połączone z wielkim niebezpieczeństwem. Na szczęście źródła, badijeh, w ich liczbie Bir Nadahfa, leżą w skalistych okolicach. Bir Nadahfa otoczona jest kamiennym wałem pod którego osłoną można się będzie skradać.

Wielbłądy posuwały się szybko; zwolniliśmy dopiero wtedy, gdy ślady wskazywały, że jesteśmy w pobliżu Szeraratów. Popołudnie minęło bez wydarzeń. Gdy słońce chyliło się już ku zachodowi, ujrzałem źródło. Szeraraci byli już na miejscu, musieliśmy się więc zatrzymać. Dopiero z zapadnięciem nocy ruszyliśmy dalej. W odległości jakiegoś kilometra od źródła ułożyliśmy wielbłądy na piasku, skrępowawszy im przednie nogi, aby się nie mogły zbyt oddalić.

Był już najwyższy czas podkraść się do nieprzyjaciół. Kara Ben Halef wyskakiwał ze skóry z niecierpliwości i ochoty. Kazałem mu jednak pozostać przy wielbłądach. Zostawiwszy pod jego opieką obydwie strzelby, ruszyłem. Bez trudu znalazłem przy blasku gwiazd miejsce, w którym wśród bloków skalnych widniało swobodne przejście do źródła. Nie ulegało wątpliwości, że Szeraraci przechodzili tędy. Poczłogałem się teraz w kierunku źródła. Po niedługim już czasie dobiegły mnie głosy. W końcu rozróżniłem słowa:

— *Allahu akbar! Aszahdu anna, la ilaha ill'Allah, wa Mohammedu rasuhl Allah. Haygah alas salah!*

Szararaci odmawiali chórem modlitwę wieczorną, zwaną eszeh. Ta okoliczność pozwoliła mi dotrzeć tak blisko, że mogłem się ukryć za kamieniem, odległym o kilka kroków od obozu wrogów. Chociaż gwiazdy nie świeciły jasno, mogłem przyjrzeć się placowi, okalającemu źródło. Beduini klęczeli na dywanach modlitewnych twarzami zwróceniu ku Mekce i gestykulując, powtarzali słowa prowadzącego modły, który był moim najbliższym sąsiadem. Poznałem w nim przywódcę Szeraratów, który w południe nad Bir Nufah kazał zejść na dół wywiadowcy. Świetna okazja! Miał taki sam haik, co ja, i prawie taką samą postać. Trzy, czy cztery osoby, które w południe siedziały obok niego u źródła Bir Nufah, klęczały w pewnym oddaleniu; podkreślam, że postacie te umieszczone były przed nim, a więc odwrócone doń plecami. Między nimi zaś a wodzem, w odległości trzech metrów ode mnie, leżał Halef ze związanymi rękami i nogami. W dodatku był ku mnie zwrócony twarzą. Odwrócił się umyślnie w tym kierunku, ponieważ przeczuwał, że stamtąd nadejdzie pomoc. Nie trudno było go oswobodzić. Czy jednak zrezygnować z wielbłąda? W obecnych warunkach odebrać zwierzę można tylko drogą wymiany; przedmiotem wymiany będzie przywódca.

Zatopieni w modlitwie Beduini nie odwracali wzroku od południowego zachodu. Ja leżałem po przeciwnej stronie. Wyciągnąwszy nóż zza pasa, zacząłem się przesuwając do Halefa. Ujrzawszy mnie, wyciągnął związane ręce. Jednym cięciem noża przeciąłem więzy, krępujące ręce, drugim wyzwoliłem z pęt nogi, potem szepnąłem mu do ucha:

— Poczłogaj się aż do drogi, potem zaś goń szybko naprzód. Znajdziesz Karę, gdy tylko na niego zawołasz.

— A ty, sidi? — zapytał.

— Podążę za tobą. Wielbłądom zdejm z nóg więzy! Żywo, żywo!

Począł się oddalać, ja zaś pozostałem na miejscu, odkładając wykonanie planu do chwili, w

której nieprzyjaciele zajęci będą składaniem modlitewnych dywanów.

Wszystko stało się znacznie prędzej, niż mogę opowiedzieć. Gdy Halef zniknął na zakręcie, rozległy się ostatnie słowa modlitwy.

— Allah jest wielki. Allah jest przeogromny. Chwała mu na wieki! Gdy wódz wypowiedział słowa "na wieki" i modlący się zaczęli

powtarzać wypowiedziane przezeń zdania, nachyliłem się nad nim, chwyciłem go lewą ręką za plecy, pociągnąłem w tył i walnąłem w skroń prawą pięścią tak mocno, że się zwalił jak długi. Dla pewności palnąłem go jeszcze raz, potem wyprostowałem się, wziąłem go na barana i zacząłem biec w ślady Halefa.

Uciekałem potężnymi susami. Po chwili rozległy się za mną głośne wołania; równocześnie usłyszałem głos Halefa; nawoływał syna.

Nateżyłem wszystkie siły w obawie, aby mnie wrogowie nie dogonili. Mimo ciężaru na plecach udało mi się dotrzeć do naszych wielbłądów, które leżały na ziemi, gotowe do drogi. Halef stał obok.

— Halefie, wskocz prędko na siodło — poleciłem. — Weź ze sobą tego jeńca. Jedźcie prędko na wschód; zatrzymajcie się w odległości dwóch tysięcy kroków.

— Znowu chcesz pozostać, sidi?

— Schwytam jeszcze jednego Szerari. Musimy przecież mieć posła. Ojciec i syn spełnili me polecenie, ja zaś położyłem się na piasku,

aby ścigający wrogowie nie ujrzeli mnie za wcześnie. Po jakimś czasie usłyszałem odgłos szybkich kroków i ujrzałem jednego z nieprzyjaciół. Pędził co tchu, wyprzedziwszy towarzyszy. Było mi to na rękę. Zatrzymał się w odległości sześciu, siedmiu kroków i nadstawił ucha. Nie usłyszawszy żadnych podejrzanych szmerów, zaczął się zbliżać wolnym, ostrożnym krokiem. Odezwały się tuż za nim wołania towarzyszy. Obejrzał się, odwracając się do mnie tyłem. Skoczyłem ku niemu, schwyciłem go za szyję i zadałem mu cios strzelbą. Padł twarzą na ziemię, nie mogąc złapać tchu. Wziąłem go na ręce i poniosłem, nie śpiesząc się zbyt, gdyż reszta Szeraratów nie widziała mnie. Byłem zresztą przekonany, że nie będą prowadzili poszukiwań w kierunku, w którym się oddaliłem. Gdym dotarł do Halefa i Kary, drugi jeńiec oprzytomniał. Halef i Kara zeszli z wielbłądów; schwytany przywódca siedział między nimi; zmusili go do milczenia ostrzem noży.

— Oto nadchodzi — rzekł doń Halef. — To ten, o którym ci opowiadałem; zwie się emir Hadzi Kara Ben Nemzi effendi. Jest mocny jak dąb i niepokonany. Obydwie strzelby są jego własnością. Jedna z nich strzela dziesięć tysięcy razy bez ładowania. Jeśli piśniesz choć jedno słówko, lub poruszysz się, Kara Ben Nemzi wyśle cię do dzehenny.

— Bez skrupułów — dodałem. — Jeżeli jednak obydwaj Szeraraci będą milczeć i słuchać, nie stanie się im nic złego i będą mogli jeszcze dzisiejszej nocy powrócić do swoich. W przeciwnym wypadku poczują w sercach nasze noże. Teraz oddalimy się nieco; później dowiedzą się, czego od nich żądam.

Związaliśmy im ręce. Kazałem jeńcom maszerować przodem; Halef i Kara jechali za nimi na wielbłądach.

Postanowiłem raz jeszcze zmienić kierunek, aby ujść ścigającym nas Beduinom; w przewidywaniu, że będą nas szukać na północ od źródła, postanowiliśmy trzymać się kierunku południowego.

Po przebyciu sporego odcinka drogi, zarządziłem postój. Wielbłądy rozłożyły się na piasku; poleciłem również Szeraratom usiąść. Potem wziąłem Halefa na bok, aby się poinformować, w jaki sposób wpadł w niewolę. Wstrzymałem się przy tym od wyrzutów, co go bardzo ucieszyło. Pojechał najspokojniej w dolinę Bir Nufah, nie myśląc wcale o niebezpieczeństwie. Ujrzawszy Halefa,

Szeraraci ukryli się, a potem wypadli z kryjówki i rozbroili go. Zbyt dumny, aby kłamać, wymienił swe imię. Wywołało to wielką radość, gdyż szejk Haddedińów, z którymi Szeraraci żyli na wojennej stopie, był dla nich kąskiem nie lada. Nie mówili nic o celach obecnej wyprawy rabunkowej. Mimo to wywnioskował z kilku oderwanych zdań, że wyprawa zwrócona jest przeciw plemieniu Lazafah Szammar.

Badany twierdził, że jest sam. Nie chciano mu wierzyć. Mijały jednak godziny a nikt się nie zjawił; uwierzyli tedy, że mówił prawdę, i ruszyli z nim w dalszą drogę. Poinformowawszy mnie o tym, zapytał:

— Czy wiesz, sidi, kim jest ten Szerari?

— Nie.

— Słuchaj i dziw się! To syn Gaduba es Sahhar, starego czarownika Szeraratów, naszego najzacieklejszego i najbardziej krwiożerczego wroga. Niechaj Allah go spali, krwawa zemsta nakazuje mi właściwie zastrzelić go jak psa. Szczyci się przydomkiem Abu el Ghadab, Ojciec Złości, który oznacza, że nie będzie oszczędzać żadnego z wrogów.

— To mnie nic nie obchodzi. Nie twój to jeniec, lecz mój.

— Rób, co chcesz. Jestem pewien, że postąpisz słusznie. Uwolniwszy drugiego jeńca, oświadczyłem mu, co następuje:

— Słuchaj. Jestem Kara Ben Nemzi, chrześcijanin i przyjaciel Haddedińów. Z cudownej mojej strzelby mógłbym pozabijać wszystkich waszych wojowników, zanim zdążyliby posłać nam choćby jedną kulę. Wzięliście do niewoli mego przyjaciela i brata Hadzi Halefa Omara. Chcieliście go zamordować. Puszczę was jednak wolno, ale pod jednym warunkiem: musicie przyjacielowi memu oddać wielbłąda i to wszystko, coście mu zabrali. Idź do obozu po wielbłąda, broń i inne przedmioty. Jeżeli spełnisz sumiennie moje polecenie, oswobodzimy Abu el Ghadaba i ruszymy w dalszą drogę. Jeżeli knujesz jakiś podstęp, towarzysz twój przypłaci to życiem. Zostawiam ci pół godziny. Jeżeli w tym terminie nie wrócisz, Abu el Ghadab padnie od mej kuli. Idź!

Widząc, że się ociąga, rzekł doń Abu el Ghadab:

— Śpiesz się i rób, co ci kazano! Życie moje więcej warte, niż jeden wielbłąd Haddedińów.

Na te słowa Beduin się oddalił.

Dla bezpieczeństwa rozbiłem obóz w sporej odległości od miejsca, w którym toczyła się rozmowa. Potem, wraz z Halefem, który zabrał strzelbę syna, podkradliśmy się do źródła, aby oczekiwać tam na wysłanego do Szeraratów wojownika. Synowi Halefa poleciłem pilnować jeńca i zakłuć go, gdyby próbował uciec.

Po upływie niecałej pół godziny, rozległ się odgłos kroków. Odsunawszy się nieco w bok, ujrzelśmy gońca. Prowadził wielbłąda; minął nas niepostrzeżenie. Zgodnie z moim zleceniem nie towarzyszył mu żaden z wojowników plemienia Szeraratów. Podnieśliśmy się z ziemi i dogoniliśmy go po niedługiej chwili.

— Twoje szczęście, żeś uczciwy! — rzekłem.

Wręczywszy Halefowi wszystkie zabrane poprzednio przedmioty, odesłałem gońca, upewniwszy go, że przywódca w przeciągu kilku minut również odzyska wolność.

— Dotrzymasz słowa, effendi? — zapytał.

— Zejdź mi jak najprędzej z oczu — huknąłem. — Kara Ben Nemzi jeszcze nigdy nie złamał słowa!

Ulotnił się jak kamfora. Dotarłszy do jeńca i jego młodocianego wartownika, uwolniłem z więzów jego ręce i rzekłem:

— Otrzymałem wszystko, czego żądałem. Możesz odejść. Obrzucił mnie badawczym spojrzeniem

i rzekł po chwili:

— Naprawdę zwracasz mi wolność?

— Tak. Mam nadzieję, że w odpowiedzi na moje uczciwe postępowanie pozwolicie nam spokojnie ruszyć w dalszą drogę. Udajemy się w kierunku Bir el Halawijat, źródła słodczy. Nie życzymy sobie, abyście szli w nasze ślady.

— My zaś jedziemy na wschód w kierunku Akabet. Celem naszej podróży jest Bir esz Szukr, źródło wdzięczności. Nie masz się czego obawiać.

— Obawiać? Nie wiem, co to obawa — odparłem.

— Nie wiesz, co to obawa? — uśmiechnąłem się ironicznie. — Nie znałeś strachu? Dużo o tobie opowiadają, ale wszystko to kłamstwo. Cała twoja waleczność jest tylko smrodliwym dymem wobec waleczności Szeraratów. Wykręciłeś się, ale spotkamy się jeszcze. Znasz prawa krwawej zemsty? Jest ona jak lew, który nie wypuści swej ofiary zanim jej nie pochłonie. Od dzisiejszego dnia masz przeciw sobie *szeba et thary*, lwa krwawej zemsty. Przysięgam, że pożre cię wkrótce. Jesteś wyznawcą fałszywego boga i jego syna, który zginął na krzyżu haniebną śmiercią jako kłamca i buntownik. Był to taki sam giaur, jak ty...

— Hola! — zawołał gniewnie mały Halef. — Nie powtarzaj przypadkiem tych słów, gdyż nie jestem tak cierpliwy, jak...

— Kto, ty, taki karzeł? — przerwał Szerari, śmiejąc się na całe gardło. — Jestem już wolny, więc śmieję się z was i powtarzam, że *szeba et thar* połknie was wszystkich. Mięso i krew giaura będzie mu...

Nie dokończył. Głośne uderzenie przerwało dalszy ciąg przemówienia. Mały, porywczy Halef uderzył go po twarzy ostrym batem i zawołał:

— Dostyc tych giaurów, ty psie! Czy odważysz się jeszcze powtórzyć to słowo?

Uderzony krzyknął pod wpływem bólu, zasłonił twarz rękami i stał czas jakiś zupełnie nieruchomo. Potem zamierzył się na Halefa. Mały hadzi wymierzył mu drugi cios, ja zaś chwyciłem Beduina za rękę, przycisnąłem mu je do piersi i zawołałem: .

— Ani kroku dalej, bo połamię ci żebra łotrze! Nie boimy się twego *szeba et thar*. Jeżeli w tej chwili nie weźmiesz nóg za pas, poczęstuję cię nożem!

Zwaliłem go na ziemię potężnym uderzeniem. Po chwili podniósł się, ale nie miał odwagi zaatakować nas czynnie. Gdyśmy się zaczęli sadowić na wielbłądy, obsypał nas gradem obelg. Ruszyliśmy. Wrzeszczał jak obłąkany:

— *Szeba et thar* was pożre, *szeba et thar*... *szeba*... *et*... *thar*! Szeraraci usłyszeli te wrzaski. Głosy ich świadczyły, że śpieszą mu na pomoc.

Jakkolwiek nie groziło nam niebezpieczeństwo, popędzaliśmy wielbłądy.

Jechałem na przedzie, za mną Halef z synem. Po jakimś czasie Halef krzyknął:

— Sidi, jedziesz w fałszywym kierunku; nie możemy się tak daleko zapuszczać na prawo!

— Musimy — odparłem. — Tam znajduje się źródło Bir el Halawijat.

— Przecież nie jedziemy do tego źródła!

— Słusznie. Przede wszystkim musimy ostrzec przed Szeraratami Szemmarów plemienia Lazafah, i to tak, aby Szeraraci nic nie przeczuwali. Oświadczyłem dlatego synowi czarownika, że ruszamy w kierunku Bir el Halawijat. Wyprowadzimy w pole Szeraratów, gdyż jutro, skoro świt, ruszą naszymi śladami.

— Czy dotrzemy aż do źródła? To strata czasu! — Znasz drogę?

— Tak. Dokładnie.

— W takim razie wiesz zapewne, że po kilkugodzinnej jeździe znajdziemy się na wielkim

szerokim *hadżar el mahlis*, płaskiej równinie. Ślady wielbłądów będą na niej niewidoczne, będziemy więc mogli zboczyć na lewo, a Szeraraci tego nie zauważą.

Po całonocnej podróży daliśmy wielbłądom godzinę wytchnienia. Potem ruszyliśmy w dalszą drogę i dotarliśmy wreszcie do *hadżar el mahlis*.

Na twardym gruncie zmieniliśmy dotychczasowy kierunek. Wielbłądy miały pracę nie lada. Jechaliśmy aż do późnego wieczora. Nad Bir Bahrid, chłodnym źródłem, natrafiliśmy wreszcie na placówkę Szammarów plemię Lazafach.

Chętnie przyjmowano Haddedihnów w namiotach tego plemienia. Gdyśmy nadto oświadczyli, że przybywamy nie tylko w roli przyjaciół, ale również w tym celu, aby ich ostrzec przed nieprzyjacielem, powitano nas tym goręcej. Natychmiast wysłano gońców do ich oddziałów z wezwaniem. Należało się bowiem liczyć z tym, że Szeraraci przybędą nad Bir Bahrid.

Z nastaniem ranka wysłano wywiadowców, choć wątpiliśmy, czy nieprzyjaciel zbliży się za dnia. W ciągu wieczora i nocy nadciągnęło tylu Lazafahów, że w rezultacie liczba wojowników doszła do pięciuset.

Oczywiście, zaproszono nas na naradę wojenną. Jak zwykle, starałem się powstrzymać od rozlewu krwi. Niestety słowa moje i wezwania były w tym przypadku daremne. Beduini zwykli uważać pobłażliwość za dowód słabości. Poza tym byłem dla nich człowiekiem obcym. Nie mieli wobec mnie takich długów wdzięczności jak ich krewni Haddedihnowie. Dzielny Halef starał się ugłaskać ich nieco, Niestety z tym samym skutkiem, co ja. Postanowiono okrążyć Szararatów i wybić wszystkich, którzy nie zechcą się poddać. Los jeńców uchwalono złożyć w ręce zgromadzenia starszyny. Znałem nieubłaganą surowość Lazafahów. Nie łudziłem się, że wyrok będzie łagodny.

Gdym się po ukończeniu narady znalazł sam na sam z Halefem, szejk Haddedihnów rzekł:

— Wiem, *sidi*, jak bardzo ci nie odpowiadają postanowienia wojowników. Wierzaj mi, że byłbym zadowolony, gdyby zwyciężył twój pogląd. Nie weźmiemy udziału w krwawej łaźni. Proponuję, abyśmy dziś jeszcze ruszyli do Dżebel Szamar.

— O nie!

— Dlaczego?

— Przede wszystkim jako goście Lazafahów mamy obowiązek ich wspomagać. Po drugie, nie mamy dostatecznego powodu do tak nagłej decyzji. Po trzecie, stracilibyśmy u naszych gospodarzy mir i szacunek; mogli by nam zarzucić, że jesteśmy tchórzami. Po czwarte, może uda się nam, jeżeli pozostaniemy, złagodzić nieco ich okrucieństwo i przynajmniej to osiągnąć, że drobna ilość wrogów zginie, a większość dostanie się do niewoli.

— Masz rację, *sidi*. Zostaniemy i chociaż drży moje ojcowskie serce, cieszę się, że ujrzę syna mego w walce. Jestem pewien, że nie ucieknie przed nieprzyjacielem.

— Ja również jestem o tym przekonany, ale nie zapominajmy, że jest mało doświadczony, a bardzo porywczy. Dlatego mamy obydwaj obowiązek baczyć pilnie, aby nie podrwił głowę.

Minęła doba. Z nastaniem ranka wróciło kilku wywiadowców z meldunkiem, że Szeraraci zapewne nadciągną, gdyż nocowali na pustyni, w miejscu odległym stąd zaledwie o pięć godzin jazdy. Trzech wywiadowców pozostało na czatach. Po jakimś czasie wrócili z wieścią, że wrogowie zwinęli obóz i wysłali szpiegów, których się należy wkrótce spodziewać.

Źródło leżało w podłużnej kotlinie. Od strony północnej i zachodniej, od której szli wrogowie, nie była osłonięta; natomiast od południa i wschodu okalała ją linia skał. Większość Lazafahów ukryła się za tą linią. Przy źródle pozostało tylko czterdziestu ludzi.

Pasące się obok zwierzęta odpędzono nieco dalej, dzięki czemu Bir Barkit stracił wygląd wojennego obozowiska. Halef, Kara i ja ukryliśmy się opodal przed szpiegami. Około południa

ujrzeliśmy dwóch jeźdźców, jadących wolno w kierunku obozu. Zapytali uwijających się koło źródła Lazafahów, czy mogą dostać wody. Jak nas później poinformowano, oświadczyli, że są zaprzyjaźnieni z Lazafachami Aneizehami i jadą do en Nfud. Napoiwszy zwierzęta, ruszyli w dalszą drogę. Śledziłem ich przez lunetę. Zniknąwszy z oczu Lazafahów, skręcili na północny zachód, aby zawiadomić Szeraratów, że źródła pilnuje tylko czterdziestu ludzi i nie trudno będzie zdobyć paręset koni i wielbłądów.

Po jakiejś godzinie wrogowie ukazali się od pomocnego wschodu, pędzili kłusem, aby nas zaskoczyć. Na brzegu kotliny zeskoczyli z wielbłądów. Wydając przeraźliwe okrzyki wojenne, zaczęli walić na dno kotliny.

Równocześnie z prawa i z lewa wypląnęły zza skał haiki Lazafahów. Przerażeni Szeraraci zatrzymali się na chwilę; ta jedna chwila niepewności wystarczyła Lazafahom, aby ich otoczyć. Powstał nieopisany zgiełk. Zabłyły noże, skrzyżowały się szable i dzidy, zaczęły padać strzały. Kara Ben Halef skoczył z upojeniem w wir walki, a my za nim. Na szczęście, udało się nam uchronić go przed ranami; niestety, nie mogliśmy wpłynąć na bieg walki. Krew płynęła strumieniami. Legło na polu przeszło stu Szeraratów. Prawie wszystkich rannych podobijano. Zalednie dwudziestu napastnikom udało się dotrzeć do wielbłądów i uciec, reszta wpadła w ręce Lazafahów. Abu el Ghadab, syn czarownika, znalazł się również wśród jeńców.

Wolę nie opisywać scen, które się rozgrywały między zwycięzcami a zwyciężonymi. Oddaliłem się wraz z Halefem i Karą. Wkrótce sprowadzono nas jednak jako pośrednich sprawców zwycięstwa; chciano nam podziękować i ofiarować część łupów.

Oczywiście, nie przyjęliśmy ich. Przy tej okazji spostrzegli nas jeńcy. Gdy Abuel Ghadab nas ujrzał, podniósł się nieco mimo więzów i przesywając nas wzrokiem, wściekle zaryczał:

— Kara Ben Nemzi jest parszywym psem chrześcijańskim! Zdradził nas! *Szeba et thar* pożre go za to. Niech Allah przeklnie go wraz z obydwoma towarzyszami mu Haddedihami!

Na twarzy jego widniały dwie szerokie sine pręgi od uderzenia batem, wyglądał okropnie.

Przyjęłem te wyzwiska z zimną krwią. Ale mały Halef był w gorącej wodzie kąpany. Stanął więc przed synem czarownika i ryknął:

— Twój lew zemsty, który nas tylko śmieszy, sam cię pożre. Powiedziałeś, że powinniśmy się ciebie bać. Zapominasz jednak, że już nie jesteś wojownikiem, ponieważ napiętnowano cię na wieki. Twarz twoja nosi ślady mego bata, zbiłem cię jak psa, którego człowiek się brzydzi dotknąć. Zginiesz w hańbie i wstydzie wraz ze swoim *szeba et thar*, który z obrzydzeniem nie zechce cię nawet połknąć..

Ująwszy Halefa za ramię, położyłem kres dalszym popisom krasomówstwa.

Walka była skończona, mogliśmy się więc oddalić, nie narażając się na zarzut tchórzostwa. Odjeżdżałem z ulgą, gdyż nie miałem ochoty pozostawać dłużej na miejscu, nad którym unosiły się opary krwi. Pożegnawszy się, ruszyliśmy w drogę w towarzystwie honorowej eskorty, która rozstała się z nami po upływie kilku godzin.

Gdy po sześciu dniach przybyliśmy szczęśliwie do celu, wieść o naszej przygodzie dotarła już do miasta. Przyjęto nas z wielkimi honorami.

Lew krwawej zemsty

Nie mam zamiaru nadmiernie rozwodzić się nad Dżebel Szammar. Krajem tym rządzi szejek, którego również zowią księciem.

Stolica Hail wznosi się na wzgórzu, między górami Adża i Selma. Spędziliśmy w niej bardzo miły tydzień. Tuż przed naszym przybyciem szejek wyruszył na wielką pielgrzymkę do Mekki. Zastępował go Hamed Ibn Telal, krewny bardzo sławnego szejka Telala, któremu kraj bardzo wiele zawdzięcza. Po długich naradach udało się Halefowi zawrzeć pakt, gwarantujący Haddedihiom wielkie korzyści. Okoliczność, że pojawiliśmy się tylko we trójkę, wywołała większe wrażenie, niż setka wojowników. Podczas tego tygodnia jeździłem po kraju, zaznajamiając się z obyczajami i ludźmi. Tym niemniej z radością dowiedziałem się o zakończeniu pertraktacji i o tym, że nadszedł czas powrotu. Bylibyśmy zapewne zostali dłużej, gdyby nie to, że nie chcieliśmy czekać na przybycie karawany pielgrzymów perskich, którzy rokrocznie przeciągają przez Dżebel Szammar. Zbyt dobrze znałem pielgrzymki mahometańskie! Hamed Ibn Telal obdarował nas hojnie na pożegnanie i dodał nam dwudziestu jeźdźców, którzy mieli nas opuścić po dwudziestu dniach drogi.

Ponieważ nie mieliśmy ochoty spotkać się znowu z Szeraratami, Hamed Ibn Telal doradził nam wracać przez Lyneh. Idąc za tą radą, nie spodziewaliśmy się, że dostaniemy się w paszczę lwa. Nikt nie uniknie swego losu — mówi muzułmanin. W tym wypadku losem naszym była krwawa zemsta, którą Abu el Ghadab nazwał lwem.

W bukłakach było już niewiele wody; cieszyliśmy się więc bardzo na myśl o Wadi Aszdar, Zielonej Dolinie, gdzie mieszczą się źródła okolone skałami i ruinami prastarego zamku. Ruiny takie, pochodzące przeważnie z czasów przedislamistycznych, nie są w Arabii rzadkością. Fakt, że w Wadi Aszdar stał ongiś zamek, nie był dla mnie dziwny, gdyż znałem podanie, według którego dolina ta połączona była kiedyś z jednym z dopływów Eufratu. Wiedziałem również, że podczas deszczów dolina napęlnia się wodą tak wysoko, że można się w niej kąpać, a nawet pływać. Dlatego źródła te nigdy nie wysychają i nawet w najupalniejszej porze roku dolinę okrywa bujana roślinność, wabiąca zwierzęta drapieżne. Halef słyszał, że widywano tam nawet lwy.

Jechaliśmy przez noc całą i część ranka. O jakiejś dziewiątej rano ujrzelśmy przed sobą wierzchołki szczytów, wśród których leży Wadi.

Źródło w pustyni nasuwa myśl o ludziach. A zwykle są to indywidua, przed którymi mieć się należy na baczności. Wypadało przeszukać okolicę. Halef ofiarował swe usługi, musiałem je jednak odrzucić w obawie, że znowu popełni podobny błąd, jak nad Bir Nufah. Ruszyłem sam. Nad pierwszym źródłem nie było śladów żywej duszy. Ruszyłem więc dalej. I tutaj nic nie zaobserwowałem. Nieco zdziwiony, wróciłem po Halefą i Karę. Gdybym pojechał jeszcze dalej, aż do drugiego źródła, położonego głęboko pod ruinami, byłbym zauważył ślady łap, z powodu których ludzie nie mieli ochoty zapuszczać się w tę okolicę.

Rozbiliśmy obóz nad pierwszym źródłem, otoczonym krzakami. Zdjęliśmy siodła z wielbłądów, zwilżyliśmy gardła i napiiliśmy zwierzęta. Teraz dopiero dało nam się we znaki zmęczenie. Postanowiliśmy czuwać na zmianę, luzując się co dwie godziny.

Pierwsza kolej wypadła na mnie, druga na Halefą, trzecia na Karę.

Po upływie dwóch godzin, które minęły w zupełnym spokoju, zbudziłem Halefą i ułożyłem się do snu. Byłem ogromnie zmęczony, więc zasnąłem szybko. Arabski Morfeusz płatał mi we śnie figle. Naprzód pokazał mi napad Beduinów, potem usłyszałem cichy szelest szat, tłumione kroki, szepty,

wreszcie padł strzał... Czy to istotnie sen?

Zerwałem się, równocześnie skoczyli Halef i Kara. Strzał nie był sennym urojeniem. Tak, otoczyło nas przeszło stu Arabów. Ku memu przerażeniu byli to Szeraraci. Kara usnął podczas pełnienia służby i tylko dzięki temu ludzie ci podkradli się pod nasz obóz. Wielbłądy, czy też wierzchowce, zostawili gdzieś na ustroniu. Ujrzałem nasze strzelby w ich rękach. O oporze nie było mowy. Sytuacja przedstawiała się beznadziejnie, Staliśmy bowiem w obliczu krwawej zemsty. Jedynym ratunkiem mogło być oddanie się pod opiekę jednego z wodzów.

W przeciągu sekundy powziąłem decyzję. Nie możemy czekać, aż któryś z przeciwników oświadczy, żeśmy jeńcami — musimy ich uprzedzić. O dwa kroki ode mnie stał stary Beduin o czcigodnym wyglądzie. Miałem wrażenie, że nie jest to zwyczajny wojownik. Popchnąłem więc prędko Halefa i Karę w jego kierunku, ująłem go za haik i zawołałem:

— *Dakilah ia szej!*

Znaczy to — jestem pod twoją opieką, o panie! Żaden szanujący się Arab nie odmówi opieki wrogowi, który te słowa wypowie, dotykając jego szat. Gdy się to stanie, Arab jest gotów bronić wroga z narażeniem życia. Halef i Kara znali to prawo pustyni równie dobrze, jak ja. Choć postępek mój zaskoczył ich niespodzianie, mieli dosyć czasu, aby pójść za mym przykładem. Dwa szybkie dotknięcia haika, dwa równoczesne okrzyki: *Dakilah ia szej!*... i znaleźli się również pod opieką Araba.

Dokoła rozległy się gniewne okrzyki. Starzec chciał się cofnąć. Uchwyciliśmy się jednak mocno jego burnusa, więc rzekł:

— Głos wasz uprzedził moje usta, więc jestem zmuszony wziąć was pod swą opiekę. Jam Abu Dem, szejk Szeraratów. Biada temu, kto choćby włos jeden strącił z głowy tych, których od tej chwili chronię. Oddajcie im broń!

Jaki szczęśliwy zbieg okoliczności, że to właśnie szej! Gdy rai oddano obydwie strzelby poczułem się znacznie bezpieczniej. Chodziło teraz o to, czy w całej zgrai jest choćby jeden człowiek, który nas zna.

Nie zdążyłem rzucić okiem na wszystkich przeciwników, gdy ktoś, przedzierając się przez szeregi, zawołał:

— Nie bierz ich pod swą ochronę, o szejku! To nasi krwawi wrogowie.

— Krwawi wrogowie?

— Tak jest. Człowiek z dwiema strzelbami, to emir Kara Ben Nemzi effendi, chrześcijanin.

— *Maszallah!* — zawołał szejk, cofając się.

— Ten mały zaś, to Hadzi Halef Omar, szejk Haddedihnów. Schwytaliśmy go nad Bir Nufah, lecz emir go oswobodził. Trzeci z nich jest zapewne jego synem. Wszyscy trzej zdradzili nas przed Lazafahami, którzy dzięki temu odnieśli zwycięstwo nad Bir Bahrid.

Nastąpiła chwila decydująca.

— *Ia thar, ia thar, ia thar!* O zemsty krwawej, o zemsty, o zemsty! — rozległy się głosy, a ręce chwyciły za oręż.

— *Ia himaiji, ia himaiji!* O opieko, o opieko — zawołałem na to, a Halef i jego syn powtarzali za mną te słowa jak pacierz.

Szejk dał znak ręką. Gwar natychmiast ucichł. Zwracając się do mnie, zapytał:

— Tyś emir Kara Ben Nemzi effendi? Jesteś chrześcijaninem?

— Tak.

— A to Hadzi Halef Omar, szejk Haddedihnów, i jego syn?

— Tak.

— Masz odwagę to wyznać?

— Nie kłamię nigdy. Zresztą, zaprzeczenie byłoby w tym wypadku szaleństwem.

— Jak to?

— Czy nie wiesz, że chroniony traci opiekę, jeżeli splami swe usta kłamstwem w obliczu tego, który go ochrania?

— Masz rację. Słyszałem, żeś w Dżezireh i u Kurdów dokonał wielkich czynów. W jaki sposób Allah użył dla ciebie siły, zręczności i dzielności?

— Jest Panem i Ojcem wszystkich ludzi, tak waszym, jak naszym. Dlaczego powołujesz się na różnicę wiary? Istotnym w tym wypadku jest tylko to, żeś mój opiekun. A może szejka Szeraratów tak się obawia swych poddanych, że chce cofnąć opiekę?

Pytanie było śmiałe. Ściągnął ponuro brwi i zapytał:

— A gdybym cofnął?

— Imię twe byłoby na wieki shańbione. — A wy zgubieni.

— Nie, wcale nie!

— Mówisz, jak szalony!

— Mówię, jak człowiek świadomy swej siły. Jeżeli ci o mnie opowiadano, słyszałeś zapewne i o moich czarodziejskich strzelbach?

— Opowiadają, że możesz strzelać bez ładowania, a nigdy nie chybisz. Nie wierzę.

— Ale uwierzysz. Odmierzcie sto kroków, wetknijcie w ziemię dziesięć dzid. Przebiję wszystkie, nie nabijając strzelby.

W odpowiedzi na te ryzykowne słowa rozległ się pomruk. Szejka odwrócił się i rozmawiał półgłosem ze swoimi towarzyszami. Halef szepnął:

— Jeżeli się zgodzą na twoją propozycję, wygraliśmy, sidi!

Po krótkiej chwili szejka odwrócił się i rzekł:

— Niech się stanie, jak chcesz, ale pod jednym warunkiem.

— Słucham.

— Jeżeli nie spełni się twoja zapowiedź, tracicie moją opiekę.

— Zgoda! — odparłem spokojnie, choć wiedziałem, co stawiam na kartę.

Jeżeli choć jedna kula chybi, zostaniemy sami wśród zgrai nieprzyjaciół. Znając jednak swą strzelbę, wiedziałem, że mogę jej być pewny nawet wtedy, gdy opieka szejka się skończy. Położenie nasze było przedtem ciężkie jedynie dlatego, ponieważ we śnie zabrano nam broń.

Odmierzono sto kroków, wetknięto dzidy w ziemię. Wszyscy skierowali wzrok na mnie. Przyłożyłem do ramienia sztucer Henry'ego i dałem dziesięć strzałów, jeden po drugim.

Powstał gwar, bieganina. Halef rzekł:

— Sidi. wszyscy biegną w tamtą stronę, zostaliśmy sami. Możnaby uciec.

— Chyba po to, żeby nas za chwilę dogonili. Nie, zostaniemy. Pomyśl, ile czasu zużylibyśmy na podniesienie wielbłądów.

Wyciągnięto dzidy z ziemi i zaczęto je sobie podawać z rąk do rąk wśród okrzyków podziwu. Odwróciłem się, aby niepostrzeżenie uzupełnić dziesięć naboju. Szeraraci patrzyli na mnie wrogo, lecz z szacunkim. Szejka zbliżył się znowu i obrzucając mnie badawczym spojrzeniem, rzekł:

— Opowiadanie o czarodziejskich strzelbach nie jest kłamstwem; wszystkie kule tkwią w dzidach równomiernie. Jakiż duch wykonał tę strzelbę?

— Duch zwał się Henry.

— Zostajecie pod moją opieką. W mojej obecności nic wam się złego nie stanie. Ponieważ jednak rozdziela nas zemsta krwi, zgromadzenie starszyzny rozstrzygnie o waszym losie.

— Mam wrażenie, że powinienem być u ciebie zupełnie bezpieczny.

— Jak ci wiadomo, pewność ta i bezpieczeństwo rozciąga się najwyżej na przeciąg dwóch razy po siedem dni. Po upływie tego terminu będę zmuszony was opuścić. Jeśli wyrok zgromadzenia będzie łagodny, odbierzemy wam broń i pozwolimy wam odejść, ale po odejściu musimy was ścigać. Jeżeli przy tej okazji zostanieie schwytni, biada wam. Nie łudźcie się, że darujemy wam życie i przyjmujemy w zamian *dijeh*, wykup krwi. Zwyczajni wojownicy mogą płacić wykupy, ale tacy ludzie, jak wy, muszą oddać swe życie.

— Kiedy zbierze się zgromadzenie starszyzny?

— Gdy tylko nadciągnie główny oddział moich ludzi. Musimy bardzo uważać przy pojeniu zwierząt, gdyż...

Przerwał, rzucił mi pytające spojrzenie, potem ciągnął dalej:

— Zastaliśmy was pogrążonych we śnie. Jak długo mieliście zamiar pozostać przy tym źródle?

— Do rana — odpowiedziałem.

— *Allah akbar!* Bóg jest wielki! Do rana! Czy zdawaliście sobie sprawę z grożącego wam niebezpieczeństwa?

— Nie.

— *Allah kerihm!* Bóg jest miłosierny! Uchronił was przed niechybną śmiercią. Naprawdę, nie wiadomo wam, że...

Znowu przerwał, gdyż przy wejściu do Wadi podniósł się gwar głosów ludzkich i zwierzęcych. Po chwili ujrzeliśmy wielki oddział jeźdźców na koniach i wielbłądach. Na przodzie jechał starzec o odpychającym wyrazie twarzy. Odrzucony do tyłu haik odsłaniał pierś obwieszoną amuletami. Na szyi wielbłąda i u siodła kołysały się wypchane zwierzęta i jakieś egzotyczne przedmioty. Małe oczy przybysza tkwiły głęboko w orbitach, nos wyglądał jak dziób sępi, bezzębne usta wyglądały jak szeroka jama. Cała postać, przeraźliwie długa i chuda, kołysała się na wielbłądzie. Turban koloru zielonego świadczył, że jest jednym z potomków proroka. Gdym go ujrział, jakiś głos wewnętrzny szepnął mi, że to szaman Gadub es Sahhar. Nie omyliłem się. Fakt, że wszyscy wybiegli, by mu zakomunikować o cennym połowie, świadczył, jak wielkim szacunkiem darzyli go Szeraraci.

Dowiedziawszy się, że nas schwytano, wydał okrzyk radości, zeskoczył z wielbłąda, nie czekając aż ten uklęknie, podbiegł ku nam, popatrzył na mnie, przewracając białka i ryknął:

— Więc ty jesteś tym przeklętym psem chrześcijańskim, któremu zawdzięczam niewolę i pewną śmierć swego syna? Odpokutujesz za to! Niechaj dusza twa pogrąży się w piekle, jak płonący kawał żelaza, a ciało twoje niechaj płonie, jak żar słońca. Wyjmiemy ci wnętrzności, będziemy...

— Milcz! — huknąłem. — Jestem pod ochroną. Jak śmiesz mnie obrażać?

— Pod ochroną? — zapytał. — Któż cię chroni?

— Ja! — odparł szejk.

— Co? Jak? Pod twoją ochroną? Jak śmiesz brać pod swoją ochronę naszych śmiertelnych wrogów?

— Jak śmiesz? — zapytał dumnie szejk. — Pamiętaj, zem szejk Szeraratów! Chcesz mi dyktować, co powinienem czynić? Ci ludzie dotknęli mego ubioru i zawołali: *Dakilah ia szejk!* Chciałbym usłyszeć, kto się teraz odważy żądać, bym ich nie ochraniał!

— Ja! Chciałbym usłyszeć, kto się odważy oprzeć moim żądaniom? Jeżeli jest taki, wpakuję mu w ciało wszystkie złe duchy ziemi i piekła!

Szejk odwrócił się do swoich ludzi i zawołał:

— Ludzie i wojownicy Szeraratu, rozstrzygnijcie, czy on ma rację, czy ja. Czy powinienem osłaniać jeńców.

Nie było odpowiedzi. W głębi duszy przyznali, że ma rację, ale żaden nie miał odwagi wypowiedzieć się przeciw czarownikowi, którego praktyki budziły strach. Czarownik roześmiał się szyderczo i rzekł:

— Czy słyszysz choć jedno słowo, szejku? Te psy uderzyły mego syna nad Bir Nadahfa batem w twarz; w odpowiedzi na tę zniewagę zagroził im *szeba et thar*, lwem krwawej zemsty, lwem...

Przerwał, wykonywując ruch, dowodzący, że jakaś dobra myśl strzeliła mu do głowy. Po chwili obrzucił nas wzrokiem triumfującym i rzekł do szejka po przyjacielsku jak gdyby nic nie zaszło:

— Przyznam ci rację, o szejku, jeżeli przyzna ci ją zgromadzenie starszych. Każ je zwołać. Niechaj rozpoczną natychmiast naradę. Posłuchamy, co o tych psach powiedzą doświadczeni. Nie traćmy ani chwili, gdyż jutro, skoro świt, musimy wyruszyć przeciw Lazafahom, aby uwolnić synów naszych i wojowników.

Odszedł, aby zwołać starców. Szejk podszedł do nas i rzekł półgłosem.

— Dałem wam słowo, chciałem go dotrzymać, ale nic nie mogę uczynić przeciw *szeba et thar*. Mam jednak wrażenie, że nie jesteście tchórzem podszyci, zresztą macie broń lepszą niż my. Wszystko zależy od woli Allaha!

Z chwilą zjawienia się czarownika położenie nasze znacznie się pogorszyło. Szeraraci byli przedtem naszymi wrogami, ale rycerskie zachowanie się szejka świeciło im przykładem. Obecnie liczba wrogów powiększyła się, a stary Gadub es Sahhar wywierał na nich większy wpływ niż szejk. Patrzono na nas teraz znacznie groźniej, chwilowo jednak nie mieliśmy powodu do obaw, gdyż przed wyrokiem dzemmy, rady starszych, nikt nie miał prawa nas tknąć.

W pewnym oddaleniu rozpoczęła się narada. Miała charakter uroczysty i poważny. Tylko jeden spośród uczestników unosił się bardziej, niż na to zwyczaj pozwalał. Był to czarownik. Przez cały czas przekonywał o konieczności represji. Siedzieliśmy obok siebie, otoczeni wojownikami. Halef zapytał szeptem:

— Nie przeczuwasz sidi, co postanowią?

— Owszem. Z pewnością chodzi o lwy które przebywają w Wadi.

— Allah! Lew?

— Nie jeden, lecz kilka. Przecież o tej porze rodzą się młode.

— Mówiłem ci już, że nieraz bywały tu lwy. Nie jest więc wykluczone, że się znów pojawiły i przebywają wśród ruin. Cóż to ma jednak wspólnego z nami?

— Sądzę, że bardzo wiele. Widziałeś triumfujące oblicze czarownika, gdy zaczął mówić o lwie krwawej zemsty.

— Owszem, miałem wrażenie, że się bardzo cieszy.

— To radość z naszej pewnej zguby.

— Za sprawą lwów? — Tak.

— Sądzisz więc, że rzucą nas lwom na pożarcie?

— Musieliby nas zmusić, a na to nie pozwoli sztucer Henry'ego. Dopóki mam tę broń, odrzucę każdą decyzję zgromadzenia, która nam nie pozostawi furtki ratunku. Przeczuwam, że każą nam z lwem walczyć o życie.

— Zgodziłbyś się, sidi?

— Chciałbym przede wszystkim wiedzieć, co ty o tym sądzisz?

— Sam chyba wiesz. Jakże dumną byłaby Hanneh, najlepsza i najwspanialsza kobieta, gdyby jej Halef przyniósł do domu skórę lwa.

— A twój syn?

— O, sidi, — wtrącił szybko Kara — serce moje przepelnione jest głęboką żalobą i smutkiem.

Moja to wina, że nas schwytano. Spałem, zamiast czuwać. Walczyłbym z dziesięcioma lwami, byle odzyskać twe zaufanie!

— Nie bierz sobie tego do serca, drogi Karo — pocieszyłem go. — Byłeś zmęczony. A co do naszej niewoli, to mam nadzieję, że się prędko skończy. Jeżeli przypuszczenie moje okaże się słuszne, zgodzę się na walkę tylko pod warunkiem, że odzyskamy wolność. A zgodzę się nie z lęku przed Szeraratami, tylko z pasji myśliwskiej, gdyż i życie i wolność potrafiłbym obronić przy pomocy sztucera, bez walki z lwami. Patrzcie, zgromadzenie się skończyło. Pewnie zaraz nas wezwą.

Wśród uczestników dżemmy powstał ruch. Szejk podniósł się, podszedł do nas i rzekł:

— Zgromadzenie starszyny wydało wyrok. Gdybyśmy się znajdowali w duarze, opieka moja rozciągałaby się na przeciąg dni czternastu. Jesteśmy jednak w podróży i nie mogę was zabrać ze sobą. Opieka więc moja trwać będzie tylko do jutrzejszego ranka, to jest do chwili, w której opuścimy to Wadi. Właściwie nie powinienem wam nic więcej powiedzieć, gdyż czarownik zastrzegł to sobie. Ponieważ jednak wiem, że ma zamiar was zastraszyć, poczytuję sobie za obowiązek opiekuna dać wam kilka wskazówek, z których domyślcie się, co czynić.

Przerwał. Korzystając z tego, wtrąciłem:

— Jesteśmy wdzięczni za twą dobroć, szejku, muszę ci jednak powiedzieć, że niełatwo nas zastraszyć, a już staremu Sahharowi nie udałoby się to wcale. Możesz sobie o nim myśleć, co chcesz, co do mnie, znam jego fach lepiej niż wy i wiem, że jest to stuprocentowy oszust.

Pod wpływem tych słów szejk rozpozgodził się nieco i rzekł:

— Widzę, że Allah obdarzył cię niezwykle zdrowym rozsądkiem. Niestety, moi Szeraraci nie odznaczają się tym przymiotem. Nienawidzę was za zdradzanie naszych wojowników przed Lazafahami, ale chciałbym podziękować wam za to, że w liczbie wziętych do niewoli znalazł się jeden, którego powrotu wcale sobie nie życzę.

— Abu el Ghadab, syn czarownika. — *Maszallah!* Skąd to wiesz?

— Stosunek twój do Sahhara i jego syna znam lepiej, niż ci się zdaje.

— Jeżeli tak jest istotnie, nie mów z nim o tym. Słyszałem, żeś sam w nocy położył pana z wielką głową. Nie uważaliśmy tych wieści za prawdziwe, gdyż na wyprawę na lwa udajemy się zawsze w biały dzień, w otoczeniu wielu wojowników. Gdybyśmy się wyprawili w nocy, pożarłby nas.

— Na tym właśnie polega różnica między nami, a wami. Wojownik prawdziwie odważny spojrzy lwu w ślepia nawet w nocy.

— To uspakaja moje sumienie. Chcę wam jeszcze powiedzieć, że nocy dzisiejszej będziecie walczyć z dwoma lwami, które zapewne mają już młode. Okropna to rzecz, gdy trzech ludzi staje przeciw dwóm olbrzymim lwom, odkarmiającym swoje lwiątko.

— Bądź spokojny. Nie obawiamy się wcale. Zresztą, już przedtem domyślaliśmy się, co knuje stary czarownik. Jeżeli nas lwy pokonają, pragnieniu zemsty stanie się zadość. Jeżeli zwyciężymy, o czym oczywiście wątpi, uwolnimy piękne Wadi i was od wrogów, których pokonanie pociągnęłoby liczne ofiary. Od jak dawna lewi lwica przebywają w tej dolinie?

— Od trzech tygodni. Lew prawie co nocy porywa konia lub wielbłąda. Niechaj Allah ukarze go za to!

— Gdzie ma legowisko?

— Na górze, za wielkim dziedzińcem zamku. Co dzień zjawia się w dolinie wraz z lwicą, aby się napić wody u źródła. Więcej powiedzieć nie mogę. Chodźcie, zaprowadzę was przed starszyny!

Zgromadzenie poleciło nam wysłuchać wyroku w pozycji stojącej. Mimo polecenia, usiadłem. Halef i Kara poszli za moim przykładem. Czarownik oburzył się:

— Jak śmiecie siadać wobec zgromadzenia mędrców! Jesteście...

— Milcz! — przerwałem z gestem lekceważenia. — Chętnie okazałbym tym czcigodnym mężom mój szacunek, ale ze względu na twoją obecność nie mogę stać. Czy wiesz, kim jestem w swoim kraju, u swego ludu? A kim ty jesteś? Mucha, która się przechwala, że przestraszy lwa brzęczeniem!

Położywszy rękę na rękojeści noża ryknął:

— Giaurze! Czy znasz moc moją, dzięki której rządzę wszystkimi duchami ziemi i podziemi? Podniosę, rękę, a padniecie trupem!

— Podnieś, podnieś — rzekłem, śmiejąc się na całe gardło. — Mnie nie przestraszysz, bo znam cię. Jesteś pyszałkiem i nieukiem; jesteś kuglarzem i nie zaszczyciłbym cię rozmową, gdyby szanowni mężowie nie polecili ci zakomunikować nam treści wyroku.

Skoczył jak oparzony i wrzasnął:

— Wojownicy Szeraratów, zastrzelcie tego smrodliwego szakala!

Choć nikt nie podniósł przeciw mnie bronii, skoczyłem ku pobliskiej skale, ukryłem się za nią, przyłożyłem do ramienia sztucer i zawołałem:

— Kto się odważy podnieść na mnie rękę? Chyba widzicie, że mnie żadna kula nie trafi! Mam czarodziejską strzelbę, zabiję każdego, kto na mnie rękę podniesie!

Beduini cofnęli się pośpiesznie. Czarownik zamilkł. Po zgromadzeniu przemknęły szeptem. Wreszcie szejka zawołał:

— Uspokój się emirze! Jesteście pod moją opieką; do jutra rana nic się wam złego nie stanie.

— Nie ja, tylko wy macie słuszne powody do obawy. Pozostanę tutaj ze swą czarodziejską strzelbą. Kto nas obrazi jednym choćby słowem, temu wpakuję kulę w łeb. Powiedzcie teraz krótko, co postanowiła dżemma. Wypraszam sobie jednak przechwałek!

Postępek mój nie chybił celu; poznałem to po spojrzeniach nieprzyjaciół. Starcy znowu się naradzili. Czarownik przemówił do mnie zupełnie innym tonem, niż dotychczas:

— Zgromadzenie postanowiło, co następuje. Na górze, u stóp ruin, żyją duchy, które nie chcą się usunąć z doliny. Z tymi duchami będziecie walczyć najbliższej nocy. Jeżeli dacie słowo, że nie uciekniecie, będziecie mogli pozostać u nas aż do wieczora już nie w roli jeńców. Po zachodzie słońca udacie się na dziedziniec ruin. Musicie tam rozpaść ognisko i czuwać do rana. Jeżeli rano zejdziecie żywi, odzyskacie wolność.

— To wszystko? — zapytałem. — Tak.

— Zgoda! Gdy słońce zajdzie wejdziemy na górę, by rozpaść ognisko i walczyć do rana z duchami. Dżemma musi jednak przysiąc, że odzyskamy wolność i będziemy mogli odjechać, jeżeli rano zjawimy się tu cali i nietknięci.

Starcy powtórzyli za mną słowa przysięgi.

Czułem się teraz bezpieczny. Zawiesiłem strzelbę na ramieniu i udałem się do towarzyszy. Musiałem przy tej okazji przejść obok czarownika. Nie mógł się opanować. Syknął:

— Jesteście zgubieni! Słyszę ducha *szeba et thar*, który was połknie!

— Uważaj, aby nie połknął ciebie!

— Połyka tylko chrześcijan, których Bóg nie ma siły ochronić. Gdy ja podniosę rękę, ucieka.

— Nie bluźnij! Przekonanie, że jesteś potężniejszy od Boga, jest grzechem, który nie może ujść bezkarnie.

— Niechże mnie ten Bóg ukarze! — Odrzekł, uśmiechając się szyderczo. — Lada szaman ma więcej siły od niego. Kładąc mu rękę na ramieniu, rzekłem:

— Módl się, aby Bóg wszechpotężny i sprawiedliwy nie odpowiedział na to szyderstwo. Czuję wstręt do ciebie. Powiedziałaś, że masz władzę nad wszystkimi duchami ziemi i podziemi. Dlaczego duchy, żyjące na górze, nie ustępują przed tobą? Dlaczego my mamy je przepędzić?

Dlatego, że nie masz żadnej mocy, dlatego że się boisz pójść do nich. Jako chrześcijanin nie lękam się ani upioru ani ducha. Jutro rano wrócimy zdrowi i cali, i pokażemy zwyciężone przez nas duchy.

— Jesteś zaślepiony! — mruknął. — Jako giaur powinieneś się smażyć w piekle. Towarzysze twoi nie lepsi od ciebie, dlatego spotka ich ten sam los. Syn mój oświadczył, że *szeba et thar* was pożre; proroctwo to spełni się dzisiejszego wieczora. Jutro znajdziemy resztki waszych kości i będzie się nam zdawało, że należą do parszywych psów, których wypędzono z namiotów.

Ręka mnie świerzbiła, ale zacisnąłem pięść i nie powiedziałem ani słowa. Halef jednak nie umiał zapanować nad sobą chwyciwszy za bat, tkwiący za pasem, podszedł od Sahhara i zawołał:

— Z kim że ty ważysz się nas porównywać? Z parszywymi psami? Czy mam cię poczęstować batem, tak samo, jak twego syna za podobną zniewagę? Jeżeli cała twoja moc polega na wyszydzeniu jeńców i bluźnierstwach przeciw Bogu, prędzej znajdziemy twoje kości, niż ty nasze. Bóg cię ukarze! Przepowiedzamy tem już twojemu synowi, że *szeba et thar* go pożre. Teraz i tobie oświadczam, że zginiesz w jego paszczy. Nie zapominaj mojej przepowiedni. Głosi ją bowiem Hadzi Halef Omar Ben Hadzi Abul Abbas Ibn Hadzi Dawud al Gossarah, szejk Haddedińów, plemienia Szammar.

Czarownik chwycił za nóż. Jednakże okrzyki go starcy, a szejk, oświadczył surowo, że nie pozwoli, aby obrażano tych, których wziął pod swoją opiekę. Odciągnąłem Halefa na bok i na tym incydent się skończył.

Słuchając słów małego, dzielnego Hadzi, wypowiedzianych przed chwilą do czarownika, miałem wrażenie, że to jakiś prorok przepowiada mu przyszłość. Wielu z nas nawet nie przeczuwało, że mowa jego, pełna buńczucznej zuchwałości, była istotnie wyrocznią; dowiedzieliśmy się o tym znacznie później, i ku wielkiej grozie.

Czarownik uplanował bardzo sprytną zemstę. Lew, który ma do wyżywienia młode, jest podwójnie groźny i niebezpieczny. Mimo to, gdybyśmy chcieli, moglibyśmy ukryć się przed nim w ciemnościach nocy. Cóż, kiedy nam kazano palić przez całą noc ognisko i nie opuszczać dziedzińca, więc nie było mowy o tym, aby lew nas nie zauważył i nie zaatakował. Muszę też dodać, że lwica, karmiąca swe małe, rzadko kiedy opuszcza legowisko. Lew stara się sam o pożywienie dla całej rodziny i znosi łupy, lwica zaś oddala się tylko wtedy, gdy jest bardzo spragniona. O ile ją ktoś wtedy spotka, jest groźniejsza, niż pan z wielką głową.

Szeraraci trzymali się na uboczu, ale nie okazywali nam niechęci. Od chwili ogłoszenia wyroku zgromadzenia patrzyli na nas jak na ludzi skazanych na śmierć. Nienawiść ku nam łączyła się z uczuciem litości i podziwu. Tylko szejk podchodził do nas od czasu do czasu, aby pogawędzić. Uprzedziłem Halefa i Karę, jak się powinni zachować tej nocy; tymczasem zauważyłem, że Szeraraci splatają wiązki z cienkich gałęzi.

Na jakąś godzinę przed zapadnięciem zmroku, szejk kazał nam iść na górę. Postanowił zostać ze swoimi ludźmi przy studni i rozpalić wielkie ognisko; był przekonany, że lwy, zajęte naszą trójką, nie zjawią się na dole. Oświadczył ponadto, że wraz z kilkoma Szeraratami, obładowanymi wiązkami gałęzi, zaprowadzi nas do ruin; nie było to połączone z żadnym ryzykiem, gdyż lew opuszcza legowisko tylko w nocy, w dzień zaś jedynie huk spadających kamieni lub jakiś specjalny hałas może go wywabić z kryjówki.

Minąwszy dosyć długą dolinę, wydostaliśmy się nad źródło.

Liczne ślady łap wskazywały, że lwy korzystają z niego. Nie podzieliliśmy się z Szeraratami tym spostrzeżeniem. Wypinaliśmy się po stromych skałach; Szeraraci nie potrafili ukryć lęku. Nareszcie dotarliśmy do wysokiego muru, w którym mieściła się na pół zmurszała furtka. Szeraraci położyli wiązki na ziemi, szejk zaś rzekł:

— Za tym murem mieści się dziedziniec, którego nie wolno wam opuszczać aż do rana. Oto i

paliwo. Niechaj Allah was strzeże!

Odeszli. Po chwili jeden zatrzymał się i rzekł:

— Sahhar każe wam życzyć dobrej nocy i miłego przebudzenia się w brzuchu *szeba et thar*.

— Niechaj się sam strzeże przed tym brzuchem. My się tam nie dostaniemy — rzekł ironicznie Halef.

Szerari oddalił się szybko.

Podszedłem ostrożnie do furtki i spojrzałem na dziedziniec. Mury były obrośnięte zeschniętym listowiem i tworzyły czworobok. W tylnej ścianie czworoboku mieściła się również na wpół zawalona furtka, prowadząca do wnętrza ruin. Tam, a nie tu, na dziedzińcu, znajdowało się legowisko lwów. Poznałem to po śladach: Prawa część muru zwała się częściowo w gruzy, które stanowić mogły doskonałą osłonę. Jeżeli rozpalimy ogień na dole, a sami usiadziemy na górze, lwy nie odważą się podejść do nas poprzez płomienie. Podeszliśmy do gruzów, podłożyliśmy pod nie wiązkę chrustu, przynieśliśmy cały zapas paliwa i rozłożyliśmy się możliwie najwygodniej.

Zapadł zmierzch. Lew zwykł wychodzić z kryjówki późno, więc zwlekaliśmy z rozpaleniem ognia. Około godziny dziesiątej zszedłem na dół, podpałem wiązki i znów wskoczyłem na górę. Leżeliśmy teraz obok siebie, z naładowanymi strzelbami przy ramieniu. Od czasu do czasu dorzucaliśmy nieco gałęzi i czekaliśmy na zjawienie się króla zwierząt.

Puls mój uderzał normalnie. Halef był niespokojny, ale nie przerażony. Dzielny młodzieniec nie okazywał również lęku. Obydwaj wiedzieli, że mogą strzelać jedynie na mój rozkaz i muszą celować w oko.

Jeżeli mówię, że nie odczuwałem najmniejszej obawy przed lwem, nie jest to przechwałka. Jestem również przekonany, że i w moich towarzyszach nie zamierało serce. To, co odczuwali, można by nazwać gorączką myśliwską. Każdy, kto zna Halefa, wie, że szejk Hadedihnów umie się obchodzić z bronią. Kara Ben Halef, szkolony przez ojca, również był strzelcem nie lada. Niepokoiła mnie jedynie mroźna aura.

Ludzie wyobrażają sobie zupełnie niesłusznie, że Arabia jest krajem wielkich, stałych upałów. Tymczasem nawet w lecie różnica w temperaturze między dniem a nocą jest tak pokaźna, że ludzie, nie przyzwyczajeni do tutejszego klimatu, nabawić się mogą przeziębienia. W zimie i na wiosnę rtęć w termometrze spada często poniżej zera; człowiek lekko ubrany trzęsie się wtedy z zimna. Czasami nawet śnieg pruszy.

Wiedząc o tym, zaopatrzyliśmy się na wyprawę w ciepłe koce. Dziś jednak nie zabraliśmy ich, chcąc mieć w walce z lwem pełną swobodę ruchów.

Było tak zimno, że należało się liczyć z drgawkami rąk przy celowaniu. Czyż powinienem podkreślać, jak niebezpieczny mógł być dla nas strzał chybiony? Poprosiłem towarzyszy, aby się starali zapanować nad sobą. Odpowiedzieli, że w decydującej chwili z pewnością nie zadrżą.

W dziedzińcu panowała głucha cisza, przerywana od czasu do czasu trzaskiem płonących gałązek. Uplęły dwie godziny. Jako wprawny strzelec kierowałem się nie tylko okiem i uchem, lecz i powonieniem. W pewnej chwili poczułem ostry zapach, właściwy zwierzętom drapieżnym.

— Uważajcie, nadchodzi, czuję! — szepnąłem ojcu i synowi. Utkwiwszy wzrok w drugiej furcie, przyłożyłem niedźwiedziówkę do policzka. Czy to postać jakaś, czy cień? Zatrzymał się na chwilę i znikł za przeciwległą ścianą z kamienia. Po chwili rozległ się odgłos spadających gładów.

— To był lew? — zapytał Halef szeptem.

— Trudno orzec, czy lew, czy lwica — odparłem. — Nie mieliśmy szczęścia. Lew przestraszył się ognia i przeszedł ku źródłu przez mur. Szkoda, że musimy palić to ognisko. Gdyby było ciemno, wpakowałbym mu kulę w łeb.

— Wróci!

— W tym moja nadzieja. Musimy się skupić, aby nie przeoczyć odpowiedniej chwili.

Po upływie kilku minut na jednej ze skał rozległ się pomruk, który Arabowie zowią *rra'd*, co oznacza grzmot. Mieliśmy wrażenie, że to trzęsienie ziemi.

— To nie lwica, to lew — szepnąłem. — Poznaję po ryku. Schodzi ku źródłu. Słuchajcie!

Od strony doliny rozległ się piskliwy okrzyk przerażenia, po nim drugi, trzeci. Brzmiał jak "Ghadab, Ghadab". Czyżbym się mylił? Nie, to imię syna czarownika. Lew ryknął po raz drugi, trzeci, potem wszystko na dole ucichło. Za to na górze, obok nas, ktoś zapytał głośno:

— *Maszallah!* Co to za ognisko? Kto je rozpałił? Odpowiedzcie, jestem Abu el Ghadab...

Wydał przeraźliwy, potworny okrzyk, któremu zawtórował drugi z doliny. Potem rozległ się tak dobrze mi znany odgłos łamania kości i zgrzytania zębów. Lwica też była w pobliżu. Znalazła ofiarę. Łamie jej kości zębami. Czy to człowiek? I w dodatku Abu el Ghadab? Przecież był jeńcem Lazafahów! Tak, czy inaczej, muszę strzelić i to zaraz!

Od strony furty zewnętrznej rozległ się chrzęst. Odsunąwszy się nieco, ujrzałem potężną postać zwierzęcia. Wydawszy kilka ostrych jak stał okrzyków, zacząłem celować. Pod wpływem mego głosu lwica odwróciła się w naszą stronę. Oczy lśniły jak latarnie. Strzeliłem. Rzeżenie, jęk, przedśmiertelna czkawka i... cisza.

— O, sidi, położyłeś ją trupem! — zawołał głośno Halef.

— Cicho, cicho! — odparłem. — Wkrótce zjawi się lew. Zdaje się, że znalazł na dole jakąś ofiarę. Słyszeliście wołania i następnie okrzyk?

— Tak.

— I tam ktoś dostał się między łapy zwierza. No, trzymać strzelby w pogotowiu i cicho!

Po kilku minutach zza furty rozległy się szmery, jakby ktoś chrapał, lub rozrywał na strzępy... Domyśliłem się, co rozrywał.

— Uwaga! — szepnąłem. — Nadchodzi z ofiarą w paszczy.

Istotnie, zjawił się, wlokąc jakiś ciężar. Chciałem, aby chluba pierwszego strzału przypadła Karze. Dałem umówiony znak. Lew, który niósł łup dla młodych, ujrzał teraz lwicę, pławiącą się we własnej krwi. Wypuścił ofiarę, podniósł głowę i zaczął przeraźliwie ryczeć. Po chwili zamilkł i w poszukiwaniu sprawcy skierował szeroko otwarte oczy na nasze ognisko.

— Kara, pał prosto w oko, pał!

Ledwie zdążyłem wypowiedzieć te słowa, padł strzał. Rozległ się ryk, potem lew skoczył ku nam przez płonące ognisko. Skierowałem ku niemu lufę niedźwiedziówki. Kula trafiła w samo serce. Padł opodal ogniska, rzucał się na prawo i lewo, wstrząsany dreszczem. Po chwili zamarł w bezruchu. Życie zeń uleciało.

Halef wydał okrzyk triumfu, mimo że wcale nie strzelał. Kara, wtórował mu swoim chłopięcym głosem. Zeszliśmy z naszej placówki dopiero po upływie pewnego czasu. Kara trafił lwa w oko. Król zwierząt należał więc do niego, mimo że padł od mojej kuli. Lwica natomiast była moją własnością. Przy blasku łuczywa zaczęliśmy szukać dalej. Cóż to za istoty padły ofiarą żarłocznici zwierząt? Ze zgrozą przekonaliśmy się, że to ludzkie zwłoki. Czytelnicy mogą sobie wyobrazić nasze osłupienie, gdyśmy po szczegółowym badaniu upewnili się, że są to resztki zwłok czarownika i jego syna! Staliśmy, jak wryci. Halef rzekł drżącym głosem:

— O, sidi, moje prorocstwo, moje prorocstwo! *Szeba et thar* pożarł ich!

Jakże chętnie zeszlibyśmy w dolinę, gdyby nie konieczność dotrzymania warunku, że pozostaniemy tu aż do rana. Wolę nie mówić, jak nam noc upłynęła. O świcie odszukaliśmy legowisko lwów. Znaleźliśmy w nim dwutygodniowe lwiątko. Musieliśmy je zabić, wszak nie

możliśmy zabrać go ze sobą. Ściągnawszy z lwów skórę, zeszlismy na dół.

Szeraraci nie spali w nocy pod wpływem podniecenia. Jakże się zdziwili, gdy nas ujrzeli nietkniętych, ze skórą na ramieniu! Z jaką ciekawością zaczęli się dopytywać o czarownika i jego syna! Dowiedziawszy się, jaki los ich spotkał, wytłumaczyli nam ów dziwny zbieg okoliczności. Otóż Abu el Ghadab uciekł wraz z czterema Szeraratami z niewoli; wczorajszego wieczora cała piątka dotarła do południowego stoku i nie przyszło jej na myśl, że w tych stronach grasować mogą dzikie zwierzęta. Ghadab chciał tę noc spędzić nad ruinami, a nie przy źródle, gdyż obawiał się Beduinów. Reszta, niezwykle spragniona, oponowała. W rezultacie Ghadab zaczął się wdrapywać na *kasr*, towarzysze zaś zwrócili się do dolnego źródła, gdzie natrafili na współplemieńców. Czarownik ucieszył się bardzo wiadomością o ucieczce syna. Gdy się jednak dowiedział, że syn poszedł w kierunku ruin, radość pierzchła. Pod wpływem przerażenia, pobiegł bez namysłu w kierunku górnego źródła, aby przestrzec syna okrzykami. Lew spadł nań mniej więcej tej samej chwili, w której Ghadaba pochwyliła w swe szpony lwica.

— *Szeba et thar!* — zawołał Halef. — Bluźnili Bogu, więc zginęli tak, jak przepowiedziałem. Niebo mnie oświeciło.

Nie powiem, aby Szeraraci bardzo się martwili z powodu straty; w każdym razie nie ulega wątpliwości, że radość z powodu zabicia lwów, które wśród ich trzód czyniły, ogromne spustoszenia, była bez porównania większa od smutku. Nie mogli oswoić się z myślą, że wiedząc o jakie duchy chodzi, tak odważnie ruszyliśmy do ruin. Staliśmy się bohaterami dnia. Mimo waśni, podlegającej krwawej zemście, traktowano nas jak gości. A gdyśmy następnego dnia opuszczali obóz, szejk pożegnał nas następującymi słowami:

— Jesteście najdzielniejszymi wojownikami, jakich znam. Dotrzymaliśmy rzetelnie słowa danego. Ale przy następnym spotkaniu będziemy zmuszeni widzieć w was przywódców wrogich Haddedihnów. Nie zapominajcie o tym! Niechaj Allah będzie z wami i niech wam skróci drogę!

Gdyśmy przybyli do obozu Haddedihnów, radość była ogromna. Halef przygalopował przed swój namiot, wywołał Hanneh, pokazując na skórę lwa i syna, rzekł:

— Hanneh, żono moja, perło wśród kobiet, popatrz na tę skórę i na tego młodego wojownika, którego powiłaś ku memu zachwytowi. Zastrzelił pana grzmotu, ubił króla zwierząt! Powinnaś go więc powitać przede mną. Przyciśnij go do serca i daj mu swe błogosławieństwo, gdyż będzie kiedyś godnym następcą swego ojca!

Plemię było niezwykle zdziwione, że posiada wojownika, który mimo młodego wieku położył lwa. Skórę lwicy darowałem Hanneh. Obydwie skóry stanowią odtąd ozdobę namiotu zebrań. Gdy goście składają Halefowi z tego powodu gratulacje, odpowiada z bezgraniczną dumą:

— W tych skórkach tkwili kiedyś najstraszniejszy pan grzmotu i najstraszniejsza pani z wielką głową. Nazywano ich *esz szeba et thar* — małżeństwo krwawej zemsty.

Hanneh

Wyprawę w góry Szammar potraktowałem krótko, ponieważ Pustynię Arabską opisuję szczegółowo w innych pracach. Teraz opiszę nasze przeżycia podczas wyprawy do Persji. Gdy po kilku dniach Halef zdał dokładnie Hanneh i Haddedihiom sprawę z bohaterskich przygód, których sława "przejdzie do potomności", przysłała kolej na Persję.

Kochany, mały, przyjaciel nie chciał się zgodzić, abym się bez niego udał w tę podróż. Chciał nawet *zabrać* ze sobą Kara Ben Halefa, ale zrezygnował z tego zamiaru pod wpływem mych perswazji, że chłopak jest za młody i gotów nam przyczynić więcej szkody, niż pożytku. Omar Ben Sadek i szereg innych Haddedihiów oświadczyli również, że chętnie wezmą udział w tej wyprawie. Z nie małym trudem wytłumaczyłem im, że dwóm łatwiej będzie się poruszać i bezpieczniej, niż wielkiemu oddziałowi.

Zapadła więc decyzja, że ruszę tylko w towarzystwie Halefa. Miałem otrzymać Assila Rih, który posiadał te same ukryte zalety, co ojciec jego, Rih. Halef miał zamiar zabrać klacz Mohammeda Emina. Odradziłem, gdyż siwki są niebezpieczne ze względu na maść, która wpada w oko; widać je z daleka, a wiem z doświadczenia, jak wielką rolę odgrywa uprzedzenie wroga. Gdym ponadto zwrócił uwagę na wiek klaczy, Halef rzekł:

— Nie zmieniła się wcale od czasu, gdyśmy ją po raz pierwszy ujrzeni; ale masz rację sidi, siwa klacz nie nadaje się, więc wezmę karego konia. Na szczęście mam doskonałego ogiera pod ręką!

Wypowiedział ostatnie słowa tak dobitnie, że m zapytał:

— To zapewne jakiś wspaniały okaz?

— Tak. Nie widziałeś go jeszcze. Chciałem ci zrobić niespodziankę. To prawdziwy ogier Nedjedi, niestety jednak, nie posiadam jego rodowodu.

— Nie może to być! Tak cenny koń bez rodowodu?...

— Cóż robić! Gdy Abu Hammedi powstali przeciw nam, musieli zapłacić okup końmi i wielbłędami, które sam wybrałem. Najlepszy spośród koni był ten kary ogier. Wziąłem go sobie. Abu Hammedi do dzisiejszego dnia nie mogą przeboleć tej straty. Ogier nie urodził się u Hammedów. Przyprowadzili go jako zdobycz. Nie mogłem się od żadnego z nich dowiedzieć, kto był jego właścicielem. Rozumiesz teraz, dlaczego ogier nie posiada rodowodu.

— Ale ma chyba jakieś imię?

— Nie wiem, jak się dawniej nazywał. Wiadomo mi tylko, że Abu Hammedi nazywali go ze względu na maść El Atim, Kary. Nazwa ta wydała mi się niewystarczająca, gdyż koń zasługuje na lepszą i szlachetniejszą. Przypomniałem sobie karego ogiera, którego, jak mi opowiadałeś, otrzymałeś w darze od przyjaciela i brata, czerwonego wojownika Winnetou. Jak mu było na imię?

— Hatatitla.

— Czy słowo to oznacza to samo, co w moim języku *barkh*, błyskawicę?

— Tak.

— Więc nie myliłem się. Nazwałem ogiera El Barkh, wiedząc, jak drogi był ci dar czerwonego przyjaciela. Chodź, przyjrzyj się imiennikowi twego Hatatitli!

Poszliśmy daleko w step; dotarłszy do miejsca, w którym pasterze pasą wielbłądy, zatrzymaliśmy się. Ujrzałem ogiera Nedjedi. Na nasz widok ogier zbliżył się do Halefa i pozwolił się pogładzić.

— No i cóż, sidi, jak ci się podoba?

Ogier miał małe wąskie znamię. Nad piękną, gibką, delikatną szyją wznosiła się mała głową o

ostrzych, prostych uszach. Nos łagodnie zaostzony, wzrok ognisty, piersi szerokie, kadłub krótki, noga o delikatnych żyłach, kopyta małe i twarde. Imponujące wrażenie robił piękny ogon, mniej natomiast imponowała długa, bardzo gęsta grzywa.

Nie odpowiadając zrazu na pytanie Hadżiego, poddałem konia dokładnemu badaniu, zaczynając od oczu, a kończąc na kopytach. Potem Halef pokazał mi, jak galopuje i jaki ma kłus. Zsiadając z konia, szejk zapytał raz jeszcze:

— No, jakże ci się podoba? Znalazłeś jakąś przywarę?

— Powiedz mi przede wszystkim, czyś ty się dopatrywał braków. —Owszem.

— I znalazłeś?

— Nie. Nie ma żadnych.

— Więc sądzisz, drogo Halefie, że istnieją konie bez braków?

— Jesteś lepszym znawcą ode mnie.

— Należysz do narodu Bedawi, powinieneś się więc znać na tym lepiej, niż człowiek, który wojuje piórem i atramentem.

— *Jinaj Allah!* Mów szczerze, ogier ma braki?

— Owszem.

— Byłem chyba ślepy, skoro ich nie zauważyłem!

— O nie! Chodzi tylko odrobiazgi, które nie zmniejszają wartości konia. Przede wszystkim tylne kopyta są mniejsze; ale oczywiście różnica jest tak mała, że mogłeś jej nie zauważyć. Ponadto klatka piersiowa powinna być nieco głębsza. Czoło ma wprawdzie szerokie, ale między oczami zbyt płaskie.

— *Allah kerihn!* — westchnął. — Tyle przywar? Ale przyznajesz, że ogier jest mimo to hoerr, pełnej krwi?

— Nie, nie jest *hoerr*, a tylko *mekueref*, pół krwi kochany Halefie. —Udowodnij to!

— Uszy stoją zbyt prosto; u konia pełnej krwi końce ich powinny się prawie dotykać. Ponadto gęste grzywy są przeważnie właściwością mieszańców. Nie mogłem ci oszczędzić tego wyroku, ale nie martw się. Assil Rih ma krew szlachetniejszą, niż ten Nedjedi, lecz wartość obydwóch koni jest taka sama. Czy El Barkh posiada tajemnicę?

— Nie wiem, czy pierwszy właściciel wpoił mu jakiś znak tajemny, gdyż nikt nie zdradza tego złodziejowi. Co do mnie, nauczyłem ogiera sekretnego hasła. Oczywiście, tylko mnie jest ono znane; nawet mój syn Kara Ben Halef i żona moja Hanneh nic o nim nie wiedzą. Ale tobie, sidi, powiem, na czym polega tajemnica, gdyż może się zdarzyć, że hasło przyda ci się podczas wyprawy. Polega na tym, że staję w strzemiionach i kicham trzy razy po kolei.

— Drogi Halefie — rzekłem z uśmiechem — nie zmieniłeś się ani na jotę!

— Co przez to rozumiesz? Z czego się śmiejesz?

— Z tego, że najpoważniejszym sprawom potrafisz nadać tło humorystyczne.

— Poważnym, humorystyczne?

— Tak. Tajemnica wpojona koniowi, jest przecież sprawą bardzo ważną, gdyż korzystamy z niej zwykle w chwili śmiertelnego niebezpieczeństwa. Widzę cię teraz oczami wobraźni w otoczeniu wrogów; kule świszczą, gromy przeszywają powietrze, noże lśnią, a ty kichasz raz, i drugi i...

— Milcz sidi! — przerwał. — Zupełnie to obojętne, co człowiek czyni w podobnej sytuacji; najważniejsze, aby się wyrwał z opresji. Wolę unikać śmierci dzięki kichnięciu, niż stracić życie przez dziesięciokrotne kaszlanie. Nie rozumiem, jak możesz żartować z tego powodu!

— Odpowiem poważnym zapytaniem: czy oswoiłeś Nedjedi z surą, szeptaną do ucha?

— Nie. —Dlaczego?

— O sidi, nie wymagaj ode mnie zbyt wiele! Człowiek, który musi rządzić całym plemieniem, nie ma czasu na nauczenie się całej sury Koranu. Powiem ci szczerze i otwarcie, że na sam dźwięk wersetu recytowanego z pamięci moja głowa przeobraża się w garnek bez dna. Możesz lać całe wiadra wody, a w garnku nic nie pozostanie. A to dlatego, że mam otwartą głowę.

— Jaka szkoda! Mój Rih przywykł spać razem ze mną. Szyja jego była mi poduszką; przed zaśnięciem szeptałem mu zwykle surę do ucha. Słuchał tylko tego, kto był w nią wtajemniczony. Czy Assil Rih również nie zna żadnej sury?

— Jak możesz mówić coś podobnego, o sidi! Potomek twego wspaniałego Riha musiał poznać jakąś surę. Znasz surę o Abu Lahebie?

— Tak. Sto jedynasta z kolei.

— Powtórz ją!

— Oto jej treść: *Niechaj zginą ręce Abu Laheba, niechaj sam zginie. Majątek i wszystko co zdobył, nic mu nie pomoże. Ogniem spłonie, a razem z nim spłonie jego żona, która musi znosić drzewo na stos. Na szyi jej zawisnie sznur, utkany z włókien palmowego drzewa.*

— Tak, to sura Abu Laheba, którą powinienes co wieczór szeptać w ucho swego konia.

— Dlaczego właśnie tę, a nie inną?

— Bo krótka. Musiałem się jej nauczyć na pamięć i recytować przed ogierem. Dłuższa wyleciałaby z garnka. Twoja głowa nie jest tak delikatna i otwarta, jak moja, więc wszystko w niej pozostaje. Ale pociesz się, sidi, nie każdy posiada zalety, którymi wyposażył mnie Allah. Od dziś będziesz mógł sypiać obok Assila Rih, tak samo, jak sypiałeś dawniej obok jego ojca. Czy mam ci również powierzyć tajemnicę zrzucania?

— Posiada ją? Byłoby mi to bardzo na rękę!

— Ażeby sobie ułatwić naukę, przyswoiłem obydwu koniom jedno i to samo hasło tajemnicze. Jeżeli dwa razy zawołasz słowo *litaht!* i gwizdniesz ostro, koń zrzuci jeźdźca. Zapamiętaj to sobie, sidi, gdyż nie jest wykluczone, że dzięki temu osiągniesz nad wrogiem przewagę.

Miał rację; nie tylko Rih, ale i obydwie ogiery Winnetou zrzuciły na oznaczone hasło każdego obcego jeźdźca, co przynosiło nam wielkie korzyści.

Do dnia wyjazdu dosiadałem Assila codziennie. Koń przywykł do mnie i polubił. Byłem pewien, że będę mógł liczyć na niego tak samo, jak dawniej na Riha.

Droga nasza prowadziła przez Bagdad. Nie chcieliśmy męczyć koni; postanowiliśmy przeto dotrzeć do tego miasta drogą wodną, przez rzekę Tygrys. Dla transportu koni trzeba było zbudować obszerny prom ze skór kozich, używanych do komunikacji po Tygrysie. Nakłaniano nas do zabrania garstki Haddedińców dla kierowania promem i bronienia nas przed ewentualnymi napadami Beduinów; nie uległem jednak tym namowom. Droga wodna była nam znana z dawnej wyprawy; większa zaś ilość ludzi wymagałaby większego promu, a nie ulega wątpliwości, że mała tratwa mniej wpada w oko, niż duży prom. W każdym razie byliśmy na rzece bezpieczniejsi we dwójkę niż pod wątpliwą opieką ludzi, których obecność, zamiast odwrócić niebezpieczeństwo, mogła je tylko osiągnąć.

W wigilię wyprawy braliśmy udział w długiej naradzie *dżemmy*, która radziła nad wyborem zastępcy Halefa. Około północy udałem się na spoczynek do swego namiotu. Właśnie miałem zgasić oliwną lampę, gdy w fałdach zasłony ukazała się głowa Hadżiego. Zapytał:

— Sidi, mogę wejść?

— Ależ oczywiście.

Wszedł do namiotu; stanął przy mnie i rzekł cicho z tajemniczą miną:

— Sidi, chcę ci zakomunikować wiadomość, pod której wpływem trząść będziesz ze zdumieniem

głową do pojutra.

— Mam nadzieję, że to nie potrwa tak długo. Co mi masz do zakomunikowania?

— Trudno mi to wypowiedzieć. Sprawa jest tak niezwykła, że lękam się, abyś mnie nie wyrzucił.

— Nie obawiaj się. Nie umiałbym wyrzucić mego Halefa.

— Jest to występki przeciw Koranowi i... w ogóle przeciw wszystkim obyczajom i prawom! Lęk mnie ogarnął, gdym się o tym dowiedział, ale nie mogłem odmówić Hanneh, która jest duszą mego życia i życiem mojej duszy.

— Masz rację; nie wolno ci było odmówić.

— Dzięki ci, sidi! Słowa twoje dodają mi odwagi do oświadczenia ci, że pragnie pomówić z tobą jeszcze dziś.

— I to cię tak nęka? Przecież w ciągu ostatniego tygodnia, nieraz z nią rozmawiałem a dusza twoja nie traciła równowagi. Przecież u was, Beduinów, kobieta nie jest taką niewolnicą, jaką bywa w haremach miast.

— Masz rację. Ale nie znasz jeszcze całej pełni jej życzenia, które wstrząśnie tobą. Dotychczas rozmawiałeś z nią tylko w biały dzień, w obecności świadków; dziś chce mówić z tobą ... beze mnie, sama, w dodatku... w dwie godziny po północy!

Jąkał się. W głosie brzmiała nuta beznadziejnego smutku.

— Pozwoliłeś jej na to?

— Oczywiście, dlaczegoż nie miałem pozwolić? Nie chodzi mi o nią, lecz o ciebie! Jestem pewien, że czujesz się poważnie dotknięty takim żądaniem kobiety. Ale proszę cię, sidi, zrób to dla mnie, bądź łagodny i dobry! Nie sądź, by moja Hanneh chciała zdobyć jedno z twoich uczuć, które powinieneś strzec dla swego haremu. Przysięgam na proroka i jego brodę, że możesz iść do niej z całym spokojem. Jesteś bohaterem, człowiekiem odważnym, nieraz stawiałeś swe życie na kartę. Czy w tym wypadku miałoby ci zabraknąć odwagi?

Musiałem zebrać wszystkie siły, by nie parsknąć śmiechem.

— Nie martw się, to zbyteczne. I tak gotów jestem spełnić wasze życzenia. Gdzież jest Hanneh? W swoim namiocie?

— Nie. Ktoś mógłby zauważyć, że tam idziesz, a nawet zobaczyć, że wchodzisz do namiotu. Hanneh, jutrzeńka na wschodzie mej pogody, poszła na prawo od duaru, ty pójdiesz zaś na lewo. Poza obozem zwróćcie się ku sobie i spotkacie niezauważeni przez wartowników. Postaram się, aby ich nie było w pobliżu miejsca waszej schadzki.

Dziwne zdarzenie! Muzułmanin, prosi mnie, abym się zgodził na tajemne spotkanie z jego żoną i przyrzeka postarać się, aby nam nie przeszkadzano!

Nie mówiąc ani słowa, zgasilem lampę, opuściłem namiot wraz z Halefem i poszedłem sam we wskazanym kierunku. Po jakimś czasie, znalazłszy się poza linią obozu, zwróciłem się na prawo. Księżyc stał na nowiu, ale gwiazdy świeciły tak silnie, że było widno jak podczas pełni. Po niedługim czasie ujrzałem Hanneh, idącą w moim kierunku. Podeszedłem bliżej, zatrzymaliśmy się. Spod zasłony popatrzyło na mnie dwoje wielkich, skupionych oczu. Hanneh podała mi rękę i rzekła:

— Wiedziałam, że przyjdiesz, sidi: Dziękuję! Dotknąwszy lekko jej ręki, odrzekłem:

— Życzenie twe jest dla mnie rozkazem. Spełniłem je chętnie.

— Jesteś chrześcijaninem, więc szanujesz kobiety. Wolałbym umrzeć, niż spotkać się z mułmaninem, który nie nazywa się Hadzi Halef. Ale pod twoją opieką jestem bezpieczna jak przy Halefie. Czy przeczuwasz, o czym pragnę z tobą mówić?

— Tak.

— Wiesz również, dlaczego Halef nie powinien przy tej rozmowie asystować?

—Zgaduję.

— Byłam tego pewna i dlatego odważyłam się na coś, czego nie uczyniłaby żadna kobieta. Stoję tu przed Allahem i przed tobą. W duszy mojej faluje szerokie, głębokie morze. Falami jego są myśli, które mnie na przemian zabijają, na przemian unoszą na brzeg. W sercu moim rozpięte jest niebo. Chwilami lśnią na nim tysiące gwiazd, chwilami zaś pokryte jest gęstymi chmurami. Gwiazdy płoną ku chwale Allaha, chmury są zwątpieniem, które odciąga mnie od właściwej drogi. Żyje we mnie głos lęku, wiecznie podniecony, wiecznie niespokojny. Słyszę go w dzień, w nocy, na jawie i we śnie. Domaga się głośno wyzwolenia od straszliwej myśli, że kobieta jest tylko pyłem, postacią bez ducha.

Westchnęła głęboko i złożywszy ręce, ciągnęła dalej:

— Allahu, bądź mi miłościwi Daj znak, że w tej błakającej się po ziemi istocie żyje coś, co ma prawo do Twojej miłości i łaski! Dlaczego tylko mężczyzna dostąpi żywota wiecznego? Cóż złego uczyniła kobieta, że śmierć ją zniszczy doszczętnie? — Pytałam o to nie raz. Nigdy nie otrzymałam odpowiedzi, która by mi dodała pociechy i otuchy. Odpowiedz ty, sidi, ale szczerze. Nie ukrywaj prawdy! Nie tylko ja pytam cię o to, przez usta moje przemawiają wszystkie kobiety, którym islam kradnie dusze. Chcę wiedzieć, czy istotnie pozbawione jesteśmy duszy!

Byłem niezwykle zdumiony, gdyż nie spodziewałem się, że Hanneh jest do tego stopnia podniecona. Miałem przez chwilę wrażenie, że jestem człowiekiem, przed którym nagle wytrysnęło gorące, podziemne źródło. Ileż tęsknoty, nadziei i trwogi zebrało się w sercu tej kobiety, jeżeli krzyk jej duszy dotarł aż do moich uszu! Chciałem inaczej odpowiedzieć, ale opanowałem się i zapytałem:

— Dlaczego zwracasz się z tym do mnie?

— Ponieważ jesteś chrześcijaninem, ponieważ nie należysz do wyznawców islamu! Powiedz mi więc, czy chrześcijanka ma duszę.

— Nie tylko chrześcijanka, ale każda kobieta.

— *Hamdulillah!* Mów dalej!

— Nasza święta księga mówi: *Bóg stworzył człowieka na podobieństwo swoje, a stworzył mężczyznę i kobietę. Bóg jest wszechpotężny, wszechwiedzący i wszechmądry. Jest ponadto łaskawy, litościwy i nieskończenie dobry. Mężczyzna będzie obrazem boskiej wszechmocy, kobieta odbiciem dobroci Boga i miłości. Tylko wtedy, gdy łączą w sobie te właściwości, stają się naprawdę ludźmi. Czy istota będąca wcieleniem boskiej miłości, może być pozbawiona duszy?*

— Nie.

— Więc czy kobieta ma duszę?

Przez długą chwilę patrzyła mi w oczy; potem wolnym ruchem złożyła ręce, westchnęła i rzekła.

— Tak, kobieta ma duszę! Allah, posiadam duszę! Sidi, przekonałeś mnie o tym kilkoma słowami. Wątpiłam i walczyłam przez tyle lat i oto szczęście nadchodzi tak nagle. Nie jestem pustym naczyniem. Nie po to tylko istnieję, aby służyć mężczyźnie i rozpląnąć się później w nicości. Tak, sidi?

Była szczęśliwa.

— Tak, masz rację. Przed tobą i wszystkimi kobietami, które idą w twe ślady, brama do szczęśliwości stoi otworem. Tak naucza wiara chrześcijańska. Naucza ona również, że Chrystus narodził się po to, aby wszyscy, którzy weń wierzą, mężczyźni i kobiety, nie zginęli, by żyli życiem wiecznym.

Wstała, podniosła rękę i rzekła:

— Sidi, wierzę, że mam również duszę. Znalazłam ją dziś po długich mękach i nie pozwolę, aby mi ją zabrano! Jeżeli islam zechce ją zrabować, odrzucę go precz i pójdę do Isa Ben Marryam, u

którego nie grozi mi żadne niebezpieczeństwo.

— Przecież już teraz jesteś przy nim.

— Czczę go, ponieważ, jak to nie raz mówiłeś, przyniósł ludziom miłość niebios. Fale, które uderzyły o moje serce, uspokoiły się, chmury ustąpiły. Jakże wdzięczna jestem Allahowi, że mnie naprowadził na myśl porozmawiania z tobą w cztery oczy, gdyż w obecności świadków nie potrafiłabym wypowiedzieć tego, co czuję. Mam jeszcze jedną prośbę! Halef, władca mego serca, także nie chciał wierzyć, że my, kobiety, posiadamy duszę. Zgadujesz dlaczego?

— Mam wrażenie, że się twojej nieco obawia.

— *Maszallah!* Zgadłeś. To najlepszy człowiek na kuli ziemskiej, mądry, waleczny, potrzebuje jednak chwilami dobrej rady i głowy, która by go zmusiła do usłuchania tej rady. Właśnie dzięki temu, że stałam się jego doradcą i powiernikiem, zrozumiałam, iż my, kobiety, również nie jesteśmy pozbawione ducha i duszy. Skoro bowiem kobieta potrafi opanować ducha mężczyzny, nie może być tylko ciałem bez treści. Proszę cię więc, byś mu zakomunikował z całą ostrożnością, że odnalazłam swą duszę, i że nie powinien się jej obawiać. Gdy przeczył temu, że mam duszę, musiałam się bronić, więc nie mógł stwierdzić, ile w niej mieści się dobroci i przyjaźni. Teraz, gdy jestem zupełnie pewna, że dusza moja istnieje, wątpliwości odpadły. Od dziś okazywać mu będę najmiłsze oblicze, gdyż pragnę, aby mą duszę pokochał. Chcesz mu to powtórzyć?

— Dla Hanneh, drogiej córki Ateibehów, zrobię to chętnie.

— Nie mów z nim wiele o Mahomecie. Winę tego, że Halef jedynie mężczyznom przyznaje duszę, ponosi fałszywy prorok. Mów z nim lepiej o Isa Ben Marryam i o świętej księdze chrześcijan. Wzmocni to jego pamięć i miłość, rozproszy myśli, które kobietę bliską jego sercu tylko zasmucić mogą. Czy i na to się zgadzasz?

— Przyrzekam.

— Czy wiadomo ci również, że jest chwilami bardziej porywczy, niż nakazuje ostrożność? Nie toleruj tego! Proszę cię, nie szczędź mu z tego powodu najostrzejszych uwag! Żona odważnego męża ma powód do dumy. Gdy jednak odwaga przechodzi w szaleństwo, duma ustępuje smutkowi. Chcę być jego żoną, nie chcę jednak zostać wdową po nim! Czy jesteś przekonany, sidi, że mi go oddasz cało?

— Będę go hamował.

— Dzięki ci! Dzięki ci za to, żeś nie spełnił jego prośby o zabranie Kara Ben Halefa. Serce moje uschłoby z tęsknoty. Halef był przekonany, że pozwolisz zabrać chłopca, już choćby dlatego, iż towarzyszył wam w wyprawie przeciw Kurdom plemienia Bebbeh i zastrzelił lwa.

— Tamta wyprawa była znacznie mniejsza od tej, którą planujemy obecnie. Czekają nas prawdopodobnie wysiłki i męki, do których młode ciało twego syna nie dorosło. Obecność jego przeszkadzałaby nam raczej. Nie powinnaś więc mi dziękować. Nie zabieram go po prostu z wyrachowania.

— O, sidi! Odrzucasz zawsze wszystkie podziękowania. Jakże innymi ludźmi są chrześcijanie, jak niepodobnymi do muzułmanów! Powiedz, czy kobiety wasze są również lepsze od naszych?

— Hm. Wszędzie istnieją ludzie dobrzy i źli.

— Będę się starała, abyś mnie mógł zaliczyć do dobrych. Muszę już odejść; Halef, władca mego serca, pewnie się niecierpliwi. Dziękuję raz jeszcze! Dałeś mi nowe, piękniejsze życie; nie zapomnę tego nigdy. *Leiltak sa'ide! Dobrej nocy!*

— Niechaj Allah cię strzeże i osłania! *Leiltak mubarake!* Dobrej nocy!

Odeszła. Wyznaję nie żałowałam, żeś tu przyszedł i pozbawił Halefa towarzystwa żony. Jaka głębia uczucia, a jak dziecinne odczuwanie! Wyrok islamu ciążył jej, jak gład. Walczyła, by go

odrzuć i zwyciężyła. Jakże daleka była od nieskończonej plejady obojętnych kobiet Wschodu, które jedyną treść życia widzą w pokaźnej tuszy na miękkich poduszkach haremu. Jak mądrą i zdecydowaną kobietą była Hanneh!

Wróciłem wolnym krokiem do domu. Przypuszczenia moje okazały się słuszne; Halef stał przed moim namiotem. Ujmując mnie za ramię, rzekł szeptem:

— Sidi, ukochana podpora moich dni wróciła. Oczy jej błyszczały, głos brzmiał jak śpiew słowika. Nazwała mnie dobrym, drogim Halefem. Ten słodki ton mowy nappełnił me serce rozkoszą, a powiem ci szczerze, że w naszym duarze rozlegają się czasem i inne głosy. Lepiej, abyś nie wiedział, z jakiego namiotu te tony dochodzą. Mam wrażenie, żeś mówił z nią o mnie. Czy tak?

— Tak. Raz podczas rozmowy wspomniała ciebie.

— Tylko raz?

— Drogie Halefie, bądź zadowolony, że w ogóle o tobie mówiła! — Ależ sidi, o kimże mówiliście w takim razie?

— Czy jesteś jedynym człowiekiem, o którym można mówić?

— Nie. Ale nie chciałbym, aby moja Hanneh, to wcielenie wszystkich cnót kobiecych, rozmawiała o innych mężczyznach. Naprawdę, chciałbym wiedzieć, o czym rozmawialiście!

— Zapytaj Hanneh.

— Pytałem. Oświadczyła, że dowiem się później, od ciebie.

— Później? Zgoda!

— Dlaczego nie teraz?

— Zapewniałeś mnie, że Hanneh ma zawsze rację. Musimy więc i tym razem zastosować się do jej życzenia. Chcę ci tylko powiedzieć, że możesz być bardzo dumny z miłej władczyni kobiecego namiotu. No, chodźmy teraz spać; musimy zerwać się z pierwszym brzaskiem.

— O, sidi, dlaczegoś taki milczący? Nie wiesz wcale, jakim potworem jest ciekawość. Największą rozkoszą człowieka trawionego ciekawością jest dręczenie przyjaciół i znajomych, aby w dzień nie mieli apetytu, a w nocy nie mogli spać. Czy istotnie mam czekać, aż raczysz...

— Tak.

— Zamknij więc oczy i śpij spokojnie. Ja nie zaznam dobrodziejstwa snu i będę się wił na łóżku, jak robak, którego przebił dziób ptaka. Dobranoc, sidi!...

— Dobranoc Halefie!

Na falach Tygrysu

O świcie obudził mnie hałas, panujący w obozie. Po chwili dowiedziałem się, że Haddedihowie mają nas zamiar odprowadzić nad rzekę i właśnie czynią przygotowania. Ponieważ pożegnanie zapowiadało się uroczyście, wszyscy mieszkańcy obozu hałasowali tak straszliwie, że nadaremnie przywoływałem sen. Musiałem więc wstać o trzy godziny za wcześnie.

Haddedihowie zgodzili się na odjazd z rana jedynie ze względu na moją osobę. Według bowiem zwyczajów mahometańskich odjazd następować winien bezpośrednio po modlitwie Asr, czyli około trzeciej po południu. Nikt nie pomyślał dotychczas o tym, że jest to zwyczaj arcyniewygodny. Po Asr mija przecież zwykle dobrych kilka godzin, zanim wyprawa się rozpocznie. Pożegnania i ostatnie zarządzenia sporo zajmują czasu. Ponadto wojownicy towarzyszą zwykle przez jakiś czas odjeżdżającym, trzeba się więc od nowa żegnać.

Tymczasem zapada zmrok. Odjeżdżający oddalił się z obozu nieznacznie i myśli sobie, że lepiej byłoby wyruszyć o świcie. Jeżeli rozbije obóz, to obóz ten leży tak blisko dawnego, że do późnej nocy trwają wzajemne wizyty. Odjeżdżający budzi się więc późno, tak że do południa nie dotrze dalej, niż gdyby ruszył w drogę rankiem.

Nigdy nie stosowałem się do tego zwyczaju, uświęconego przez Koran i na tym tle dochodziło do niejednego sporu z towarzyszami podróży. Halef spierał się również na ten temat; dziś nie protestował. Co się tyczy jego Haddedihow, cieszyłem się u nich takim mirem, że żaden nie odważyłby się sprzeciwić mojej woli. Zresztą, uspokoili z pewnością swe mahometańskie sumienie poczuciem, że jako chrześcijanin nie jestem związany z ich zwyczajami, szejk zaś, jako że asystuje mi tylko, nie grzeszy również przeciw Allahowi.

Kobiety i dzieci musiały pozostać w obozie. Hanneh pożegnała się ze mną pierwsza.

— Sidi, — mówiła — wiem, że nie lękasz się niebezpieczeństwa, ani ludzi, wiem również, żeś najostrożniejszy z wojowników. Za to Halef ma bujny temperament. Licz się z możliwością, że staniecie oko w oko z niebezpieczeństwem. Przynajmniej mi więc, że będziesz podwójnie ostrożny, gdyby Halef dał się unieść temperamentowi.

— Przynajmniej ci to — odparłem. — Sądzę, że nie powinnaś się obawiać. Wrócimy zdrowi i cali. *Allah jihfadak!* Niechaj cię Bóg chroni!

— *Zabranah en nebi!* Powrót twój będzie dla nas odwiedzinami proroka. *Allah jeftah 'alehki!* Niechaj Bóg otworzy dla ciebie serca ludzi!

Uściskawszy dłonie Kara Ben Halefa i Omara Ben Sadeka, pożegnałem się z chorymi i starcami, którzy nas nie mogli odprowadzić. Opadła mnie gromada kobiet i dzieci. Wszyscy wyciągali ku mnie ręce. Halefa spotkał ten sam los. Każdy chciał usłyszeć jakieś ciepłe słowo; wschodnim zwyczajem obsypano nas życzeniami, wskazówkami i przestrogi, nie mającymi żadnego związku z wyprawą. Powstał przy tej okazji zgiełk i hałas; na pierwszy rzut oka można było sądzić, że to nie scena pożegnania, lecz mordercza walka.

Trzy godziny minęły szybko i niepostrzeżenie. Wszyscy zdrowi mężczyźni i młodzieńcy zebrali się na swych koniach przed duarem. Dosiedliśmy swoich wierzchowców i stanawszy na czele kawalkady, ruszyliśmy nad rzekę jak huragan.

Tak, określenie "jak huragan" jest w tym wypadku zupełnie na miejscu. Niechaj czytelnicy nie wyobrażają sobie, że podczas tej jazdy panował ład i porządek. Gromada jeźdźców podobna była do roju pszczoł, które wiatr gna w różne strony. Każdy chciał zademonstrować swą sztukę hipiczną i

przewyższyc drugiego.

Dochodziło więc do spotkań i karamboli, które się przenosiły z sąsiada na sąsiada. Jeźdźcy umyślnie mieszali szyki, aby później sformować regularny oddział z szybkością godną zachwytu nawet tych, którzy się na jeździe konnej nie znają. Padały przy tym strzały, głośnie okrzyki wtórowały odgłosom eksplodującego prochu. Gromada jeźdźców chwilami się rozpraszała a chwilami znowu jechała falangą: oddział płynął raz w lewo, raz w prawo, tworzył linie, koła, czworoboki lub zupełnie nieforemne figury. Nie trzeba chyba podkreślać, że konie cierpią przy tego rodzaju eskapadach i wychodzą z nich z pokaleczonymi ścięgnami. Z tego też względu jestem zasadniczym przeciwnikiem tych szaleństw i *al'ab el barud*, demonstracyjnej strzelaniny.

Wskutek opisanych przed chwilą popisów hipicznych, dotarliśmy nad rzekę trzy razy później, niż należało. Niestety, Beduini, jak wszyscy ludzie Wschodu, nie znają amerykańskiej maksymy: *time is money*. Na brzegu czekało kilku Haddedihnów, którzy ruszyli wcześniej z prowiantem i kozimi skórąmi, by sporządzić tratwę.

Znowu ceremonia pożegnania. Musiałem się poddać konieczności. Popychano mnie i ścisano tak mocno, że w pewnej chwili poczułem obawę o całość swoich kości. Na szczęście, nic na ziemi nie trwa wiecznie, więc i pożegnanie się skończyło. Jeszcze raz uścisnęliśmy Karę. Rozstałem się z chłopcem serdecznie, wszakże bez czułości. Ojciec również starał się zataić wzruszenie. Ale głos mu drżał, a w oczach, stały łzy. Obsypał syna lawiną rad i przestróg. Kazał tysiącrotnie pozdrowić Hanneh, najlepszą ze wszystkich matek beduińskich synów. Nareszcie weszliśmy na trawę, gdzie już przedtem umieszczono konie.

Gdyśmy się nieco oddalili od brzegu i prąd rzeki unosił nas coraz szybciej, Haddedihnowie dosiedli koni i ruszyli za nami wśród strzelaniny i przeraźliwych okrzyków. Po jakimś czasie zasłoniły ich skały, wznoszące się nad brzegiem rzeki.

— Bądź zdrowa, Hanneh, najjaśniejsza pochodnio wśród wszystkich światel męskiego szczęścia! — zawołał Halef, wyciągając ręce. — Bądź zdrow, Kara Ben Halefie, najdroższy synu wszystkich ojców, którzy mieszkają między dwiema rzekami. Bądźcie zdrowi, Haddedihnowie, najdzielniejsi pośród wojowników, żyjących między pustynią El Arab a górami kraju Kurdów. O, sidi, udaję się na tę wyprawę z prawdziwą rozkoszą, ale pożegnanie podobne jest do dwóch desek, przygniatających piersi. Trudno mi odetchnąć.

— Ból wkrótce minie, drogi Halefie! Przecież jesteś mężczyzną.

— Masz zupełną rację, sidi, jestem mrzelczyzną. I właśnie dlatego, że nim jestem, mam żonę i syna. To właśnie te dwie deski, które mi ciążą i sprawiają ból. Chciałbym, aby wrogowie napadli już teraz na naszą tratwę. Trzeba by się było bronić, przestałbym myśleć o tych, których opuściłem. O, sidi, szkoda żeś nie widział, gdy dziś rano, po modlitwie porannej, przyszła do mnie Hanneh, podobna do tchnienia najwonnejszych zapachów Wschodu i Zachodu, aby się pożegnać ze mną na osobności. Powiedziała mi wszystko.

— I cóż ty na to?

— Przyznałem jej słusność, jak zawsze zresztą. Sidi, gdybyś był obecny przy naszym pożegnaniu, nauczyłbyś się, jak należy postępować z kobietą, z którą się człowiek rozłącza na dłuższy czas. Serce twe jest rozproszone po wszystkich krajach ziemi i nie będzie nigdy tęsknić za mieszkanką swego namiotu.

Był przekonany, że jestem starym kawalerem. Nie wyprowadziłem go z błędu. Całą uwagę skierowałem na rwący prąd rzeki, która w tym miejscu gwałtownie skręcała.

Halef tęsknił za domem przez cały dzień. Wbrew swej naturze był milczący i zamyślony. Podczas karmienia koni dostał formalnego ataku tęsknoty. Objął Assila za szyję i rzekł:

— O mój kary ogierzy! Byłeś ulubieńcem mego syna, nosiłeś go często na grzbiecie. Dlaczego nie ma go tutaj?

Przypomniałem mu dawne przeżycia, aby go nieco ożywić. Płynęliśmy przez okolice, w których niegdyś przeżyliśmy wiele przygód. Wdał się w rozmowę, ale bez zwykłego ożywienia. Może jakieś zdarzenie zmieniłoby bieg jego myśli; niestety, nic nie zaszło. W ciągu dnia całego nie spotkaliśmy ani jednego człowieka, zarówno przed, jak i w okolicy Tekrit. O zmroku przybiliśmy do brzegu położonego na południe od Imam Dor. Wynaleźliśmy tu miejsce zabezpieczone przed ewentualnym napadem. Konie miały trawy pod dostatkiem; my uraczyliśmy się również specjałami, przygotowanymi przez Hanneh. Pisząc "my", mam właściwie siebie na myśli, gdyż Halef nic nie brał do ust. Widząc przy blasku ognia, z jakim apetytem pałaszuję, rzekł:

— Człowiek, który ma żonę, jest zupełnie inną istotą, aniżeli samotnik. Nie mógłbym teraz nic przełknąć, nawet gdybym był głodny, jak wilk.

— Tak sądzisz? Moim zdaniem, gdybyś był głodny, jadłbyś z pewnością.

— Nie wierz w to, sidi! Gdy człowiek tęskni za tymi, których opuścił, nawet największy głód nie wywołuje apetytu. A gdy...

Przerwał. Po chwili ciągnął dalej z taką miną, jak gdyby wpadł mu do głowy jakiś ważny pomysł:

— Sidi, nadszedł czas, w którym powinieneś mi powiedzieć, o czym rozmawiałeś z Hanneh, najpiękniejszym spośród wszystkich kwiatów.

— Hm. Właściwie chciałem jeszcze poczekać.

— Jeszcze? Cóż ci wpada do głowy? Chcesz naciągnąć mą duszę, aby się stała podobna do długiej taśmy, sięgającej z Mossulu do Basry? Czy będziesz tak okrutny, aby tęsknotę moją, podobną do pięknych trelis słowika, zmienić w nosorożca? Proszę cię, weź serce na koniec języka i powiedz to, o czym rozmawiałeś z Hanneh!

— Właściwie, nie pora jeszcze na to oświadczenie. Nie jestem jednak potworem; taśma twoja wzruszyła mnie, a nosorożec zmiękczył mój opór. Słuchaj więc! Przede wszystkim oświadczyła mi Hanneh, że jesteś najlepszym człowiekiem na kuli ziemskiej. Skoczył jak piłka i zawołał:

— *Hamdulillah!* To odświeża moją duszę tak, jak młoda trawa żołądek wielbłąda. Jestem najlepszym człowiekiem na kuli ziemskiej! Jaka głęboka ocena moich przymiotów! Sidi, ten, kto wygłasza tak słuszne zdanie, musi posiadać duszę!

— Oczywiście. O tym właśnie chciałem mówić. Prosi cię, abyś nie wątpił w istnienie jej duszy.

— O, sidi, skoro uważa mnie za najlepszego męża na ziemi, czemu nie mam przyznać jej duszy? Wprawdzie, hm... sidi, dusza jest czymś żyjącym wewnątrz. Tkwi w ciele, czy tak?

— Tak.

— Siedzi więc, tkwi sobie. Ale są podobno dusze, które się ukazują i mówią. Tego nie lubię.

— Hanneh wie o tym i dała mi dlatego jeszcze jedno polecenie. — Jakie?

— Jeżeli uwierzysz, że ma duszę, Hanneh przyrzeka, że dusza ta nigdy się nie ukáže.

— *Maszallah!* Bóg czyni cuda! Jakże się cieszę, że prosiła, abym się zgodził na waszą rozmowę! Wiesz, sidi, ale tego nie możesz wiedzieć, przecież nie masz kobiecego namiotu... Otóż powiadam ci, gdy dusza kobiety wychodzi z wewnętrznej powłoki, twarz staje się poważna, głos nabiera mocnych akcentów. Wtedy kobieta ma zawsze rację! Skoro jednak przynosisz mi teraz tę wieść radosną, wierzę, że po powrocie sam będę miał rację czasami, a nie jak dotychczas tylko wspólnie z nią. Czy dała ci jeszcze jakieś polecenie?

— Tak.

— Powiedz wszystko! Słowa twoje są jak promienie słońca, które nawet plecy krokodyla ogrzać potrafią. Jestem gotów wysłuchać cię.

— To nie wystarczy. Musisz mi dać słowo, iż będziesz się ściśle stosował do życzenia Hanneh, która ma na celu tylko twoje dobro.

— Słuchaj, sidi, serce moje przepełnione jest teraz wdzięcznością dla ciebie. Przynajmniej!

— Otóż Hanneh pragnie, abyś przez cały czas podróży postępował z namysłem i rozwagą.

— Przecież zawsze tak postępuję! — Nie.

— Nie? Cóż to ma znaczyć? Czyż nie postąpiłem rozważnie, gdy ci dałem się wybrać na przyjaciela i obrońcę? Czyż nie jest to dowód mej wielkiej przeczności, że wybrałem na żonę najpiękniejszy pąk na kwitjącym drzewie kobiecości? Czy można mieć lepszą żonę, niż ta wspaniała matka mego syna?

— Nie. Jeżeliś w tych dwóch sprawach, okazał tak wielką przeczność, to mam nadzieję, że będziesz również ostrożny przy innych okazjach. W chwilach, w których się temu zechcesz sprzeniewierzyć, przypomnę ci dane dziś słowo. Chwilami zbyt cię bowiem ponosi temperament.

— Sidi, nie znasz mnie! Przeciwnie, mam chwilami wrażenie, że jestem za chłodny, za powolny.

— Przypomnij sobie, jak często musiałem cię powściągać!

— Nie miałeś do tego podstaw. Czyż powinienem odwracać się tyłem do niebezpieczeństwa? Nie odpowiadać na obelgi i zostawiać go za pasem? Dobrze, żem go zabrał!

— Nie wiem, o co ci chodzi.

— Chodzi mi o coś, co przy poprzednich podróżach stale zwisało u mego boku. Pokażę ci zaraz!

Wiedziałem doskonale, że ma na myśli bat ze skóry krokodylej, którym wyrządził sporo dobra, ale również i sporo złego. Rozwinął haik, wyciągnął bat, śmignął nim w powietrzu i ciągnął dalej:

— Oto jest ten, dzięki któremu zyskuję posłuch, oto jest ojciec posłuszeństwa i pan razów! Musiałem go zabrać. Gdy słowa i persfazy nie pomagają, bat ten staje się pośrednikiem między dobrymi zamiarami, a złą wolą tych, na których plecy spada. Gdzie nie pomagają prośby i rozkazy, tam dobrze jest mieć pod ręką ciało ludzkie, które pęka pod pieściami tego korbacza.

— Zwiń go z powrotem, Halefie! Używać go będziesz tylko za moim pozwoleniem.

— Sidi, do tego tematu będziemy jeszcze chyba mogli powrócić.

— Nie. Hanneh jest również tego zdania.

— Wiesz, sidi, gdy kobiety nie miały jeszcze duszy...

— Milcz! Zawsze miały duszę.

— Tego nie można wiedzieć. Kiedy również wybierzesz ukochaną swego serca, wtedy dopiero pozwolę ci...

— Drogi Halefie, mam już kogoś, komu oddałem serce — odrzekłem. Cofnął się, pochylił ku mnie, spojrział mi w twarz, na którą spadł odblask ogniska i zapytał:

— Co?... Jak?... Ty?...

— Tak.

Ze zdumienia wypuścił z rąk bat i mówił:

— To chyba żarty! Czyżbyś istotnie miał towarzyszkę życia?

— Dlaczegoż by nie?

— Pozwól mi usiąść, sidi! Nieoczekiwana wiadomość o żonie poszła mi w nogi; czuję, że drzę.

Usiadł, obrzucił mnie badawczym spojrzeniem, zamyślił się, po chwili roześmiał się na całe gardło i rzekł:

— Allah, to przecież żart!

— Nie, drogi Halefie, to szczerza prawda. Spójrz na ten pierścień, na którym nie lśni żaden kamień. Pierścienie takie noszą tylko żonaci chrześcijanie.

— *Ne'uhsu billah!* Na Allaha! Masz rację; przypominam sobie. Nieraz widywałem Franków z

takimi pierścieniami. A więc masz żonę prawdziwą, ślubną żonę?

— Tak.

— Mieszka z tobą razem w namiocie?

— Tak.

— Sidi, pozwól mi odetchnąć! Czy ja śnię, czy marzę?! Chce mi się gorzko zapłakać.

— Dlaczego? Sądziłem, że powinieneś się cieszyć... — Cieszyć się? Powiedz, kochasz ją?

— Z całego serca...

— Jakże więc możesz kochać mnie, twego Halefa, twego najwierniejszego sługę i towarzysza, skoro serce twoje należy do kobiety, o której się niespodziewanie dowiedziałem?

— Kocham cię tak samo jak przedtem.

— To nieprawda! Przecież sam powiedziałaś, że należysz do tej kobiety, która niepotrzebnie się zjawiała. Zabrała mi twoje serce, twoją przyjaźń, ciebie całego! Nie chcę nic słyszeć, ani wiedzieć o tobie!

Wstał i oddalił się. Podeszedł do brzegu i zapatrzył się w wodę. Na twarzy jego malował się gniew, który wkrótce zmienił się w smutek. Poczciwy Halef był zazdrosny. Po niedługim czasie podeszedł do mnie, usiadł opodal, westchnął głęboko i zaczął się żalić:

— Tak oto opuścił mnie ten, któremu bez namysłu oddałbym życie. Za pośrednictwem tej kobiety zadałeś naszej przyjaźni cios śmiertelny! Chciałem z tobą pojechać do Persji. Teraz zmieniłem zamiar i wracam!

Byłem głęboko wzruszony. Mimo to rzekłem z uśmiechem:

— Drogi Halefie, czy byłeś mym przyjacielem, gdyś swą Hanneh brał za żonę?

— Tak.

— I pozostałeś nim nadal?

— Tak.

— Ze mną ta sama sprawa.

— Nie, sidi, to zupełnie co innego! Zanim Hanneh, to słońce wszystkich dziewczyn świata, została moją żoną, znałeś ją. Cóż ja wiem o pani twego szczęścia? Czy ją widziałem? Czy przeszła obok mnie ze swoimi trzodami? Czy byłem jej gościem, Czy jadłem z jej ręki kuskussu? Czy widziałem jej postać? Czy słyszałem odgłos jej kroków, czy wolno mi było ująć lejce jej wielbłąda? Nie miałem o niczym pojęcia i teraz ogarnął mnie taki strach, jakby nie była twoją żoną lecz moją.

— Czy uważasz, że taka brzytka i zła?

— Czy może być piękniejsza i lepsza od Hanneh?

— Nie. Ale jest do niej podobna. — Życzyłbym jej tego.

— Czy powinienem był cię posłać do mego kraju, byś mi tam wśród cór tego kraju wyszukał żonę?

— Nie, tego nie mogę wymagać. Pozwól, przełknę co nieco i namyślę się. Tęsknota, która mnie pozbawiła głodu, minęła. Chcę zjeść nieco kebabu, przyrządzonego przez Hanneh, która również przestraszy się bardzo na wieść, żeś tak nieopatrznie założył sobie harem.

Jadł szybko, ale mechanicznie, pochłonięty widać innymi myślami. Po chwili rzekł:

— Przyznaj, żeś miał z powodu tej kobiety nieczyste sumienie.

— Nic o tym nie wiem.

— Ależ tak! Dlaczegoś milczał o niej w duarze? Dlaczego teraz dopiero mówisz o tym? Ożeniłeś się potajemnie.

— Czy wszystko, czego Haddedihnowie nie widzą, okrywa tajemnica? Mężczyzna nie powinien mówić przy sąsiadach ani o swoim, ani o cudzym haremie.

— Wiem o tym. Przebacz, sidi, masz rację. Pałaszował w dalszym ciągu. Po chwili zapytał:

— Jesteś z niej zadowolony?

— Bardzo — odrzekłem.

— Czy jest równie młoda i piękna, jak Hanneh?

— Tak.

— *Hamdulillah!* To mnie uspokaja. Każdemu życzę brzydkiej, starej żony, tylko nie tobie i nie sobie. Czy wolno ci było patrzeć na nią ukradkiem, zanim została twoją żoną?

— Na Zachodzie nie jest to wzbronione. Ludzie znają się tam przedtem.

— *Allah kehrim!* To mi się podoba! Jest małego wzrostu?

— Nie.

— Ma wielkie nogi i mocne pięści?

— Halefie! Cóż ty myślisz o moim guście?

— Pytam tylko. A oczy?

— Ciemne, podobne do aksamitu.

— Kocha cię, sidi?

— Nie mniej, niż ja ją kocham.

— Nie radził bym jej, aby było inaczej! W przeciwnym razie nie wpuścił bym jej do swego duaru! Powiedz mi, sidi, ona chyba ma także duszę?

— Taka samą, jak twoja Hanneh.

— Biedny mój sidi! W takim razie ma zapewne własny sąd, własne ... zdanie?...

— Oczywiście. Powinna je mieć.

— A więc miewasz rację... tylko wtedy, kiedy ona ją ma?

— Nie.

— *Allah jarhamkum!* Niechaj Allah zlituje się nad tobą! Więc oboje nie macie racji?

— O nie!

— Nie rozumię, sidi! Od chwili, kiedy kobiety posiadały duszę, choćby...

— Daj spokój, Halefie! — przerwałem. — Gdyby istniała kobieta bez duszy, dla mężczyzny lepiej byłoby nie spotkać jej wcale. Wierzaj mi!

— Ale jeżeli dusza kobieta jest tak niespokojna, że...

— W takim razie mężczyzna powinien być spokojny. Wzbudza to w kobiecie uczucie szacunku i...

— Zupełnie słusznie, sidi! — wtrącił szybko. — Ja również jestem zwykle spokojny i nie mówię ani słowa. Zauważyłeś więc zapewne, ile szacunku Hanneh okazuje swemu władcy? Jakże się zowie źródło twej ziemskiej rozkoszy?

— Według waszej wymowy nazywa się Emmeh.

— To nie ma żadnego sensu!

— W naszym języku imię to oznacza to samo, to w waszym Szatireh, pilna.

— Ciesz się mnie to niewymownie, o sidi! W takim razie stan twego namiotu będzie się polepszać nawet podczas twej nieobecności. Twoja Emmeh będzie wyrabiać masło z mleka wielbłądów, pleść sznury z włókien palmowych i tkać kołdry. Będzie również wyjmować pestki z daktyli i reperować twe szelki. Będzie sporządzać dla chorych *marahim*, plaster i trzeć na kamieniu *durra beda*, proso. Chciałbym jeszcze wiedzieć, czy oprócz języka arabskiego zna również turecki?

— Nie zna ani jednego, ani drugiego. — *Allah'l Allah!* Jakimże mówi językiem?

— Moim ojczystym. — I to ci wystarczy? — W zupełności.

— A jeżeli odwiedzi ją ktoś z innego haremu?

— Wszystkie tamtejsze kobiety mówią jednym językiem.

— I nie umięją po persku, po kurdyjsku?

— Nie.

— *O jazik!* O boleści! O ile mądrzejsze są nasze kobiety! Znają mnóstwo słów z każdego z tych języków. A moja Hanneh jest w tej dziedzinie niedościgniona.

— Drogi Halefie! Twierdę, że mimo to nasze kobietą rozumieją więcej, niż wasze. Przy sposobności wytłumaczę ci to bliżej. Mam wrażenie, żeśmy się już dosyć nagadali o moim haremie.

— Odpowiedz mi jeszcze prędko na jedno: umie garbować skóry i ostrzyć noże? — Nie.

— To mi wystarczy: moja Hanneh umie więcej, znacznie więcej! Nic w tym zresztą dziwnego. Twoja Emmeh nie ma przy boku Halefa, od którego można się wszystkiego nauczyć. Od kiedy jest twoją żoną? — Od jakichś czterech lat.

— *Maszallah!* Zgodziła się, byś ruszył do Persji?

— Prosiła, abym pozostał. Gdy jej wytłumaczyłem przyczyny, skłaniające mnie do tej podróży...

— Nabrała szacunku i respektu, o którym mówiliśmy przed chwilą, a którym obdarza mnie również Hanneh, najmądrzejsza spośród rozsądnych kobiet. Sidi, fakt, że twoja Emmeh pozwoliła ci wyruszyć ze mną, godzi mnie z twym haremem. Jestem nawet gotów dać mego syna twej córce za męża. Stanie się w ten sposób prawdziwą Haddediłnką wielkiego plemienia Szammar i będzie mogła żyć swobodniej, niż pod waszymi namiotami z kamienia. Widzisz, że się już nie gniewam. Daj rękę; będziemy przyjaciółmi, jak dotychczas!

Pocziwina był zupełnie przekonany, że przez swą propozycję małżeńską daje mi wspaniały dowód swej przychylności. Nie miałem ochoty oświetlać tej propozycji ze swego punktu widzenia, gdyż należał do ludzi niezwykle ambitnych.

Raczył udzielić swego placet na moje małżeństwo; czegoż więcej może się spodziewać skromny podróżnik od szejka Haddediłnów!

Ojciec Korzeni

Następnego ranka ruszyliśmy dalej. Prom płynął szybko i swobodnie. Wrogie Haddedihiom plemiona cofnęły się na czas wiosny w głąb Mezopotamii, ziemi leżącej między Eufratem a Tygrysem. Dotarliśmy więc do ujścia Adhemu bez żadnych przeszkód i zdarzeń.

Naprzeciw ujścia Adhemu wyżłobił Tygrys w brzegu długą, zwężającą się zatokę, obrośniętą gęsto krzewami. Umocniwszy tratwę przy brzegu, wyprowadziliśmy na brzeg konie i wynieśliśmy wszystek sprzęt podróżny. Przekonawszy się, że w pobliżu nie ma żywej duszy, dosiedliśmy koni i pogalopowaliśmy w głąb łądu, aby koniom dać nieco ruchu i powietrza. Po powrocie puściliśmy konie na łąkę i zaczęliśmy zbierać gałęzie na ognisko; było ich pod dostatkiem. Zasiedliśmy do wieczery. Na jakiś kwadrans przed nadejściem wieczora, słońce już zaszło, a zmrok w tych okolicach trwa bardzo krótko, ujrzelśmy u przeciwnego brzegu tratwę, wyrzuconą przez fale Adhemu na nurt rzeki głównej. Na *kelleku* tym, mniejszym od naszego, ale sporządzonym tak samo, jak nasz, znajdowało się trzech mężczyzn. Dwóch wiosłowało, trzeci siedział beczynnie. Czapki ze skóry jagnięcia wskazywały, że to Persowie.

— Popatrz, sidi, — rzekł Halef — to szyici z Iranu. Zeszli z gór i sporządzili tratwę w Taluk albo w Tuss Khurmaly. Dokąd płyną?

— Z pewnością w kierunku ujścia rzeki; w przeciwnym razie, zamiast promu, użyliby koni.

— Masz rację; ale nie myślą dziś płynąć dalej. Na Allaha, widzisz, skręcili w naszą stronę!

— Niestety. Uważają również, że ta zatoka nadaje się doskonale na przenocowanie.

— Czy pozwolimy tym ptaszkom uwić tu gniazda?

— Nie mamy powodu do sprzeciwiania się temu.

— Jestem innego zdania.

— Dlaczego? Czy kupiliśmy te grunta?

— Nie, ale przybyliśmy tu przed nimi, a przysłowie mówi, że ten, kto pierwszy przestępuje progi namiotu, pierwszy otrzymuje posiłek. — Przysłowie to nie ma w tym wypadku zastosowania. Jesteśmy pod gołym niebem, mamy nawet obowiązek przyjąć ich z całą gościnnością.

— Nie ufam im, sidi!

— Dlaczego?

— Bo jadą z Persji tak niezwykłą drogą. Dlaczego nie wybrali drogi, po której jeżdżą karawany? Dlaczego ruszyli trudniejszą drogą, w której muszą się posługiwać i końmi i tratwą? Gdzie są zwierzęta, na których przybyli z gór? Zostawili je z pewnością na brzegu w górze rzeki, a kupią inne. Pochłania to dużo pieniędzy. Na stratę taką tylko wtedy można się zdecydować, gdy istnieją wyraźne powody. Jeżeli Pers przeprowia się do Mezopotamii przez Atham, nie ulega wątpliwości, że żywi jakieś tajemne zamiary, albo też dopuścił się w kraju przestępstwa, które go zmusza do wybrania skrytej drogi ucieczki. Czy nie mam racji?

— Owszem. Ale to jeszcze nie powód aby ich odtrącać, jeśli się do nas zechcą przyłączyć. Zresztą za chwilę ściemni się zupełnie i nie wiadomo, czy nas zauważą.

Persowie znajdowali się na środku rzeki. Tempo w jakim płynęli, nie pozostawiało wątpliwości, że zechcą tu wylądować. Obozowisko nasze było osłonięte krzakami, więc nie mogli go zauważyć. Zatoka miała około dwustu kroków długości. Noc już zapadała, sądziłem więc, że przybysze nie zapuszczą się w głąb brzegu, gdzie się mieściło nasze schronisko. Lądowanie sprawiło im więcej kłopotu niż nam, musieli bowiem płynąć prostopadle do brzegu. Nic więc dziwnego, że, gdy

wyłąnęli, na spokojną wodę, panował już mrok.

Nadśłuchiwałem, cisza. Po jakimś kwadransie można się było upewnić, że przypuszczenia moje okazały się słuszne. Persowie wylądowali przy cyplu zatoki, nie przeczuwając, że jest ktoś w pobliżu.

Należało jednak ustalić w jakiej odległości od nas rozbili obóz.

— Sidi, — rzekł Halef — kto by się spodziewał, że już rozpocznie się dla nas życie puszczy. Pokażę ci, że nie zapomniałem o twoich naukach.

— Mianowicie?

— Podczołgam się do nich.

— Ja mam więcej wprawy. Sam pójdę. Tobie zaś przypomnę słowa Hanneh: nie działaj zbyt pośpiesznie! Musisz się przede wszystkim wprawić. Gdybyś zaczął ich teraz szukać, popełniłbyś głupstwo.

— Dlaczego głupstwo?

— Znasz wielkość tej zatoki. Ile czasu zabrałoby przeszukiwanie gęstwiny? Całą noc! Trzeba więc mniej więcej zorientować się, gdzie są Persowie.

— Jakże to możesz określić z góry...

— Powiedzą nam sami.

— Powiedzą? Sami? Sidi, ależ to wykluczone!

— Drogi Halefie, widzisz, że w sprawach, odnoszących się do "życia puszczy", nie można się zdać na twój spryt. Czy Persowie są mahomatanami?

— Tak, choć są tylko szyitami; według ich pojęcia jednak synowie Alego stoją wyżej od samego Mahometa.

— Zmówią więc teraz jako szyici dwie modlitwy; najpierw *moghreb*, modlitwę zmroku, potem zaś, gdy się zupełnie ściemni, modlitwę *aszija*. Są przekonani, że nie ma tu oprócz nich nikogo. Stosownie do wymagań przepisów, będą się modlili głośno, więc ich usłyszymy.

— Masz rację, sidi, nie pomyślałem o tym!

— Zapamiętaj więc sobie, że właśnie w "życiu puszczy" trzeba o wszystkim myśleć. — Słuchaj!

— Modlą się. Zaczęli *moghreb*.

— Zanim skończą, znajdę się za nimi! Ty zostań tutaj i uważaj na konie!

Odszedłem. Krzaki tworzyły niezbyt szeroki żywopłot, ciągnący się nad brzegiem. Poruszając się po stronie zewnętrznej, szedłem znacznie prędzej, niż gdybym się przedzierał przez krzaki. Wkrótce stanąłem za plecami modlących się i usłyszałem ostatnie słowa modlitwy:

— Chwała Allahowi! Chwała jego wielkości! Nie ma Boga prócz niego! Bóg jest bardzo wielki! Chwała i cześć mu!

Po chwili ktoś rzekł:

— Rozpalcie ognisko! Zmówimy *asziję* i spożyjemy wieczerzę. Moghreb powinien być właściwie odmawiany w chwili, gdy słońce

niknie za horyzontem. Persowie opóźnili się nieco, gdyż podczas zachodu słońca zajęci byli zbieraniem drzewa. O ile nie wolno rozpoczynać modlitwy przed określoną porą, o tyle przepisy religijne pozwalają na jej przesunięcie, skoro zajdą ważne powody.

Ukryty za krzakami, ujrzałem na brzegu rzeki blask ognia. Po chwili rozległy się dźwięki nocnej modlitwy. Korzystając z tego, padłem na ziemię i poczołgałem się wśród zarośli. Trzask łamanych gałęzi zagłuszyły trzy donośne głosy modlących się. Zatrzymałem się w miejscu, w którym ostatni cień padał na ziemię.

Ujrzałem przy brzegu tratwę. Była pusta. Persowie, którzy usiedli teraz na ziemi, nie mieli

żadnych pakunków. Dwaj z nich należeli bez wątpienia do ludzi przeciętnych i nie zwrócili mojej uwagi; natomiast trzeci wydał mi się interesujący. Pod względem ubioru różnił się od towarzyszy jedynie tym, że miał na biodrach chustę z kaszmiru, gdy natomiast tamci dwaj przepasani byli zwykłymi pasami z kermanu.

Ale było w nim coś, co go z pierwszego rzutu oka wyróżniało.

Poorana zmarszczkami twarz o niskim czole, długim, ostrym, cienkim nosie, którego nozdrza poruszały się co chwila, o szerokich mięsistych wargach, o potężnie rozwiniętych szczękach, małych przenikliwych, nieco zaczerwienionych i niespokojnych oczach, miała wyraz chytryści i okrucieństwa. Wrażenie to potęgowała jeszcze gęsta, ciemna broda, której koniec podobny był do poczernionego sopła lodu. Rysy tej twarzy mówiły o zwierzęcych instynktach. Jeżeli jest prawdą, że otwarte, jasne spojrzenie męskie stanowi dowód odwagi, to nie ulegało wątpliwości, że mam przed sobą tchórze. — Niebezpieczny człowiek: bezwzględny i tchórzliwy — pomyślałem; a gdy spojrzeł jeszcze na długie, kościste ręce, podobne do szponów, których palce wskazujące wyrastały ponad środkowe, nabrałem pewności, że sąd mój o tym człowieku był słuszny. Twarz, głos, chód, postawa, nawet zachowanie nie zawsze są miarodajne przy osądzeniu człowieka. Zato ręce nie zawodzą nigdy. Twierdzą to na podstawie długoletniego doświadczenia i starannej metody porównawczej, która mi zawsze była pomocna. Ręka człowieka jest dokładnym odbiciem jego duszy. Ręka nie potrafi ukryć żadnej jego myśli, żadnego uczucia. Jest narzędziem ducha, a każde narzędzie pozwala na sformułowanie sądu o tym, który je używa.

Wszyscy trzej byli uzbrojeni w długie wschodnie karabiny, noże i rewolwery.

Posilali się właśnie. Skromna wieczerza składała się z prasowanego twarogu, *dugh*, i kleistego chleba. Jedli w głębokim milczeniu. W pewnej chwili ów interesujący nieznajomy wyciągnął z kieszeni jakiś pergamin, przeczytał w blasku ogniska, schował go znowu do kieszeni i rzekł:

— Jeżeli przybędziemy na czas, zarobicie po sto tumanów. Obliczyłem to podczas jazdy. Będziecie mieli dosyć?

Małe oczka obrzuciły obu niesamowitym, przenikliwym spojrzeniem. Po chwili milczenia jeden z nich obdarzył tego, który mówił przed chwilą, takim samym spojrzeniem i rzekł:

— Na Husseina, którego te sunnickie psy zamordowały pod Kufą, bylibyśmy zupełnie zadowoleni, gdyby zaofiarowana suma nie była zbyt mała. Odkąd zostałeś Peder-i-Baharat, Ojcem Korzeni, zarabiamy dziesięć razy więcej niż przedtem. Powiedziałeś nam jednak, że inni zarabiają tysiąc razy więcej.

— Czy tylko to powiedziałem?

— Nie, nawet przedstawiłeś nam dokładne wyliczenia.

— Tak, a co raz wyliczę, to zgadza się zwykle ze stanem faktycznym. Powiadasz, Aftabie, że zostałem Peder-i-Baharat. To prawda, otrzymałem ten tytuł, ale nie jestem nim. Właściwie wolno wam, nazywać mnie jedynie Sill-i-Safaran, Cieniem Szafranu. Mimo że nie jestem nikim więcej, możecie przy mnie gromadzić bogactwa, choć dawniej zarabialiście zaledwie tyle, ile wam potrzeba było na zaspokojenie głodu. Wpadłem przecież sam na pomysł, używania osfuru obok szafranu. Przyniosło nam to już do dziś dużo tysięcy tumanów i przyniesie nam jeszcze więcej. Dlaczego udało mi się zdobyć tylko szafran, choć należą mi się wszystkie *baharat*? Czy powinienem to znosić? Czy powinniście na to pozwolić wy, moi podwładni, którzy również otrzymujecie więcej, gdy więcej zarabiam? Czy wiecie dla kogo pracujemy i narażamy życie? Któż to jak pasożyt tuczy się naszą pracą i żyje jak szach?

— Wiemy, kogo masz na myśli — odparł ten, którego nazwano Aftabem.

— Widziałeś go kiedy? — Nie.

— Dlaczego codziennie narażacie dla niego życie? Czyż jest nieziemskiego pochodzenia, że się nie raczy nam ukazać? Czy nie jestem ciągle z wami? Czy nie dzielę wszystkich niebezpieczeństw ze swymi podwładnymi? Kogóż więc powinniście bardziej kochać i szanować, mnie, czy jego? Jego powinniście darzyć większym zaufaniem? Zapewniam was, że zarabialibyście znacznie więcej tysiączków, niż teraz zarabiacie setek, gdybym zamiast niego był waszym Emir-i-Sillan, Księciem Cieni.

— Nieraz nam to już mówiłeś. Wierzymy ci.

— Mówiłem to również wielu innym i oni również mi wierzą. Czas już nadszedł. Miecz wisi nad jego głową. Mówiłem z kilkoma innymi ojcami; jestem pewien, że się nie cofną w decydującej chwili. Wiemy, że pod sukniami nosi stale kolczugę, ale moja kula przebije go z pewnością.

Nastąpiła przerwa. Peder-i-Baharat patrzył przed siebie ponuro; towarzysze jego wbili w ziemię spojrzenia. Nieraz już zdarzało mi się podkradać do ludzi, ale rzadko kiedy udało mi się podsłuchać tak tajemniczą i dziwną rozmowę.

Peder-i-Baharat; Ojciec Korzeni, Sill-i-Safaran; Cień Szafranu, Emir-i-Sillan; Książę Cieni! Nie ulega wątpliwości, że imiona te mają jakieś określone znaczenie. Ale jakie? Książę Cieni? Kimże są te cienie? Bez wątpienia ludźmi! Wynikało to z końcówki *an*, której używa się zwykle w odniesieniu do ludzi, gdy we wszystkich innych wypadkach stosuje się końcówkę *h*. Cóż to za ludzie, dlaczego zowią ich *sillan*, cienie. Czy miano Książę Cieni oznacza jakąś godność, jakiś stopień? Jeżeli tak, to Cień Szafranu i Ojciec Korzeni oznaczają również stopnie. Zdaje się, że chodzi tu o przełożonych i podwładnych. Według wszelkiego prawdopodobieństwa jest to tajemny związek, czy korporacja, która się lęka dziennego światła.

Władza nad rzeką, nad którą się obecnie znajdowałem, należała kiedyś do Babilończyków i Asyryjczyków; kres ich panowaniu położyli Medowie i Persowie. Gdyby z grobu wyszedł stary dzielny Hammurabi wraz Kserksesem, walecznym Tukulti-Adarem I i Achemenidą Cyrusem i prowadzili tajemną rozmowę, byłaby dla mnie z pewnością bardziej zrozumiała od tej, którą przed chwilą toczono w mojej obecności. Nie koniec jednak na tym, po krótkiej przerwie przywódca zaczął mówić dalej:

— O czym myślicie? Czy o tym com powiedział?

— Tak — odrzekł Aftab. — Gotowi jesteśmy podtrzymać cię, gdyż żołnierz nie wygra bitwy bez oficera, którego musi słuchać. Niechaj więc ten, kto rozkazuje i do kogo należy nasze życie, nie będzie niewidzialną istotą. Rozmawialiśmy już o tym z innymi *sillanami*, są tego samego zdania. Powiedz tylko, co powinniśmy czynić! Przyrzekamy, że będziemy posłuszni.

— Mogę więc na was liczyć?

— Tak. Mówiłeś, że miecz wisi już nad głową Emira-i-Sillan. Znasz czas i miejsce?

— Owszem.

— Czy wolno nam dowiedzieć się o tym?

— Wyjawię wam tę tajemnicę, gdyż wiem, że umiecie milczeć. Wiadomo wam chyba, że w każdy poniedziałek wszyscy ojcowie zbierają się w ruinach synagogi, aby wysłuchać jego rozkazów i zdać raport ze wszystkich czynności. Tej nocy, o ile mnie...

Przerwał, gdyż od strony, w której znajdował się Halef, padł strzał. Przeraziłem się, był to bowiem oczywisty dowód niebezpieczeństwa. Trzeba było śpieszyć z pomocą Halefowi. Zdawałem sobie sprawę, że nie będę mógł się oddalić bez hałasu. W ciężkiej sytuacji dopomogło mi przerażenie Persów; usłyszawszy strzał, zerwali się z ziemi, pochwycili strzelby i pobiegli ku krzakom, aby się w nich ukryć przed nieprzyjacielem. Odgłos łamanych gałęzi pozwolił mi opuścić niepostrzeżenie placówkę. Pod osłoną krzaków puściłem się w kierunku naszego obozu. Dotarwszy

tam, ujrzałem Halefa z podniesioną strzelbą; na mój widok skierował lufę ku mnie.

— Ostrożnie, Halefie! — rzekłem półgłosem. — To ja. Czyś to ty strzelał?

— Tak.

— Dlaczego? Do kogo?

— Do lwa, sisi. Podkradł się, aby rozszarpać twego Assila Ben Rih. — Bredzisz!

— Wcale nie! Widziałem go wyraźnie.

— Naprawdę?

— Tak. To prawdziwy lew, najprawdziwszy ojciec wielkiej głowy.

Kto wie, może ma rację; perskie lwy zapuszczają się aż do Mezopotamii. Wyciągnąłem z kieszeni zapałki, aby zapalić wiązkę chrustu, którą przygotowaliśmy na wszelki wypadek. Ogień odbierze lwu ochotę do ewentualnego powrotu. Fakt, że mogę skierować na nas uwagę Persów, nie interesował mnie w tej chwili.

Gdy wysoki płomień oświetlił obozowisko, zapytałem Halefa, w którym miejscu ujrzał ojca wielkiej głowy. Wskazując palcem, odparł:

— Podkradł się stamtąd. Zatrzymał się na mój widok. Był to wielki potężny *obu er rad*, ojciec grzmotu. Posłałem mu kulkę, znikł mi z oczu. Jestem przekonany, że nie spudłowałem. Uciekł z przerażenia i lęku, gdyż tam, gdzie stoi Hadzi Halef Omar, nawet najmocniejszy lew nie da rady.

Nabiwszy niedźwiedziówkę, ruszyłem wolno i ostrożnie w kierunku wskazanym przez Halefa. Uszedłszy jakieś czternaście kroków, przekonałem się, że się nie mylił. Trafił istotnie, ale w co? Przywołałem go. Ruszył w moją stronę, krzycząc po drodze:

— No i cóż, sisi? Spostrzegłeś coś?

— Zwierzyna leży tutaj. — A więc trafiłem? — Tak.

— Zabity? — Na śmierć.

— *Hamdulillah!* A więc położyłem *gedd el isman*, dziadka straszliwych kłów, straszliwego dusiciela naszych trzód. Sława memu imieniu!

— Nie triumfuj przedwcześnie. To nie on, lecz ona.

— Lwica?

— Nie. Nie zabiłeś *abbu er rada*; strzał twój położył trupem *omm es ssanne*, matkę fetoru. Była głodna, przyszła zebrać o kawałek mięsa. A tyś nie miał litości i poczęstowałeś ją kulą.

Podszedł do mnie, spojrzał na zwłoki zwierzęcia.

— Hiena! — zawołał zawstydzony. — Niech Allah zapomni o tym dniu. Jakże to zwierzę śmiało udawać lwa? Niechaj Mahomet, prorok nad prorokami, pochwyti duszę tej hieny i ukarze kłamczynię przebywaniem w najsmrodliwszym kącie piekła!

— To nie hiena winna, lecz twoje oko. W nocy wszystko wydaje się większe.

— *Hasreta!* Biada, biada! A więc głosy chwały we wszystkich namiotach i obozach zamilkną...

— Nie. Nie zamilkną, lecz będą słać imię wielkiego bohatera, który na widok hieny, zamienionej w lwa, nie uciekł.

— Kpisz ze mnie, sisi? To jeszcze bardziej powiększa mój smutek. Chciałem zostać bohaterem, a zmieniłem się w siodło, na którym jeździ twe szyderstwo. Synowie moi będą biadać nade mną, córki wyleją morze łez; wnuki moje będą potrząsać głowami, a potomkowie mych prawnuków zasłonią przede mną oblicza. Zastrzeliłbym się z rozpacz, gdyby to nie było samobójstwem! Przestań ze mnie żartować i pomyśl o tym, że i ty mógłbyś zastrzelić lwa, który po to tylko przeobraził się w matkę smrodu, aby wywołać twój gniew.

— Nie sądzę, gdyż pamiętam o tym, co, zdaje się, nie było ci dotychczas wiadome — że w ciemnościach nocy każdy kształt urasta. Jeżeli tego na przyszłość nie będziesz brał pod uwagę, oczy

twoje gotowe przyzwyczajaić się do traktowania jaszczurki jako krokodyla.

— Dlaczego rzucasz mi na głowę krokodyla? Czy omyłka mego oka obraziła cię tak mocno, że nie możesz mi przebaczyć?

— O obrazie nie może być mowy. Ale popełniłeś błąd, boś przerwał bardzo interesującą i ciekawą rozmowę Persów.

— *W' allah!* Ubolewam bardzo nad tym. A więc udało ci się podkraść do nich niepostrzeżenie?

— Tak.

— Cóż to za ludzie? Czym się trudzą? Skąd przybyli, czego chcą, o czym mówili?

— Gdybyś nie przerwał rozmowy tym niefortunnym strzałem, odpowiedziałbym na wszystkie pytania. Pomijam już okoliczność, żeś zwrócił na nas ich uwagę. Na skutek twej porywczosci jednak, przed którą cię Hanneh wyraźnie ostrzegęła, straciłem możliwość zbadania tajemnicy, która w naszej podróży przez Persję przydałaby się bardzo.

— Powiedz sidi, co to za tajemnica?

— Nie mogę ci tego, niestety, powiedzieć, bom się nie dowiedział. Wróćmy jednak do ogniska. Trzeba dorzucić gałęzi, inaczej zgaśnie.

— Może lepiej zgasić ogień, Aby Persowie nas nie znaleźli?

— Skoro już wiedzą, że ktoś tu jest, niech się przekonają, że to ludzie, których nie mają powodu się obawiać.

— Czy będą wobec nas uprzejmi?

— Radziłbym im dla ich własnego dobra.

— Sądzisz, że tu do nas przybędą?

— Bez wątpienia. Z początku będą niezwykle ostrożni i zechcą nas obserwować z ukrycia; skoro jednak zobaczą, że jest nas tylko dwóch, bezwzględnie się pokażą. Wtedy ustalimy linię postępowania. No, a teraz pomówmy o czymś obojętnym, gdyż nie jest wykluczone, że są już niedaleko. Jeśli ich zauważę, dam ci znać za pomocą złożenia rąk.

— Skoro będziemy rozmawiać, nie dosłyszysz odgłosów ich kroków.

— Ty nie usłyszysz, bo nie masz wprawy; mnie rozmowa nie przeszkadza.

Usiedliśmy przy ognisku. Byłem odwrócony tyłem do krzaków, Halef ulokował się naprzeciw. Po niedługim czasie dałem umówiony znak, ponieważ byłem pewien, że ktoś stoi za mną w krzakach. Nie zauważyłem nic i nic nie usłyszałem. Kierował mną ten bliżej nieokreślony szósty zmysł, który u westmana z biegiem czasu rozwija się niesłychanie. Człowiek przeczuwa raczej w tych wypadkach, niż odczuwa. Miałem wrażenie, że ze stojącego za mną Persa emanuje jakiś prąd, podobny do niewidzialnych nici, łączących przedmiot pachnący z organami powonienia. Rozmawialiśmy tak beztrudnie i swobodnie, jak gdybyśmy nie mieli pojęcia, że ktoś może nas podsłuchiwać. Skierowałem rozmowę na tematy, z których trudno byłoby wysnuć jakiegokolwiek wnioski co do naszych zamiarów. Pers słuchał więc przez chwilę rozmowy, która go nic a nic nie obchodziła. Zniecierpliwił się wreszcie, wyszedł z zarośli, stanął przed nami i zapytał takim tonem, jak gdyby był panem i władcą:

— Coście za jedni? Czego tu chcecie?

Przypuszczając, że nas tym pytaniem zbije z tropu, pogładził z zadowoleniem kocią bródkę i spojrzał na nas wzrokiem pełnym oczekiwania. Nie otrzymawszy odpowiedzi, ciągnął dalej:

— Dlaczego nie odpowiadacie? Czyście ślepi i głusi? Czy mnie nie widzicie i nie słyszycie?

Na te słowa odparłem:

— Istotnie jesteśmy ślepi i głusi, ale tylko wobec ludzi, którzy dają powód, aby na nich nie zwracać uwagi.

— Masz mnie na myśli?

— Tak. Nie zachowujesz się jak człowiek godny szacunku. Na to odparł szyderczo:

— *Affuhsa!* Jaka szkoda. A więc jestem człowiekiem, który dla was nie istnieje?

— Który istnieć nie powinien, — poprawiłem — jeśli bowiem zniżam się do rozmowy z tobą, daję ci dowód, że zauważyłem twoją obecność.

— Zauważyłeś moją obecność! Co za uprzejmość i łaskawość. Jakże ci jestem wdzięczny, że raczył mnie łaskawie zauważyć. Dotychczas uważałem się za człowieka, którego każdy nie tylko widzi, ale i uprzejmie traktuje.

— Byłeś w wielkim błędzie; ten bowiem, kto rządzi uprzejmości, musi być sam uprzejmy.

— Allah! Czy to wyrzut?

— Nie. Obojętne mi to, jakim jesteś. Ponieważ jednak mówiłeś o uprzejmości, zwróciłem ci uwagę, że nie możesz się nią pochwalić.

Roześmiał się i zapytał:

— Uważasz, że powinienem był przywitać się z wami? Czyniąc przeczący ruch ręką, odparłem:

— Mówiąc o przywitaniu, dajesz dowód, że najprostsza zasada uprzejmości nie jest ci nieznana.

Skrzyżował ręce na piersi, skłonił się głęboko wschodnim zwyczajem i rzekł ironicznie:

— Ponieważ wyglądasz na wielkiego pana, chcę nadrobić to, co zaniedbałem, i wołam: *Asalam'alejkum!*

Skinałem głową, udając, że nie wyczuwam szyderczego tonu.

Ciągnął dalej:

— Mam wrażenie, że ci to nie wystarczy. Proszę więc o łaskawe pozwolenie, aby mi wolno było usiąść. *Ahfal-i-szerif?* Jak szacowne zdrowie?

Odrzekłem tonem nauczyciela, który łaskawie udziela pochwały uczniowi:

— No, teraz rzecz poszła jako tako. Jeśli będziesz miał szczęście stykać się częściej z uprzejmymi ludźmi, nauczysz się obojętności w towarzystwie ludzi przeciętnych. O tym, abyś godnie się zachował wobec osób wyżej od ciebie stojących, wątpię. Bądź zadowolony, że cię napomniałem. Człowiek, zdający sobie sprawę ze swych błędów, robi pierwszy krok w kierunku poprawy. Mam wrażenie, że w dziedzinie form towarzyskich niejednego jeszcze będziesz się musiał nauczyć.

— Uważasz, że możesz mi świecić przykładem? — Tak.

— *Maszallah!* Jakiś cud sprowadził mnie tu z Persji, abym przy twojej pomocy uzupełnił braki wychowania. Korzystam ze sposobności i siadam obok ciebie.

Zgiął kolana, by usiąść obok nas na wschodnią modłę. Wzbronilem mu tego:

— Wstrzymaj się! Byłoby to nowe naruszenie zasad uprzejmości. Czy prosiłem byś usiadł?

— Nie. Mam jednak nadzieję, że nie będziesz miał nic przeciw temu, w przeciwnym bowiem razie dałbyś dowód nieuprzejmości.

— Racja. Ale nie ma zwyczaju zapraszania ludzi nieznanymi. Przybyliśmy tu pierwsi, masz więc obowiązek powiedzieć nam kim jesteś i czym się trudnisz. Gdy to uczynisz, zdecyduję, czy obecność twoja jest pożądana.

— Pewnie piastujesz bardzo wysoką godność i przywykłeś do rozkazywania. Proszę cię, okaż mi tę łaskę i pozwól, aby mnie owiał oddech twych ust. Słyszałeś kiedy o imieniu Kassim mirza?

— Nie.

— A więc nie znasz stosunków, które panują w naszym kraju. Jestem *szachzahdą* Kassim mirzą; jadę do Bagdadu jako *mu temet el mulk*, zaufany króla.

Szachzahda oznacza syna, potomka albo krewnego perskiego szacha. Nie ulegało wątpliwości, że przybysz kłamie, nie był ani krewnym, ani wysłannikiem szacha.

— Chyba masz liczną eskortę? — rzekłem. — Gdzie są twoi wojownicy?

— Jestem sam wojownikiem i obywam się bez ochrony. Podróżuję pod baldachimem tajemniczości, powierzono mi bowiem szereg ważnych spraw, o których nikt nie powinien wiedzieć. Dlatego jadę samotrzeć, a wybrałem drogę, na której nie grozi mi niebezpieczeństwo, że ktokolwiek pozna we mnie *szachzahdę*.

— Allah akbar! W takim razie dusza moja powinna się była pochylić przed tobą w pełnej szacunku wdzięczności!

— A więc przekonałeś się, że mam rację? Nie chcę jednak, abyś się płaszczył przed moim wysokim pochodzeniem.

— Ani mi to w głowie. Obojętne mi to, czyś synem króla czy żebraka. O wdzięczności mówiłem nie dlatego, żeś wysoko urodzony, lecz dlatego żeś wobec mnie szczery i otwarty.

— Szczery i otwarty?

— Tak. Jesteś przecież księciem i posłem władcy Persji. Mgła tajemnicy osnuwa twoją podróż. A jednak przede mną się nie kryjesz.

Wyjawiałeś mi swą godność, albo dlatego, że jesteś ojcem gadatliwości, albo też dlatego, że ci się spodobał i musiałeś otworzyć przede mną swe serce. Jako człowiek obarczony ważnymi tajemnicami jesteś bez wątpienia dyskretny. Sądzę więc, że ci się bardzo spodobał i wdzięczny ci jestem za to.

Zauważył, że popełnił gruby błąd.

Ukrywając zmieszanie, rzekł protekcyjnym tonem:

— Tak. Spodobałeś mi się z pierwszego rzutu oka i tylko dlatego dowiedziałeś się o tym, co dla wszystkich pozostać musi tajemnicą. Mam nadzieję, że ocenisz zaszczyt jaki ci sprawić powinna sama moja obecność. Siądę więc przy was!

— Nie mam nic przeciwko temu. Czy wolno wiedzieć gdzieś zostawił towarzyszy?

— Zostali nieopodal; zjawią się za chwilę. Na odgłos strzału pośpieszyliśmy wam na pomoc, zważywszy, że strzela człowiek zazwyczaj w niebezpieczeństwie.

Klasnął w dłonie, zjawili się towarzysze. Zwrócił się do nich następującymi słowami:

— Ci obcy ludzie prosili mnie, *szachzahdę*, abym uprzyjemnił im wieczór naszym towarzystwem. Nie chciałem ich martwić odmową. Siadajcie!

Uśluwali. Wymienienie swej godności było nieostrożnością, gdyż musiałbym nabrać podejrzeń nawet wtedy, gdybym przedtem o niczym nie wiedział. Zakomunikował im, za kogo się podał, ponieważ chciał zapobiec, aby go nie nazwali prawdziwym imieniem.

Mój mały Halef milczał dotychczas jak zakłęty. Zauważyłem jednak jego wściekłość. Byłem przekonany, że za chwilę użyje sobie. Nie czekałem długo. Rzekomy Kassim mirza ciągnął dalej:

— Usłyszawszy, kim jesteście, zechcecie zapewne powiedzieć nam swoje imiona?

Nie dopuszczając mnie do słowa Halef rzekł szybko:

— Przypuszczam, że ty jako syn najświetniejszego władcy znasz wszystkie królestwa i kraje świata?

— Oczywiście, że znam, — odparł rzekomy mirza.

— Australię znasz również? — Znam.

— A Amerykę?

— Znam.

— Więc dowiedz się, że jestem szachem Australii. Ten zaś dostojny władca, który siedzi obok mnie to wielki sułtan z Ameryki.

Wypowiedział te słowa ze śmiertelnie poważną miną.

Pers otworzył szeroko oczy. Widać było, że nie zdaje sobie sprawy, czy Halef żartuje, czy też mówi serio. Mój mały zaś przyjaciel ciągnął dalej:

— I my jedziemy do Bagdadu z tajnymi wieściami. Są tak ważne, że nie możemy się z nich zwierzyć ani przed żadnym posłem, ani nawet przed *szachzadą*. Zeszliśmy więc na krótki czas z naszych złotych tronów i pojechaliliśmy *rah-i-ahenem*, pociągiem przez wielkie morze, aby własnoręcznie oddać tajemne listy.

— Rah-i-ahenem? — zapytał Pers, nie orientując się, że Halef kpi z niego. — Po morzu?

— Dlaczego nie? Władza nasza jest tak wielka, że nie myślimy, czy coś istnieje, czy nie istnieje. Potrzebne od czasu do czasu dworce załadowaliśmy na statek i zabraliśmy ze sobą. Gdyśmy mieli ochotę zatrzymać się lub wysiąść, momentalnie ustawiano dworzec.

— Na wodach morza... ? — Tak.

Pers zwrócił się do mnie i rzekł ze współczuciem: — Wybacz, że się tobie dziwię! — Dlaczego to? — zapytałem.

— Nie podróżuje się przecież z człowiekiem, w którego głowie mieszka obłąd.

— Obłąd? Skąd ci to przyszło na myśl?

— Kto twierdzi, że przebył koleją powierzchnię wód i zabrał ze sobą dworzec, ten bez wątpienia rozum postradał.

— Mylisz się. Mózg tego człowieka sprawniej działa niż twój.

— Niech Allah zlituje się nad wami! Obydwaj straciliście zmysły. Powiódł błędnym spojrzeniem po mnie i Halefie. Po chwili jednak na co innego skierował wzrok. Konie nasze, objadając krzaki, zbliżyły się do obrębu światła. Ujrawszy je z daleka, Pers, bez wątpienia wielki znawca koni, podbiegł, aby się im lepiej przyjrzeć.

— Co widzę? — zawołał. — Dwaj wariaci mają tak wspaniałe konie! Chodźcie, przyjrzyjcie się tym wierzchowcom! Nawet w stajni szachinszacha nie ma zwierząt szlachetniejszych!

Słowa te wypowiedział do swych towarzyszy. Zbliżyli się i lustrowali konie ze wszystkich stron, szepcząc między sobą. Udaliśmy, że nie zwracamy uwagi na dziwne spojrzenia, rzucane w naszą stronę. Po chwili wrócili i siedli obok nas.

— Te konie są waszą własnością? — zapytał jegomość z bródką.

— Tak — odparł Halef. — Czy sądzisz, że władcy jeżdżą na cudzych szkapach?

— Skąd je wzięliście?

— Ujeździliśmy je sami. Stajnie nasze roją się od rasowych zwierząt.

— Widzę przy brzegu tratwę. Czy to wasza? — Tak.

— A więc nie przybyliście tu konno? — Owszem.

— Skoro się używa tratwy, nie można jechać konno!

— Zdaje ci się tylko. Władcy Australii i Ameryki postępują inaczej. Zaprzęgliśmy konie do tratwy, dosiedliśmy wierzchowców i ruszyliśmy wzdłuż rzeki.

— Jesteś naprawdę obłąkany!

— Nie bądź śmieszny! Jakże mógłbym rządzić krajem, gdybym był wariatem?

— Obłąd twój polega właśnie na tym, że wyobrażasz sobie, jakbyś był szachem Australii.

— W takim razie jesteś takim samym wariatem, jak ja.

— Dlaczego?

— Bo wyobrażasz sobie, że jesteś *szachzadą* i nazywasz się Kassim mirza.

— Ależ to prawda!

Halef zwrócił się w moją stronę i potrząsając głową, rzekł:

— Sidi, ten człowiek uważa nas za wariatów, a sam musi być szaleńcem, inaczej bowiem

zorientowałby się już dawno, dlaczego udajemy królów. Jeżeli to prawda, że jest *szachzahdą*, my jesteśmy co najmniej władcami dwóch kontynentów.

Pers dopiero teraz pojął, że bawiliśmy się jego kosztem. Obrzucając Halefa wściekłym spojrzeniem, zapytał:

— A więc miałeś zamiar zakpić sobie ze mnie? — Tak — brzmiała odpowiedź.

Ojciec Korzeni wyciągnął rękę w kierunku pasa. Po chwili cofnął ją jednak i rzekł, zachowując spokój:

— Właściwie powinienem cię poskromić. Ale widocznie nie wiesz, z kim mówisz. Znasz różnicę między Kassimem mirzą a mirzą Kassimem?

— Znam.

— Nie nazywam się mirza Kassim, lecz Kassim mirza. Masz więc księcia przed sobą.

— Nie nazywasz się ani mirza Kassim, ani Kassim mirza; nie stoi przede mną ani książę, ani człowiek, który ma prawo używać tytułu mirza.

— Allah, jaka obelga! Czy mam ci odpowiedzieć wyostrzoną klingą?

Wyciągnął nóż zza pasa. Halef rzekł spokojnie:

— Zostaw to bawidełko za pasem. Jeżeli mnie dotkniesz, legniesz trupem.

— Na Allaha, mówisz poważnie?

— Tak. Czy nie widzisz, co mój towarzysz trzyma w ręce? Zanim zdążysz podnieść nóż, kula utkwi w twojej głowie!

Samo się przez się rozumie, że gdy tylko Pers wyciągnął nóż, ja uzbroiłem się w rewolwer. Rzekomy mirza włożył nóż do pochwy i rzekł z wielką pewnością siebie:

— No, nie wiadomo jeszcze, kto kogo by ubiegł. Jestem jednak gotów przebaczyć ci, jeżeli mnie przeprosisz.

Halef roześmiał się na całe gardło:

— Słyszałeś, sidi, ja mam przepraszać, ja, Hadzi Halef Omar! Czy istnieje na świecie człowiek, któryby miał odwagę wypowiedzieć bezkarnie pod moim adresem tego rodzaju żądanie?

— Bezkarnie? — roześmiał się Pers. — Kimże jesteś, że w ten sposób do mnie przemawiasz?

— Kim jestem? Dowiesz się i zdębiejesz! Jam Hadzi Halef Omar Ben Hadzi Abul Abbas Ibn Hadzi Dawud al Gossarah.

— Imię to jest tak długie, jak zmija, którą się depcze nogami. To wszystko?

— Udajesz dostojnego Persa, a nie wiesz nawet, że Hadzi Halef Omar jest najwyższym szejkiem sławnych Haddedińów.

— Tak? Bądź sobie Haddedińem i szejkiem tego plemienia, nic mi do tego! Kimże jest twój kamrat?

— Jest tysiąckroć sławniejszy ode mnie. To niezwyciężony emir Hadzi Kara Ben Nemzi effendi, przed którym drżą ze strachu wszyscy wrogowie.

— Drżą ze strachu? — zapytał Peder-i-Baharat, obrzucając mnie podejrzliwym spojrzeniem. — Nazywasz go Ben Nemzi?

— Tak.

— A więc pochodzi z kraju, zwanego Alman? — Tak.

— I jest *izewi*, chrześcijaninem?

— Tak. :

Na te słowa szyita zerwał się z ziemi, splunął przede mną i zawołał:

— *Bi Khatir-i-Khuda!* Na miłość Boską! Cośmy dobrego uczynili!?

Siedzieliśmy obok śmierdzącego ścierwa, obok niewiernego, który wierzy w kobietę Mirryem, a

kłamcę Iza uważa za Boga! Niechaj Allah was przeklnie! Zbrukaliśmy się i musimy ...

Nie dokończył. Nie ruszałem się z miejsca, wiedząc, że Halef wystąpi w moim imieniu. Nie powściągałem go tym razem. Skoczył na równe nogi, sięgnął ręką do pasa po bat i ryknął straszliwie:

— Milcz, bezwstydniku! Tę obelgę możesz łatwo przypłacić życiem! Wystarczy, aby mój effendi pomacał cię ręką, a padniesz trupem. Ale nie warto, by tak dostojny effendi się wysilał. Jeżeli powiesz choć jeszcze jedno obelżywe słowo, ja się z tobą porachuję!

Ojciec Korzeni cofnął się o krok, obrzucił przeciwnika lekceważącym wzrokiem, roześmiał się na całe gardło i odparł:

— Co takiego? Chcesz mnie zmusić do milczenia? Ten twój effendi ma mnie powalić na ziemię? Nie przestraszę się takich chłystków! A twoje groźby, karle, mogą mnie tylko rozśmieszyć, gdyż...

I tym razem nie dopowiedział zdania, lecz z bardziej dosadnego powodu, niż przedtem, Halef, czuły na każdą obelgę, w szczególną pasję wpadał, skoro ktoś drwił z jego małego wzrostu. Wtedy to kara następowała błyskawicznie. I tym razem, jak tylko padło słowo karzeł, Halef uderzył Persa w twarz batem ze skóry hipopotama z taką siłą, że uderzony cofnął się, krzycząc wniebogłosy i ledwie się trzymając na nogach. Ukrywszy twarz w dłoniach, chwiał się na wszystkie strony. Obydwaj jego kamraci porwali się z miejsc z wyciągniętymi nożami. Halef stanął naprzeciw nich z wysoko podniesionym batem. Oczy mu świeciły niesamowitym blaskiem. Zerwałem się również i stanąłem w pogotowiu. Mierzyliśmy się przez chwilę spojrzeniem, nie mówiąc ani słowa. Wreszcie odjął ręce od twarzy. Od uderzenia biczem powstała pod nabiegłymi krwią oczami sina pręga. Podniósł ramiona, zacisnął pięści i straciwszy panowanie nad sobą, rzucił się na Halefa. Ów, odskoczywszy w bok, zdzielił go jeszcze raz batem przez twarz i zaczął walić ręką w kark z taką siłą, że rzekomy mirza osunął się na ziemię. Halef rzucił się na niego i skrzyżował mu ręce pod karkiem.

Wszystko to odbyło się tak szybko, że obydwaj podwładni Persa nie mieli czasu pośpieszyć swemu panu z pomocą. Opamiętali się dopiero teraz i chcieli dopaść Halefa z tyłu. Jednego z nich powaliłem wypróbowanym ciosem myśliwskim, drugiego chwyciłem za gardło z taką siłą, że omal się nie udławił. Wyciągnąłem mu zza pasa nóż i rewolwer, wrzuciłem tę broń do wody, a wreszcie i jego powaliłem na ziemię.

Halef zawołał:

— Sidi, chodź tutaj! Tyś już skończył ze swoimi ptaszkami, ale mój ananas sprawia mi kłopot.

— Przynieś z tratwy rzemienie, zwiążemy ich! — odrzekłem. Zostałem przy szyicie. Halef zaś oddalił się, aby spełnić moje polecenie. Po kilku minutach wszyscy trzej mieli skrepowane ręce i nogi.

— Co teraz? — zapytał Halef. — Gzy związanie ich było konieczne?

— Tak.

— A może lepiej na innym miejscu rozbić obóz?

— Ani mi się śni! Przecież zwyciężyliśmy. Poza tym musimy się wyspać; nie myślę tracić dla tych ludzi nawet pięciu minut. Zobaczymy, co mają przy sobie!

— Chcesz zabrać łupy?

— Nie, nie mam tego zamiaru, ale może w ten sposób dowiemy się, kim właściwie jest ów fałszywy *szahzahda*.

Chodziło mi jeszcze o coś, ale nie powiedziałem tego na głos ze względu na Ojca Korzeni, który nie stracił przytomności. Znaleźliśmy przy nim tylko pieniądze i rachunek, o którym już była mowa; nie dawał jednak podstawy do żadnych wniosków. Rzekomy mirza miał na palcach dużo pierścieni. Jeden z nich był złoty; na ośmiokątym polu widniały litery arabskie. Z początku nie zwróciłem nań specjalnej uwagi; przy obydwóch kamratakach nie znaleźliśmy również nic szczególnego; mieli tylko na

palcach takie same pierścienie, jak przywódca, z tą jednak różnicą, że odlane były ze srebra. Pozdejmo wałem je i przysunąłem do ognia, aby odczytać napisy. Ujrzałem dwie litery: *sa* i *lam*. Obydwie były połączone dwiema kreskami, co daje razem słowo *sili* - cień.

Byłem teraz pewien, że znalazłem to, czego szukałem. Te pierścienie są bez wątpienia znakami porozumiewawczymi, dowodami przynależności do tajnego stowarzyszenia. Muszę mieć wszystkie trzy; Pers nie powinien się jednak domyślić, że mam zamiar je zatrzymać. Ukradkiem podniosłem z ziemi trzy kamyczki, położyłem je na otwartą dłoń i rzekłem głośno do Halefa:

— Dwa dziwne pierścienie. Chciałbym zobaczyć, czy trzeci jest do nich podobny!

Po chwili zawładnąłem złotym pierścieniem, ściągając go siłą z palca opierającego się tej operacji Peder-i-Baharata. Spojrzałem na pierścień przelotnie, jak gdybym nie miał zamiaru odczytania tego samego słowa, które było wypisane na innych pierścieniach i rzekłem do Halefa:

— Drogi Halefie, to czarodziejskie pierścienie. Pochodzą bez wątpienia z czasów Haruna ar Raszida. U nas, chrześcijan, kuglarstwo jest wzbronione. Zasłużę się więc swej religii, jeżeli wrzucę te *chawahtim el chatija*, pierścienie grzechu, do wody.

Pers zawołał ze złością:

— Te pierścienie należą do nas, nie do ciebie! Nie jesteście przecież rozbójnikami! Oddajcie je!

— Moim obowiązkiem jest ustrzec was od kuglarstwa, które prowadzi dusze do zguby. Niech te pierścienie spoczną na dnie wody, gdzie nie dosięgnie ich ręka ludzka. Uwaga! Raz, dwa, trzy!

Kolejno rzuciłem w wodę wszystkie trzy kamyczki. Pers słyszał, jak padały na fale, i był przekonany, że to pierścienie. Kiedy zniknął ostatni kamyczek, rzekł szyderczo:

— Nie wyobrażaj sobie, żeś się zasłużył przez tę kradzież. Pierścieni takich jest więcej, niż przypuszczasz, wkrótce zdobędziemy takie same. Ale z wami się policzymy; przysięgam ci to na Alego, największego pośród kalifów!

Niepostrzeżenie włożyłem pierścienie do kieszeni, nie zadając sobie nawet trudu odpowiedzenia Persowi. Halef, natomiast, który jako dawny zwolennik Sunny niezbyt wysoko cenił Alego, odrzekł:

— Nie wspominaj o tym kalifie! Był łysy, jak kolano, broda jego wyglądała jak biały kłębek bawełny, brzuch mu zwisał aż do kolan, gdyż był jednym z największych obżartuchów na ziemi. A jeżeli wy, szyici, twierdzicie, że święta jego władza wyrosła z miłości i wierności do Fatimeh, córki proroka, to sunnici są lepiej poinformowani i wiedzą, że ta Fatimeh Khanum żyła by znacznie dłużej, gdyby jej osiem innych kobiet i dwadzieścia niewolnic Alego nie zagryzło na śmierć.

— Niechal Allah przeklnie twój zły język! Skoro wpadniesz w moje ręce, wykraję ci go z ust!

Tymczasem obydwaj podwładni odzyskali przytomność. Trzeba było pomyśleć o tym, by jeńcy nie uciekli podczas naszego snu. Przywiązaliśmy ich więc pojedynczo do trzech krzaków. Potem odebraliśmy im broń i ułożyliśmy się do spoczynku obok koni. Gdy wyrecytowałem przed swym wierzchowcem wybraną surę, Halef zapytał:

— Sidi, spostrzegłem, że ukryłeś coś w kieszeni. Co to było?

— To trzy pierścienie. Nie wrzuciłem ich do wody.

— Nie? Przecież słyszałem jak wpadały!

— Były to kamienie.

— Na Allaha, po co ta zamiana? Po coś mnie wyprowadził w pole?

— Nie chodziło mi o ciebie, tylko o Persa. On i jego kamraci należą do tajnej korporacji. Pierścienie są prawdopodobnie godłem tajnego związku. Kto wie, jak wielka to korporacja, może obejmuje całą Persję, która jest przecież celem naszej podróży. Rozumiesz, o co mi chodzi?

— Domyślam się, sidi. Fakt, że znamy godło tego związku, może nam przynieść wielkie korzyści.

— Nie dość, że znamy godło, ale mamy je w rękach. Może będziemy zmuszeni udawać *sillanów*.

— *Sillanów?* Któż to taki?

— Tak się zowią członkowie związku. Każdy z nich nosi miano *sili*. Słowo *sill*, cień, wskazuje na tajemną działalność, która jest na pewno bezprawna, ponieważ lęka się dziennego światła. Zwyczajni członkowie mają srebrne pierścienie, przełożeni zaś złote. Jeżeli się nie mylę, prezes tego tajnego związku zwie się Emir-i-Sillan.

— Sidi, mam myśl: czy nie chodzi tu o sektę *babi*?

— Być może. Nie uważam wprawdzie, że sekta *babi* i *sillan* są równoznaczne, ale być może, iż członkowie drugiej należą do pierwszej. Czy wiesz dokładnie, czym są wyznawcy sekty *babi* i czego chcą?

— Nie, dokładnie nie wiem. Słuszałem tylko, że są wrogami szacha. Szach prześladowuje ich podobno bezlitośnie. Nie wiem, dlaczego. Czy możesz mi to powiedzieć, sidi?

— Posłuchaj. Założycielem sekty był młody Ali Mohammed z Sziraz, zwany Bab, wejście, ponieważ nauczał, że tylko przez niego dotrzeć można do Boga. Wyznawcy jego wierzą, że Bab stoi wyżej od Mahometa. Wierzą również, że na świecie nie ma zła, ani dobra, że grzech nie istnieje, a modlitwa nie jest konieczna. Zabraniają kobietom używać zasłon; chcą również, aby mężczyzna miał tylko jedną żonę. To wszystko sprzeciwia się nauce Sunny i Szyi. Narazili się szachowi, ponieważ pragną mieć dziewiętnastu kapłanów, stojących ponad władcą.

— Szach nie zgodzi się na to nigdy.

— Racja. Nassr-ed-din zastosował wobec nich represje. A gdy kilku wyznawców sekty *babi* dokonało zamachu na życie szacha, rozpoczęły się okrutne prześladowania. Wszyscy, których pomawiano o sprzyjanie tej sekcje, zginęli śmiercią męczeńską. Innych zmuszono do wyrzeczenia się wiary, lub kazano im opuścić granice kraju. Mimo to liczba podziemnych wyznawców dochodzi do kilku tysięcy. Tworzą jednolity, zwarty związek, chronią się wzajemnie i pomagają sobie, nie cofając się przed żadnymi ofiarami. A gdy chodzi o sprawę wiary, są gotowi na popełnienie każdej zbrodni. Ludzie, którzy twierdzą, że grzech nie istnieje, nie wiedzą także, co to zbrodnia.

— Mam wrażenie, że takim właśnie jest Pers, którego poczęstowałem batem.

— Ja również. Będziemy mieli z nim wiele kłopotu, jeżeli go kiedyś w życiu spotkamy.

— Sądzisz więc, że niepotrzebnie go uderzyłem?

— Nie pora teraz na te rozważania. Stało się i nie odstanie! Proszę cię jednak, abyś na przyszłość nie używał bata bez mego pozwolenia.

— Sidi, cóż sobie pomyślą ci, których zechcę poczęstować swym korbaczem, jeżeli przed uderzeniem będę cię pytał o zgodę? Straciłbym szacunek, którym cały świat otacza sławnego Hadzi Halefa Omara.

— Więc nie pytaj głośno. Wystarczy jedno spojrzenie, na które również odpowiem spojrzeniem.

— Czy jednak rozumiesz pytanie mych oczu? —, Nie obawiaj się, rozumiem.

— Zgoda, sidi. Czy masz zamiar zatrzymać wszystkie pierścienie?

— Nie. Jeden wręczę tobie, ale będziesz go mógł włożyć dopiero wtedy, gdy się rozstaniemy z Persami.

— Zgoda. Dzięki Allahowi, żeś przybył, aby mnie zabrać. Życie moje było w ostatnich czasach podobne do gniazda, napełnionego jajami.

— Oryginalne porównanie!

— Wcale nie! Dni mego życia podobne były do siebie, jak jaja, ułożone w gnieździe. Tęskniłem za czynem; trudno mi było o okazję do wyładowania swej energii. A jeżeli okazja się trafiała, nie pozwalano mi z niej korzystać.

— *W'allah!* Musisz prosić o pozwolenie?

— Nie muszę, ale pokój w namiocie jest równie cenny i pożyteczny, jak pokój wśród ludów. Ty chyba pytasz także twej Emmeh, gdy jakaś przygoda domaga się waszej rozłąki?

— W mojej ojczyźnie nie istnieją przygody w twoim rozumieniu.

— W takim razie należy się litować nad mieszkańcami waszych oaz! Teraz rozumiem, dlaczego tak chętnie podróżujesz po obcych krajach. Ja również lubię te wyprawy; ledwieśmy ruszyli, a już mamy trzech jeńców szytów i zdobyliśmy trzy tajemne pierścienie. Ponadto trafiła mi się okazja do dwóch uderzeń batem. Obudziła się we mnie męska siła; w sercu mym rośnie waleczność; śnię o zwycięstwach, które razem odnosić będziemy.

— Życzę ci tego z całej duszy, drogi Halefie. A ponieważ sny, które ci tyle radości sprawiają, mogą się zjawić tylko przed zamkniętymi oczami, najlepiej będzie, jeśli zażyjesz spoczynku. Dobrej nocy!

— Czy już, o sidi? Tak chętnie pogwarzył bym jeszcze z tobą. Moja Hanneh...

— ... jest najlepszą z kobiet i chce, byniej o niej śnił. Więc śpij!

— A Kara Ben Halef...

— ... jest najlepszym z synów. Może ci się przyśni. Więc śpij!

— Dobrze, dobrze! Stałeś się tyranem. Twoja Emmeh...

— ... chce, abym się dokumentnie wyspał. A więc dobranoc!

— Wprawdzie się z tobą nie zgadzam, ale będę ci posłuszny. Mam ci jeszcze dużo do powiedzenia. Skoro jednak nie chcesz mnie słuchać, kończę życzeniem dobrej nocy!

Odwrócił się, a już po chwili poznać było po miarowym oddechu, że spoczywa w objęciach dobrotliwego bożka, którego Persowie zamiast Morfeuszem nazywają Nohmem.

Wkrótce znalazłem się w tych samych objęciach. Gdym się ocknął, było już jasno. Zbudziłem Halefa, napoiliśmy konie i podeszliśmy do jeńców. Energiczne ich wysiłki wydostania się z więzów spełzły na niczym. Ojciec Korzeni wyglądał okropnie! Obydwie pręgi i oczy nabrzmiały krwią. Widać było, że cierpi wielki ból. Wyznaję szczerze, że wzbudził we mnie litość, która później, gdym go bliżej poznał, okazała się wręcz nieodpowiednim uczuciem.

Po chwili ryknął ochryplym głosem:

— Psie, odwiąż mnie! Czas nam w drogę!

Nie odpowiedziałem na tę obelgę. Wyręczył mnie Halef:

— Jeżeli będziesz w ten sposób rozmawiać z effendim, zgnijecie w pętach!

— Nie zrobiliśmy wam nic złego! — Allah obdarzył cię złą pamięcią.

— Drażniliście mnie, więc wam odpowiedziałem pięknym za nadobne. Dlaczego podaliście się za władców?

— Była to zasłużona odpowiedź na twego Kassima mirzę.

— Udowodnij, że się nazywam inaczej!

— Nie ośmieszaj się!

— Spotkamy się jeszcze. Wtedy nie będziesz się śmiał ze mnie!

— Grozisz nam? Dobrze! W takim razie nie odwiążemy was. Usiadł obok mnie i zajął się pochłanianiem śniadania. Pers zmiękł.

Oświadczył, że wszystko, co się stało, puści w niepamięć i prosi abyśmy go uwolnili, ponieważ musi ruszyć w dalszą drogę. Pozostawiłem Halefowi rozstrzygnięcie sprawy.

— Ponieważ nas okłamałeś i znieważyłś — oświadczył — pokazaliśmy ci, że jesteśmy ludźmi, którzy nie puszczają obelg płazem. Ściągniemy z was więzy pod warunkiem, że odwołasz obelgi.

— Odwołuję.

— I prosisz o przebaczenie?

— Proszę o nie.

— Doskonale! Puścimy cię wolno. Ale kiedy i jak, to *zależy* od sławnego emira Hadzi Kara ben Nemzi.

— Jeżeli istotnie jesteś szejkiem, jak mówiłeś, decyzja do ciebie należy.

— Effendi jest potężniejszym szejkiem ode mnie. Ma setki koni i tysiące wielbłądów; harem jego roi się od pięknych kobiet, które mu gotują pilaw i smarzoną baraninę. Zwróć się więc do niego!

Tego już było Persowi za wiele. Nie odezwał się ani słowem. Zjadłszy prędko śniadanie, zabrałem się do broni palnej jeńców. Po wystrzeleniu wszystkich naboji, wrzuciłem również worki z amunicją do wody.

— Biada! — krzyknął Peder-i-Baharat. — Dlaczego niszcycie nam proch?

Milczałem. Powinien był zrozumieć, że niszcę proch z ostrożności, aby pozbawić jego i towarzyszy możliwości strzelania do nas.

Unieszkodliwiwszy broń palną, zaprowadziliśmy nasze konie na tratwę. Zostałem przy wierzchowcach, Halefowi zaś poleciłem oswobodzić jeńca imieniem Aftab. Był to ten, którego nóż i rewolwer wrzuciłem do wody. Mały Halef podszedł doń i rzekł:

— Słyszałeś, zwolnię cię z więzów. Właściwie nie wart jesteś tego, będę jednak litościwy i daruję ci wolność. Możesz potem oswobodzić swych wspaniałych towarzyszy, nie prędzej jednak, aż się oddalimy. Inaczej poczęstuję cię kulką. Zrozumiałeś?

— Tak — skinął zapytany.

— A jeżeli twój pan, czy władca, będzie narzekać, że go boli gęba, posyp mu obydwie drogi karawany, które wyryłem na jego obliczu solą i pieprzem. To spotęguje rozkosz i poprawi samopoczucie.

Peder-i-Baharat, który słyszał te słowa, wyczekał, aż Halef znajdzie się na promie i krzyknął ponuro:

— Idźcie na dno piekieł, parszywi zwolennicy sztuk czarodziejskich, zbóje i złodzieje pierścieni! Strzeżcie się powtórnego spotkania z nami. Dzień, w którym oko moje ujrzy was po raz drugi, będzie ostatnim dniem waszego życia. Kula moja otworzy wam bramę, za którą wije się tylko jedna droga, prowadząca do piekła, gdzie za uderzenie batem odpokutować będziecie musieli wieczną męczarnią!

Nie odpowiedziałem na tę obelgę, Halef natomiast pofolgował sobie:

— Ostrzegasz nas przed spotkaniem, a ja cieszę się zawczasu, ponieważ zmierzyłem tęskny step twej twarzy i uważam, że jest tam miejsce na większą ilość wielbłądzich ścieżek. Jeżeli Allah sprowadzi cię kiedyś przed moje oczy, postaram się przypomnieć ci rozkosze ostatniej nocy nowymi razami. Do tego czasu myśl o nas czasem jako o swych najwierniejszych przyjaciółach, którzy zawsze wspominać będą chętnie jaśnie wielmożnego *szahzadę* Kassima mirzę!

Ja tymczasem odwiązałem tratwę. Oddaliliśmy się od brzegu, płynąc z biegiem Tygrysu. Do końca zatoki towarzyszyły nam przekleństwa Persów. Dziś wściekłość ich nie jest niebezpieczna, ale na przyszłość będziemy musieli się wystrzegać powtórnego spotkania, — pomyślałem. Gdy się z tym zdaniem podzieliłem z Halefem, mały mój przyjaciel zapytał:

— A więc przewidujesz powtórne spotkanie z nimi?

— I to nawet stanowczo. Przecież i oni jadą do Bagdadu.

— Przybędą tam później od nas.

— O, nie! Tratwa ich mniejsza od naszej; mają również sześć rąk do wiosłowania, a więc o dwie więcej niż my. Należy się liczyć z tym, że nas jeszcze dzisiaj przegonią.

— Bez wątpienia nie jest to dla nas korzystne. Mogą przybyć do Bagdadu przed nami i tam nas oczekiwać. Skoro zaczną nas ścigać, możemy łatwo wpaść im w łapy.

— Widzisz więc, jak wielka ostrożność jest wskazana. Musimy mieć się na baczności już teraz, jestem bowiem przekonany, że będą nas śledzić już dzisiaj. A chodzi nie tylko o nas, lecz i o nasze konie.

— Sądysz, że mają na nie apetyt?

— Przecież widziałeś i słyszałeś, jak się nimi rzekomy Kassim mirza zachwycał. Pragnienie zemsty będzie ich pchało do zajęcia się nami, chciwość skieruje ich uwagę na konie. Jeżeli uda się im zemścić i zawładnąć tak wartościowymi rumakami, wygrają podwójnie. Plan ten jest łatwiejszy do zrealizowania po drodze, niż w Bagdadzie. Musimy więc specjalnie dzisiaj mieć się na baczności.

— Przypuszczasz, że przybędziemy do Bagdadu jutro?

— Tak, jutro po południu, o ile nam jakaś nieprzewidziana przeszkoda nie stanie na drodze. Miasto kalifów niedaleko. Już dziś będziemy mijali szereg gęsto zaludnionych miejscowości.

Stało się, jak przewidziałem. Gdy około południa znaleźliśmy się opodal wsi Syndijeh, ujrzeliśmy za sobą naszych Persów. Płynęli szybciej od nas. Ojciec Korzeni siedział na brzegu tratwy, nurzał ręce w falach i chłodził wodą płonące policzki. Po jakimś kwadransie przepłynęli koło nas. Wówczas Pers wyprostował się, wyciągnął pięść i zawołał:

— Gdybyście nam nie zabrali prochu i nabojów, zginęlibyście teraz. Przysięgam wam jednak na Hussana i Husseina, że czeluście piekieł stoją przed wami otworem.

Halef nie mógł utrzymać języka za zębami i odparł:

— Śmiać mi się chce z twoich słów. Gdybyście nawet mieli tysiące centnarów prochu i tego byłoby za mało. Sądysz, że tylko wy umiecie strzelać? My też mamy broń palną!

— Czy potrafi giaur lub przeklęty syn Sunny celnie strzelać? — zapytał szyderczo Ojciec Korzeni. — Niezadługo synowie wasi i córki wasze staną się sierotami, a wasze żony wdowami. Niechaj Allah przeklnie was i cały wasz ród!

Hanneh wdową, Kara Ben Halef sierotą, a jedno i drugie przekłete przez Allaha! Oburzyło to małego Hadziego do tego stopnia, że ryknął nieludzkim głosem:

— Milcz! Twój pysk ziejże głupstwami, a język miota bezmyślności. Skoro rozlegnie się huk naszych strzałów, wszyscy wasi ojcowie, przodkowie, dziadkowie i pradziadowie staną się sierotami; a wszystkie córki, matki i babki wdowami. Przyjaciele wasi wymrą, krewni i znajomi zginą, miasta i wsie powymierają a cała Persja przemieni się w pobojuwisko, po którym błąkać się będą tylko wdowy i sieroty pokonanych i zabitych. Krew wasza będzie spływać potokami ku morzu; nurty będą miotać wygnanymi z ciał duszami jak prochem i pyłem. Jesteście niepoczytalni, bezsilni...

Tu nagle urwał, odwrócił się ku mnie i rzekł z akcentem ubolewania:

— Jaka szkoda, sidi, że mnie już nie słyszą! Niestety, są już daleko stąd.

— Zamknij więc usta, Halefie,

— Możesz uważać, że nie powinienem był tego im mówić? Pomyśl tylko, chcieli mi zgotować los osamotnionego małżonka własnej wdowy i zmarłego ojca biednego sieroty! Wiesz dobrze, że się śmierci nie boję. Nie mogłem jednak pozwolić na zarzut, że wskutek mojej śmierci Hanneh, najwspanialsza z kobiet na świecie, z wyjątkiem twojej Emmeh, okryje się żałobą!

Ujął wiosła w ręce i coraz ciszej pomrukiwał pod adresem Persów, którzy już dawno znikli nam z oczu.

Pułapka

W Syndijeh nie zauważyliśmy śladów trzech Persów. Upewniliśmy się, że nie zarzucali również kotwicy w Saadijeh. Gdyśmy po południu dotarli do Mansurijeh, na brzegu stał jakiś mężczyzna z kobietą. Dawali znaki rękami, byśmy się zatrzymali.

— Sidi, chcą z nami pojechać — rzekł Halef. — Czy mają prawo *żądać*, byśmy taki ciężar brali na swe barki?

— Po co zrzędzisz! — odparłem. — W dobroci swego serca postanowiłeś od razu, że ich zabierzemy. Znam cię przecież nie od dzisiaj.

— Tak sidi, znasz dobrze swego Halefa. Biedakom, którym brak nawet kilku skór kozich na sporządzenie *kelleku*, nie wolno w takim wypadku odmówić. Bez wątpienia chcą się dostać do Bagdadu. Mężczyzna dowlóklby się od biedy, ale delikatne nogi kobiety nie wytrzymają marszu. Popłyniemy ku nim?

Zgodziłem się na to, choć nie podzielałem jego zdania o delikatności nóg tutejszych kobiet. Gdyśmy się zbliżyli do brzegu, okazało się, że przypuszczenia nasze były słuszne. Mężczyzna poprosił, abyśmy go zabrali wraz z żoną. Oświadczył, że nie jest w stanie nas wynagrodzić, przyrzekł jednak pomodlić się za nas.

— Przed godziną przepływała tędy tratwa z trzema ludźmi; — dodał — prosiliśmy ich również aby nas zabrali, ale nazwali nas przeklętymi sunnitami i pojechali dalej.

Przybiliśmy do brzegu. Mężczyzna i kobieta weszli na prom, po czym wróciliśmy na środek rzeki. Delikatne, zdaniem Halefa, nogi tej kobiety były znacznie większe od nóg mężczyzny. Obserwowałem to nieraz nawet u osiadłych Beduinek; przyczyna leży w tym, że mężczyźni wszystkie wyprawy odbywają konno.

Nasi goście nie mieli ze sobą nic, oprócz odrobiny jada, zawiniętego w stare szmaty. Mężczyzna nie był uzbrojony. Oboje wywarli na nas niezłe wrażenie; skromnie ulokowali się przy tylnej krawędzi tratwy. Siedziałem opodal przy wiosle i mogłem ich niepostrzeżenie obserwować. Ku memu zdumieniu ujrzałem na palcu mężczyzny pierścień, podobny do dwóch srebrnych pierścieni, leżących w mej kieszeni. A więc tak się sprawy mają!

Kiedy nurt rzeki pozwolił mi na opuszczenie tylnej części tratwy, podszedłem do Halefa i zapytałem:

— Jak ci się podobają ci ludzie?

Wypowiedziałem te słowa w narzeczu arabskim moghreb. Halef znał je doskonale, była to bowiem jego mowa ojczysta.

— Są mi obojętni. Ale dlaczego posługujesz się mową mojej ojczyzny, sidi?

— Ażeby mnie nie zrozumieli. Nie wolno nam traktować ich obojętnie. Mają wobec nas złe zamiary.

— Allah! Naprawdę? Jakżeż to?

— Nie oglądaj się, nie patrz na nich. Nie powinni wiedzieć, że o nich rozmawiamy. Zamierzają nas wydać Persom.

— *Maszallah!* Na jakiej podstawie tak sądzisz?

— Mężczyzna ma na palcu pierścień *sillana*.

— Nie mylisz się?

— Nie. Dobrze, że trzymam tamte pierścienie w kieszeni i nie dałem ci ani jednego. Z pewnością

włożyłbyś na palec przynajmniej jeden.

— Oczywiście, sidi!

— Ci ludzie zauważyliby go i wydałoby się, że nie wrzuciłem pierścieni do wody. Chwilowo nie będziemy nosić na palcach żadnego pierścienia.

— Sądzisz, że zmówili się z Persami?

— Tak. Ojciec Korzeni piastuje wyższą godność. Zna na pewno wszystkich członków, mieszkających w obwodzie jego działania.

— Myślałem, że *sillani* istnieją tylko w Persji.

— Jestem innego zdania. Przypominam ci naszą wczorajszą hipotezę, że *sillani* utrzymują stosunki z sektą *babi*. Gdy ich z powodu zamachu na szacha zaczęto bezlitośnie ścigać, tysiące uciekły pod wodzą mirzy Jahja do Iraku, gdzie założyli swą główną siedzibę w Bagdadzie. Z tych czasów pozostało jeszcze wielu nieoficjalnych zwolenników ściganych. Jeżeli to prawda, że utrzymują kontakt z *sillanami*, nie ma powodu do zdumienia, żeśmy dziś spotkali tutejszego *silla*. Pers zna go, wyładował więc w Mansurijeh i dał mu odpowiednie polecenie.

— Cóż to za polecenie?

— Dowiemy się o tym. Bardzo ważne jest dla nas to, że Peder-i-Baharat popełnił pomyłkę. Gdyby nie jego zapomnienie, prawdopodobnie byłibyśmy wpadli w zastawioną pułapkę. Powinien był polecić temu człowiekowi, aby ukrył przed nami pierścień, gdyż uważam pierścienie tego typu za narzędzie czarów.

— Masz rację, sidi! Teraz, kiedy nas pierścień ostrzegł, będziemy się mieli na baczności i nie pójdziemy po lini wrogich zamiarów.

— Przeciwnie. Ostrożność nakazuje udawać, że dajemy się wyprowadzić w pole. Skoro wiemy, gdzie wróg i gdzie planuje atak, sprawa jest w połowie wygrana. Jeżeli mu się w połowie wymkniemy i ruszymy do Bagdadu, nie będziemy się mogli zorientować, skąd i gdzie grozić będzie niebezpieczeństwo. Tam może spaść na nas niespodziewanie i znienacka; tu będziemy poinformowani najdokładniej, jakie są jego zamiary.

— Jakże się o tym dowiesz?

— *Sill* lub jego żona wygadają się niechcący. Stanie się to jeszcze dziś; jestem przekonany, że otrzymali polecenie zaatakowania nas przed przybyciem do Bagdadu. Przypuszczam, że ludzie ci zechcą nam poradzić, gdzie powinniśmy przenocować, aby nas później wydać w ręce Persów. Musimy udawać wesołość i beztroskę, aby zmylić ich czujność.

Wróciłem na tylną część tratwy i wdałem się w rozmowę z przybyszami. Zachowałem się swobodnie i niewymuszenie; udało mi się pochwycić ich spojrzenia, świadczące o tym, że są zadowoleni z przebiegu sprawy. Minawszy Dokhałę i kilka wiosek, dotarliśmy do zakrętu, okalającego Jehultijeh. Krzyknąłem na Halefa:

— Zobacz, czy nie ma tu odpowiedniego miejsca na nocleg. Za pół godziny zajdzie słońce!

Stało się, jak przypuszczałem. Ledwie zdążyłem wypowiedzieć powyższe słowa, człowiek z Mansurijeh rzekł:

— Słyszę, że szukacie miejsca na nocleg. Effendi, znam idealne miejsce, w którym nocuję, ilekroć jadę do Bagdadu.

— Gdzie ono jest? — zapytałem.

— Na prawym brzegu, niedaleko stąd.

— Cóż to za miejsce?

— To szałas, który może swobodnie pomieścić dziesięć osób. Ściany mocne; stanowią doskonałą ochronę przed deszczem i mgłą. Wewnątrz nie ma robactwa. Człowiek czuje się tam jak u Allaha za

piecem. Kto wejdzie przez jego gościnne drzwi, ma wrażenie, że to słodki sen.

Nieznajomy, podsuwając nam przynętę, wpadł w poetyczny trans, Udając, że nic nie zauważyłem, odparłem:

— Czy w pobliżu są krzaki?

— Ile chcesz. Możemy palić ogień aż do rana, ponieważ według przyjętego zwyczaju każdy, kto tam nocuje, zostawia, odchodząc, wiązkę drwa i gałęzi dla swych następców. Rzeka daje pod dostatkiem wody do picia. Wszystko to razem uprzyjemnia niezwykle pobyt w szałasie.

— Doskonale! Przenocujemy w tej chacie. Powiesz nam, w którym miejscu mam przybić do brzegu.

A więc znajdziemy nawet drwa do rozpalenia ogniska! Oczywiście, nie wierzyłem w bajkę, że każdy zostawia dla następnych wiązkę drwa i gałęzi. Nie ulegało wątpliwości, że Persowie są już od dawna w pobliżu szałasów. Chcą nas obserwować przy blasku ognia; w tym celu zadali sobie nawet nieco trudu i przygotowali opał. Z pewnością liczyli się z tym, że możemy dotrzeć do szałasów po zachodzie słońca. Ponieważ o tej porze trudno by nam było szukać drewna, postarali się o to, aby nas obserwować przy blasku światła.

Po upływie kilku minut *sill* polecił skierować się ku brzegowi. Wkrótce ujrzelśmy szałas. *Sill* wskazał miejsce, przy którym należy wylądować. Nie usłuchałem go i skierowałem tratwę w kierunku brzegu, wolnego od krzaków i zarośli. Wolałem miejsce otwarte, w krzakach Persowie mogli nas pozabijać. Nie zostawiliśmy im wprawdzie naboju, ale nie ulegało wątpliwości, że w Mansurijeh zaopatrzyli się w amunicję.

— Dlaczego nie lądujesz dalej, przy szałasie? — zapytał *sill*. — Przecież pokazałem ci miejsce bez porównania dogodniejsze!

— Ze względu na konie — odparłem. — Stoją od rana; trzeba im dać okazję ruchu. Pojedziemy trochę konno. A ty idź tymczasem wraz żoną do szałasów. Przybędziemy tam, zanim się zupełnie ściemni.

Wyciągnęliśmy konie na brzeg i dosiedliśmy ich. Ruszyliśmy ku szałasowi, odległemu od rzeki o jakieś pięćdziesiąt kroków, pełnym galopem wzdłuż nadbrzeżnego żywopłotu.

— Po co dosiedliśmy koni? Przecież można było dopłynąć tratwą, *sidi*? — rzekł Halef.

— Po to, aby przybyć przed naszym przewodnikiem i jego żoną. Szukam śladów, pozostawionych przez Persów.

Objechawszy szałas dookoła, ujrzałem ślady. Mściwa trójka wylądowała tutaj, zebrała sześć dużych wiązek drewna i gałęzi, po czym oddaliła się na tratwę. Mogli Persowie popłynąć tylko z biegiem rzeki, domyśliłem się więc mniej więcej, gdzie się ukryli. Według uzasadnionego prawdopodobieństwa nie odплыnęli daleko. Rzecz prawie pewna, że wybrali na brzegu takie miejsce, z którego nas, można było dokładnie obserwować. Biorąc pod uwagę pole widzenia ludzkiego oka, nie trudno określić w przybliżeniu, gdzie należy szukać tego miejsca. Persowie śledzą przede wszystkim górny brzeg rzeki, chcąc więc ujrzeć ich bez zwrócenia na siebie uwagi, trzeba będzie udać się na miejsce, położone nieco wyżej, niż ich kryjówka.

Podzieliłem się tymi myślami z Halefem. Zatoczywszy w wymienionym kierunku półkole, dotarliśmy w pobliże rzeki. Zsiedliśmy z koni, zostawiliśmy je na brzegu i przez krzaki podkradliśmy się nad wodę. W małej zatoce stała tratwa Persów; Persowie leżeli opodal w zaroślach. Prowadzili rozmowę, żywo gestykulując.

— *Sidi*, twoje przewidywania okazały się słuszne — rzekł Halef. — Najchętniej podszedłbym do tych łotrów i poczęstował ich batem.

— Chwilowo nie ma ku temu żadnego powodu — odrzekłem. — Chcąc mówić z nimi tym

językiem, musielibyśmy im dowieść, że żywią wobec nas wrogie zamiary, a tych dowodów jeszcze nie mamy.

— Przeciwnie, mamy je! Przecież wiemy, że pozyskali tego mężczyznę i kobietę, aby nas wydali w ich ręce.

— Tymczasem jest to tylko nasze przypuszczenie, a musimy mieć bezwzględną pewność. Zdobędę ją, gdy si z k ściemni.

— Chcesz ich podsłuchać tak samo, jak wczoraj?

— Tak.

— Czy *sill* nie zdziwi się, jeżeli oddalisz się bez ważnej przyczyny?

— Nie, nie jest wykluczone, że mogłoby to obudzić w nim podejrzenie. Trzeba znaleźć jakąś wymówkę. Nie ulega wątpliwości, że z początku zmówi *moghreb*, potem *asziję*. Podczas *asziji* oddalę się. Gdy po skończeniu modlitwy zapyta cię, dlaczego się oddaliłem, powiesz, że chrześcijanin nie może się modlić w obecności wyznawców Mahometa. Będzie musiał zadowolić się tą odpowiedzią.

— Masz rację, *sidi*. Cóż się jednak stanie, jeżeli Persowie wejdą do szałasów podczas twojej nieobecności? Jak wtedy powinienem postąpić?

— Wykluczam tę ewentualność. Możemy być pewni, że nie opuszczą kryjówek, zanim sprzymierzeniec nie odszuka ich i nie złoży raportu. Do tej chwili nic nam z ich strony nie grozi. No, teraz trzeba wracać, gdyż może się ściemnić, zanim zdążymy powrócić do szałasów.

Dosiadłszy koni, zatoczyliśmy ten sam łuk, co przedtem. Wskutek tego zjawiliśmy się od strony ładu i *sillowi* nie przyszło nawet na myśl, żeśmy byli nad rzeką.

Ściany szałasów składały się z trzciny i gliny. Miały około pół metra grubości. Zauważyłem, że w jednej z nich znajduje się otwór, przez który można zajrzeć do środka. Wejście zawieszono starą rogożą. W powale widniał spory otwór, rodzaj komina. Zapewnienia *silla* w części się sprawdziły; szałas był istotnie przestronny, ale niesłychanie brudny. Postanowiłem zrezygnować ze "słodkich snów", które przed nami *sill* malował, i wraz z Halefem spędzić noc pod gołym niebem. Decyzję tę zachowałem chwilowo w dyskrecji, udając, że spełnię każdą propozycję *silla*, który krzątał się koło mnie z niemałą gorliwością. Ułożył w kącie nieco drwa, którym chciał później rozpalić ognisko, po czym zaczął zamiatać. Krótko mówiąc, nie szczędził starań, byle pozyskać nasze zaufanie. Kiedy słońce zaszło, ukląkł przed szałasem i zwróciwszy twarz ku Mecce zmówił *moghreb*.

Zachowywaliśmy się względem niego i jego żony niezwykle uprzejmie. Podzieliliśmy się z nimi resztkami jedzenia. Po wieczery nadeszła pora *asziji*, więc *sill* zaczął się znów gotować do modlitwy. Minałem go, udając, że nie idę nad rzekę, lecz wgłąb brzegu. Uszedłszy kawał drogi, zawróciłem i skierowałem kroki nad rzekę. Nie doszedłem jednak do samego brzegu, licząc się z tym, że Persowie mogli się zniecierpliwzić i podejść bliżej. Po dosyć długiej mitrzędze dotarłem wreszcie do celu. Okazało się, że nadłożenie drogi, zamiast straty, przyniosło mi korzyść.

Gdym się schylił, aby się przeczołgać przez zarośla, usłyszałem za sobą odgłos kroków; ukryłem się więc szybko w krzakach. A tuż właśnie nadszedł *sill*, stanął obok mnie i klasnął w dłonie. Po kilkakrotnym powtórzeniu tego hasła znad wody rozległo się pytanie:

— *Min hajda?* Kto tam?

— *Sill Safi* — brzmiała odpowiedź. — Choć prosto!

Ruszył przez krzaki z takim hałasem, że mogłem posuwać się za nim bezpiecznie. Persowie podnieśli się z ziemi; *sill* podszedł do nich, ja zaś położyłem się opodal.

— Myśleliśmy, że przyjdiesz później — rzekł Peder-i-Baharat. — Czy zaszło coś niemiłego, żeś się zjawił tak wcześnie?

— Nie — odrzekł zapytany. — Przyszedłem wcześniej, bo wszystko ułożyło się pomyślnie. Gjaur odszedł w mrok nocy celem zmówienia modlitwy. Nie śmie mówić jej w obecności prawdziwego wiernego.

— Odszedł w mrok nocy? Dokądże to? Chyba nie tutaj ?

— O, nie! W przeciwnym kierunku. Ten pies chrześcijański jest najgłupszy spośród wszystkich ludzi, jakich spotkałem w swoim życiu. Ma do mnie bezgraniczne zaufanie.

— Czy zgodził się od razu na zabranie was?

— Tak, od razu.

— Zawdzięczamy to mojej mądrości. Kazałem ci zabrać ze sobą żonę. Nie jest taki głupi jak ci się wydaje, lecz obecność kobiety wzbudziła w nim zaufanie, przy tego bowiem rodzaju napadach, jak nasz, zwykło się zostawiać żonę w domu. Ciężko ci było namówić go, aby się udał razem z tobą do szałasu?

— Wcale nie. Zgodził się od razu. Nie mogłeś wybrać lepszego miejsca; podziwiam twój spryt, na podstawie którego obliczyłeś, że dotrzemy do chaty tuż przed zachodem słońca.

— Nie masz się czemu dziwić. Przywódca *sillanów* musi przecież być zdolnym i sprytnym. Gdzie konie?

— Pasą się w pobliżu szałasu. Chcecie je teraz zabrać?

— Nie. Kiedy schwytamy jeźdźców, konie i tak nam się dostaną. Najchętniej nie bawiłbym się długo z tymi psami i zastrzelił ich, ale nie, byłaby to zbyt mała kara za ból; który doznałem przez tego karła. Będziemy ich ćwiczyć batem, aż ciała ich nabiegną krwią, jak te dwie szramy na mojej twarzy, które palą jak ogień piekielny. W tym celu schwytamy ich żywcem. Gdy pod wpływem razów zaczną tracić siły i przytomność, wpakujemy im kule w łeb. Jakże się dowiemy, czy śpią, czy czuwają?

— Przyjdę do was.

— Nie. Mógłbyś wzbudzić w nich podejrzenie. — W takim razie przyślę do was moją żonę.

— Jeśli będzie spała w szałasie, musi pozostać, a jeśli położy się pod gołym niebem, nie będzie mogła sprawdzić, czy przybysze czuwają, czy też śpią. Musimy ustalić jakieś niezawodne hasło.

— Najbardziej niezawodny jest ogień. Skoro zgaśnie, będzie to znak, że zasnęli.

— Masz rację. Napadniemy ich po ciemku. Ale w takim razie musimy wiedzieć dokładnie, gdzie będą leżeć.

— Mogę was objaśnić już teraz. Z tyłu, na prawo, płonie ogień; w pobliżu zaś przygotowałem leże. Będę oczekiwać was naprzeciw wejścia. Będziecie musieli wlaźć kolejno. Wezmę was za ręce i zaprowadzę do miejsca, w którym leżą. Co zrobicie później, to już wasza sprawa.

— A twoja żona?

— Będzie spała pod gołym niebem. Nie może przecież spać w jednym pokoju z mężczyznami.

— Twój projekt podoba mi się — przyjmuję go. Zaczekamy tu dwie godziny, potem zaś udamy się pod szałas. Gdy zagaśnie światło, wejdziemy kolejno. Czy masz jeszcze co do powiedzenia?

— Nie.

— Więc wracaj, bo dłuższa nieobecność mogłaby zwrócić ich uwagę. Przyrzeczone wynagrodzenie otrzymasz.

Dalej nie słuchałem, uważając, że najlepiej oddalić się przy akompaniamencie łamanych przez *silla* gałęzi. *Sill* zatrzymał się jeszcze na chwilę i rzucił Persom kilka okolicznościowych pytań. Dzięki temu mogłem pójść w kierunku szałas. Oczywiście, nie zapomniałem o konieczności zakreślenia łuku, aby się zdawało, że przychodzę z przeciwnej strony. Ostrożność okazała się słuszną, gdyż przed szałasem stała żona *silla*. Nie ulegało wątpliwości, że *sill* kazał jej uważać, z której strony się zjawie.

Wewnątrz szałasus siedział przy ognisku Halef. Żona *silla* weszła razem ze mną. Udając, że nie zauważyłem nieobecności męża, usiadłem obok Hadżiego. Rozmawialiśmy o sprawach nieaktualnych. Po jakimś czasie zjawił się *sill*. Usiadł obok żony. Po upływie pół godziny małżonkowie wstali i *sill* zapytał:

— Effendi, pozwolisz mi spać w szałasie obok was? Ciało moje dręczy chwilami reumatyzm. Szkodzi mi wilgoć i mgła.

— Możecie spać tu oboje — odrzekłem.

— O, nie! Kobiecie nie wolno przebywać w miejscu, w którym śpią mężczyźni. Urządzą jej w krzakach leże; będzie tam mogła spoczywać do rana.

— Pokażę wam miejsce, które się najbardziej nadaje na leże. Chodźcie! Choć również Halefie!

Sill spojrział na mnie zdumiony, ale usuwniuchał. Hadżi milczał również; szybkie przebiegłe lśnienie oczu wskazywało, że sobie po moim kroku dużo obiecuje. Gdyśmy stanęli przy koniach, zdjąłem lasso z szyi mego Assila. Halef domyślił się od razu moich zamiarów i ruszył za parą *sillów*, która szła tuż za mną. Widząc, że coraz bardziej oddalam się od szałasus, *sill* zapytał:

— Gdzie nas prowadzisz, effendi? Czy żona moja nie powinna spocząć w naszym pobliżu?

— Będzie spoczywała znacznie bliżej niż ci się wydaje — odparłem. — Idziemy w kierunku tratwy.

— To za daleko, stanowczo za daleko, effendi!

— Nie martw się! Będziecie ze mnie bardzo zadowoleni. Robię to dla waszego dobra. — Jak to?

— Grozi wam wielkie niebezpieczeństwo. Chcę was od niego uchronić.

— *Allah akbar!* Jakie niebezpieczeństwo masz na myśli? Nie wyobrażam sobie, aby się nam w tych stronach mogło przytrafić coś złego!

— Okoliczność, że nic nie przeczuwacie, podwaja niebezpieczeństwo.

— Powiedz więc, o co chodzi! Chyba wrócimy do szałasus?

— Owszem, ale nie tak prędko, jak przypuszczasz. Chodź za mną! Chciał kilkakrotnie zatrzymać się, ale Halef następował mu na pięty, więc musiał iść dalej. Dotarliśmy wreszcie do tratwy. Wskoczywszy na nią, zwróciłem się do *sillów*, aby podążyli za mną. Nie mieli odwagi sprzeciwić się temu wezwaniu. Gdy i Halef stanął na tratwie, rzekłem do nich:

— Siadajcie! Muszę wam coś ważnego zakomunikować.

Usiedli. Ciągnąłem dalej:

— Przeprowadziłem was tutaj, aby wam uratować życie. Gdybyście pozostali w szałasie, lub opodal szałasus, musielibyście wejść na most śmierci.

— *Maszallah!* Co mówisz? Któż mógłby grozić naszemu życiu?

— Trzy perskie kanale, które leżą w krzakach niedaleko szałasus, i za jakąś godzinę chcą na nas napaść. — All... All... lach! Z przerażenia wyjąkał to jedno słowo.

— Tak, wyobraź sobie, chcą na nas napaść, zbić nas, a później rozstrzelać. Czy przypuszczałaś, co nam grozi?

— Nie, nie, nie! — wykrztusił. — I teraz uważam to za wykluczone!

— Jest to dowód, że nie masz pojęcia, jak nikczemni ludzie istnieją na świecie. Ci trzej Persowie chcą wleźć do szałasus, skoro tylko zgaśnie ogień i wymordować nas.

— Nie ... wyobrażam sobie ... nie wyobrażam sobie, aby to było możliwe, effendi!

— To zbyt cenne, myślę za ciebie. Myślę na przykład, że ci mordercy mają przewodnika, który ich chce zaprowadzić do naszego legowiska.

Milczał, jak zaklęty. Ciągnąłem więc dalej:

— Ten nikczemny zdrajca uważa mnie za psa chrześcijańskiego, który jest najgłupszym spośród

ludzi, jakich w życiu widział. Może i ty uważasz mnie za głupca?

— Ja ... ? Effendi, cóż to za pytanie ?! Nie wiem, co mam na to powiedzieć. Człowiek, który uważa cię za głupca, sam jest...

— Bezdennym głupcem, nieprawdaż? A jednak ów człowiek uroił sobie, że pozwolę się wodzić na jego pasku. Zjawił się wraz z żoną na naszej tratwie, aby mnie zwabić do szałasu. Mimo że od razu przejrzałem jego zamiary, był przekonany, iż mu najzupełniej ufam. Prosił, abym przybił do brzegu tuż obok szałasu. Ja wszakże umieściłem tratwę w innym miejscu. To powinno było naprowadzić go na myśl, że nie mam do niego zaufanie. Czy tak?

— Tak, effendi, tak!

— Był jednak za głupi, aby to zauważyć. Po odmówieniu *asziji* udał się do Persów, aby ustalić, kiedy i jak nas napadną. Nie dziwisz się, że wiem o wszystkim tak dokładnie?

— Effendi, strach... odbiera mi mowę!

— Nie rozumiesz, dlaczego zatrzymałem tratwę w takiej odległości od szałasu?

— Nie.

— Więc ci powiem. Zdrajca i jego żona pozostaną na tej tratwie, dopóki się nie załatwią z mordercami. Przywiążę ich mocno; przy najmniejszej próbie ucieczki wpadną do wody i utoną.

— Allah, allah! Mówisz o mordercach i o zdrajcy. Gdybym wiedział, kto... co...

— Kto nim jest? Ty, kłamco, oszuście! Przecież wiesz doskonale, że o tobie mówię. Słuchaj, co ci powiem! Widzisz ten nóż w mojej ręce?

Halef trzyma również swój nóż w pogotowiu. Życie za życie, krew za krew! Oto prawo pustyni. Będę jednak litościwy. Liczę na to, żeś tchórzem. O żonie nie chcę wcale mówić. Jeżeli będziecie mi posłuszni, nic się wam złego nie stanie i jutro odzyskacie wolność. Jeżeli jednak będziecie się opierać, poczujecie na skórze ostrze naszej stali. Wstańcie, zbójce!

Wypowiedziałem te słowa takim tonem, że się podnieśli natychmiast. Milczeli przy tym, jak pień.

— Odwróćcie się plecami do siebie i spuście ręce!

Wykonali i to polecenie. Halef przysunął ich gwałtownym ruchem i rzekł:

— Stójcie tak, nie ruszając się, bo wpakuję wam nóż w serce! Przyłożył *sillowi* nóż do piersi. Sill jęknął:

— Nie uderzaj! Będziemy posłuszni.

— Wstrętny tchórz! Nikczemność i zdrada chodzi zawsze w parze z tchórzostwem. Na nic innego nie zasługujesz!

Po tych słowach splunął mu w twarz. Rozwinałem lasso. Związaliśmy nim zdradziecką parkę, tak mocno, że nie mogła się ruszyć. Tak spętanych ułożyliśmy na tratwie w ten sposób, że mogli się obrócić jedynie w kierunku wody. Jeżeli nie będą leżeć spokojnie, runą do wody i utoną.

— No, teraz możemy być o was spokojni — rzekłem. — Jeśli nie będziecie się ruszać i zachowacie milczenie, odwiążemy was później i puścimy wolno. Jeżeli zaczniecie wołać o pomoc strącimy was do wody.

— Tak, strącimy bez wątpienia — potwierdził mały Hadzi. — Takie wstrętne twory, jak wy, powinno się topić i rzucać na pożarcie rakom, aby wasze dusze, gdy się je będzie gotować, oblewały się ze wstydu szkarłatem.

— Nie puścimy pary z ust!

— Radzę wam, gdyż w razie nieposłuszeństwa nie będziecie mogli liczyć na moją litość. Dziękuj Allahowi, że leżysz wraz z towarzyszką swoich łajdactw w najpiękniejszym haremie, na jaki zasłużyłeś. Bądźcie rozsądni, zażywajcie w milczeniu rozkoszy prowizorycznego mieszkania, dopóki nie powrócimy. Nie kłóćcie się, gdyż kłótnie między mężem a żoną męczą niepotrzebnie języki i

działają źle na trawienie. Opuszczam was zatem, ale mam nadzieję, że się wkrótce zobaczymy.

Skoczyliśmy na brzeg i wróciliśmy do szałas. Przybyliśmy w samą porę, aby podsyć dogasający ogień. Zakrywszy otwór w ścianie haikiem Halefa powiedziałem Hadżiemu, o czym Persowie rozmawiali.

— A więc przybędą tutaj, aby nas napaść podczas snu? Będziemy udawać śpiących, sisi?

— Nie, to byłoby niebezpieczne. Zjawią się kolejno, przyjmiemy ich zatem w kolejnym porządku.

— Ale znanym przyjaznym *ahlen wasahlan*, bądźcie zdrowi, które spoczywa w naszych pięściach, prawda, sisi?

— Tak jest.

— Będziesz ich walił, a ja zajmę się wiązaniem. Dla ewentualnych napraw tratwy zabrałem nieco rzemieni, którymi będzie można otoczyć naszych perskich przyjaciół. Miałeś rację, sisi, mówiąc, że lepiej niebezpieczeństwu przeciwstawić się, niż uciekać przed nim. Z niecierpliwością oczekuję tej chwili, gdy ukążą się głowy morderców i jękną pod uderzeniem twych rąk. Jak długo musimy jeszcze czekać?

— Powinni się zjawić w pół godziny po wygaśnięciu ogniska.

— Dopiero? Na wszelki wypadek przygotuję już rzemienie.

— Mamy czas. Staniesz tam pod ścianą; powitam Persów jako *sill*, podam im rękę stosownie do umowy, zaprowadzę ich ku tobie i postaram się, aby pierwsi dwaj niezbyt wiele robili hałasu. Kiedy ostatniego pochwycę, będziesz się musiał zająć rozpaleniem ogniska. No, teraz musisz siedzieć cicho, nie jest bowiem wykluczone, że z nudów opuszczą kryjówkę wcześniej, niż zamierzali. Należy się liczyć, z tym, że nas mogą podsłuchać.

— Usłyszą znacznie więcej, gdy przemówi mój bat!

Siedzieliśmy w milczeniu, nad słuchując. Dolatywało tylko uderzenie fal o brzeg. Minęło pół godziny. Zgasiliśmy ogień, przygotowawszy suche gałęzie i zapałki. Usiadłem opodal drzwi. Halef zajął wskazane poprzednio przeze mnie miejsce. Nie czułem najmniejszej obawy; niepokoiłem się jedynie o to, czy *sill* i jego żona zachowają się spokojnie. Jeden ich okrzyk mógłby zniweczyć cały nasz plan.

Wyteżyłem słuch. Po jakimś czasie usłyszałem szelest kroków, mimo że Persowie znajdowali się jeszcze w sporej odległości od szałas.

— Halefie, idą — szepnąłem.

— Doskonale. Rzemienie przygotowane — odparł.

Kroki zbliżyły się i umilkły przed szałasem. Persowie byli z pewnością przekonani, że nikt ich nie słyszy.

Z pochylonym grzbietem podszedłem do wiszącej nad drzwiami zasłony, która się po chwili poruszyła. Powstała szpara, przez którą mogłem patrzeć. Ktoś wczółgał się przez otwór i stanął w szałasie. Wyprostowałem się i ująłem przybysza za rękę.

— *Sill*? — zapytał szeptem.

— Tak, *sill* — odrzekłem i pociągnąłem go od drzwi w stronę Halefa. Potem chwyciłem go lewą ręką za gardło, prawą zaś wymierzyłem w skroń dwa uderzenia. Rozległo się tylko bolesne westchnienie, po czym postać opadła na ziemię.

— Halefie, oto pierwszy, zwiąż go! — szepnąłem, śpiesząc ku drzwiom.

Zjawił się drugi. Nie pytał o nic. Odwiodłem go od wejścia i wymierzyłem mu dwa uderzenia z takim samym skutkiem jak poprzednio. Z trzecim byłem już mniej ostrożny. Skoro się przyczołgał i stanął przede mną, powaliłem go uderzeniem z tyłu, uklęknąłem na nim i złapałem go za rękę. Był tak przerażony, że się wcale nie bronił.

— Halefie, światło!

— Zaraz, sidi! — odparł mały głośno. — Trzymasz go mocno?

— Tak.

— Zaczekaj chwilę!

Potarł zapalkę; gałęzie stanęły w ogniu, rzucając jaskrawy odblask na cały szałas. Ojciec Korzeni leżał związany na ziemi; obok niego drugi kompan, ja zaś trzymałam za kark Aftaba. Ujrzawszy twarz moją w świetle ognia, zaklął siarczyście i zaczął się szamotać. Ledwo to Halef zauważył, przyskoczył doń i rzekł:

— Przede wszystkim musimy związać tego ananasa, gdyż jest zdrow i przytomny. Tamci dwaj leżą bez zmysłów, a może nawet zabiłeś ich swymi ciosami. Szkoda, że świadkami naszego zwycięstwa nie może być ani moja Hanneh, wcielenie wszystkich rozkoszy, ani twoja Emmeh, którą można jedynie porównać z wybranką sułtana. Gdyby były obecne, zanuciłyby pieśń zwycięstwa na cześć naszej niezrównanej waleczności.

— Niech sobie śpiewają w domu. Nie pora na pieśni. Rzuć tych łotrów w ką. Potem jeden z nas położy się na dwie godziny; drugi stanie na warcie. Będziemy się luzowali aż do rana.

— A cięgi, które mają otrzymać?

— Pomówimy o tym jutro rano. — A *sill* i jego żona?

— Niech się prześpią na tratwie. Potem mogą iść, gdzie ich oczy poniosą. Szkoda teraz czasu na zajmowanie się jeńcami, musimy się wyspać. Kto obejmie pierwszą wartę?

— Ja, sidi, ja! Muszę być świadkiem sceny przebudzenia się obydwu nieprzytomnych i ich zdumienia, że nie udało im się ani nas wychłostać, ani pozabijać. Spłoną rumieńcem wstydu, a potem zbledną jak chusty. Gniew zacznie zżerać ich serca, złość nadwyreży wątrobę i płuca. Nerki pękną z wściekłości, wnętrznosci zaś... Czekaj, dokąd idziesz?

— Wychodzę. Będę spał pod gołym niebem. A ty sobie gadaj dalej!

— O sidi, jesteś dziwnym człowiekiem, kto może zasnąć od razu po takim zwycięstwie ten nie wart zwycięstwa. Sen jest mordercą sławy, końcem poczucia honoru. Najodważniejszy człowiek stanie się we śnie gnuśny...

Nie słyszałem dalszych słów. Opuściwszy za sobą zasłonę, udałem się do swego konia, który czekał na mnie pod szałasem. Przywitał mnie cichym, zadowolonym parsknięciem. Szepnąłem mu do ucha codzienną surę. Wkrótce usnąłem. Po dwóch godzinach Halef mnie obudził.

— Wstawaj, sidi! — rzekł. — Dwie godziny minęły. Przekonam się, czy postacie, przewijające się we śnie, wiedzą coś o sławie, którą dziś zdobyliśmy na jawie.

— Cóż się dzieje z Persami? — zapytałem, podnosząc się.

— Oprzytomnieli, ale zachowują się zupełnie niezrozumiale. — Jak to?

— Nie chcą przyznać, że przewyższamy wszystkich bohaterów świata i że nikt na świecie nie dorówna nam mądrością i walecznością.

— Ach, tak! Palnąłeś im pewnie sążnistą mowę?

— Masz coś przeciwko temu?

— Tak. Powinieneś być milczeć.

— Milczeć? O, sidi, nie masz pojęcia o darze wymowy, w który mnie wyposażyła natura. Czy mogę milczeć, gdy ten dar otwiera mi usta? Czy mogę połykać słowa, które spływają z języka jak młode lwy, czy mogę psuć sobie w ten sposób wspaniałe trawienie? Wierz mi, drogi sidi, w sztuce krasomówczej mam więcej doświadczenia od ciebie. Mam nadzieję, że nie będziesz mnie skazywać na milczenie, skoro uznam, że należy mówić.

Jeżeli przemawiał w ten sposób do mnie, nie trudno sobie wyobrazić orację wygłoszoną pod

adresem Persów! Ostudziłem go następującą uwagą:

— Milczenie jest złotem, mowa srebrem, a nawet zwykłą cyną. Kładź się i śpij! Za dwie godziny obudzę cię, Halefie.

Podszedł do swego konia. W drodze do szałasu doszły do mnie jego głośne refleksje:

— Ludzie skądinąd rozsądni mają czasami pomysły i poglądy, których najlepszy mózg nie potrafi zrozumieć. Tylko Allahowi wiadomo, dlaczego się tak dzieje!

Gdym wszedł do szałasu Persowie obrzucili mnie spojrzeniami pełnymi nienawiści. Ojciec Korzeni posunął się w zuchwalstwie tak daleko, że zaczął ryczeć:

— Nareszcie się zjawiłeś! Gdzie byłeś? Mam nadzieję, że natychmiast uwolnisz nas z więzów!

Nie odpowiadając ani słowa, dorzuciłem nieco drew do gasnącego ogniska i wyszedłem, by usiąść pod ścianą. Słyszeć tu było każde słowo.

— Ten pies jest głuchy na moje wezwanie — zgrzytnął. — Wiedzieli, że zjawimy się tutaj. Jestem pewien, że Safi nas nie zdradził. Gdzie on być może? Co się dzieje z jego żoną? Zapewne leżą gdzieś związani tak samo, jak my. Ciekawa rzecz, w jaki sposób ten giaur odgadł nasze zamiary!

Zniżył głos do szeptu, więc nie mogłem odróżnić poszczególnych słów. Ilekroć wchodziłem do szałasów, aby dorzucić paliwa, obrzucali mnie gradem obelg, na które odpowiadałem grobowym milczeniem. Minęły dwie godziny. Halef spał tak mocno, że nie miałem serca go budzić. Zostałem więc na warcie do wczesnego ranka. Obudził się sam i nuż mi robić wyrzuty, że mu pozwoliłem spać.

— Sądziłeś pewnie — rzekł — że znowu będę się starał przekonać tych ludzi o swym talencie krasomówczym. O nie, "zwykła cyna" odebrała mi ochotę do przekonywania morderców o zaletach mego ducha. Mam jednak nadzieję, że będę mógł dowieść czynami, iż spryt mego bata stoi wyżej od ich mądrości. Zgadzasz się ze mną, sidi?

— W tym wypadku tak. Wiesz dobrze, że jestem przeciwnikiem dręczenia najbardziej nawet bezwzględnych wrogów. Jednak w tym wypadku według praw życia tych ludzi należy do nas. Daruję je tym zbrodniarzom, ale kara nie powinna ich ominąć.

— Dzięki Allahowi, że cię oświecił tym wspaniałym przekonaniem!

Jestem szczęśliwy, że pozwolisz, aby mój wierny korbacz mógł zmierzyć grubość skóry szyitów.

Mały mój przyjaciel chętnie posługiwał się batem. Nie odpowiadała mi jednak ta metoda karania, ponadto uważałem, że godność szejka Haddedińów nie pozwala mu na wymierzanie kar doraźnych przy pomocy bata. Dlatego rzekłem:

— Zasłużyli na baty, nie sądzę jednak, byś miał zamiar odegrać rolę kata.

— Dlaczego nie, sidi?

— Bo bicie człowieka bezbronnego nie przynosi zaszczytu, nawet wtedy, jeżeli ten człowiek zasłużył na karę.

— Hm, hm! — rzekł po namyśle. — Zaszczytu nie ma przy tym, ale i o wstydzie również nie można mówić.

— Jeżeli o to chodzi, istnieją narody, które tak pogardzają katami, że żaden uczciwy człowiek nie utrzymuje z nimi stosunków towarzyskich. Tam, gdzie stosunki rozwinęły się z biegiem lat, urobił się pogląd, że nie przystoi, by sędzia był sam wykonawcą wyroku.

— Nic mnie to nie obchodzi. Przecież ty jesteś sędzią, sidi, a co do mnie, to wiesz dobrze, że ćwiczenie ręki za pomocą wywijania batem uważam za największą rozkosz i szczęście. Oczywiście, gdybym był sędzią, nie tknąłbym bata.

— Tyś znacznie więcej, niż sędzia. Górujesz nad nim niesłuchanie. — Ja? Jak to? — zapytał zdumiony. — Przeczuwam, że za pomocą

jakiegoś wybiegu chcesz mnie pozbawić rozkoszy, ku której rwie się moja dusza.

— To nie wybieg, lecz poważna wątpliwość, wyrosła z szacunku i przyjaźni, jaką cię otaczam, drogi Halefie.

Zasepił się i odparł niezbyt przyjaźnie:

— Dowód tego szacunku i przyjaźni możesz mi dać teraz przez zgodę, bym nieco połaskotał skórę tego bydlaka!

— Posłuchaj! Jeżeli nie potrafię cię przekonać i będziesz nadal obstawał przy swoim życzeniu, ustąpię. Otóż sędzia wydaje wyrok na podstawie ustaw, ustalonych przez władcę. Jeżeli wykonanie kary chłosty nie przystoi sędziemu, to tym bardziej nie przystoi ono władcy, stojącemu znacznie wyżej od sędziego. Przyznajesz mi rację?

— Tak, sidi — odparł, nie przeczuwając, że przez to wpada w nastawioną pułapkę.

— I mimo to chciałbyś własnoręcznie wychłostać Persów?

— Oczywiście. Tylko ty nie mógłbyś tego uczynić, ponieważ jesteś sędzią.

— Jestem sędzią, ale ty stoisz nade mną.

— Ja? Nad tobą...? — zapytał z najwyższym zdumieniem.

— Oczywiście. Przecież jesteś władcą! — Ja, władcą?!

— Tak. Czyż nie władasz nad wszystkimi Haddediwnami wielkiego plemienia Szammar? Cesarze i królowie Zachodu są władcami swych podwładnych; Abd ul Hamid rządzi wszystkimi ludami Turcji; Nassred Din dyktuje Persom ustawy, ty zaś rozkazujesz wszystkim wojownikom, należącym do szczepu Haddediwnów. Nie ma różnicy, czy władca zwie się cesarzem, królem, sułtanem, szachem, czy szejkiem. Wszystkie te nazwy służą do określenia jednej i tej samej funkcji.

Warto zobaczyć, jak się pod wpływem moich słów zmieniła twarz małego Hadżiego. Ponury wyraz ustąpił, twarz zaczęła się rozjaśniać, wreszcie rozpromieniał cały.

— Król... cesarz... sułtan... szejk... a więc to naprawdę równoznaczne słowa! Nie przypuszczam, byś się mylił, sidi, przecież jesteś wszechwiedzący. Tak, masz rację! Ochraniam i uszczęśliwiam moich Haddediwnów zupełnie tak samo jak szach Persów, a sułtan Turków. Tak samo, jak cesarz rosyjski lub król angielski żąda posłuszeństwa od swych poddanych, tak są mi posłuszne ciała, dusze i serca wszystkich wolnych Beduinów zebranych dokoła mego tronu. Cieszy mnie, sidi, że uznajesz rozległość mego autorytetu i ogarniasz rozmiary mej władzy!

— Tak, ogarniam je, drogi Halefie. Czy wobec takiej godności i władzy chciałbyś sam skazać się na poniżającą rolę kata i chłostać jeńców tą samą dostojną ręką, na której skinienie czekają najwaleczniejsi z wojowników?

— *Maszallah!* Nie, czyn ten podważyłby szacunek, z jakim patrzą na mnie wszyscy dawni i obecni przodkowie i praprzodkowie. Wroga, który mnie obraża, mogę zdzielić batem po pysku, ale nie mam ani ochoty, ani zamiaru bić jeńca, na którego wydałeś wyrok, podyktowany moimi własnymi ustami. Chwała mego imienia wymaga, abym do wspaniałości swej władzy dodawał coraz nowych blasków. Dlatego proszę, abyś po powrocie z naszej podróży nie zapomniał powtórzyć tego, coś przed chwilą mówił o cesarzach, królach, sułtanach i o mnie. Chciałbym bowiem, aby Hanneh, wcielenie wdzięku kobiecego, zrozumiała kim jest dla niej i dla tych, co go znają, władca jej namiotu.

— Zgoda. A więc rezygnujesz z własnoręcznego ukarania Persów? — Tak. Ponieważ jednak muszą otrzymać baty, zapytuję cię, kto

spełni tę bądź co bądź zazdrości godną funkcję?

— Ich sprzymierzeniec Safi.

— Co...? O sidi, to napełnia głębię mej duszy smutkiem i rozpaczą! Jako sprzymierzeniec będzie wymierzał razy z taką delikatnością, że każde uderzenie zmieni się w balsam. Sprzeciwia się to

sprawiedliwości, która żyje w moim sercu.

— Nie obawiaj się. Znajdziemy środek, który tak wzmocni siły jego ramienia, że będziesz z pewnością zadowolony. Choć! Sprowadzimy oboje.

— Dobrze. Chyba zrozumie, że razy istnieją po to, by przecinać skórę i dochodzić do najgłębszej komórki świadomości bitego. Gdyby tego zrozumieć nie chciał, będziemy musieli uzupełnić ten brak i oświecić prostaczka.

Sill leżał wraz z żoną w tej samej pozycji, w której ich zostawiliśmy. Widać było, że przeżyli noc udręki, nie tylko pod względem fizycznym, ale i moralnym. Poczucie niepewności dokuczyło im z pewnością nie mniej niż więzy.

Gdyśmy ich zwolnili z łaśsa, ledwie się trzymali na nogach. Niewiasta była równie milcząca, jak ubiegłego wieczora. Za to mężczyzna nie czekając na nasze pytania, rzekł: .

— Obiecaliście puścić nas wolno, jeżeli zachowamy spokój. Zastosowaliśmy się do rozkazu. Czy możemy odejść?

— Jeszcze nie — odrzekłem.

— Dlaczego? Przysięgliście przecież, a człowiek, nie dotrzymujący obietnicy, godzien jest pogardy i...

— Milcz! — przerwałem. — Nikt tak nie zasługuje na wzgardę, jak kłamcy i zdrajcy twego typu. Mylisz się, że wolno ci do nas przemawiać tym tonem. Rozkazaliśmy wam zachować milczenie. Jeżeli będziesz łżył, cofnę swe słowo i poczęstuję cię tym, na co jako zdrajca zasługujesz.

Słowa moje poskutkowały. Odparł znacznie pokorniej: — Nie chciałem was obrażać. Pytałem tylko, kiedy będziemy mogli odejść.

— Od ciebie zależy, czy puścimy was wolno, czy też wrzucimy wasze zwłoki do rzeki.

— Nasze zwłoki! — zawołali z przerażeniem. — Chcecie nas zamordować?

— Nie zamordować, lecz ukarać śmiercią w odwet za wasze skrytobójcze zamysły. Jestem chrześcijaninem i daruję życie nawet najgorszej kanalii, uważam bowiem, że jedynie Bóg jest sprawiedliwym sędzią. Poza tym, taka z ciebie mizerna istota, że czuję wstręt do rozważenia, jakiego rodzaju karę należałoby tobie wymierzyć. Z tych dwóch przyczyn puszcę was wolno, jeżeli spełnisz co do joty mój rozkaz.

— Mów, co mam czynić! Czy to trudne zadanie?

— Nie — Trzej Persowie, którym chciałeś nas wydać, zasłużyli na śmierć tak samo, jak ty. Chcę jednak być wobec nich równie litościwy, jak wobec ciebie, i daruję im życie. Dotknie ich łagodniejsza kara.

— Dostaną porządne baty — wtrącił Halef. — Przyjrzyj się temu korbaczowi, co zwisa u mego boku. Sporządzono go z ożywej skóry hipopotama, z którego też powodu czuje dziwny pociąg do ludzkiej skóry. Pożyczę ci tego bata, byś mógł dowieść swym sprzymierzeńcom, że przyjaźń, którą ich obdarzasz, posiada tę samą siłę, której wymagamy od twego ramienia.

— Czy dobrze zrozumiałem? — zapytał z przerażeniem. — Mam ich bić?

— Tak — potwierdził Halef z uśmiechem. — Wszystkich... trzech?

— Tak, wszystkich i to z całej siły. Będziemy czuwali w pobliżu. Jeżeli padnie choć jedno uderzenie nie tak silne, jak sobie życzymy, dostaniesz tyle batów, ile przeznaczyliśmy dla całej trójki.

— Allah, Allah, nie mogę tego uczynić! Kiedy się oddalicie, zabiją mnie za to.

Uspokoilem *silla* następującymi słowami:

— Nie będą wiedzieli, kto ich chłoscze, gdyż zawiązałem im przedtem oczy. Przywódcy wydzielisz pięćdziesiąt potężnych razów. Aftabowi czterdzieści, trzeciemu trzydzieści. Jeżeli będziesz sprawiał swą funkcję zbyt opieszale, otrzymasz sto dwadzieścia razów, czyli tyle, ile

wszyscy trzej mają dostać. A więc posłuszeństwo, albo śmierć. Innego wyjścia nie ma.

Zgodził się. Uwiązawszy *silla* wraz z żoną przed szałasem, wszedłem z Halefem do środka.

Ujrzawszy nas Peder-i-Baharat ryknął pod moim adresem:

— Czy będziesz wreszcie posłuszny i puścisz nas wolno?

Nie odpowiedziałem. Zuchwałość ta poruszyła Halefa do tego stopnia, że, zapomniawszy o "rozmiarach swej godności i władzy", poczęstował Persa potężnym policzkiem.

— Psie! — krzyknął groźnie. — Poczujesz teraz jedynie moją rękę! Jeżeli jednak powiesz jeszcze jedno nieuprzejme słowo, pošlę cię do piekła przy pomocy noża. Za chwilę wraz z towarzyszami poczujesz przedsmak czekających cię rozkoszy.

Uderzony nie miał odwagi odpowiedzieć. Tylko złowrogie spojrzenia świadczyły o śmiertelnej nienawiści. Halef zdjął z jego bioder kaszmirową chustkę, podarł ją na trzy części i związał oczy jeńcom. Wyszliśmy przed szałas. Odciągnąwszy mnie nieco na bok, aby *sill* i jego żona nie mogli usłyszeć naszej rozmowy, Halef zapytał:

— Sidi, będziesz obecny podczas egzekucji, nieprawdaz?

— Nie.

— Dlaczego?

— Powinieneś o tym wiedzieć z dawnych czasów. Niestety, zdarzają się wypadki, w których chłostanie ludzi jak parszywe psy jest koniecznością. Nie mogę bez odrazy przyglądać się widowisku, w którym tego rodzaju poniżenie spotyka istotę ludzką. Staram się więc unikać scen podobnych do tej, która za chwilę nastąpi. Te łotry są związane i muszą bez oporu pozwolić na wszystko. Człowieka z Mansurijeh trzymasz również w swej mocy, sądzę więc, że obecność moja podczas tej wstrętnej sceny jest zbyteczna.

— Wstrętnej sceny? Sidi, jesteś na ogół człowiekiem mocnym, tylko w tej dziedzinie zdradzasz pewną słabość. Cóż w tym wstrętnego, że człowiek może oglądać własnymi oczyma, jak sprawiedliwości staje się zadość? Przeciwnie, jest to rzecz miła, przyjemna. Nazwałeś mnie władcą. Czy nie jest obowiązkiem każdego władcy przekonać się, że zbrodniczy czyn został ukarany? Przekonam się więc i w tym przypadku, choć kara jest bezwzględnie zbyt łagodna. Kto zasłużył na karę śmierci, a skazany zostanie jedynie na chłostę, ten musi być tak bity, aby mu nie mogło przez myśl przemknąć, że spadają nań słodkie daktyle. Odchodzę. Jeżeli *sill* nie będzie walił z całej siły, zapomnę o godności władcy i wzmocnię siłę jego ramienia swym korbaczem.

Zwolnił *silla* z więzów i zaprowadził go wnętrza szałas; przed chatą pozostała uwiązana żona. Oddaliłem się, i zatrzymałem dopiero w miejscu, do którego nie docierały wrzaski. Po upływie pół godziny zjawił się Halef. Ślady wskazały mu drogę. Wbrew moim przypuszczeniom, nie miał wcale zadowolonego wyrazu twarzy. Zapytałem więc:

— Poszło gładko?

— Tak — odparł. — Ale okolice, po których korbacz wędrował nie są już gładkie.

— I mimo to nie jesteś zadowolony?

— Sprawa miała inny przebieg, niż się spodziewałem. *Sill* walił jak szalony, krew płynęła strumieniem, ale żaden z trzech psów nawet nie jęknął. Zgrzytali tylko zębami. Gdy padło ostatnie uderzenie, spodziewałem się gróźb i przekleństw. Nic podobnego! Milczeli jak niemi.

— Tak, to nie przelewki. Biada nam, jeżeli wpadniemy kiedyś w ich ręce!

— Chcesz ich zobaczyć? — Nie.

— Spodziewałem się tego. Dlatego też przeszukałem ich kieszenie i przyniosłem ci ich zawartość.

— Cóż tam jest?

— W kieszeniach przywódcy Peder-i-Baharat znalazłem złoto i ten dokument. Pozostali dwaj mieli przy sobie nieco miedziaków, które im zostawiłem.

Worek podany mi przez Halefa zawierał około pięciuset tumanów. Zwróciłem Halefowi pieniądze. Pergamin zapisany był z jednej strony cyframi. Na drugiej stronie widniał jakiś plan, którego nie rozumiałem i szereg imion, które prawdopodobnie nie będą dla mnie przedstawiały żadnej wartości. Mimo to, w myśl starego przyzwyczajenia zrobiłem odpis planu i imion i schowałem do kieszeni. Szereg kresek podobnych do przecinków, wydawał mi się bezwartościowy, ponieważ miałem wrażenie, że ktoś próbował stalówki. Mimo to, jak się później okazało, zapamiętałem je sobie dokładnie. Po chwili wręczyłem pergamin Halefowi i rzekłem:

— Odnieś to z powrotem.

— Pieniądze również?

— Oczywiście. Przecież nie jesteśmy złodziejami.

— Słusznie! Przyniosłem je tylko dla pokazania. Cóż teraz zrobimy? Znowu przywiązałem *silla* obok żony.

— Będziemy kontynuowali naszą podróż. Ta szajka dopiero po jakimś czasie uwolni się z więzów. W ten sposób dotrzemy do Bagdadu prędzej niż Persowie, chociaż tratwa ich płynie szybciej od naszej.

— Bardzo rozsądne, *sidi*, choć właściwie nie mamy powodu do obaw przed ludźmi tego rodzaju. Pozwolisz mi chyba przed wyruszeniem w dalszą drogę, pożegnać się przynajmniej z człowiekiem z Mansurijeh i jego żoną?

— Po co? To zbyteczne.

— Zbyteczne? O *sidi*, jakże słabo orientujesz się w potrzebach ludzkiej natury, tak skłonnej do pożegnań i powitań! Nie można się przecież schodzić i rozchodzić bez przepisanych ukłonów i bez zapewnień o najgłębszej miłości i przywiązaniu. Jeżeli w kraju, z którego pochodzisz, ludzie nie ukazują sobie uprzejmości, nie jest to jeszcze dowodem, że wysoce wykształcone ludy Wschodu powinny się rozstawać jak dwie żaby, które spotykają się w milczeniu i odskakują od siebie, nie wydawszy ani jednego dźwięku.

Droga do naszej tratwy prowadziła obok szałasów. Halef podszedł ku niemu z dumną miną i popuścił nieco więzów *sillowi* i żonie jego, ale w ten sposób, aby praca nad zupełnym uwolnieniem się zajęła im jeszcze kilka godzin. Przy tej okazji wygłosił następujące przemówienie:

— Gdy szlachetni przyjaciele się rozstają, z oczu ich płyną potoki łez, a słońce smutku zachodzi za góry żałoby. Kiedym cię ujrzał po raz pierwszy, dusza moja wybiegła ku tobie z radością; dziś, w chwili rozstania, widzę przed sobą otwarty grób szczęścia i wchodzę do mogiły z nadzieją, że wkrótce podążysz za mną, by zamiast mnie zostać pogrzebany. Obcowaliśmy ze sobą niedługo. Mimo to związały cię z nami najserdeczniejsze więzy, a tratwa nasz przez całą noc była rozkosznym miejscem wypoczynku dla dusz waszych. Mam nadzieję, że obecne gorzkie rozstanie nie jest pożegnaniem na wieki; chciałbym, aby nasze oczy odnalazły się jeszcze. Puls mój poświęci ci wtedy wszystkie swoje uderzenia, zmieniając się w tę oto hipopotamią skórę, a pieszczoty mego korbacza dowiodą wyraźnie, jak drogie jest mi wspomnienie o tobie i twych usługach. Jam Hadzi Halef Omar, naczelny szejik Haddedihnów. Nie zapomnij o tym, ojczyźnie zdrady, pradziadku kłamstwa, wujku nikczemności!

Wygadawszy się do syta, splunął trzykrotnie i z pogardliwym ruchem ręki odwrócił się, aby ruszyć w moje ślady. Zaprowadziwszy konie na tratwę, odbiliśmy i puściliśmy się z biegiem rzeki blisko brzegu, aby móc wylądować w pobliżu *kelleku* Persów. Nie chciałem dopuścić, by ci trzej ludzie dogonili nas przed Bagdadem i dowiedzieli się gdzie nas szukać. W tym celu przeciąłem sznur,

na który była umocowana ich tratwa i zabraliśmy ją na środek rzeki, tam dopiero puszczając na fale.

Jakkolwiek należało się spodziewać, że Peder-i-Baharat podąży za nami dopiero dnia następnego, chwyciliśmy za wiosła i zaczęliśmy energicznie pracować. Po niedługim czasie minęliśmy Reszidijeh, Suadszen, Dżerjat el Maman, Habib el Murallad i Immam Musa. Płynąc przez jakąś godzinę wśród szpaleru drzew palmowych, dotarliśmy do bagdadzkiego mostu. Zatrzymaliśmy się przed *kumruk* urzędem celnym. Niedługo nas tam zatrzymywano, gdyż jeszcze w Mossulu postarałem się o *reftijat*, paszport. Tak tedy przybyliśmy szczęśliwie do pierwszego celu naszej podróży. Przed nami leżał Bagdad.

Przygotowano na podstawie bookini.pl